Najlepszy romans historyczny roku nagrodzony RITA 2012

Tessa Dare

Noc uległości

AMBER

Romans historyczny

TESSA DARE

Noc uległości

Przekład
Aleksandra Januszewska
Ewa Morycińska-Dzius

AMBER

Redakcja stylistyczna
Izabella Sieńko-Holewa

Korekta
Hanna Lachowska
Barbara Cywińska

Projekt graficzny okładki
Małgorzata Cebo-Foniok

Zdjęcie na okładce
© Zbigniew Foniok

Tytuł oryginału
A Night to Surrender

Copyright © 2011 by Eve Ortega.
All rights reserved

For the Polish edition
Copyright © 2013 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 978-83-241-4905-6

Warszawa 2013. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.
02-952 Warszawa, ul. Wiertnicza 63
tel. 620 40 13, 620 81 62

www.wydawnictwoamber.pl

Skład wersji elektronicznej:
Virtualo Sp. z o.o.

Mojej mamie z wyrazami miłości.
Uzdrowicielce, uczonej, pisarce,
wzorowi do naśladowania, przyjaciółce.

1

Sussex, Anglia,
lato 1813

Bram wpatrywał się w parę wielkich, ciemnych oczu. Pojawił się w nich zaskakujący błysk inteligencji. To mógł być rzadki przypadek, kiedy istocie płci żeńskiej dałoby się przemówić do rozumu.

– A zatem – oznajmił – możemy to zrobić delikatnie albo nie.

Odwróciła głowę z cichym parsknięciem. Jakby przestał istnieć.

Bram przeniósł ciężar na zdrową nogę; jego duma ucierpiała. Podpułkownik armii brytyjskiej, mający ponad sześć stóp wzrostu, podobno prezentował się imponująco. Zazwyczaj wystarczało znaczące spojrzenie, żeby stłumić nieposłuszeństwo w zarodku. Nie przywykł, żeby go ignorowano.

– Posłuchaj uważnie. – Brutalnie szarpnął ją za ucho i groźnie zniżył głos. – Lepiej dla ciebie, żebyś zrobiła, co mówię.

Choć nie odezwała się ani słowem, jej zachowanie nie budziło wątpliwości. Wydawała się mówić: „Możesz mnie pocałować w mój wielki wełnisty zad”.

Głupia owca!

– Ach, angielska wieś… Taka czarująca. Taka… pełna woni. – Colin szedł w jego stronę bez swojego najlepszego londyńskiego żakietu, brodząc po pas w morzu wełny. – Nie sądzę, żebyśmy mogli po prostu zawrócić? – zapytał, ocierając chusteczką pot z czoła.

Przed nimi chłopiec wywrócił wózek i rozsypał zboże na drodze. Wydawało się, że wszystkie barany i owce w Sussex postanowiły skorzystać z darmowego poczęstunku. Wielkie stado owiec tłoczyło się

i beczało wokół nieszczęsnego podrostka, racząc się ziarnem i uniemożliwiając przejazd wozom Brama.

– A gdybyśmy jednak wrócili? – zapytał Colin. – Może da się to obejść, znaleźć inną drogę?

Bram powiódł ręką wokół.

– Nie ma innej drogi.

Stali pośrodku pociętego koleinami traktu, biegnącego wąską, krętą doliną. Z jednej strony wznosiła się stroma ściana porośnięta janowcem, z drugiej – kilkadziesiąt jardów wrzosu dzieliło szlak od stromych klifów. Zaś poniżej – o wiele niżej – rozciągało się lśniące, turkusowe morze. Przy suchym, przejrzystym powietrzu, gdyby Bram wysilił wzrok, patrząc na cienką linię horyzontu barwy indygo, mógłby dostrzec północne wybrzeże Francji.

Tak blisko. Dotrze tam. Nie dzisiaj, ale wkrótce. Miał zadanie do wykonania. Im szybciej się z tym upora, tym szybciej wróci do swojego regimentu. Nic go nie zatrzyma.

Z wyjątkiem owiec. Niech to diabli. Wydawało się, że owce im dały radę.

– Zajmę się tym – odezwał się szorstki głos.

Podszedł do nich Thorne. Bram zerknął w bok, na potężnego kaprala ze strzelbą skałkową na ramieniu.

– Nie możemy ich po prostu wystrzelać, Thorne.

Posłuszny, jak zwykle, Thorne opuścił strzelbę.

– A zatem kordelas. Naostrzyłem go zeszłej nocy.

– Wyrżnąć też ich nie możemy.

Thorne wzruszył ramionami.

– Jestem głodny.

Tak, to był cały Thorne – bezpośredni, praktyczny. Bezwzględny.

– Wszyscy jesteśmy głodni. – Bramowi zaburczało w brzuchu na potwierdzenie. – Ale nasz cel to oczyścić drogę. A martwe owce trudniej ruszyć niż żywe. Musimy je przegonić.

Thorne zabezpieczył karabin, podrzucił go zręcznie i złapał w powietrzu, a następnie uderzył kolbą w wełnisty bok.

– Ruszaj się, ty paskudna bestio.

Zwierzę podreptało niezgrabnie w górę, zmuszając inne do przesunięcia się. W dole woźnice parli naprzód, nie rezygnując nawet z paru cali

przestrzeni, zanim ostatecznie zatrzymali wozy.

Oba pojazdy zawierały zaopatrzenie dla regimentu Brama: muszkiety, naboje, wełnę, środki czyszczące. Nie żałował pieniędzy i zamierzał poprowadzić wozy dalej. Nawet gdyby to miało zająć cały dzień, nawet jeśli rwący ból od uda po łydkę nie da mu spokoju. Przełożeni sądzą, że nie wydobrzał na tyle, żeby objąć dowodzenie na polu bitwy? Dowiedzie, że się mylą. Krok po kroku.

– To bzdura – burknął Colin. – W tym tempie dotrzemy na miejsce w przyszły wtorek.

– Przestań gadać. Ruszaj się. – Bram pchnął owcę butem, krzywiąc się z irytacją. Przy morderczym bólu w nodze utrapienie, które odziedziczył wraz z majątkiem ojca, było mu najmniej potrzebne. Nałożono na niego odpowiedzialność za nicponia i utracjusza – kuzyna Colina Sandhursta, lorda Payne.

Trzepnął w bok kolejną owcę, zyskując urażone beknięcie i parę cali.

– Mam pomysł – oznajmił Colin.

Bram jęknął; nie był zaskoczony. Jako dorośli mężczyźni on i Colin znaczyli dla siebie niewiele więcej niż obcy ludzie. Ale w ciągu paru lat, kiedy razem studiowali w Eton, kuzyn miał mnóstwo pomysłów. Pomysłów, dzięki którym lądował po kolana w gównie. Co najmniej przy jednej okazji absolutnie dosłownie.

Colin powiódł błyszczącymi oczami od Brama do Thorne’a i z powrotem.

– Panowie, czyż nie jesteśmy aby w posiadaniu znacznych ilości czarnego prochu?

– Spokój to dusza naszej społeczności.

Niecałe ćwierć mili dalej Susanna Finch siedziała za koronkową kotarą w salonie Królowej Ruby, pensjonatu dla młodych, dobrze urodzonych panien. Towarzyszyły jej trzy kandydatki na rezydentki, trzy niezamężne córki pani Highwood – wraz z matką.

– Tutaj, w Spindle Cove panuje uzdrawiająca atmosfera, która korzystnie wpływa na młode damy. – Susanna wskazała gromadkę zebranych przy kominku dziewcząt, oddających się z zapałem haftowaniu, szydełkowaniu i szyciu. – Widzicie panie? Oto obraz zdrowia i przykład doskonalenia się w szlachetnych zajęciach.

Jak na zawołanie młode damy podniosły głowy, posyłając im skromne, łagodne uśmiechy.

Znakomicie. Susanna kiwnęła aprobująco głową.

Zazwyczaj damy ze Spindle Cove nie traciłyby tak pięknego popołudnia na robótki w czterech ścianach. Wędrowałyby po okolicy, kąpały się w zatoczce i wspinały na klify. Jednak w takie dnie, kiedy we wsi zjawiali się nowi goście, wszyscy rozumieli, że należy zachować pewne pozory. Susanna nie cofała się przed nieszkodliwym kłamstwem, jeśli mogło uratować życie młodej kobiety.

– Może więcej herbaty? – zapytała, biorąc świeżą filiżankę od pani Nichols, posuniętej w latach właścicielki gospody. Gdyby pani Highwood przyjrzała się młodym damom zbyt uważnie, zobaczyłaby, że Kate Taylor zaczerpnęła motyw haftu z celtyckiej baśniowej erotyki. A Violet Winterbottom nawet nie nawlokła igły.

Pani Highwood pociągnęła nosem. Mimo że dzień był raczej chłodny, wachlowała się energicznie.

– Cóż, panno Finch, być może Dianie mogłoby się tutaj poprawić. – Zerknęła na najstarszą córkę. – Byłyśmy u najlepszych doktorów, próbowałyśmy tylu różnych kuracji. Zabrałam ją nawet na leczenie do Bath.

Susanna kiwnęła współczująco głową. Z tego, co zrozumiała, Diana Highwood cierpiała na słabe ataki astmy od dzieciństwa. Jasnowłosa, o nieśmiałym uśmiechu najstarsza panna Highwood była prawdziwą pięknością. Kruche zdrowie opóźniało jej debiut, który z pewnością okazałby się olśniewającym sukcesem. Susanna podejrzewała jednak, że to liczni medycy i ich porady nie pozwalały pannie dojść do zdrowia.

Uśmiechnęła się do Diany przyjaźnie.

– Jestem przekonana, że pobyt w Spindle Cove okaże się dobroczynny dla zdrowia panny Highwood. Jak również niezwykle korzystny dla was wszystkich.

W ostatnich latach Spindle Cove stało się miejscem odpoczynku dla pewnego rodzaju dobrze urodzonych panien. Takich, z którymi nie wiedziano, co zrobić – słabego zdrowia, bohaterek skandali, rozpaczliwie nieśmiałych; młodych żon rozczarowanych małżeństwem i młodych dziewcząt zbytnio oczarowanych niewłaściwymi dżentelmenami…

Wszystkie sprowadzali tutaj opiekunowie w nadziei, że morskie powietrze uleczy je z ich dolegliwości.

Jako jedyna córka jedynego we wsi dżentelmena, Susanna pełniła, siłą rzeczy, funkcję gospodyni. Te kłopotliwe młode damy, z którymi nie potrafiono sobie poradzić… Ona wiedziała, co z nimi robić. Albo raczej, wiedziała, czego z nimi nie robić. Żadnych „kuracji". Żadnego doktora z lancetem, żeby im puszczać krew, czy matron zadręczających je ćwiczeniem dykcji. Dziewczęta potrzebowały po prostu miejsca, żeby być sobą.

Spindle Cove było tym miejscem.

Pani Highwood pomachała wachlarzem.

– Jestem wdową bez synów, panno Finch. Jedna z moich córek musi dobrze wyjść za mąż, i to wkrótce. Wiązałam tyle nadziei z Dianą, taka jest śliczna… Ale jeśli nie nabierze sił przed następnym sezonem… – Machnęła lekceważąco ręką w stronę środkowej córki. Ciemnowłosa, w okularach, bardzo różniła się od siostry. – Nie pozostanie mi nic innego, jak wprowadzić Minervę na salony.

– Ale Minerva nie interesuje się mężczyznami – dodała usłużnie najmłodsza, Charlotte. – Woli ziemię i skały.

– To się nazywa geologia – oznajmiła Minerva. – To jest nauka.

– Pewne staropanieństwo! Oto, co to jest! Dziwaczna dziewczyna. Siedź przynajmniej prosto na krześle. – Pani Highwood westchnęła i poruszyła wachlarzem z jeszcze większą energią. – Doprowadza mnie do rozpaczy, doprawdy – zwróciła się do Susanny. – Czy może ją sobie pani wyobrazić w eleganckim towarzystwie?

Susanna stłumiła uśmiech, aż nadto dobrze wyobrażając sobie tę scenę. Przypominałaby zapewne jej własny debiut. Podobnie jak Minerva, żywiła mało kobiece zainteresowania i krewne rwały sobie z jej powodu włosy z głowy. Na balach była tą piegowatą Amazonką, która najchętniej wtopiłaby się w tapetę na ścianie, gdyby tylko kolor włosów jej na to pozwolił.

A co do dżentelmenów… Żaden nie zdołał zwalić jej z nóg. Żeby nie skłamać, żaden z nich nie włożył w to większego wysiłku.

Odsunęła niemiłe wspomnienia. To już minęło.

Wzrok pani Highwood przesunął się na książkę w rogu stołu.

– Cieszę się, że ma pani pod ręką dzieło pani Worthington.

– O, tak. – Susanna sięgnęła po niebieski, oprawiony w skórę tom. – Znajdzie pani egzemplarze *Mądrości* pani Worthington w różnych miejscach w całej wsi. Uważamy ją za bardzo użyteczną książkę.

– Słyszysz, Minervo? Dobrze by było, gdybyś nauczyła się jej na pamięć. – Minerva przewróciła oczami, a pani Highwood dodała: – Charlotte, otwórz ją. Przeczytaj początek rozdziału dwunastego.

Charlotte sięgnęła po książkę, otworzyła ją, odchrząknęła i odczytała dramatycznym głosem:

– Rozdział dwunasty. Niebezpieczeństwa nadmiernej edukacji. Intelekt młodej damy powinien pod każdym względem przypominać jej bieliznę. Obecny, dziewiczy, niedostrzegalny dla postronnych oczu.

Pani Highwood sapnęła z zadowoleniem.

– Tak, właśnie tak. Słuchaj i pamiętaj, Minervo. Słuchaj i wierz każdemu słowu. Jak powiada panna Finch, znajdziesz tę książkę bardzo użyteczną.

Susanna pociągnęła leniwie łyk herbaty, przełykając wraz z nią gorzką pigułkę – swoje oburzenie. Zasadniczo nie miała skłonności do wpadania w gniew czy złość. Ale sprowokowana, musiała bardzo się starać, żeby ukryć pasję.

Ta książka prowokowała ją bezustannie.

Mądre rady dla młodych dam pani Worthington, pełne głupich, szkodliwych pouczeń na każdej stronie, stanowiły przekleństwo rozsądnych młodych dziewcząt w całej Anglii. Susanna z radością zgniotłaby tomik w moździerzu na proszek, wsypała do fiolki oznaczonej trupią czaszką i postawiła na najwyższej półce w destylarni, obok suszonej naparstnicy i trującej wilczej jagody.

Zamiast tego poświęciła się misji usuwania jak największej liczby kopii z obiegu. Rodzaj kwarantanny. Dawne rezydentki Królowej Ruby przysyłały książki ze wszystkich stron Anglii. Nie można było wejść do pokoju w Spindle Cove, nie natykając się na dwa albo trzy egzemplarze *Mądrych rad* pani Worthington. I zgodnie z tym, o czym Susanna zapewniła panią Highwood, książka bardzo się przydawała. Można ją było włożyć w okno, żeby się nie zamykało. Położona na podłodze, powodowała, że drzwi nie otwierały się za szeroko, służyła także znakomicie jako przycisk do papieru. Swoich kopii Susanna używała do prasowania ziół. A od czasu do czasu jako tarczy w ćwiczeniach trafiania do celu.

Skinęła na Charlotte.

– Czy mogę? – Wzięła książkę od dziewczyny i podniosła ją wysoko. Następnie szybkim ruchem zmiażdżyła z głośnym pacnięciem męczącego komara.

Ze spokojnym uśmiechem odłożyła książkę na stolik obok.

– Niezwykle pożyteczna, w istocie.

– Nigdy się nie dowiedzą, co je trafiło. – Obcasem buta Colin przykrył ziemią pierwszy ładunek prochu.

– Nic ich nie trafi – sprostował Bram. – Nie używamy pocisków.

Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowali, to fruwające w powietrzu szrapnele. Ładunki, które przygotował, były nieszkodliwe – czarny proch zawinięty w papier, żeby narobić trochę hałasu i wzbić fontannę ziemi.

– Jesteś pewien, że konie nie spanikują? – spytał Colin, rozwijając wolno palący się lont.

– To konie kawaleryjskie. Przyzwyczajone do wybuchów. Natomiast owce…

– Rozproszą się jak muchy – dokończył Colin, uśmiechając się zawadiacko.

– Tak przypuszczam.

Bram wiedział, że bombardowanie owiec było szalonym i niezbyt mądrym przedsięwzięciem, podobnie jak wszystkie chłopięce pomysły Colina. Z pewnością znalazłby się pewniejszy i skuteczniejszy sposób, żeby pokonać owczą barykadę – bez użycia prochu strzelniczego.

Ale czas mijał, a Bram chciał jechać dalej. Przed ośmioma miesiącami ołowiana kula przebiła mu prawe kolano, wywracając jego życie do góry nogami. Miesiącami tkwił w łóżku, a potem tygodniami włóczył się po korytarzach, postukując laską i jęcząc niczym dusza potępiona, ciągnąca za sobą łańcuchy. Bywały dni, kiedy Bram myślał, że za chwilę to on wybuchnie.

A teraz był tak blisko – około mili – od Summerfield i sir Lewisa Fincha. Zaledwie mila od powrotu do regimentu w charakterze dowódcy. Nie stanie mu na przeszkodzie stado żarłocznych owiec, którym brzuchy z pewnością popękałyby z przejedzenia, gdyby ich nie odegnano od ziarna.

Potrzebowali tego wybuchu.

– Wystarczy! – zawołał Thorne, umieszczając ostatni ładunek na szczycie wzniesienia. Przepychając się wśród owiec w ich stronę, dodał: – Droga czysta i to daleko przed nami.

– W pobliżu jest wieś, prawda? – zapytał Colin. – Na Boga, powiedzcie mi, że jest.

– Tak – odparł Bram, pakując z powrotem niezużyty proch. – Widziałem na mapie. Jakaś-tam-zatoczka czy Jak-mu-tam-port… nie pamiętam dokładnie.

– Nie obchodzi mnie, jak się nazywa – stwierdził Colin. – Byle była tawerna i towarzystwo. Boże, nienawidzę wsi.

– Widziałem tę wieś. Tuż za wzniesieniem – powiedział Thorne.

– Nie wyglądała czarująco, prawda? – Colin uniósł brew, sięgając po krzesiwo. – Znienawidziłbym ją, gdyby taka była. Dajcie mi zatęchłą, obskurną, przesiąkniętą grzechem, niczym wrzód ropą, wiochę. Na myśl o bogobojnym życiu dostaję gęsiej skórki.

Kapral rzucił mu obojętne spojrzenie.

– Tego nie potrafię ocenić.

– Tak, domyślam się – mruknął Colin. Uderzył w krzesiwo i zapalił lont. – Niech będzie.

– Panno Finch, co za czarująca wioska – powiedziała Diana Highwood, mocniej zaciskając dłonie.

– Tak sądzimy. – Susanna, uśmiechając się skromnie, wyprowadziła gości na wiejski skwerek. – Oto kościół św. Urszuli, cenny przykład architektury średniowiecza. Oczywiście, sama łąka też jest śliczna. – Powstrzymała się od pokazania owalnego trawnika, który służył za boisko do krykieta i kręgli i szybko skierowała uwagę pani Highwood w drugą stronę, zanim ta zdołała wypatrzyć parę nóg w pończochach, zwieszających się z jednego z drzew.

– Spójrzcie tam. – Wskazała plątaninę kamiennych łuków i wieżyczek zdobiących strome zbocze. – To ruiny zamku Rycliff. Znakomite miejsce, żeby malować i rysować.

– Och, jakie to romantyczne – westchnęła Charlotte.

– Wydaje się wilgotne i zatęchłe – stwierdziła pani Highwood.

– Wcale nie. Za miesiąc odbędzie się tam nasz doroczny, letni jarmark. Zjeżdżają się rodziny z dziesięciu parafii, niektóre nawet z tak daleka, jak

Eastbourne. My, damy, przywdziewamy średniowieczne stroje, a mój ojciec urządza wystawę dla dzieci. Kolekcjonuje stare zbroje, między innymi.

– Brzmi wspaniale – ucieszyła się Diana.

– To dla nas najważniejsze wydarzenie lata.

Minerva przyjrzała się skałom z najwyższą uwagą.

– Jaka jest budowa tych klifów? To piaskowiec czy kreda?

– Eee… chyba piaskowiec. – Susanna skierowała teraz ich uwagę na budynek z czerwonymi okiennicami po drugiej stronie drogi. Szerokie parapety znikały pod masą kwiatów, szyld ze złoconymi literami kołysał się bezgłośnie na wietrze. – Tam mamy herbaciarnię. Pan Fosbury, właściciel, piecze ciasta i ciasteczka nieustępujące w niczym słodyczom w Londynie.

– Ciasta? – Pani Highwood skrzywiła się niechętnie. – Mam nadzieję, że nie pozwalacie sobie na zbyt wiele słodyczy.

– Och, nie – gładko skłamała Susanna. – Rzadko kiedy.

– Dianie nie wolno się objadać. A tamtej – wskazała na Minervę – grozi, jak się obawiam, otyłość.

Minerva natychmiast spuściła wzrok, jakby studiowała kamyki na drodze. Albo jakby błagała ziemię, żeby ją pochłonęła.

– Minervo! – warknęła matka. – Postawa!

Susanna otoczyła dziewczynę opiekuńczo ramieniem.

– Mamy najwięcej słońca w całej Anglii, czy już o tym wspominałam? Poczta przychodzi dwa razy na tydzień. Czy miałybyście ochotę przejść się po sklepach?

– Sklepach? Widzę tylko jeden.

– Cóż, tak. Jest tylko jeden. Ale zaspokaja wszystkie nasze potrzeby. W sklepie Brighta Mydło i Powidło młoda dama znajdzie wszystko, co chciałaby kupić.

Pani Highwood rozejrzała się po ulicy.

– A gdzie doktor? Diana potrzebuje doktora cały czas, żeby puszczał jej krew podczas ataków.

Susanna się skrzywiła. Nic dziwnego, że Diana nigdy do siebie nie doszła. Puszczanie krwi, co za okropna, bezużyteczna metoda. Remedium, które skuteczniej odbierało życie, niż pozwalało je zachować; leczenie, które sama Susanna ledwie przeżyła. Z przyzwyczajenia poprawiła długie, sięgające do łokci, rękawiczki. Ich szwy otarły się o zaleczone blizny na rękach.

– W sąsiednim miasteczku jest chirurg – powiedziała. Chirurg, którego nie dopuściłaby do bydła, a co dopiero młodej damy. – Tutaj, we wsi, mamy bardzo zdolnego aptekarza. – Miała nadzieję, że pani Highwood nie będzie się dopytywać o szczegóły.

– A co z mężczyznami? – zapytała pani Highwood.

– Mężczyznami? – powtórzyła Susanna. – Co z nimi?

– Przy tylu niezamężnych pannach zgromadzonych w jednym miejscu, czy nie musicie się opędzać od łowców posagów? W Bath mrowiło się od nich, wszyscy chcieli się dobrać do posagu Diany. Jakby miała poślubić jakiegoś prawiącego słodkie słówka trzeciego syna.

– Zdecydowanie nie, pani Highwood. – Tym razem Susanna nie musiała udawać. – Nie ma tutaj zadłużonych po uszy hulaków ani ambitnych oficerów. W gruncie rzeczy, w Spindle Cove jest bardzo niewielu mężczyzn. Oprócz mojego ojca, sami kupcy i służba.

– Sama nie wiem – westchnęła pani Highwood, rozglądając się ponownie dookoła. – To dość zwyczajne miejsce, nieprawdaż? Moja kuzynka, lady Agatha, opowiadała mi o nowym spa w Kent. Kąpiele mineralne, kuracje oczyszczające. Bardzo chwaliła kurację rtęciową.

Susannie żołądek podszedł do gardła. Jeśli Diana Highwood wyląduje w takim spa, to naprawdę może być koniec jej historii.

– Proszę, pani Highwood. Nie można nie docenić uzdrawiającego wpływu zwykłego morskiego powietrza i słońca.

Charlotte oderwała wzrok od ruin zamku, patrząc na matkę błagalnie.

– Zostańmy, mamo. Chcę zobaczyć jarmark.

– Sądzę, że już mi się poprawiło – oznajmiła Diana, oddychając głęboko.

Susanna zostawiła Minervę i podeszła do zaniepokojonej matrony. Pani Highwood należała być może do kobiet, które za bardzo brały sobie niemądre rady do serca, ale z całą pewnością kochała swoje córki i chciała dla nich jak najlepiej. Potrzebowała tylko zapewnienia, że nie popełnia błędu.

Cóż, Susanna mogła ją o tym zapewnić zupełnie szczerze. Wszystkie trzy siostry potrzebowały Spindle Cove. Dianę należało chronić przed szkodliwymi kuracjami. Minervie dać szansę rozwijania swoich zainteresowań bez przeszkód. Małej Charlotte należało pozwolić być sobą, dać swobodę jej młodym nogom i pole dla wyobraźni.

A Susanna potrzebowała pań Highwood z powodów, które nie łatwo przyszłoby jej wytłumaczyć. Nie mogła cofnąć czasu i zapobiec nieszczęściom własnej młodości. Ale mogła pomóc innym młodym dziewczynom uniknąć podobnego, bezdusznego traktowania i to było najlepsze, co mogła zrobić.

– Proszę mi zaufać, pani Highwood – powiedziała, biorąc kobietę za rękę. – Spindle Cove to wymarzone miejsce na letnie wakacje dla pani córek. Przysięgam, że tutaj będą zdrowe, szczęśliwe i całkowicie bezpieczne.

Buuum! Odległy wybuch wstrząsnął powietrzem. Susanna zadrżała.

Pani Highwood zacisnęła dłoń w rękawiczce na swoim czepku.

– Mój Boże! Coś wybuchło?!

A niech to! A wszystko szło tak dobrze.

– Panno Finch, przed chwilą pani powiedziała, że tutaj jest bezpiecznie.

– Och, ależ jest… – Susanna uśmiechnęła się uspokajająco. – Jest bezpiecznie. To z pewnością statek na Kanale, który daje sygnał armatni.

Wiedziała doskonale, że nie ma żadnego statku. Wybuch mógł spowodować jedynie jej ojciec. W swoim czasie sir Lewis Finch był cenionym i sławnym wynalazcą w dziedzinie broni palnej i artylerii. Jego wkład w udoskonalenie uzbrojenia armii brytyjskiej zyskał mu uznanie, wpływy i spory majątek. Ale po wypadkach z eksperymentalnym działem przyrzekł Susannie, że zarzuci próby w polu.

Przyrzekł jej to!

Kiedy ruszyły dalej drogą, rozległ się dziwny, głuchy łoskot.

– Co to za hałas? – zapytała Diana.

Susanna udała, że nie słyszy.

– Jaki hałas?

– Ten hałas – powiedziała z naciskiem pani Highwood.

Łoskot narastał z każdą sekundą. Kamienie bruku drżały pod obcasami jej pantofli. Pani Highwood mocno zacisnęła powieki, wydając głuchy, przeciągły jęk.

– Ach, ten – powiedziała lekkim tonem Susanna, przeprowadzając panie Highwood na drugą stronę drogi. Gdyby tylko weszły do jakiegoś pomieszczenia… – Nie ma się czym niepokoić. Występuje tutaj od czasu do czasu. Dziwactwo pogody.

– To nie może być grom – stwierdziła Minerva.

– Nie. Nie, to nie grom. To… zjawisko atmosferyczne, wywołane sporadycznymi powiewami…

– Owce! – krzyknęła Charlotte, wskazując ręką na drogę.

Stado spłoszonych, wełnistych stworzeń sforsowało starodawny kamienny łuk i wylało się na drogę, kierując w stronę wioski.

– Och, tak – szepnęła Susanna. – Właśnie tak. Sporadyczne powiewy owiec.

Panie stłoczyły się na progu sklepu Mydło i Powidło, patrząc, jak mija je strumień przerażonych owiec. Owce beczały, narażając bębenki w uszach pań.

Jeśli ojciec zrobił sobie coś złego, zabije go.

– Nie ma powodu do niepokoju. – Susanna usiłowała przekrzyczeć hałas. – Wiejskie życie ma swoje szczególne uroki. Panno Highwood, czy oddycha pani swobodnie?

Diana kiwnęła głową.

– Dziękuję. Nic mi nie jest.

– A zatem panie wybaczą?

Nie czekając na odpowiedź, Susanna uniosła suknię i pognała drogą, wymijając owce maruderki i zostawiając wieś za sobą. To zajęło zaledwie parę chwil. Wioska była, ostatecznie, bardzo mała.

Zamiast ruszyć dłuższą, wijącą się u podnóża wzniesienia drogą, wspięła się na pagór. Blisko szczytu wiatr przyniósł chmurki dymu i kilka kłaków owczej wełny. Nie zważając na te złowrogie znaki, dotarła na sam szczyt; jej oczom ukazała się scena nieprzypominająca artyleryjskich doświadczeń ojca. Na dole stały dwa wozy. Mrużąc oczy, zauważyła postaci kręcące się wokół wozów. Wysokie, męskie postaci. Żadnych niskich, łysiejących, okrągławych dżentelmenów między nimi.

Żaden nie mógł być papą.

Wciągnęła z ulgą ostre, przesiąknięte wonią spalonego prochu powietrze. Teraz, kiedy przestała się bać, ciekawość wzięła górę. Zaintrygowana, przeszła przez wrzosowisko, aż stanęła na wąskiej, zrytej koleinami drodze. Mężczyźni w oddali znieruchomieli. Zauważyli ją.

Osłaniając czoło dłonią, wysiliła wzrok, by ich rozpoznać. Jeden z mężczyzn miał kurtkę oficera. Drugi stał w samej koszuli. Kiedy ruszyła ku nim, mężczyzna bez kurtki zaczął energicznie machać ręką. Wiatr niósł

krzyk w jej stronę. Susanna podeszła jeszcze bliżej, marszcząc czoło i mając nadzieję, że wyraźniej usłyszy słowa.

– Poczekaj! Panienko, nie…!

Bach!

Niewidzialna siła zbiła ją z nóg, spychając z drogi. Przewróciła się w wysoką trawę, zmieciona przez atakującą bestię.

Potwora o wełnie czerwonej jak homar.

Razem potoczyli się dalej od drogi, obijając się kolanami i łokciami. Susanna szczękała mimowolnie zębami i ugryzła się boleśnie w język. Materiał rozdarł się z trzaskiem i chłodne powietrze wdarło się w górę jej uda tam, gdzie żaden nobliwy wiatr nie powinien się zapuszczać.

Kiedy się wreszcie zatrzymali, stwierdziła, że przygniata ją ogromny, sapiący ciężar. A zielone oczy przewiercają ją spojrzeniem na wylot.

– Co…? – wypuściła pytająco powietrze.

Bum, odparł świat.

Susanna, szukając schronienia, wsunęła głowę w coś, co rozpoznała jako oficerską kurtkę. Mosiężny guzik wbił jej się w policzek. Ciało mężczyzny osłoniło ją jak tarcza, kiedy spadł na nich deszcz ziemi i kamieni. Pachniał whiskey i prochem strzelniczym.

Kiedy opadł kurz, odsunęła mu włosy z czoła, szukając na jego twarzy śladów zmieszania czy bólu. Oczy patrzyły bystro i inteligentnie i wciąż miały ten niezwykły odcień zieleni – głęboki i intensywny, jak nefryt.

– Nic panu nie jest? – zapytała.

– Nic. – Mówił głębokim, chrapliwym głosem. – A pani?

Kiwnęła głową przecząco, spodziewając się, że ją puści po tym zapewnieniu. Nie wykonał jednak najmniejszego ruchu, co ją zastanowiło. Albo był ciężko ranny, albo zdecydowanie niegrzeczny.

– Jest pan… eee, raczej ciężki. – Chyba nie mógł nie zrozumieć aluzji.

– Jest pani miękka – odparł.

Dobry Boże. Kim był ten człowiek? Skąd się tu wziął? I dlaczego ciągle na niej leżał?

– Ma pan małą ranę. – Drżącymi palcami musnęła czerwonawe miejsce wysoko na jego czole, przy linii włosów. – Tutaj. – Przycisnęła rękę do jego gardła, szukając pulsu. Czuła przez rękawiczki, jak bije mocno i równomiernie.

– Ach… To miłe.

Poczuła gorąco na twarzy.

– Widzi pan podwójnie?

– Być może. Widzę dwie wargi, dwoje oczu, dwa zaczerwienione policzki… tysiąc piegów.

Otworzyła szeroko oczy.

– Proszę się nie martwić. To nic takiego. – Jego oczy pociemniały tajemniczo. – Nic, czego nie mógłby uleczyć jeden mały pocałunek.

I zanim zdołała zaczerpnąć tchu, przycisnął wargi do jej ust.

Pocałunek. Jego usta na jej ustach. Ciepły i mocny, a po chwili… było po wszystkim.

Jej pierwszy prawdziwy pocałunek w całym dwudziestopięcioletnim życiu trwał tyle co uderzenie serca. Zamienił się we wspomnienie, nie licząc ledwie wyczuwalnego smaku whiskey na wargach. I gorąca. Wciąż czuła jego palące, męskie ciepło. Dopiero teraz zamknęła oczy.

– No, proszę – szepnął. – Tak lepiej.

Lepiej? Gorzej? Ciemność pod powiekami nie dostarczała odpowiedzi, więc otworzyła oczy.

Inaczej. Ten dziwny, silny mężczyzna, trzymał ją w opiekuńczym uścisku, gubiła się w jego niezwykłym, zielonym spojrzeniu, a jego pocałunek czuła w kościach silniej niż wybuch prochu. Czuła się inna.

Jego ciepło i ciężar… były jak odpowiedź. Odpowiedź na pytanie, które zadawało jej ciało, choć Susanna nie zdawała sobie dotąd z tego sprawy. A więc tak to jest leżeć pod mężczyzną. Czuć, jak jej ciało się dostosowuje, poddając się w jednym miejscu, stawiając opór w innym. Ciepło obu ciał; bicie dwóch serc.

Może… może to było uczucie, na które czekała całe życie. Nie tyle zbiło ją z nóg, co rzuciło na ziemię, podczas gdy świat wokół eksplodował.

Przetoczył się na bok, pozwalając jej oddychać głębiej.

– Skąd się tu pani wzięła?

– Myślę, że to ja powinnam zadać to pytanie. – Uniosła się na łokciu. – Kim pan jest i co tu robi?

– Czy to nie oczywiste? – Jego głos brzmiał poważnie. – Bombardujemy owce.

– Och, mój Boże! Oczywiście. – Współczucie walczyło w niej z rozpaczą. Naturalnie, miał nie po kolei w głowie. Jeden z tych

nieszczęsnych żołnierzy ciężko doświadczonych przez wojnę. Powinna się domyślić. Żaden zdrowy na umyśle mężczyzna nigdy tak na nią nie patrzył.

Stłumiła rozczarowanie. Przynajmniej trafił we właściwe miejsce. I wylądował na właściwej kobiecie. Dużo lepiej radziła sobie z urazami głowy, niż flirtowała z dżentelmenami. Należało tylko przestać myśleć o nim jak o potężnym, pełnym sił mężczyźnie i po prostu widzieć kogoś, kto potrzebuje pomocy. Kogoś nieatrakcyjnego, nieciekawego, rodzaj eunucha.

Przesunęła opuszkiem palca po jego czole.

– Proszę się nie bać – powiedziała spokojnym, łagodnym tonem. – Wszystko będzie dobrze. Wyjdzie pan z tego. – Położyła dłoń na jego policzku, patrząc mu w oczy. – Owce nic panu nie zrobią.

2

*W*szystko będzie dobrze – powtórzyła.

Bram uwierzył. Całym sercem. W tej chwili czuł się rzeczywiście dobrze. Droga była wolna od owiec, poruszał nogą, a piękna panna gładziła jego czoło. Na co miałby się skarżyć?

Jasne, piękna panna brała go za skończonego głupka. Ale to drobiazg. Prawdę mówiąc, wciąż dochodził do siebie.

Tuż po wybuchu jego pierwsza, zapewne samolubna myśl dotyczyła kolana. Był niemal pewien, że znowu uszkodził staw, ta niezgrabna próba ratowania dziewczyny tylko go dobiła. Zanim został ranny, byłby w stanie porwać ją w ramiona i uskoczyć z drogi z większym wdziękiem. Miała szczęście, że stał blisko, a nie dalej na wzniesieniu, bo nie zdążyłby złapać jej na czas.

Kiedy zgiął kolano parę razy i upewnił się, że jest w porządku, skupił znowu myśli na niej. Tęczówki jej oczu były tak błękitne, jak… cóż, jak błękitne niebo. Pachniała jak ogród – cały ogród. Nie tylko kwiaty i zioła, ale także sok zgniecionych zielonych liści i żyzna, mokra ziemia. Jak dobrze było na niej spocząć – była taka miękka i ciepła. Ileż czasu upłynęło, odkąd miał pod sobą kobietę, a nie pamiętał, żeby któraś pieściła go tak słodko jak ta.

Boże, czy on naprawdę ją pocałował?

Owszem. Miała szczęście, że nie posunął się dalej. Przez chwilę był naprawdę oszołomiony. Przypuszczał, że to wybuch był winien. A może to przez nią.

Usiadła nieco dalej. Na twarz opadły jej luźne kosmyki włosów. Włosy miała niezwykłego złotego koloru, z odcieniem czerwieni. Przywiodły mu na myśl roztopiony brąz.

– Jaki dziś dzień? – zapytała, patrząc na niego z uwagą.

– Nie wie pani?

– Tutaj, w Spindle Cove, damy mają ustalony plan zajęć. W poniedziałek spacery po okolicy. We wtorek kąpiele morskie. W środę znajdzie nas pan w ogrodzie. – Dotknęła wierzchem dłoni jego czoła. – Co robimy w poniedziałki?

– Nie doszliśmy do czwartków.

– Nieważne. Sprawdzam tylko zdolność zapamiętania informacji. Pamięta pan poniedziałki?

Stłumił śmiech. Boże, jej dotyk był taki przyjemny. Jeśli dalej będzie go tak dotykać i głaskać, zwariuje.

– Proszę mi wyjawić, jak się pani nazywa – zażądał. – Obiecuję, że zapamiętam. – Może zachował się zbyt śmiało. Ale wybuch zniweczył wszelką możliwość formalnego przedstawienia się.

A co do wybuchu, oto nadszedł błyskotliwy umysł, autor kampanii przeciwko owcom.

– Dobrze się pani czuje? – spytał Colin.

– Tak – odparła. – Obawiam się, że nie mogę tego samego powiedzieć o pańskim przyjacielu.

– Bram? – Colin trącił go butem. – Wydaje się, że jesteś w jednym kawałku.

Nie dzięki tobie, pomyślał.

– Jest kompletnie otumaniony, biedaczek. – Dziewczyna poklepała go po policzku. – Czy to przez wojnę? Od dawna jest taki?

– Od dawna? – Colin uśmiechnął się szyderczo, patrząc na niego z góry. – Och, całe życie.

– Całe życie?

– To mój kuzyn. Dlatego wiem coś o tym.

Rumieniec wystąpił na jej policzki, niemal zaćmiewając piegi.

– Jeśli jesteście panowie kuzynami, to powinien pan otaczać go lepszą opieką. Co pan sobie myśli, że pozwala mu włóczyć się po wsiach i wydawać wojnę stadom owiec?

Ach, to było słodkie. Dziewczyna naprawdę się o niego troszczyła. Na pewno zadbałaby o to, żeby go umieszczono w jakimś przyjemnym domu wariatów. Może odwiedzałaby go we czwartki i przykładała chłodną szmatkę do jego czoła?

– Wiem, wiem – odparł z powagą Colin. – To certyfikowany idiota. Kompletnie niezrównoważony. Czasami biedaczek nawet się ślini. Ale najgorsze, że ma kontrolę nad moim majątkiem. Co do grosza. Nie mogę mu mówić, co ma robić.

– Dość tego – zirytował się Bram. Pora zakończyć ten nonsens. Chwila upragnionego odpoczynku i słodki dotyk kobiety to jedno, ale poświęcić dumę to już co innego.

Podniósł się z ziemi bez wysiłku i pomógł wstać dziewczynie. Zdołał skłonić się lekko.

– Podpułkownik Victor Bramwell. Zapewniam, że jestem w doskonałym zdrowiu, tak na ciele, jak i umyśle. Mam też kuzyna nicponia.

– Nie rozumiem – powiedziała. – Te wybuchy…

– To tylko proch. Umieściliśmy ładunki na drodze, żeby przepłoszyć owce.

– Użyliście ładunków prochu, żeby spłoszyć stado owiec… – Uwolniwszy dłoń z jego uścisku, przyjrzała się wyrwom na drodze. – Nadal nie mam pewności, czy nie postradał pan zmysłów. Ale nie ma wątpliwości, że jest pan mężczyzną.

Uniósł brew.

– Co do tego nigdy nie było wątpliwości.

W odpowiedzi jedynie zaczerwieniała się odrobinę mocniej.

– Zapewniam, że szaleńcem jest mój kuzyn. Lord Payne stroił sobie żarty, bawiąc się moim kosztem.

– Rozumiem. A pan bawił się moim kosztem, udając, że jesteś ranny.

– Spokojnie. – Pochylił się ku niej i szepnął: – Czy zamierza pani udawać, że to nie było przyjemne?

Uniosła brwi. Uniosła je jeszcze wyżej, aż utworzyły dwa doskonałe łuki, gotowe wypuścić zatrute strzały.

– Zamierzam udawać, że tego nie słyszałam.

Szarpnęła rękawiczkę, a on przełknął ślinę. Chwilę wcześniej przycisnęła tę dłoń do jego gardła, a on pocałował ją w usta. Odrzucili na bok obłudę i przeżyli moment wzajemnej fascynacji. Zmysłowej. Potężnej. Prawdziwej. Może nieznajoma wolałaby temu zaprzeczyć, ale on nie mógł zatrzeć wspomnienia jej słodkich, wspaniałych warg.

A ona nie mogła ukryć tych włosów. Boże, jakich włosów! Teraz, kiedy stała wyprostowana, w pełnym świetle dnia, po prostu promieniała urodą.

Czerwone płomienie i złote słońce próbowały zaćmić jedno drugie.

– Nie powiedziała pani, jak się nazywa.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, zamknięty powóz przemknął przez szczyt wzniesienia, pędząc w ich stronę. Woźnica ani myślał zwolnić, zbliżając się do nich, tylko trzasnął biczem nad czwórką koni, ponaglając je do szybszego biegu. Wszyscy uskoczyli na bok, żeby uniknąć zmiażdżenia pod kołami.

Chroniąc damę, Bram ustawił się między nią a drogą. Mignął mu przed oczami herb wymalowany na drzwiach pędzącego powozu.

– Och, nie! – jęknęła panna za jego plecami. – Tylko nie Highwoodowie. – A potem zawołała za turkocącą w oddali karetą: – Pani Highwood, proszę poczekać! Proszę wrócić. Wszystko wyjaśnię! Proszę nie wyjeżdżać!

– Wydaje się, że już wyjechali.

Rzuciła Bramowi gniewne spojrzenie błękitnych oczu. Odczuł to jak uderzenie w splot słoneczny. Nie powaliło go, ale zrobiło wrażenie.

– Spodziewam się, że jesteś pan uszczęśliwiony. Jeśli znęcanie się nad niewinnymi owcami i dodanie dziur w drodze to dla pana za mało na dzisiaj, wiedz, że zniszczyłeś przyszłość młodej kobiety.

– Zniszczyłem? – Bram nie miał zwyczaju niszczyć reputacji młodych dam. Tym zajmował się jego kuzyn. A nawet gdyby kiedyś miał ochotę się tym zająć, zastosowałby inne środki. Podszedł bliżej, zniżył głos. – Doprawdy, to tylko przelotny pocałunek. Czy może chodzi o suknię?

Spuściła wzrok. Suknia ucierpiała najbardziej w wyniku tej przygody. Różowy muślin poplamił się trawą i ziemią. Oderwana falbanka zwieszała się u dołu jak zapomniana chustka do nosa. Dekolt także się rozdarł. Bram zastanawiał się, czy panna zdaje sobie sprawę, że jej lewa pierś może się za chwilę całkiem uwolnić z gorsu. Może powinien przestać się na nią gapić?

Uznał, że nie. Odda jej przysługę, gapiąc się na to miejsce, zwracając jej uwagę na to, co wymaga reperacji. Zaiste. Gapienie się na jej na pół obnażoną, zaróżowioną pierś było jego najświętszym obowiązkiem, a Bram nie należał do tych, którzy uchylają się od odpowiedzialności.

– Hm… – Skrzyżowała ramiona na piersi, raptownie kładąc kres jego misji.

– Nie chodzi o mnie – oznajmiła. – Ani o moją suknię. Kobieta w powozie była bezradna i potrzebowała pomocy i… – Wydmuchnęła powietrze, luźne kosmyki włosów uniosły się znad jej czoła. – A teraz

wyjechała. Wszystkie wyjechały. – Obrzuciła go spojrzeniem od góry do dołu. – A zatem czego pan sobie życzy? Kołodzieja? Zaopatrzenia? Wskazówek, jak dalej jechać? Proszę tylko powiedzieć, czego panu trzeba, żeby ruszyć w drogę, a chętnie pomogę.

– Nie będziemy pani narażać na taką fatygę. O ile to jest droga do Summerfield, zaraz…

– Summerfield? Chyba nie powiedział pan: Summerfield?!

Docierało do niego, że nieznajoma się na niego złości i że prawdopodobnie na to zasłużył. Ale niech to diabli, jeśli zmusi się do odczuwania skruchy. Jej rumieniec był taki pociągający. Tak samo jak jej piegi, które zbiegały się na czole, kiedy marszczyła brwi. Jak jej długa, szczupła szyja, którą prostowała, przybierając wyzywającą postawę.

Wysoka jak na kobietę. Lubił wysokie.

– Powiedziałem Summerfield. Tam leży rezydencja sir Lewisa Fincha, czy tak?

Zmarszczyła czoło.

– Jaką ma pan sprawę do sir Lewisa Fincha?

– Męską sprawę, moja droga. Szczegóły nie powinny cię obchodzić.

– Summerfield jest moim domem – oświadczyła. – A sir Lewis Finch moim ojcem. Więc, owszem, podpułkowniku Victorze Bramwell – każde słowo padało oddzielnie, jak wystrzał – szczegóły mnie obchodzą.

– Victor Bramwell. To ty!

Sir Lewis Finch podniósł się zza biurka i przemierzył gabinet energicznym krokiem. Kiedy Bram usiłował się ukłonić, starszy mężczyzna powstrzymał go machnięciem dłoni. Za to ujął prawą rękę Brama w swoje obie i uścisnął serdecznie.

– Niech to diabli, dobrze cię oglądać. Kiedy się widzieliśmy ostatnio, byłeś kapitanem żółtodziobem, świeżo po Cambridge.

– Dużo czasu minęło, nieprawdaż?

– Przykro mi było usłyszeć o śmierci twojego ojca.

– Dziękuję. – Bram odchrząknął, zmieszany. – Mnie także.

Przyjrzał się siwiejącemu ekscentrykowi, szukając oznak niezadowolenia. Sir Lewis Finch był nie tylko genialnym wynalazcą, ale stał się także królewskim doradcą. Słuchał go podobno sam książę regent.

Jedno słowo tego człowieka mogło sprawić, że Bram w ciągu tygodnia odzyskałby swój regiment.

A on, jak ostatni głupiec, zapowiedział swoje przybycie, przewracając jego córkę na drodze, rozdzierając jej suknię i całując ją. Oceniając to w kategoriach strategicznych, ta kampania nie przyniosłaby mu medalu. Na szczęście, sir Lewis wydawał się nie zwracać uwagi, w jakim stanie córka wróciła do domu. Jednak najrozsądniej było odbyć tę rozmowę, zanim pojawi się panna Finch i opowie ojcu, co ją spotkało.

Nie można go było winić, że jej nie skojarzył z sir Lewisem. Z wyjątkiem niebieskich oczu nie mogli się bardziej różnić. Panna Finch była szczupła i odznaczała się wysokim, jak na kobietę, wzrostem. Sir Lewis natomiast miał wydatny brzuch i był mizernej postury. Parę srebrnych kosmyków, które mu zostały, z trudem przykryłoby epolet Brama.

– Siadaj – powiedział sir Lewis.

Bram starał się nie zdradzić ogromnej ulgi, z jaką zasiadł w nabijanym ćwiekami skórzanym fotelu. Sir Lewis wręczył mu szklaneczkę whiskey, Bram pił alkohol małymi łyczkami, jak lekarstwo.

Pociągając trunek, przyglądał się otoczeniu. Ta biblioteka nie przypominała biblioteki żadnego innego dżentelmena, jakie widział. Naturalnie, stało tu w niej biurko, parę foteli… książki, rzecz jasna. Całe ściany książek ustawionych na mahoniowych regałach sięgających od podłogi do sufitu. Półki oddzielały od siebie kolumny z egipskimi motywami. Niektóre przypominały rosnące papirusy. W innych wyrzeźbiono postaci faraonów i królowych. A z jednej strony pokoju, zajmując większość wolnej przestrzeni, stała ogromna trumna z kremowego kamienia. Na całej jej powierzchni zewnątrz i wewnątrz wytłoczono rzędy maleńkich symboli.

– Czy to marmur? – zapytał.

– Alabaster. To sarkofag, z grobowca króla… – Sir Lewis przesunął rękami w siwych włosach. – Nie pamiętam w tej chwili jego imienia. Gdzieś je mam.

– A napisy?

– Na zewnątrz zaklęcia. Wewnątrz wskazówki, jak się dostać do świata zmarłych. – Stary człowiek uniósł krzaczaste brwi. – Możesz się w nim położyć, jeśli masz ochotę. Dobrze robi na kręgosłup.

– Nie, dziękuję. – Bram zadrżał.

Sir Lewis klasnął w dłonie.

– Cóż, nie sądzę, żebyś przebył góry i lasy z dwoma wozami po to, żeby rozmawiać o starociach przy dobrej whiskey.

– Oczywiście, że nie, sir. Zwykła pogawędka nie jest moim celem. Ale napiję się whiskey.

– I zjesz z nami kolację, jak się spodziewam. Susanna na pewno zawiadomiła już kucharkę.

Susanna. A więc ma na imię Susanna.

Imię do niej pasowało. Proste, ładne.

Susanna. Susanna Finch.

Jak refren piosenki. Wesołej, natrętnej piosenki. Takiej, której nie można się pozbyć. Która okopuje się w pamięci i rozbrzmiewa tam w najlepsze dniami, godzinami… nawet kiedy miałby ochotę o niej zapomnieć. Nawet jeśli wolałby uciąć sobie wielki palec u nogi, byle tylko być w stanie myśleć o czymś innym.

Susanna. Susanna Finch. Susanna o miedzianych włosach.

Spojrzał w okno wychodzące na starannie utrzymany ogród. Każde ziele i krzew odkrywały kolejną tajemnicę jej intrygującego, ogrodowego zapachu. Widział lawendę, szałwię, hiacynt, różę… dziesiątki innych roślin, których nie potrafił nazwać. Przez otwarte okno wiatr przynosił ich wonie, unosząc jego włosy delikatnymi palcami, tak jak ona.

Przywołał się do porządku. To córka sir Lewisa. Nie może o niej myśleć w ten sposób. Ani w żaden sposób.

– A zatem – zwrócił się do starszego człowieka. – Otrzymał pan mój list?

Sir Lewis usiadł po drugiej stronie biurka.

– Tak.

– A więc wie pan, dlaczego tu jestem.

– Chcesz odzyskać dowództwo.

Bram skinął głową.

– A skoro już tu się zjawiłem, ciekaw jestem, czy nie przyjąłby pan ucznia. Mój kuzyn ma talent do destrukcji, a poza tym raczej do niczego innego.

– Masz na myśli Payne’a?

– Tak.

– Dobry Boże. Chcesz, żebym przyjął wicehrabiego na ucznia? – Sir Lewis zachichotał w swoją szklaneczkę.

– Może być wicehrabią, ale przez kilkanaście kolejnych miesięcy odpowiadam za niego. Jeśli ktoś nie da mu jakiegoś pożytecznego zajęcia, zrujnuje nas obu do końca roku.

– Dlaczego ty nie dasz mu pożytecznego zajęcia?

– Nie będzie mnie tutaj – odparł Bram, pochylając się w przód i patrząc z uwagą na starszego mężczyznę. – Czyż nie tak?

Sir Lewis zdjął okulary i położył je na stole, a następnie zaczął masować skronie kciukiem i palcem wskazującym. Bramowi ten widok nie przypadł do gustu. Masowanie skroni nie było znakiem, że decyzja została podjęta.

– Posłuchaj, Bramwell…

– Bram.

– Bram, ogromnie podziwiałem twojego ojca.

– Tak samo jak ja. Jak cały naród. – Ojciec Brama wyróżnił się w Indiach, dochodząc do rangi generała majora i zyskując wiele nagród i odznaczeń. – Mój ojciec podziwiał pana i pańską pracę.

– Wiem, wiem – powiedział sir Lewis. – Wiadomość o jego śmierci głęboko mnie zasmuciła. Ale właśnie z powodu naszej przyjaźni nie mogę ci pomóc. Nie w taki sposób, jak prosiłeś.

Bram poczuł mróz w całym ciele.

– Jak to?

Starszy człowiek wzburzył resztkę siwych włosów, jakie mu pozostały.

– Bram, zostałeś postrzelony w kolano.

– Przed wieloma miesiącami.

– Wiesz doskonale, że tego rodzaju kontuzja goi się rok albo i dłużej. Jeśli w ogóle da się z niej całkiem wyjść. – Sir Lewis pokręcił głową. – Nie mogę z czystym sumieniem polecić cię do służby czynnej. Jesteś oficerem piechoty. Jak zamierzasz poprowadzić batalion żołnierzy do bitwy, kiedy sam ledwie chodzisz?

Pytanie podziałało jak cios obuchem.

– Jestem w stanie chodzić.

– Nie wątpię, że potrafisz przejść przez pokój. Może do końca pastwiska i z powrotem. Ale czy będziesz w stanie przemierzyć dwanaście, czternaście mil w szybkim tempie, dzień po dniu?

– Tak – oznajmił stanowczo. – Mogę maszerować. Mogę jeździć konno. Mogę poprowadzić żołnierzy.

– Przykro mi, Bram. Jeśli odeślę cię teraz na front, podpiszę na ciebie wyrok śmierci, a może także na ludzi pod twoją komendą. Twój ojciec był dla mnie zbyt bliskim przyjacielem. Po prostu nie mogę.

Zwilgotniały mu dłonie. Stał nad przepaścią.

– A więc co mam robić?

– Przejdź w stan spoczynku. Wróć do domu.

– Nie mam domu. – Pieniędzy nie brakowało, to na pewno, ale jego ojciec był drugim synem. Nie odziedziczył żadnego majątku i nigdy nie znalazł czasu, żeby kupić dla siebie jakąś posiadłość.

– Więc kup dom. Znajdź ładną dziewczynę i ożeń się. Osiądź gdzieś i załóż rodzinę.

Bram pokręcił głową. To wszystko niemożliwe. Nie zamierzał rezygnować z patentu oficerskiego w wieku dwudziestu dziewięciu lat, kiedy Anglia pozostawała w stanie wojny. I, do diabła, nie zamierzał się żenić. Podobnie jak ojciec, chciał służyć, póki nie wyjmą mu karabinu z zimnych dłoni. I chociaż oficerom wolno było zabierać żony ze sobą, Bram uważał, że wojsko to nie miejsce dla dobrze urodzonych dam. Jego matka mogła służyć za dowód. Zmarła na krwawą gorączkę na krótko przed tym, jak Brama wysłano do szkół, do Anglii.

Wyprostował się w fotelu.

– Sir Lewisie, pan nie rozumie. Starłem sobie zęby na sucharach z żołnierskich racji. Potrafiłem maszerować, zanim nauczyłem się mówić. Nie jestem kimś, kto potrafiłby gdzieś osiąść. Kiedy Anglia prowadzi wojnę, nie mogę i nie chcę zrezygnować z patentu. To więcej niż obowiązek, sir. To moje życie. Ja… – Pokręcił głową. – Nie potrafię nic innego.

– Zawsze możesz w inny sposób pracować dla zwycięstwa.

– Niech to, mówiłem o tym z moimi przełożonymi. Nie przyjmę tak zwanego awansu, który miałby oznaczać przekładanie papierów w Ministerstwie Wojny. – Machnął ręką w stronę alabastrowego sarkofagu. – Równie dobrze może mnie pan wsadzić do tej trumny i zapieczętować wieko. Jestem żołnierzem, nie sekretarzem.

Niebieskie oczy sir Lewisa złagodniały.

– Jesteś mężczyzną, Victor. Jesteś człowiekiem.

– Jestem synem swojego ojca – odparował, uderzając pięścią w biurko. – Nie może mnie pan powstrzymać.

Posuwał się za daleko, ale do diabła z tym. Sir Lewis Finch był jego ostatnią i jedyną szansą. Po prostu nie mógł odmówić.

Sir Lewis wpatrywał się w swoje złożone dłonie przez długą, pełną napięcia chwilę. Potem, z niewzruszonym spokojem, założył okulary.

– Nie zamierzam cię powstrzymywać. Wręcz przeciwnie.

– Co ma pan na myśli? – To natychmiast obudziło czujność Brama.

– Mam na myśli dokładnie to, co powiedziałem. Zrobiłem coś innego niż powstrzymywanie cię. – Sięgnął po stos papierów. – Bramwell, przygotuj się na skok w górę.

3

Susanna, weź się w garść!

Przeprosiła gości, żeby pośpiesznie poprawić włosy i zmienić ubłoconą, podartą suknię na świeżą, niebieską muślinową sukienkę i pasujące do niej rękawiczki. Zwróciła się przy tym do Gertrudy ostrzejszym tonem, niż biedna pokojówka zasługiwała. A potem przyłączyła się do towarzyszy podpułkownika Bramwella w czerwonym salonie.

Wchodząc, zerknęła szybko w lustro. Wygląd poprawiła – na tyle, na ile się dało. Natomiast jej spokój wewnętrzny rozprysł się na tysiąc ostrych drzazg, które ścierały się ze sobą. Niektóre raniły jej dumę. Inne pobudzały znajome uczucie strachu, który zawsze się pojawiał, kiedy jej ojciec eksperymentował z prochem strzelniczym. Pozostałe kłuły w różnych miejscach, wywołując niepokój. To nie było przyjemne.

I to wszystko jego wina! Potężnego, strojącego sobie z niej żarty pogromcy owiec. Kim był i czego chciał od ojca? Miała nadzieję, że to tylko grzecznościowa wizyta. Choć musiała przyznać, że Bramwell nie sprawiał wrażenia kogoś, kto miałby zwyczaj wpadać z grzecznościowymi wizytami.

Pokojówka wniosła tacę i Susanna poleciła ją postawić na stoliku z różanego drzewa z nogami w kształcie wąsatych złotych rybek.

– Herbaty, panowie? – zapytała, podciągając rękawiczki i sięgając po czajniczek. Nalewanie herbaty było dokładnie tym, czego jej było w tej chwili potrzeba. Co za cywilizująca moc tkwi w herbacie. Będzie chwytać kostki cukru małymi srebrnymi szczypczykami. Mieszać mleczko maleńką łyżeczką. Choć maleńkie łyżeczki nie pasowały do stanu wzburzenia.

Ta myśl dodała jej otuchy. Tak. Poda herbatę, może także poczęstuje gości kolacją. Potem ruszą w swoją drogę, a jej świat przestanie przewracać się do góry nogami. Przynajmniej w tej części, która do niej należy.

Dżentelmen, który uprzednio zaprezentował jej się w samej koszuli – teraz wiedziała, że to lord Payne – znalazł swoje wierzchnie odzienie i fular, a także wygładził włosy. Przypominał stosownie arystokratyczną ozdobę, jak najbardziej na miejscu wśród lakierowanych szafek i pokrytych zieloną glazurą waz.

Co do oficera – kaprala, sądząc po pagonach – stał przy oknie, czując się wyraźnie niezręcznie. Patrzył podejrzliwie na wizerunek smoka na dywanie, jakby spodziewając się, że wyhaftowana bestia go zaatakuje. Gdyby tak się stało, nie wątpiła, że zabiłby go gołymi rękami.

– Napije się pan herbaty, kapralu?

– Nie.

Przyszło jej do głowy, że to chyba pierwsze – i jedyne – słowo, jakie usłyszała z jego ust. Patrząc na niego, miało się pewność, że jego życie kryje jakąś interesującą historię. I z taką samą pewnością można było stwierdzić, że kapral nigdy jej nie opowie. Ani z nożem na gardle, ani przy filiżance herbaty.

Podała lordowi Payne filiżankę, a on natychmiast pociągnął łyk parującego płynu. Uśmiechnął się kpiąco.

– Herbata Gunpowder[1]? Dobra robota, panno Finch. Doceniam damy z poczuciem humoru.

Ten tutaj… To był hultaj. Miał to wypisane na twarzy; świadczył o tym elegancki strój i uwodzicielskie maniery. Równie dobrze mógłby mieć to słowo wyhaftowane na kamizelce, na tle złotych esów-floresów. Wiedziała wszystko o tego rodzaju mężczyznach. Połowa młodych dam w Spindle Cove uciekała przed nimi albo za nimi tęskniła.

Susanna zerknęła na zamknięte drzwi biblioteki ojca, zastanawiając się, co zatrzymuje go tak długo. Im szybciej ci ludzie odjadą, tym szybciej zacznie swobodnie oddychać.

Payne odchylił się w fotelu, przyglądając się mosiężnemu żyrandolowi.

– Niezły pokój. – Wskazał na oszkloną szafkę na ścianie. – Czy to… – Przekrzywił głowę. – Co to za przedmioty?

– Rakiety, z czasów dynastii Ming. Mój ojciec jest zapalonym kolekcjonerem starożytności. Szczególnie interesuje go starożytna broń. – Nalewając sobie herbatę, wyjaśniła: – Summerfield ma eklektyczny styl. To jest chiński pokój. Mamy austriacki pokój poranny, salon otomański i włoski taras. Gabinet ojca ozdobiono motywami czerpanymi z Egiptu

i biblioteki aleksandryjskiej. Kolekcja średniowieczna mieści się w długim holu. Och, a w ogrodzie mamy grecki zakątek.

– Sir Lewis musi być wielkim podróżnikiem.

Pokręciła głową, mieszając cukier w filiżance.

– Nie, wcale. Zawsze planowaliśmy wielką wyprawę, ale okoliczności sprzysięgły się przeciwko nam. Więc ojciec sprowadził świat do Summerfield.

Jakże go za to kochała. Sir Lewis Finch nie zaliczał się być może do najbardziej czujnych i spostrzegawczych ojców, ale kiedy potrzebowała go najbardziej, nigdy jej nie zawiódł. Przeniósł cały ich dobytek i swoją pracownię do Summerfield, w ciągu wielu lat odrzucał niezliczone zaproszenia i możliwości podróży… wszystko dla zdrowia i szczęścia Susanny.

– Dobrze, zebraliście się wszyscy. – Ojciec wyszedł z biblioteki nieco niechlujny, jak zwykle. Susanna uśmiechnęła się lekko, tłumiąc chęć, żeby podbiec do niego, wygładzić mu włosy i poprawić fular.

Podpułkownik Bramwell wychynął za nim, jak chmura gradowa, posępny i groźny. Susanna nie czuła potrzeby, żeby go dotknąć. W każdym razie nie takiej, żeby chciała się do tego przyznać. Kiedy szedł przez pokój, zauważyła, że stąpa silniej na lewej nodze. Może zranił się wcześniej, kiedy przewrócił ją na ziemię.

– Chcę coś ogłosić – oznajmił ojciec, wymachując sprawiającymi urzędowe wrażenie papierami, które trzymał w garści. – Ponieważ Bramwell nie wykrzesał z siebie stosownego entuzjazmu, pomyślałem, że podzielę się dobrą nowiną z wami, jego przyjaciółmi. – Poprawił okulary. – W uznaniu męstwa i udziału w wyzwoleniu Portugali, Bramwell został uhonorowany tytułem hrabiowskim. Mam tutaj nadanie podpisane przez samego księcia regenta. Będzie odtąd znany jako lord Rycliff.

Susanna zakrztusiła się herbatą.

– Co? Lord Rycliff? Ale ten tytuł wygasł. Nie było hrabiego Rycliff od…

– Od 1354 roku. Dokładnie. Tytuł pozostawał w uśpieniu przez prawie pięć stuleci. Napisałem do księcia, zwracając mu uwagę na zasługi Bramwella, a on z zadowoleniem przystał na moją propozycję, żeby go przywrócić.

Wybuch prochu w czerwonym salonie nie oszołomiłby Susanny bardziej. Spojrzała zdumiona na oficera, o którym była mowa. Jak na człowieka,

który właśnie otrzymał tytuł szlachecki, nie wydawał się uszczęśliwiony.

– Dobry Boże – odezwał się lord Payne. – Hrabia? Nie może być. Nie dość, że mój kuzyn nadzoruje mój majątek, to jeszcze przewyższył mnie tytułem. A tak przy okazji, co ten tytuł ze sobą niesie?

– Niewiele poza zaszczytem. Żadnego realnego majątku, poza…

– Zamkiem – dokończyła Susanna bezbarwnym głosem.

Jej zamkiem.

Oczywiście, zamek Rycliff do niej nie należał, ale zawsze czuła się w nim jak u siebie. Ostatecznie, nie wydawało się, żeby ktoś inny chciał tę ruinę wziąć w posiadanie. A kiedy wprowadzili się do tego domu, a ona była tak bardzo osłabiona gorączką, papa nazwał ten zamek jej własnym. „Musisz wyzdrowieć, Susanno Jane – powiedział. – Masz własny zamek i musisz go poznać”.

– Susanno, pokaż im makietę. – Ojciec wskazał spojrzeniem wysoką półkę na południowej ścianie pomieszczenia.

– Papo, podpułkownik z pewnością nie jest zainteresowany…

– Teraz jest lordem Rycliff. Oczywiście, że będzie zainteresowany. To jego zamek.

Jego zamek! Nie mogła w to uwierzyć. Dlaczego ojciec nic jej o tym nie powiedział?

– Makieta, kochanie – ponaglił ją ojciec. – Sam bym ją przyniósł, ale wiesz, że tylko ty jesteś na tyle wysoka, żeby dosięgnąć tej półki.

Z cichym westchnieniem Susanna wstała posłusznie i przeszła przez pokój, żeby zdjąć gliniany model zamku Rycliff, jaki zrobiła przeszło dziesięć lat wcześniej. Czasami życie zaskakiwało, nie szczędząc upokorzeń. W ciągu najbliższej minuty trzej goście zwrócą uwagę nie tylko na jej dziwacznie wysoki wzrost, ale także na to, że żadna z niej rzeźbiarka. Co jeszcze ją czeka? Zapewne ojciec poprosi mężczyzn, żeby policzyli jej piegi. To im zajmie czas do wschodu księżyca…

Nagle Bramwell stanął u jej boku.

– To? – zapytał, dotykając palcem brzegu glinianej konstrukcji.

Wzdrygnęła się, żałując, że nie może zaprzeczyć.

– Tak, dziękuję.

Kiedy ściągał makietę z półki, zerknęła na niego ukradkiem kątem oka. Musiała przyznać, że tytuł Rycliff do niego pasował. Dać mu maczugę i kolczugę, a z łatwością można by go wziąć za średniowiecznego

wojownika, który jakimś cudem zabłąkał się we współczesne czasy z mroków przeszłości. Już sam jego wzrost i potężna budowa ciała oraz kwadratowa szczęka pokryta jednodniowym lub starszym zarostem… W jego ruchach było więcej siły niż wdzięku, a długie ciemne włosy nosił związane na karku kawałkiem rzemienia. A to, jak na nią patrzył przed tamtym pocałunkiem – jakby miał ją pożreć, a ona przyjąć to z zachwytem – wywodziło się wprost z ciemnych wieków.

Kiedy zaprezentował wszystkim bałagan z wysuszonej na słońcu gliny i przyklejonego mchu, Susanna zwalczyła odruch, żeby zdmuchnąć z niego kurz. Widocznie służące też nie mogły dosięgnąć do tej półki.

– Czyż to nie zręczne? – Ojciec wziął model z rąk Bramwella i podniósł go do góry. – Susanna zrobiła to, kiedy miała piętnaście lat.

– Czternaście – poprawiła, przeklinając się w chwilę potem. Czy „czternaście” sprawiało, że makieta stawała się lepsza?

Szerokim gestem ojciec postawił model na stole, na środku pokoju. Mężczyźni z wahaniem zebrali się wokół niego. Bramwell patrzył na niego gniewnie.

– Może na to nie wygląda – powiedział ojciec – ale historia zamku Rycliff jest legendarna. Zbudował go sam Wilhelm Zdobywca, a powiększył Henryk VIII. Stoi nad urwiskiem, nad brzegiem morza. Poniżej jest zatoczka, widzicie? – Wskazał. – A woda ma w rzeczywistości piękny kolor, nie taki mętnoszary.

Susanna dotknęła swojego ucha.

– Kiedyś była tam niebieska farba. Musiała odpaść.

– Zatoczka była w średniowieczu często odwiedzanym portem – ciągnął sir Lewis. – Potem, w trzynastym wieku, nastąpiło groźne osunięcie się gruntu. Skutek burz, erozji? Nikt tego nie wie. Połowa oryginalnego zamku spadła do morza, reszta legła w ruinach. – Ale, Bram – sir Lewis zwrócił się wprost do oficera – nie rób takiej smutnej miny. Czyż nie pragnąłeś zawsze mieć zamku?

Stojąc z boku, Susanna widziała, jak potężna dłoń mężczyzny zwija się w pięść. Słyszała, jak trzasnęły chrząstki.

– Sir Lewisie, czuję się zaszczycony i doceniam pańską rekomendację, ale – wskazał makietę – nie o to mi chodziło. Nie jestem zainteresowany zabawą w rycerzy i smoki.

Nie zwracając na niego uwagi, sir Lewis wbił palec w lakierowany blat stołu, tam gdzie znajdowałaby się zachodnia strona zamku.

– Wieś byłaby gdzieś tutaj, w dolinie. Czarujące miejsce. – Odwrócił się i spojrzał w odległy kąt pokoju. – A mniej więcej tam, gdzie wisi ten medalion z jadeitu – wskazał ręką – leżałby Cherbourg na północnym wybrzeżu Francji.

Bramwell popatrzył na medalion, potem znowu na sir Lewisa. Uniósł brwi w niemym pytaniu.

Sir Lewis klepnął oficera po ramieniu.

– Chciałeś dowodzić, Bramwell. Cóż, właśnie dostałeś zamek na południowym wybrzeżu Anglii, w odległości mniejszej niż pięćdziesiąt mil od wroga. Jako nowy lord zorganizujesz lokalny oddział do obrony.

– Co? – szepnęła Susanna. – Tutaj?

Musiała źle usłyszeć albo źle zrozumieć. Ci mężczyźni mieli zostać na herbacie – może na przyjemnej kolacji – a potem wyjechać. I nigdy nie wrócić. Nie mogła zostać sąsiadką pogromcy owiec. I, na Boga… oddział? Co się stanie z damami i pensjonatem pani Nichols? Takich mężczyzn nie było w Spindle Cove. Brak hultajów i oficerów stanowił główną atrakcję wsi.

– Papo, przestań żartować – powiedziała lekkim tonem. – Nie traćmy czasu naszych gości. Wiesz doskonale, że żaden oddział tutaj do niczego się nie przyda.

– Nie przyda? – Bramwell łypnął na nią z ukosa. – Przeciwnie, będzie miał pierwszorzędne znaczenie. Na wypadek gdybyś była tego nieświadoma, panno Finch, Anglia jest w stanie wojny.

– Oczywiście, że jestem tego świadoma. Ale wszyscy wiedzą, że groźba francuskiej inwazji minęła. Francuzi nie liczą się na morzu od czasu Trafalgaru, a po cięgach, jakie dostali w Rosji, ich siły są tak przetrzebione, że Napoleon nie jest w stanie najechać nikogo. Tak jak się sprawy mają, jedyne, co Francja może zrobić, to utrzymać Hiszpanię. Armia Wellingtona jest już w drodze, więc nawet to zapewne straci.

W pokoju zapadła cisza, Bramwell zmarszczył brwi, wpatrując się w nią uważnie. Kolejna rada z *Mądrości* pani Worthington okazała się fałszywa. Jeśli intelekt kobiety jest w czymś podobny do bielizny, to mężczyźni powinni dążyć z zapałem do tego, żeby go odsłonić. Dziwne, ale Susanna nigdy nie zauważyła, żeby to działało w ten sposób.

– Dużo pani wie na temat bieżących wydarzeń – zauważył.

– Jestem Angielką i interesuje mnie wynik wojny. Zadaję sobie trud, żeby dowiedzieć się, co się dzieje.

– Jeśli jest pani tak dobrze poinformowana, powinna pani wiedzieć, że prowadzimy wojnę nie tylko z Francją, ale także z Ameryką. Nie wspominając już o tym, że wzdłuż wybrzeża roi się od piratów i przemytników wszelkiego rodzaju. – Czubkiem palca przyciągnął makietę do siebie. – Dziwię się, że zamek Rycliff tak długo pozostał nieumocniony.

– Nic w tym dziwnego. – Wyciągnęła rękę, pociągając makietę w swoją stronę. – Nikt nie będzie próbować lądować w tym miejscu. Jak powiedział mój ojciec, wybrzeże zmieniło się od czasów inwazji Normanów. Obsunięta ziemia utworzyła rodzaj rafy. Tylko najmniejsze łodzie rybackie mogą się tam poruszać, i to przy wysokiej fali. Niejeden statek rozbił się w zatoczce. Nawet przemytnicy ją omijają. – Spojrzała na niego wyzywająco. – Natura dostatecznie nas zabezpiecza. Nie potrzebujemy mężczyzn w mundurach. Nie tutaj.

Ich spojrzenia spotkały się, żadne nie odwracało wzroku. Coś twardego pojawiło się w tych śmiałych, zielonych oczach i Susanna zastanowiła się, o czym myśli ten mężczyzna. Założyłaby się, że nie o tym, żeby ją pocałować.

– Obawiam się – zachichotał sir Lewis – że to kłótnia o wyjątkowo drażliwym charakterze.

Susanna się uśmiechnęła.

– Taka, w której kobieta ma rację?

– Nie, moja droga. Taka, w której obie strony mają rację.

– Co masz na myśli?

Ojciec wskazał na krzesła, pokazując gestem, żeby usiedli.

– Susanno, nie mylisz się – oznajmił, kiedy już się usadowili. – Szanse najazdu na Spindle Cove są tak niewielkie, że praktycznie równe zeru. Jednakże…

Nagle lord Payne zakrztusił się i odstawił z trzaskiem filiżankę.

– Co się z tobą dzieje? – zapytał Bramwell.

– Nic, nic. – Payne strzepnął ochlapaną kamizelkę. – Sir Lewisie, powiedział pan: Spindle Cove?

– Tak.

– Ta miejscowość tutaj, to Spindle Cove?

– Tak – powiedziała przeciągle Susanna. – Dlaczego?

– Och, nieistotne. – Payne przesunął dłonią po ustach, jakby ścierając uśmiech. – Proszę mówić dalej.

– Jak już wspomniałem – ciągnął sir Lewis – szanse obcej inwazji są w istocie niewielkie. Jednakże obecny tu Bramwell powie ci, że podstawą solidnej obrony jest wrażenie gotowości, a nie prawdopodobieństwo ataku. Podobne punkty na wybrzeżu ufortyfikowano wieżami Martello[2] bronionymi przez miejscowe, ochotnicze oddziały zbrojne. Spindle Cove nie może sprawiać wrażenia słabego ogniwa w łańcuchu.

– Nasza wieś nie ma żadnych słabych stron, papo. Przyjezdni wiedzą, że jest całkowicie bezpieczna. Jeśli powstanie tu oddział zbrojnych, nasza reputacja może tylko ucier…

– Susanno, moja droga. – Ojciec westchnął ciężko. – Dość na tym.

Nie było dość nawet w przybliżeniu. Czy ojciec wie, co to za człowiek? Miała ochotę powiedzieć. To pogromca bezbronnych owiec, wróg falbaniastych muślinowych sukien, obcałowywacz niczego niespodziewających się niewiast. Po prostu zwierzę. Nie można pozwolić mu tutaj zostać. Nie można!

Tylko głęboki szacunek dla ojca sprawił, że zachowała spokój.

– Prawdę mówiąc – ciągnął papa – jest jeszcze inny powód. Jak wiecie, jestem jedynym miejscowym dżentelmenem. Ten obowiązek powinien ciążyć na mnie. Książę Tunbridge odpowiada za lokalne oddziały w Sussex i od roku męczy mnie, żebym zrobił pokaz miejscowych sił. – Spuścił oczy na dywan. – Tak więc obiecałem mu, że zrobię to w tym roku, podczas letniego jarmarku.

– Letniego jarmarku? Ależ to mniej niż za miesiąc! – zawołała przestraszona Susanna. – I jarmark zawsze był świętem dla dzieci. Zbroje, kusze, parę melonów wystrzelonych w morze ze starego trebusza[3].

– Wiem, moja droga. W tym roku jednak będziemy musieli urządzić dla sąsiadów, i księcia, prawdziwą paradę wojskową. – Pochylił się i oparł ramiona na kolanach. – O ile Bramwell się zgodzi, rzecz jasna. Jeśli nie przyjmie tytułu i nie weźmie obowiązku zorganizowania oddziału na siebie… to zadanie przypadnie mnie.

– Papo, ty nie możesz. – Susanna wzdrygnęła się na samą myśl. Ojciec nie mógł odpowiadać za ochotniczy oddział zbrojny. Starzał się, miał słabe serce. I był jej jedyną rodziną. Zawdzięczała mu życie i to w niejeden

sposób. Myśl o dopuszczeniu tego okropnego Bramwella i jego przyjaciół do ich bezpiecznej, spokojnej społeczności napawała ją przerażeniem. Ale jeśli alternatywą miało być narażenie zdrowia ojca na niebezpieczeństwo, jak mogła się sprzeciwić?

Odpowiedź była oczywista. Nie mogła.

– Bramwell – zwrócił się ojciec do oficera – prowadziłeś do boju całe regimenty. Proszę cię, żebyś wyszkolił oddział dwudziestu czterech mężczyzn. Wierz mi, zdaję sobie w pełni sprawę, że to jak żądać od afrykańskiego lwa, żeby bawił się jak kotek w stodole. Ale to jest stanowisko dowódcze, i to takie, które mogę ci zaoferować. Zajmie ci to jedynie miesiąc. Jeśli dobrze się z tego wywiążesz… Po letnim jarmarku coś innego może z tego wyniknąć.

Mężczyźni wymienili między sobą znaczące spojrzenia i Bramwell – obecnie lord Rycliff – milczał długą chwilę. Susanna wstrzymała oddech. Pół godziny temu nie pragnęła niczego bardziej, jak zobaczyć plecy tego człowieka i jego towarzyszy. A teraz stwierdziła, że zmuszono ją do czegoś wyjątkowo nieprzyjemnego.

Do tego, żeby czekała z nadzieją, że zgodzi się zostać.

W końcu wstał, obciągając przód kubraka.

– Dobrze zatem.

– Doskonale. – Podniósłszy się, papa klasnął w dłonie i potarł je energicznie. – Napiszę zaraz do księcia. Susanno, zawsze lubiłaś spacerować, a do kolacji zostało mnóstwo czasu. Może pokażesz właścicielowi jego zamek?

– Tędy – powiedziała Susanna, skręcając ze ścieżki na starą, zarośniętą trawą drogę.

Znała tę trasę. Mieszkając w Spindle Cove, musiała ją przemierzyć tysiące razy. Znała każdą wypukłość terenu, każde zagłębienie na ścieżce. Nieraz szła tędy w środku nocy, nie wahając się.

Dzisiaj się potknęła.

Znalazł się obok w tej samej chwili, chwycił ją mocno i pewnie za łokieć. Nie zdawała sobie sprawy, że szedł tak blisko za nią. Akurat wtedy, kiedy sądziła, że odzyskała równowagę, jego ciepło i obecność ponownie nią zachwiały.

– Czy dobrze się czujesz?

– Tak. Tak myślę. – Usiłując pozbyć się zakłopotania, zażartowała: – W poniedziałki spacerujemy, we wtorki kąpiemy się w morzu…

Nie roześmiał się. Nawet się nie uśmiechnął. Puścił ją bez słowa i ruszył dalej, wysuwając się na czoło. Szedł długimi krokami, ale zauważyła, że nadal oszczędza prawą nogę.

Poczuła coś, czego osoba zajmująca się uzdrawianiem czuć nie powinna. Miała nadzieję, że go boli.

Może wtedy na drodze uratował ją przed utratą kilku palców. Ale, po pierwsze, gdyby nie on, nie byłoby niebezpieczeństwa. Gdyby nie on, panie Highwood wprowadziłyby się do pensjonatu. Biedna Diana. I biedna Minerva. Charlotte, przynajmniej, była młoda i odporna.

Resztę drogi pokonali w milczeniu. Kiedy wspięli się na piaskowcowe zbocze, Susanna się zatrzymała.

– Cóż – powiedziała, między dwoma głębokimi oddechami – oto i on, mój panie. Zamek Rycliff.

Ruiny zamku wznosiły się na szczycie wzgórza, nad wrzosowiskiem. Cztery kamienne wieżyczki, parę kamiennych łuków… Tu i tam kawałek muru. To wszystko, co zostało. W dole rozciągał się Kanał Angielski, którego wody teraz, przy blednącym świetle popołudnia przybierały piękną, fiołkową barwę.

Przez długą chwilę, kiedy mężczyźni chłonęli widok, panowało milczenie. Susanna próbowała ogarnąć starą fortecę świeżym spojrzeniem. Kiedy była młodą dziewczyną, ujął ją romantyzm tego miejsca. Jeśli patrzyło się na zamek jak na malowniczą ruinę, brak ścian i sufitów tylko podnosił jego urok. Brakujące elementy zachęcały do marzeń, podsycały wyobraźnię. Kiedy jednak traktowano go jak ewentualną rezydencję, takie ubytki mogły wzbudzać poważne wątpliwości. Jeśli nie złość.

– A wieś? – zapytał.

– Można ją stąd zobaczyć. – Poprowadziła ich przez fragment korytarza pod łukowatym sklepieniem, przez łąkę, która kiedyś była zamkowym dziedzińcem, do urwiska, skąd widać było zatoczkę w kształcie księżyca i dolinę, gdzie mieściła się tak bliska jej sercu społeczność. Z tego miejsca wieś wydawała się mała i niewiele znacząca. Przy odrobinie szczęścia może uda się odciągnąć od niej jego uwagę.

– Jutro będę musiał jej się dokładniej przyjrzeć – oznajmił.

– To nic szczególnego – powiedziała szybko. – Przeciętna angielska wieś. Szkoda pańskiego czasu. Chałupy, kościół, parę sklepów.

– Z pewnością jest tam gospoda – odezwał się lord Payne.

– Jest pensjonat – powiedziała Susanna, odwodząc ich od brzegu urwiska. – Królowa Ruby. Obawiam się jednak, że o tej porze roku wszystkie pokoje są zajęte. Letnicy, jak zwykle, ściągają, żeby się nacieszyć morzem. – I uciec przed takimi mężczyznami, jak wy.

– Gospoda nie jest nam potrzebna. – Lord Rycliff spacerował powoli wśród ruin. – Położył rękę na kawałku muru i oparł się na niej, jakby sprawdzając wytrzymałość ściany. – Rozłożymy się tutaj.

Te słowa spotkały się z powszechnym niedowierzaniem. Wydawały się nawet odbijać od kamieni.

– Tutaj? – spytał kapral.

– Tak – odparł lord Rycliff. – Tutaj. Musimy się do tego zabrać od razu, jeśli chcemy rozbić obóz przed nocą. Idź zobaczyć, co z wozami, Thorne.

Thorne skinął głową i odszedł natychmiast, schodząc tą samą drogą, którą przyszli.

– Niemożliwe, żebyś chciał tutaj stacjonować – upierał się lord Payne. – Rozejrzałeś się?

– Owszem – odparł Rycliff. – Właśnie patrzę. A więc tu się rozbijemy. Tak robią lokalne oddziały.

– Nie należę do żadnego oddziału – oznajmił Payne. – I nie obozuję w polu.

Susanna mogła się tego domyślić. Nie w tych świetnych butach, w każdym razie.

– Cóż, teraz obozujesz – stwierdził Rycliff. – I właśnie dostałeś przydział.

– O, nie! Zastanów się, Bram. Nie wciągniesz mnie do swojego oddziałku cynowych żołnierzyków.

– Nie zostawiam ci wyboru. Musisz się nauczyć dyscypliny, a to znakomita okazja. – Powiódł wzrokiem dokoła. – Skoro tak lubisz podpalać, zajmij się może rozpaleniem ogniska.

Susanna położyła rękę na rękawie Rycliffa, chcąc zwrócić jego uwagę.

Tak się stało. Miała jego pełną, skupioną na sobie uwagę. Przyglądał się uważnie jej twarzy, badając każdy rys i skazę.

– Proszę wybaczyć, że się wtrącam – powiedziała, puszczając rękaw. – Ale obozowanie z pewnością nie jest potrzebne. Mój ojciec mógł jeszcze nie zaprosić was oficjalnie, ale z pewnością zamierza udzielić wam gościny w Summerfield.

– A zatem proszę przekazać ojcu moje podziękowanie. Ale z całym szacunkiem odmówię.

– Dlaczego?

– Mam bronić wybrzeża. Trudne zadanie z odległości mili od brzegu.

– Ale… rozumie pan chyba, że cały ten oddział jest na pokaz? Mój ojciec nie martwi się naprawdę inwazją.

– Może powinien. – Spojrzał na kuzyna, który właśnie odrywał suche gałązki pnącza porastającego mur. Ruchem głowy Rycliff wskazał jej kuzyna. – Panno Finch, nie jest rozsądnie, żeby oficerowie stacjonowali w tym samym domu co niezamężna panna. Proszę zadbać o swoją reputację, jeśli pani ojciec tego nie potrafi.

– Zadbać o reputację? – Roześmiała się. Potem zniżyła głos. – I to mówi człowiek, który przewrócił mnie na drodze i pocałował, nie oglądając się na nic?

– Dokładnie tak. – Oczy mu pociemniały.

Ogarnęła ją fala gorąca. Chyba nie miał na myśli…

Nie. Niczego nie miał na myśli. Te twarde nefrytowe oczy mówiły wyraźnie, podkreślając to jeszcze lekkim poruszeniem ramion: Jestem właśnie tak niebezpieczny, jak przypuszczasz. Jeśli nie bardziej.

– Proszę zabrać swoje uprzejme zaproszenie i pobiec z nim do domu. Kiedy żołnierze i panny żyją pod jednym dachem, różne rzeczy się zdarzają. A gdyby pani przypadkiem znowu znalazła się pode mną… – Głodnym wzrokiem omiótł jej ciało. – Nie umknęłaby pani tak łatwo.

– Pan jest jak zwierzę – sapnęła gniewnie.

– Jestem tylko mężczyzną, panno Finch. Tylko mężczyzną.

4

Bram wmawiał sobie, że interesuje go bezpieczeństwo panny Finch, kiedy ta schodziła kamienistym zboczem. Okłamywał sam siebie. W istocie pochłonął go widok jej ciała, które kołysało się zmysłowo z każdym krokiem w dół.

Dziś w nocy będzie śnić o jej piersiach. O tym, jak je odczuwał uwięzione pod sobą, miękkie i ciepłe.

A niech to. Ten dzień nie minął tak, jak planował. O tej porze miał już być dawno w drodze do koszar w Brighton, przygotowując się do wyprawy do Portugalii i powrotu na pole bitwy. Zamiast tego, niespodziewanie… został hrabią. I utknął w tym zrujnowanym zamku, zobowiązawszy się wykonać zadanie, które z wojskowego punktu widzenia stanowiło odpowiednik szkółki niedzielnej dla dzieci. A co gorsza, dręczyło go pożądanie do kobiety, której nie mógł mieć. Nie mógł nawet jej dotknąć, jeśli zależało mu na odzyskaniu dowództwa.

Jakby czując mękę Brama, Colin parsknął śmiechem.

– Co cię tak bawi?

– Tylko to, że wyszedłeś na większego durnia, niż sądzisz. Nie słyszałeś? To jest Spindle Cove. Spindle. Cove!

– Mówisz tak, jakbym musiał znać tę nazwę. A nie znam.

– Naprawdę musisz więcej bywać w klubach. Pozwól, że cię oświecę. Spindle Cove – albo Spinster Cove[4], jak je nazywamy – to nadmorskie letnisko. Dziewczęta z dobrych rodzin są tu posyłane, żeby oddychały uzdrawiającym morskim powietrzem. Albo kiedy nie wiadomo, co z nimi zrobić. Mój przyjaciel Carstairs przysłał tu zeszłego lata swoją siostrę, kiedy za bardzo jej się spodobał chłopiec stajenny.

– Tak więc…?

– Tak więc, twój oddział? Plan skazany na niepowodzenie, jeszcze zanim zabierzesz się do czegokolwiek. Rodziny przysyłają tutaj swoje córki i ich opiekunki, bo tu są bezpiecznie. A są bezpiecznie, bo nie ma mężczyzn. Dlatego nazywają to Spinster Cove.

– Muszą tu być mężczyźni. Nie ma wsi bez mężczyzn.

– No dobrze, może być paru służących i kupców. Jeden czy dwóch nieudaczników z zeschłą gałązką i parą porzeczek, które im dyndają między nogami. Ale nie ma żadnych prawdziwych mężczyzn. Carstairs wszystko nam opowiedział. Nie mógł uwierzyć, co znalazł, kiedy przyjechał po siostrę. Kobiety tutaj to pożeraczki mężczyzn.

Bram ledwie zwracał na niego uwagę. Skupił wzrok na znikającej w oddali postaci panny Finch. Sama w sobie była jak zachód słońca, jej rudobrązowe włosy lśniły pod linią horyzontu. Płomieniste. Wspaniałe. Kiedy zniknęła, natychmiast ogarnął go chłód.

I wtedy, dopiero wtedy, zwrócił się do jazgoczącego kuzyna.

– Co mówiłeś?

– Musimy stąd uciekać, Bram. Zanim oberwą nam jaja i użyją ich jako poduszeczek na szpilki.

Bram podszedł do najbliższej ściany i oparł się o nią ramieniem, dając odpocząć kolanu. Niech to, wspinaczka była męcząca.

– Próbuję zrozumieć – powiedział, masując dyskretnie bolące udo pod pozorem, że otrzepuje spodnie z ziemi. – Sugerujesz, żebyśmy wyjechali, ponieważ we wsi jest pełno starych panien? Odkąd to narzekasz na nadmiar kobiet?

– To nie są zwyczajne stare panny. Są… są nie do opanowania. I nadmiernie wyedukowane.

– Och, przerażające. W istocie. Nie cofnę się przed atakiem francuskiej kawalerii, ale wykształcona stara panna to zupełnie inna śpiewka.

– Kpisz sobie ze mnie, tylko poczekaj. Zobaczysz, te kobiety to osobna rasa.

– Kobiety mnie nie interesują.

Z wyjątkiem jednej, ale ta nie mieszkała we wsi tylko w Summerfield i była córką sir Lewisa Fincha. Czyli znajdowała się absolutnie poza jego zasięgiem, niezależnie od tego, jak silnie podejrzewał, że panna Finch zamieniłaby się w Pannę Hultajkę w łóżku.

Colin mógł wykpiwać wykształcone kobiety, ile mu się podobało. Bram wiedział, że mądre kobiety to najlepsze kochanki. Zwłaszcza cenił te, które znały się na czymś więcej poza modą i teatrem. Dla niego, słuchać panny Finch rozprawiającej o tym, że armia napoleońska uległa osłabieniu, to było tak, jak słuchać kurtyzany, czytającej do poduszki. Pobudzające ponad miarę. A potem popełnił kretyński – choć nieunikniony – błąd, wyobrażając ją sobie nagą. Te świetliste włosy i ciało o mlecznej skórze na nieskazitelnie białym prześcieradle…

Żeby odegnać erotyczne myśli, nacisnął spięty mięsień w udzie. Ból przebił się przez mgłę pożądania.

Wyciągnął flaszkę z kieszeni na piersi i pociągnął łyk pokrzepiającej whiskey.

– Kobiety mnie nie interesują – powtórzył. – Jestem tutaj, żeby wyszkolić miejscowych mężczyzn. I mężczyźni muszą gdzieś tu być. Rybacy, farmerzy, kupcy, służący. Jeśli to, co mówisz, jest prawdą, że zostali zdominowani przez rządzące się kobiety… to skorzystają z szansy, żeby naprężyć mięśnie i się wykazać. – Tak jak on sam.

Bram podszedł do bramy i z ulgą zobaczył, że zbliżają się wozy. Nie mógł się pogrążać w marzeniach o pannie Finch, bo czekała praca do wykonania – rozstawianie namiotów, pojenie i karmienie koni, rozpalanie ogniska.

Pociągnął ostatni łyk, zakorkował flaszkę i wsadził ją do kieszeni.

– Obejrzyjmy to miejsce dokładnie, zanim zrobi się ciemno.

Zaczęli w środku i posuwali się na zewnątrz. Oczywiście, obecny środek nie był naprawdę środkiem, ponieważ połowa zamku spadła do wody.

Odwróciwszy się na północ, Bram rozpoznał teraz łuk, przez który weszli, jako dawną bramę. Mur ciągnął się po obu stronach łuku. Nawet tam, gdzie się zawalił, można było łatwo rozpoznać jego linię. Tutaj, w okolicy dziedzińca, niskie, pokryte mchem resztki kamieni przypominały, gdzie kryły się niegdyś wewnętrzne ściany i korytarze. W południowej, położonej od strony morza części czterolistna koniczyna okrągłych wieżyczek, połączonych murem bez okien, wznosiła się nad urwiskiem.

– To musiał być stołp[5]. – Przeszedł pod łukiem, żeby stanąć pośrodku, między czterema wznoszącymi się w niebo wieżyczkami.

Colin wszedł do jednej z pustych, ciemnych wież.

– Schody są nienaruszone; ostatecznie to kamień. Drewnianych podłóg, rzecz jasna, nie ma. – Przechylił głowę, wpatrując się w mrok nad głową. – Imponująca kolekcja pajęczyn. Czy to jaskółki tak świergolą?

– To? – Bram się wsłuchał. – Raczej nietoperze.

– Racja. Nietoperze. A więc to głębokie na parę cali błocko, w którym stoję, to będzie… Cudownie. – Wszedł z powrotem na dziedziniec, wycierając buty o mech. – Śliczne miejsce sobie znalazłeś, kuzynie.

Było śliczne. Niebo z błękitnego stało się fioletowe, a nad ruinami zamku pojawiły się gwiazdy. Bram wiedział, że powziął właściwą decyzję, odmawiając zakwaterowania w Summerfield. Obowiązek obowiązkiem, ale nigdy nie czuł się dobrze w dusznych angielskich dworkach. Ich nadproża były dla niego za niskie, łóżka za małe. Takie domy nie były dla niego, koniec, kropka.

Jego miejsce to otwarta przestrzeń. Nie potrzebował takiego domu jak Summerfield. Jednak pusty żołądek przekonywał go, że należało przyjąć chociaż zaproszenie na kolację przy stole sir Lewisa.

Ciche beczenie w dole przyciągnęło jego uwagę. U jego stóp stało jagnię, dotykając nosem frędzla przy jego bucie.

– O, spójrz! – zawołał wesoło Colin. – Kolacja.

– Skąd to się wzięło?

Podszedł do nich Thorne.

– Szło za nami. Woźnice mówią, że kręciło się przy wozach od czasu wybuchów.

Bram przyjrzał się zwierzęciu. Musiało się oddzielić od matki. W tej porze roku było już po okresie karmienia. Wyrosło też z wieku, kiedy owieczki są słodkie i śliczne. Jagnię spojrzało na niego i wydało kolejne żałosne beknięcie.

– Nie sądzę, żebyśmy mieli galaretkę miętową? – zapytał Colin.

– Nie możemy go zjeść – stwierdził Bram. – Zwierzę należy do jakiegoś wieśniaka z okolicy i ktokolwiek to jest, będzie go szukał.

– Wieśniak nigdy się nie dowie. – Szatański uśmiech pojawił się na twarzy kuzyna, kiedy schylił się, żeby poklepać wełnisty bok jagnięcia. – Zniszczymy dowody.

Bram pokręcił głową.

– To się nie zdarzy. Porzuć swoje fantazje o kotletach z jagnięciny. Jego dom musi być gdzieś blisko. Jutro go znajdziemy.

– Cóż, musimy dzisiaj coś zjeść, a nie widzę żadnej alternatywy.

Thorne podszedł do ogniska z naręczem zajęcy, już wypatroszonych.

– Oto twoja alternatywa.

– Skąd je wziąłeś? – spytał Colin.

– Och, z wrzosowiska. – Przykucnąwszy na ziemi, Thorne wyciągnął nóż zza cholewy i zaczął je sprawnie odzierać ze skóry. Cierpki zapach krwi zmieszał się z dymem i popiołem.

Colin patrzył na oficera szeroko otwartymi oczami.

– Thorne, przerażasz mnie. Nie wstydzę się tego powiedzieć.

– Nauczysz się go doceniać – stwierdził Bram. – Thorne zawsze wynajdzie jakiś posiłek. Mieliśmy najlepiej zaopatrzoną mesę oficerską na Półwyspie.

– Cóż, to przynajmniej zaspokaja jeden rodzaj głodu – powiedział Colin. – A teraz, co do drugiego. Mam nienasycony głód damskiego towarzystwa, z którym trzeba coś zrobić. Nie sypiam sam. – Powiódł wzrokiem od Brama do Thorne’a. – No co? Dopiero wróciliście po paru latach na Półwyspie. Myślałbym, że będziecie się ślinić.

Thorne burknął coś pod nosem.

– W Portugalii i Hiszpanii też są kobiety. – Odłożył na bok obdartego ze skóry zająca i sięgnął po następnego. – I tutaj już jedną znalazłem.

– Co? – parsknął Colin. – Kogo? Kiedy?

– Wdowę, która sprzedała nam jajka tam, gdzie ostatnio płaciliśmy myto na drodze. Chce mnie.

Colin popatrzył na Brama, jakby mówił: Czy mam w to uwierzyć?

Bram wzruszył ramionami. Thorne’owi trudno było odmówić zapobiegliwości. Gdziekolwiek by obozowali, zawsze potrafił znaleźć zwierzynę i miejscową kobietę. Nie wydawał się szczególnie przywiązany do żadnej z nich. Albo może po prostu kobiety nie przywiązywały się do Thorne’a.

Przywiązanie było tym, z czym zmagał się Bram. Oficer, dżentelmen i człowiek majętny, wolał porozmawiać z kobietą, zanim poszedł z nią do łóżka. Te cechy wydawały się zachęcać kobiety do wchodzenia z nim w bliższe związki, ale on nie mógł sobie na to pozwolić.

Colin wyprostował się, wyraźnie dotknięty.

– Chwileczkę. Nie mam nic przeciwko temu, żeby uznać czyjąś wyższość, jeśli chodzi o polowanie na zwierzynę łowną. Ale nie dam się…

przewyższyć, jeśli chodzi o płeć piękną. Nie możesz o tym wiedzieć, Thorne, ale moja reputacja jest legendarna. Legendarna! Dajcie mi jeden dzień w wiosce. Nie obchodzi mnie, czy to rzeczywiście zatwardziałe stare panny. Dostanę się pod ich spódnice na długo przed wami i będę tam dużo częściej.

– Trzymajcie swoje rozporki zapięte, obaj. – Bram szturchnął gniewnie śpiącą przy jego kolanie owcę. – Jedyny sposób, żeby wykonać zadanie i opuścić to miejsce, to zyskać współpracę miejscowych mężczyzn. A miejscowi mężczyźni nie będą się palić do współpracy, jeśli zaczniemy uwodzić ich siostry i córki.

– Co dokładnie chcesz powiedzieć, Bram?

– Żadnych kobiet dopóki tu stacjonujemy. – Zerknął na Thorne'a. – To rozkaz.

Sierżant nie odpowiedział, tylko nadział dwie zajęcze tuszki na zaostrzone patyki.

– Odkąd to dostaję od ciebie rozkazy? – zapytał Colin.

Bram spojrzał mu w oczy.

– Odkąd mój ojciec umarł, a ja wróciłem z Półwyspu i zastałem cię zadłużonego po uszy, ot co. Nie jestem tym zachwycony, ale mam nadzór nad twoim majątkiem przez następnych parę miesięcy. Póki płacę twoje rachunki, robisz, co ci każę. Chyba że się ożenisz i oszczędzisz nam obu kłopotów.

– O, tak. Małżeństwo to świetny sposób, żeby oszczędzić sobie kłopotów.

Colin podniósł się i odszedł dalej, w cień.

– A ty dokąd się wybierasz?! – zawołał Bram. Colin miał prawo się dąsać, ale powinien na siebie uważać. Nie sprawdzili jeszcze, na ile zamek był bezpieczny, a w pobliżu znajdowały się strome urwiska…

– Idę się odlać, drogi kuzynie. Czy w tej sytuacji też mam trzymać rozporek zapięty?

Bram nie był bardziej zadowolony z tego układu niż Colin. Wydawało się śmieszne, żeby dwudziestoparoletni mężczyzna, wicehrabia od młodych lat, potrzebował opiekuna prawnego. Ale warunki przejęcia spadku – pomyślane tak, aby zachęcić do spłodzenia prawowitego potomka w stosownym czasie – jasno określały, że majątek Payne'a ma stanowić trust, póki ten nie skończy dwudziestu siedmiu lat albo się nie ożeni.

Zatem dopóki kuzyn pozostawał pod jego prawną opieką, Bram nie widział lepszego sposobu, żeby wywiązać się z tego zadania, jak uczynić z niego żołnierza. Miał już pod swoją komendą dużo mniej obiecujące indywidua i potrafił wpoić im poczucie obowiązku i dyscypliny. Dezerterzy, dłużnicy, zatwardziali kryminaliści… choćby człowiek siedzący naprzeciwko niego przy ognisku. Jeśli Samuel Thorne wyszedł na ludzi, każdy mógł mieć nadzieję.

– Jutro zaczniemy rekrutację ochotników – oznajmił kapralowi.

Thorne skinął głową, obracając zające na rożnie.

– Chyba najlepiej zacząć od wsi.

Kolejne ledwie dostrzegalne skinienie.

– Psy pasterskie – zastanawiał się głośno Thorne w chwilę później. – Może jakieś znajdę. Przydadzą się. Z drugiej strony, ogary są lepsze do polowania.

– Żadnych psów – powiedział Bram. Nie przepadał za oswojonymi zwierzętami. – Będziemy tutaj tylko miesiąc.

Odwrócili głowy, usłyszawszy szelest. Może nietoperz. Albo wąż. Choć równie dobrze mógł to być szczur.

– To, czego nam tutaj potrzeba – stwierdził Thorne – to kot.

Bram się skrzywił.

– Na Boga, nie chcę kota.

Thorne spojrzał na wełnistego zwierzaka przy jego kolanie i uniósł brew.

– Wygląda na to, że ma pan jagnię.

– Jagnię jutro wraca do domu.

– A jeśli nie wróci?

– To zostanie kolacją.

5

We wsi, w której przeważają kobiety, tajemnice żyją krócej niż komary. Jak tylko Susanna otworzyła następnego ranka drzwi sklepu Brighta Mydło i Powidło, natychmiast zasypano ją pytaniami. Powinna się domyślić, że się na nią rzucą. Młode damy zbiegły się jak kury do ziarna i wydziobywały nowinę za nowiną.

– Czy to prawda, co słyszałyśmy? Jest tak, jak mówią? – Dziewiętnastoletnia Sally, druga z kolei najstarsza córka Brightów, pochyliła się nad ladą.

– To zależy. – Susanna podniosła ręce, żeby rozwiązać wstążki czepka. Kiedy rozluźniała supełek, napięcie w sklepie stało się niemal namacalne.

– Zależy od czego?

– Kim są oni i co dokładnie mówią. – Tłumaczyła spokojnym tonem. Ktoś musiał.

– Mówią, że wieś została najechana! – zawołała Violet Winterbottom. – Przez mężczyzn!

– A co innego miałoby nas najechać? Wilki?

Susanna rozejrzała się po sklepie, żeby zebrać myśli i nacieszyć się wspaniałym widokiem. Widokiem, który nigdy nie przestawał jej oczarowywać. Pierwszy raz, kiedy weszła do sklepu Brighta, miała wrażenie, że wstąpiła przypadkiem do jaskini skarbów Ali Baby.

Wzdłuż frontu ciągnęły się wychodzące na południe okna z szybkami w kształcie rombów, przez które wpadało mnóstwo złotego, słonecznego światła. Pod pozostałymi trzema ścianami stały sięgające sufitu regały zawalone różnobarwnymi towarami. Bele jedwabiu i koronki, pióra i buteleczki z atramentem, guziki i błyskotki, węgiel i farby, konfitury i marynaty, proszek do zębów, puder i mnóstwo innych rzeczy – wszystko to lśniło w słońcu.

– Pomywaczka z gospody dowiedziała się wszystkiego od brata. – Policzki Sally zaróżowiły się z podniecenia. – Grupa oficerów rozbiła się koło urwiska.

– Czy to prawda, że jest wśród nich jakiś lord? – zapytała Violet.

Susanna zdjęła czepek i odłożyła go na bok.

– Tak, paru oficerów obozuje chwilowo w ruinach zamku. I nie, nie ma wśród nich jakiegoś lorda… – Przerwała. – Jest ich dwóch.

Od pisków podniecenia, jakie powitały tę wiadomość, niemal rozbolały ją uszy. Spojrzała na Sally.

– Możesz mi jeszcze raz pokazać te dwie szpulki koronek? Te, które oglądałam we czwartek? Nie mogłam zdecydować, czy…

– Daj spokój koronkom – przerwała jej Sally. – Powiedz nam coś więcej o tych dżentelmenach. Okrutnico, wiesz, że umieramy z ciekawości.

– Panno Finch! – Kobieta, której najmniej się spodziewała, przepchnęła się do przodu. – Panno Finch, co to za historia z tymi lordami?

– Pani Highwood? – Susanna zamrugała oczami, patrząc z niedowierzaniem na wdowę w koronkowym czepku. – Co pani tu robi?

– Wszystkie tu jesteśmy! – zawołała Minerva, stanąwszy za matką i trzymając pod rękę Charlotte. Diana, przy ladzie, pomachała jej nieśmiało.

Susanna jakoś je przeoczyła w całym zamieszaniu.

– Ale… ale widziałam wczoraj, jak pani powóz odjeżdżał.

– Mama wysłała go po nasze rzeczy – powiedziała Charlotte, kołysząc się na palcach. – Zostajemy w Spindle Cove na lato! Czy to nie wspaniałe?

– Tak. – Susanna roześmiała się z ulgą. – Tak, w istocie. Tak się cieszę.

Nawet pani Highwood się uśmiechnęła.

– Po prostu wiedziałam, że to właściwa decyzja. Przyjaciele zawsze twierdzą, że mam niezwykłą intuicję. No proszę, akurat dziś rano dwóch lordów zjawia się w okolicy. Kiedy tu będziemy, Diana może wyzdrowieć i do tego wyjść za mąż.

Hm… Tego Susanna nie była taka pewna.

– A teraz wszystko nam o nich opowiedz – nalegała Sally.

– Naprawdę nie ma zbyt wiele do powiedzenia. Wczoraj wieczorem przybyło tutaj trzech dżentelmenów, w tym podpułkownik Bramwell, sierżant Thorne i kuzyn Bramwella, lord Payne. Za służbę dla Korony Bramwell otrzymał tytuł hrabiego Rycliff. Zamek należy do niego. Czy teraz mogę zobaczyć koronki? – zwróciła się do Sally.

– Zamek należy do niego? – powtórzyła Violet. – Jak to możliwe? Człowiek zjawia się we wsi i nagle stary zamek staje się jego własnością, ot, tak sobie?

Pani Lange parsknęła gniewnie.

– Tacy są mężczyźni. Biorą, nie pytają.

– Otrzymał tytuł hrabiowski w uznaniu męstwa, jak się wydaje – wyjaśniła Susanna. – Powierzono mu zadanie zorganizowania lokalnego oddziału ochotników i przeglądu wojskowego. Parada odbędzie się zamiast jarmarku.

– Co? – pisnęła Charlotte. – Nie będzie letniego jarmarku? Ale ja tak na niego czekałam.

– Wiem, moja droga. Wszystkie chciałyśmy go zobaczyć. Ale tego lata znajdziemy inne rozrywki, o to się nie martw.

– Wcale w to nie wątpię. – Sally spojrzała na nią znacząco. – Jasne. Dwóch lordów i jeden oficer. Nic dziwnego, że interesują cię koronki, panno Finch. Z kilkoma dżentelmenami w pobliżu wszystkie panie będą chciały zadbać o swój wygląd.

Kilka dam otoczyło ją wianuszkiem, rozpytując o towary ze świeżym zapałem.

Z wyjątkiem Kate Taylor. Ta przeszła przez pokój, żeby stanąć obok Susanny. Kate była nauczycielką muzyki i jako jedna z nielicznych rezydowała w Spindle Cove od paru lat. Odznaczała się także cudownym rozsądkiem i należała do najbliższych przyjaciółek Susanny.

– Wyglądasz na niespokojną – zauważyła cicho.

– Och, to nic takiego – skłamała Susanna. – Ciężko pracowałyśmy, żeby stworzyć tę społeczność, i to, co robimy, jest ważne. Nie pozwolimy, żeby paru mężczyzn nas poróżniło.

Kate rozejrzała się dookoła.

– Wydaje się, że to już się dzieje.

Młode kobiety podzieliły się na dwie grupki – te, które z zapałem chłonęły rady Sally Bright, jak się upiększyć, stanęły z lewej strony. Te z prawej, jakby nieco zagubione, zerkały niespokojnie na swoje rękawiczki i pantofle.

Właśnie takiej reakcji się obawiała. Garstka młodych dam w Spindle Cove mogła paść ofiarą szkarłatnej gorączki i zacząć uganiać się za

czerwonymi kurtkami. A zdezorientowana szara większość wpełznie z powrotem w swoje skorupki, niczym kraby.

– Diana potrzebuje nowej wstążki – stwierdziła pani Highwood. – Koralowej. Zawsze najlepiej wygląda w tym kolorze. Ciemnozielona dla Charlotte.

– A dla panny Minervy? – zapytała Sally.

Pani Highwood machnęła lekceważąco ręką.

– Żadnych wstążek dla Minervy. Tylko je plącze, kiedy zdejmuje i wkłada okulary.

Susanna wyciągnęła szyję, żeby spojrzeć na dziewczynę w okularach, o której była mowa, niespokojna o jej uczucia. Na szczęście Minerva wycofała się w odległy kąt sklepu, gdzie, jak się wydawało, przyglądała się buteleczkom z atramentem. Średnia siostra Highwood nie mogła zapewne uchodzić za typową piękność, ale za jej okularami krył się żywy intelekt, a ten nie potrzebował wstążek do ozdoby.

– Jak oni wyglądają? – spytała Susanny mała Charlotte. – Czy są niezwykle przystojni?

– Co to ma do rzeczy?

Pani Highwood skinęła poważnie głową.

– Charlotte, panna Finch ma całkowitą rację. Nie ma znaczenia, czy ci lordowie są przystojni. O ile posiadają solidną fortunę. Uroda gaśnie, złoto nie.

– Pani Highwood, młode damy nie muszą się przejmować wyglądem dżentelmenów, ich majątkiem czy kolorami wstążek. Nie sądzę, żeby ci panowie chcieli tu prowadzić życie towarzyskie.

– Co? Ależ muszą. Z pewnością. Nie mogą siedzieć bez przerwy w tych zatęchłych ruinach.

– Jak dla mnie, mogą siedzieć na końcu świata – mruknęła Susanna pod nosem. Nikt jednak nie usłyszał jej zdumiewająco nieżyczliwej uwagi, ponieważ w tej chwili w drzwiach sklepu stanęli Finn i Rufus Brightowie.

– Jadą! – zawołał Finn. – Zauważyliśmy ich właśnie…

– …na drodze – dokończył bliźniak. – Biegniemy, żeby zająć się ich końmi. – Chłopcy zniknęli równie szybko, jak się pojawili.

Susanna uważała, że człowiek uczy się zawsze i wszędzie. Codziennie uczyła się czegoś nowego. Dzisiaj dowiedziała się, jak to jest znaleźć się w samym środku pędzącego tłumu.

Wszyscy obecni w sklepie rzucili się do okien, żeby spojrzeć na zbliżających się mężczyzn. Susanna przycisnęła się do drzwi, wstrzymując oddech, póki kurz nie opadł.

– Och – westchnęła Sally. – Ale przystojni!

– Och! – powiedziała pani Highwood, najwyraźniej zbyt przejęta, żeby wydobyć z siebie wyrazy o większej liczbie sylab. – Och.

– Nic nie widzę – jęknęła Charlotte, tupiąc nogami. – Minervo, trzymasz łokieć w moim uchu!

Susanna stanęła na palcach, wyciągając się do góry, żeby coś zobaczyć. Nie musiała bardzo się wyciągać. Czasami jej wzrost okazywał się zaletą.

Oto byli. Wszyscy trzej zsiadali właśnie z koni na wiejskim skwerku. Chłopcy Brightów chętnie wzięli lejce.

Ściśnięte wokół niej damy zawodziły z zachwytem nad urodziwymi rysami lorda Payne'a i jego urokiem. Susanna ledwie go zauważyła. Jej uwagę zwrócił natychmiast i niepodzielnie koszmarny lord Rycliff, który teraz, z nieogoloną szczęką i włosami związanymi w gruby ogon na karku, wyglądał jeszcze bardziej ponuro – jakby go żywcem wyjęto ze średniowiecza – niż przedtem. Nie mogła oderwać od niego wzroku. I nie mogła na niego patrzeć… nie czując go. Jego ciepła przy swojej piersi. Jego uścisku na swoim łokciu. Gorącego pocałunku na swoich wargach.

– Mój Boże – szepnęła jej Kate do ucha. – Są raczej… męscy, czyż nie?

Tak, pomyślała Susanna. Boże dopomóż, tak.

– A ten ciemnowłosy jest niesamowicie wysoki.

– Gdybyś poczuła go tuż obok…

Oczy Kate zrobiły się ogromne, zachichotała zaskoczona.

– Co ty mówisz?

– Eee… powiedziałam, że gdybyś go zobaczyła z bliska…

– Nie, nieprawda, powiedziałaś: poczuła z bliska. – W jej orzechowych oczach pojawił się szelmowski błysk.

Z uszami zaczerwienionych z zakłopotania Susanna machnęła ręką w mało przekonywającym odruchu obrony.

– Jestem uzdrowicielką. Oceniamy dłońmi.

– Skoro tak mówisz. – Kate odwróciła się ponownie do okna.

Violet westchnęła głośno.

– Przypuszczam, że w związku z tym nie odbędziemy naszego popołudniowego spotkania.

– Ależ skądże – sprzeciwiła się Susanna. – Nie ma potrzeby zmieniać planów. Najprawdopodobniej mężczyźni w ogóle nie będą sobie zawracać nami głowy. Ale jeśli nowy lord Rycliff i jego towarzysze będą mieli ochotę na herbatę… Musimy przyjąć ich jak najlepiej.

To zdanie wywołało wybuch entuzjazmu i burzę niepokoju. Posypały się wątpliwości.

– Panno Finch, oni nie zrozumieją. Wyśmieją nas, tak samo jak dżentelmeni w mieście.

– Miałabym grać dla hrabiego? Nie mam żadnej stosownej sukni.

– Umarłabym z zakłopotania. Po prostu bym umarła!

– Moje panie. – Susanna podniosła głos. – Nie ma powodu do niepokoju. Będziemy się trzymać naszego programu, jak zwykle. Za miesiąc misja lorda Rycliff się skończy i mężczyźni odjadą. W Spindle Cove nic się nie zmieni w związku z ich wizytą.

Dla dobra przyjaciół musi zachować odwagę w obliczu inwazji.

Patrząc jednak przez okienko w drzwiach, wiedziała, że nie mówi prawdy. Było za późno. Spindle Cove już się zmieniało.

Coś zmieniło się w niej.

Zeskoczywszy z wałacha, Bram wygładził kurtkę i rozejrzał się.

– Ładna wieś – stwierdził. – Raczej urokliwa.

– Wiedziałem – powiedział nadąsany Colin, dodając przekleństwo.

Na rozległym skwerku rosły dające cień drzewa. Po drugiej stronie drogi ciągnął się równy rządek budyneczków. Uznał, że największy to gospoda. Od centrum odchodziły, przecinające dolinę, wąskie drogi, przy których stały wiejskie chałupy. Od strony zatoczki wypatrzył skupisko skromnych domków. Zapewne mieszkali tam rybacy. Na środku skweru wznosił się kościół – strzelista katedra, zbyt wielka jak na wieś tych rozmiarów. Przypuszczał, że powstała w tych samych czasach co średniowieczny port, o którym wspominał sir Lewis.

– Czysto tutaj – zauważył ostrożnie Colin. – Zbyt czysto. I za spokojnie. To nienaturalne. Dostaję dreszczy.

Bram musiał przyznać, że wieś sprawiała dziwne wrażenie nieskazitelnie zadbanej i zdumiewająco bezludnej. Każdy kamień brukowy lśnił w słońcu. Dróżki pozamiatane. W oknach wszystkich domów drewniane skrzynki z czerwonymi pelargoniami.

Podbiegło do nich dwóch wyrostków.

– Czy możemy pomóc przy koniach, lordzie Rycliff?

Lordzie Rycliff? A zatem zdążyli go poznać. Przypuszczał, że nowiny w małej wsi rozchodzą się szybko.

Bram wręczył lejce jednemu z dwóch płowowłosych dzieciaków.

– Jak się nazywacie, chłopcy?

– Rufus Bright – oznajmił ten z lewej. – A to Finn.

– Jesteśmy bliźniakami – pośpieszył z wyjaśnieniem Finn.

– Co ty powiesz. – Bright, czyli jasny. Stosowne nazwisko przy tych bujnych, jasnych czuprynach. Tak jasnych, że niemal białych. – Widzisz? – zwrócił się do Colina. – Tutaj nie może nie być mężczyzn.

– To nie mężczyźni – odparł Colin. – To chłopcy.

– Nie wyrośli z ziemi. Jeśli są dzieci, muszą być mężczyźni. Co więcej, mężczyźni, których przyrodzenie nie przypomina zwiędłych patyczków. – Przywołał jednego z chłopców. – Wasz ojciec jest w pobliżu?

Potrząsnął przecząco świetlistą strzechą włosów.

– On… hm, tutaj go nie ma.

– Kiedy spodziewacie się jego powrotu?

Bliźniacy spojrzeli po sobie, wymieniając spłoszone spojrzenia.

W końcu odezwał się Rufus.

– Trudno powiedzieć, panie. Errol, nasz najstarszy brat, jeździ tu i tam, żeby zaopatrzyć sklep. Mamy Mydło i Powidło po drugiej stronie drogi. Co do ojca… nie ma go od jakiegoś czasu.

– Ostatnio pokazał się prawie dwa lata temu – powiedział Finn. – Był na tyle długo, żeby sprawić mamie kolejnego dzieciaka, a nam porozdzielać kuksańce. Picie bardziej go obchodzi niż własne dzieci.

Rufus dźgnął go łokciem.

– Dosyć gadania o rodzinie. Co jeszcze wypaplasz? Gdzie masz łaty w gaciach?

– Pytał o ojca. Powiedziałem prawdę.

Prawda była paskudna. Nie tylko dlatego, że dzieciaki miały nieobecnego durnia za ojca, ale także dlatego, że Bram mógłby wciągnąć trzeźwego pana Brighta do swojego oddziału. Pijanego już nie. Przyjrzał się bliźniakom. Czternaście, najwyżej piętnaście lat. Odrobinę za młodzi, żeby mogli się naprawdę przydać.

– Pokażecie nam, gdzie jest kowal?

– Czy twój koń zgubił podkowę, panie?

– Nie, ale mam dla niego inną pracę. – Musiał znaleźć najsilniejszych, najbystrzejszych mężczyzn w okolicy. Warsztat kowala był równie dobrym miejscem jak każde inne, żeby zacząć.

Przedpołudnie mijało, a Bram zaczynał rozumieć, dlaczego pan Bright popadł w pijaństwo. To miało być proste zadanie. Jako podpułkownik odpowiadał za żołnierzy piechoty w liczbie tysiąca. Tutaj wystarczyłoby dwudziestu czterech ochotników. Po godzinie poszukiwań ewentualnych kandydatów można było policzyć na palcach jednej ręki. Może mniej, niż mógłby policzyć na swoim kciuku.

Nieobecność pana Brighta okazała się pierwszym rozczarowaniem. Nie było lepiej, kiedy trafił do kowala. Aaron Dawes okazał się żylastym, silnym mężczyzną, jak to zwykle kowale. Jeśli chodzi o sam wygląd, Bram uznałby go za znakomitego kandydata. Co go jednak zmroziło, to fakt, że kiedy wszedł do warsztatu, kowal nie podkuwał wołu ani nie wykuwał ostrza siekiery, tylko naprawiał zawias w misternym medalionie.

Potem spotkał się z proboszczem. Uznał, że rozsądnie będzie zatrzymać się w kościele i przedstawić. Miał nadzieję, że wyjaśni swoją misję wojskową i uzyska pomoc proboszcza w rekrutacji ochotników. Proboszcz, pan Keane, był na oko młody i dość sprytny. Ale jedyne, o czym mógł mówić z zapałem, to wspomagające kościół damy i nowe haftowane poduszki na ławy.

– Nie mów, że cię nie ostrzegałem – powiedział Colin, kiedy wyszli po mało wnoszącej rozmowie z proboszczem.

– Co za proboszcz nosi różową kamizelkę?

– Taki, który mieszka w Spindle Cove. Jest tak, jak ci mówiłem, Bram. Uschłe patyki. Wysuszone porzeczki.

– Są inni mężczyźni. Prawdziwi mężczyźni. Gdzieś.

Musieli istnieć. Rybacy, rzecz jasna, wypłynęli na morze, więc pół tuzina szop i komórek na sieci nad zatoczką stało pustych przez cały dzień. Na wsi wokół musieli być gospodarze, ale zapewne dzisiaj, w sobotę, udali się do najbliższego miasteczka na targ.

A na razie, jak sądził Bram, mężczyzn da się zapewne znaleźć tylko w jednym miejscu. W ulubionym miejscu werbowników z wojska i marynarki.

– Chodźmy do gospody – powiedział. – Muszę się napić.

– A ja zjeść stek – oznajmił Thorne.

– A ja potrzebuję dziewczyny – dodał swoje Colin. – Nie ma takich w małych wioskach nadmorskich? Karczemnych dziewek?

– To musi być tam. – Bram skierował się przez skwer w stronę wesoło wyglądającego budyneczku. Nad wejściem wisiał tradycyjny szyld angielskiej tawerny. Dzięki Bogu. To niemal jak wrócić do domu. Prawdziwe angielskie oberże, z lepkimi od brudu podłogami, ciemnymi, wilgotnymi kątami to ojczyzna mężczyzn.

Bram zwolnił, kiedy zbliżyli się do wejścia. Na drugi rzut oka to nie przypominało żadnej karczmy, w której bywał. W oknach wisiały koronkowe zasłonki. Z wnętrza dobiegały delikatne dźwięki fortepianu. A na szyldzie nad drzwiami widniał napis…

– Powiedz, że tam nie jest napisane to, co mi się wydaje, że jest.

– Pąsowy Bratek – odczytał na głos kuzyn, tonem najgłębszego przerażenia. – Herbaciarnia i cukiernia.

Bram zaklął. Zapowiadało się jak najgorzej.

Nie tak. Otworzywszy pomalowane na czerwono drzwi, uświadomił sobie, że nie będzie źle. Będzie ślicznie, ponad męską wytrzymałość.

6

*W*ybacz, kuzynie. – Colin klepnął Brama po ramieniu. – Wiem, że nie znosisz, kiedy mam rację.

Bram się rozejrzał. Nie było brudnej podłogi. Ciemnych, wilgotnych kątów. Ani mężczyzn.

Dostrzegł natomiast stoliczki nakryte białym adamaszkiem. Na każdym stał gliniany wazonik ze świeżymi, polnymi kwiatami. A wokół każdego stoliczka zasiadała garstka młodych dam. W sumie musiało ich być ze dwadzieścia. W sukniach, wstążkach, niektóre w okularach. Wszystkie zdumione pojawieniem się mężczyzn.

Fortepian zamilkł, wydając ostatni, ponury jęk. A potem, jak na dany sygnał, dziewczęta zwróciły się ku środkowi pokoju, najwyraźniej oczekując wskazówek od przywódczyni.

Panny Susanny Finch.

Dobry Boże! Panna Finch królową ula starych panien? Jej włosy barwy płynnego brązu stanowiły akcent dzikiego piękna w tej ślicznej do mdłości scence. A jej niesforne piegi kłóciły się z narzuconym spokojem. Bezskutecznie siląc się na obojętność, Bram poczuł, że krew zaczyna w nim wrzeć buntowniczo.

– Och, lord Rycliff. Lord Payne. Kapral Thorne. Co za niespodzianka. – Wstała i dygnęła głęboko. – Czy zechcecie się do nas przyłączyć?

– No dalej. Przynajmniej coś zjedzmy – mruknął Colin. – Gdzie zbierają się dwie lub więcej dam, tam jest jedzenie. Jestem pewien, że to jest gdzieś wspomniane w Piśmie Świętym.

– Siadajcie, proszę. – Panna Finch wskazała puste krzesła przy stoliku pod ścianą.

– Jesteś żołnierzem piechoty. – Colin dźgnął go łokciem. – Ty pierwszy.

Bram ruszył w stronę krzesła, schylając głowę, żeby nie uderzyć się o niski sufit. Czuł się jak przysłowiowy słoń w składzie porcelany. Wokół niego delikatne panienki trzymały kruche filiżanki w eleganckich dłoniach i wodziły za nim wielkimi jak spodki oczami osadzonymi w twarzyczkach o porcelanowej cerze. Bram podejrzewał, że jednym gwałtownym ruchem mógłby zburzyć całą tę scenę.

– Przyniosę coś do picia – zaoferowała się Susanna.

O, nie. Nie zostawi go samego wśród tych wszystkich śliczności. Odsunął krzesło, trzymając je dla niej.

– Mój kuzyn to zrobi. Proszę usiąść, panno Finch.

W jej oczach błysnęło zaskoczenie. Zajęła miejsce. Bram spoczął na sąsiednim krześle. To, co zobaczył rano, i do tego ponure przepowiednie Colina… Wiedział, że w tej wsi dzieje się coś bardzo dziwnego. Cokolwiek to było, panna Finch grzecznie mu to wyjaśni.

Oczywiście, jak tylko usiadła koło niego, zdolność koncentracji opuściła go w znacznym stopniu. Stoliczek dla karzełków zmuszał ich, żeby siedzieli bardzo blisko siebie, tak że jej ramię ocierało się o jego rękę. Aż za łatwo przychodziło mu wyobrazić sobie słodsze zbliżenia. Przypomnieć sobie dotyk jej ciała.

Muzyka rozbrzmiała na nowo. Na stole pojawiła się filiżanka herbaty.

Pochyliła się ku niemu; owionął go jej zapach – woń oranżerii.

– Mleko czy cukier? – zapytała cichym szeptem.

Niech to diabli. Ofiarowała mu herbatę. Jego ciało zareagowało, jakby stała przed nim naga z dzbanuszkiem śmietany w jednej ręce i cukierniczką w drugiej, pytając, którą z tych rzeczy wolałby zlizywać z jej nagiej skóry.

Jedno i drugie. Jedno i drugie, proszę.

– Ani jedno, ani drugie. – Wytężając siły, żeby zwalczyć pokusę, Bram wyciągnął buteleczkę z kieszeni na piersi i hojnie zaprawił parującą herbatę whiskey. – Co tu się dzieje?

– To nasz cotygodniowy salon. Jak już wczoraj wspomniałam, damy w Spindle Cove mają zajęcia rozpisane na każdy dzień tygodnia. Poniedziałek, spacery po okolicy. Wtorek, kąpiele morskie. Środy spędzamy w ogrodzie, a…

– Tak, tak – powiedział, drapiąc się po nieogolonej szczęce. Pamiętam. We czwartki, mam nadzieję, zapewniacie opiekę osieroconym owieczkom.

– Niezależnie od zajęć grupowych – ciągnęła z niezmąconym spokojem – każda z dam rozwija własne zainteresowania. Sztuka, muzyka, nauka, poezja. W soboty świętujemy nasze osiągnięcia. Salon pomaga młodym damom nabrać pewności siebie przed powrotem do większej społeczności.

Bram nie mógł sobie wyobrazić, dlaczego damie, która właśnie grała na fortepianie, miałoby brakować pewności siebie w występach publicznych. Sam nie był szczególnie uzdolniony w tej dziedzinie, ale potrafił rozpoznać prawdziwy talent. Nigdy by nie przypuszczał, że na fortepianie można wygrywać dźwięki, które młoda dama właśnie z niego wydobywała – kaskady śmiechu i żałosne, płynące z głębi serca skargi. I do tego dziewczyna była ładna. Patrząc na nią z profilu, podziwiał gęste kasztanowe włosy i delikatne rysy. Nie należała do typu, który Bram zwykle preferował, ale posiadała ten rodzaj urody, którego żaden mężczyzna nie mógłby jej odmówić.

Dziewczyna grała, a Bram niemal przestać myśleć z pożądaniem o Susannie Finch. Tylko geniusz muzyczny był w stanie tego dokonać.

– To panna Taylor – szepnęła. – Nasza nauczycielka muzyki.

Wrócił Colin, postawił talerz z jedzeniem na środku stołu i szczęśliwie rozproszył niezręczny nastrój.

– Oto jest – oznajmił. – Jedzenie.

Bram przyjrzał się talerzowi.

– Jesteś pewien?

Talerz był zastawiony rzędami maleńkich ciasteczek, z których każde polukrowano w innym odcieniu. Wierzchy słodkich przekąsek ozdobiono maleńkimi różyczkami i cukrowymi perełkami.

– To nie jest jedzenie. – Bram ujął ciasteczko z lawendowym lukrem w dwa palce i przyjrzał mu się. – To… jadalna ozdóbka.

– Da się zjeść. Tylko to mnie obchodzi. – Colin wpakował sobie do ust sezamowe ciasteczko.

– Och, te lawendowe to specjalność pana Fosbury. – Skinęła głową w stronę ciastka, które trzymał Bram, i wybrała dla siebie takie samo. – Są nadziewane jego konfiturą porzeczkową. Boskie.

– Zrobił to jakiś pan Fosbury? – Bram podniósł ciastko do góry.

– Tak, oczywiście. Ten budynek jest jego własnością od pokoleń. Kiedyś tu była tawerna.

A więc to miejsce zwykło być tawerną. Z kwartami prawdziwego piwa, jak można się domyślać. I zapiekanką z nerek. I ze stekami tak krwistymi, że nadal słyszało się muczenie krowy. Żołądek Brama zaburczał z rozpaczy.

– Dlaczego właściciel tawerny zabrał się do pieczenia ciasteczek? – Zerknął wokół, wszystko było takie nowe i śliczne. W oknach wesoło powiewały koronkowe zasłonki, kpiąc sobie z niego i jego lukrowanego, lawendowego *petit four*.

– Wszystko się zmienia. Kiedy gospoda stała się miejscem spotkań dla dam, miejscowi przedsiębiorcy mogli się jedynie dostosować.

– Rozumiem. A zatem to miejsce nie jest już tawerną. Jest herbaciarnią. Zamiast prawdziwego, pożywnego jedzenia dają tu te pastelowe bzdurki. Poniżyłaś ciężko pracującego, przyzwoitego człowieka i zmusiłaś do wyrabiania lukrowych różyczek, żeby zarobił na życie.

– Nonsens. Nie poniżyłyśmy pana Fosbury w żaden sposób.

– A niech was, jeśli tak nie jest. Sprawiłyście, że… zwiądł jak porzeczki. – Bram odłożył ciastko z niesmakiem, rozglądając się za czymś, w co mógłby wytrzeć palce. W końcu zostawił fioletowe lukrowe smugi na adamaszkowym obrusie, bawiąc się jękiem oburzenia, jaki wydała panna Finch.

– To raczej średniowieczny punkt widzenia – powiedziała, wyraźnie urażona. – Tutaj, w Spindle Cove, żyjemy w nowoczesny sposób. Dlaczego mężczyzna nie miałby robić porzeczkowych konfitur czy pięknych medalionów, jeśli to mu odpowiada? Dlaczego dama nie może rozwijać wiedzy z zakresu geologii czy medycyny, jeśli to ją interesuje?

– Kobietami nie zawracam sobie głowy. – Bram się rozejrzał. – No więc gdzie zbierają się wieczorem ci nowocześni mężczyźni, skoro pozbawiono ich tawerny?

Wzruszyła ramionami.

– Przypuszczam, że idą do domu. Tych niewielu, którzy jeszcze tu mieszkają.

– Uciekają ze wsi, czy tak? Nietrudno uwierzyć.

– Niektórzy wstąpili do armii czy marynarki. Inni wyjechali za pracą do większych miejscowości. W Spindle Cove po prostu nie ma wielu mężczyzn. – Jej przejrzyste niebieskie oczy napotkały jego wzrok. – Zdaję sobie sprawę, że to znacząco utrudnia pańskie zadanie, ale szczerze mówiąc… nie odczuwałyśmy tego jako jakiegoś braku.

Napiła się herbaty. Nie rozumiał, jak zdołała tego dokonać z tym leciutkim uśmieszkiem na ustach.

Odstawiła filiżankę, jej brwi wygięły się w łuk.

– Wiem, czego pan chce, lordzie Rycliff.

– Och, mocno w to wątpię. – Jej wyobraźnia nie mogła chyba być taka żywa.

Chwyciła kolejne ciasteczko, umieszczając je między kciukiem a palcem wskazującym.

– Wolałby pan wielki krwawy kawał mięsa. Który mógłby pan dźgnąć widelcem. Przebić nożem. Brutalnie zdobyć. Mężczyzna traktuje jedzenie jak podbój. Ale dla kobiety to bunt. Wszystkie tutaj jesteśmy damami, a Spindle Cove to nasze miejsce, żeby smakować wolność małymi słodkimi kęskami.

Podniosła lukrowane ciasteczko do ust i ugryzła zmysłowo i zdecydowanie. Jej zwinny język wysunął się, żeby uratować odrobinę zbłąkanego dżemu. Westchnęła z rozkoszy, a on niemal jęknął głośno.

Bram zmusił się, żeby odwrócić uwagę, szukając ucieczki w występie utalentowanej panny Taylor. Do tego stopnia oczarowała zgromadzonych, że dobra chwila upłynęła, odkąd przebrzmiały ostatnie dźwięki muzyki i rozległy się entuzjastyczne oklaski. Bram klaskał ze wszystkimi. Jedyną duszą, która nie klaskała, był Thorne. Ale czy Thorne w ogóle posiadał duszę? Kapral stał obojętnie przy drzwiach z ramionami skrzyżowanymi na piersi. Bram przypuszczał, że dla Thorne’a klaskanie było zbyt bliskie okazywaniu uczuć; podobnie jak taniec, śmiech i zmiana wyrazu twarzy na bardziej komunikatywny niż mrugnięcie okiem. Ten człowiek był jak skała. Nie, nie tylko skała. Skała zakuta w żelazo. A do tego jeszcze uwięziona w lodzie.

Tak więc Bram wiedział, że stało się coś szokującego, kiedy zauważył, jak kapral drgnął. Nikt inny w pokoju nie zwróciłby na to uwagi – tylko lekkie napięcie w ramionach i szybkie przełknięcie śliny. Ale jak na Thorne’a to było niemal to samo co mrożący krew w żyłach krzyk.

Bram odwrócił się, żeby sprawdzić, co tak bardzo poruszyło jego przyjaciela. Panna Taylor podniosła się z ławeczki przy fortepianie i dygnęła wdzięcznie, zanim powróciła na swoje miejsce. Teraz zobaczył to, czego nie mógł dostrzec, obserwując jej profil. Drugą stronę jasnej, delikatnej twarzyczki panny Taylor szpeciło czerwone znamię. Plama

czerwonego pigmentu w kształcie serca zajmowała sporą część jej prawej skroni, znikając we włosach.

Szkoda. Taka ładna dziewczyna.

Jakby czytając w jego myślach, panna Finch spojrzała na niego znacząco.

– Panna Taylor jest jedną z moich najbliższych przyjaciółek. Z pewnością nie znam nikogo ani milszego, ani piękniejszego od niej.

Jej głos przypominał ostrze noża, odczytał w nim wyraźną intencję: Nie rań mojej przyjaciółki.

Ach. To wiele wyjaśniało. To, jak się sprawy miały we wsi, jej opór wobec zorganizowania oddziału. Panna Finch pozowała na opiekunkę tego stadka żeńskich dziwadeł. I to w jej oczach czyniło Brama – i jak się wydawało, każdego pełnokrwistego mężczyznę – wrogiem.

Interesujące. Bram mógł szanować jej intencje, nawet je podziwiać. Zapewne uważała, że rozwiązuje trudne problemy. Ale jej arytmetyka wymagała zasadniczej korekty. Mężczyzn nie można było po prostu usunąć z równania. Ochrona tego miejsca była męskim zadaniem – w tym wypadku należącym do Brama. A jej stadko brzydkich kaczątek utrudniało sprawę.

A co do brzydkich kaczątek, to miejsce panny Taylor zajęła teraz młoda dama w okularach. Dziewczyna nie usiadła przy fortepianie ani nie wyjęła żadnego innego instrumentu muzycznego. Zamiast tego trzymała w dłoniach pudełko z jakimiś ciekawostkami, które zaczęła podawać zgromadzonym. Ich brak zainteresowania rzucał się w oczy. Bram wyciągnął szyję. Z tego, co zobaczył, te skarby wyglądały na… grudy ziemi. To by wyjaśniało powszechne zakłopotanie.

– Co ta dziewczyna wyrabia? – szepnął Colin, zjadając kolejne ciastko z sezamem. – Wydaje się wygłaszać wykład o ziemi.

– To Minerva Highwood. – Znowu ten ostry jak brzytwa ton głosu. – Jest geologiem.

Colin parsknął z rozbawieniem.

– To wyjaśnia sześć cali brudu na dole jej spódnicy.

– Przyjechała tutaj na lato z matką i dwiema siostrami, panną Dianą i panną Charlotte. – Panna Finch wskazała jasnowłose kobiety przy pobliskim stoliku.

– No, no – mruknął Colin. – Te są interesujące.

Podniosła się kolejna młoda dama, żeby zająć miejsce przy fortepianie. Colin odszedł od stolika i zajął zwolnione krzesło – przypadkiem w pobliżu Diany Highwood.

– Co on robi? – zapytała panna Finch. – Panna Highwood jest rekonwalescentką. Pański kuzyn chyba nie zamierza… – Zaczęła podnosić się z krzesła.

Znowu ta opiekuńczość. Powstrzymał ją ręką.

– Proszę się nim nie przejmować. Poradzę sobie z nim. Teraz rozmawiamy. Pani i ja.

Kiedy opadała z powrotem na krzesło, kopnął jego nogę, obracając je tak, że zmuszona była usiąść twarzą do niego. Spojrzała na swoją rękę, na miejsce, gdzie dotykał jej nadgarstka. Żeby zdenerwować ich oboje, nie cofnął dłoni. Satyna rozgrzewała się pod opuszkami jego palców. Kusił rządek guziczków.

Niech to diabli, wszystko go w niej kusiło.

Puścił ją z wysiłkiem.

– Chcę mieć pewność, że dobrze zrozumiałem, panno Finch. Zgromadziłaś kolonię niezamężnych kobiet, potem wyrzuciłaś albo wykastrowałaś wszystkich pełnokrwistych mężczyzn w Spindle Cove. A jednak nie czujesz straty.

– Żadnej. W istocie uważam, że nasza sytuacja jest idealna.

– Zdajesz sobie sprawę, że to brzmi bardzo…

Pochyliła współczująco głowę.

– Groźnie? Rozumiem, że mężczyzna może to odbierać w ten sposób.

– Chciałem powiedzieć, że wygląda to na grzeszną miłość między kobietami.

Pyszne, umazane porzeczkami wargi rozwarły się ze zdumienia.

Dobrze. Już się zaczynał zastanawiać, co zrobić, żeby jej zaleźć za skórę. A kiedy jego myśli biegły tym torem, przed oczami stawały mu obrazy… jej skóry. Jej miękkość, gorąco… te słodkie piegi, porozrzucane jak przyprawa.

– Zaszokowałem panią, panno Finch?

– Muszę to wyznać, istotnie. Ale nie insynuacją romantycznej miłości między kobietami, o nie. Po prostu w życiu bym nie podejrzewała, że tak wnikliwie zgłębił pan poezję starożytnej Grecji. Zaiste, to szok.

– Dowiedz się więc pani, że uczęszczałem do Cambridge przez trzy semestry.

– Naprawdę? – Otworzyła szeroko oczy w kpiącym wyrazie zaskoczenia. – Całe trzy semestry? No, to robi wrażenie. – Mówiła niskim, przeciągłym głosem, który podniósł wszystkie, do ostatniego, włoski na jego przedramionach.

W którymś momencie tej rozmowy przestała się z nim spierać, a zaczęła flirtować. Wątpił, żeby zdawała sobie z tego sprawę – nie bardziej, niż z niebezpieczeństwa wczoraj, kiedy to spod jej podartej sukni omal nie wyłoniła się blada, sprężysta pierś. Brakowało jej doświadczenia, żeby uchwycić różnicę między sprzeczaniem się a całkiem serdeczną zażyłością.

Bram znieruchomiał, patrząc jej w oczy. Wpatrywał się w nie uparcie, póki ona także nie zdała sobie z tego sprawy – z palącej iskry wzajemnej fascynacji, którą przerzucali między sobą.

Powietrze rozgrzało się od wysiłku, jaki włożyła w utrzymanie spokojnego oddechu. Spuściła wzrok – na krótką chwilę – na jego usta. Przelotny duch pocałunku.

O tak, odparł, leciutko unosząc brew. To właśnie robimy.

Przełknęła ślinę głośno. Ale nie odwróciła spojrzenia.

Do diabła, tak dobrze mogłoby im być razem. Widział to, tylko patrząc jej w oczy. W ich błękicie była inteligencja i namiętność. I głębia. Intrygująca głębia, którą pragnął zbadać. Mężczyzna mógł tak rozmawiać z kobietą przez całą noc. W przerwach, rzecz jasna. Między dłuższymi okresami sapnięć i jęków.

To córka sir Lewisa Fincha! – zatrąbiło mu sumienie do ucha. Rzecz w tym, że reszty jego ciała to w żaden sposób nie obchodziło.

Odchrząknęła, gwałtownie przerywając czar, który na niego rzuciła.

– Pani Lange, czy zechce pani przedstawić nam poemat?

Bram oparł się na krześle. Na podwyższenie weszła szczupła, ciemnołosa kobieta, ściskająca papier w dłoni. Wydawała się nieśmiała i zagubiona.

Dopóki nie otworzyła ust.

– O, niegodny zdrajco! O, krzywoprzysiężco!

Cóż. Teraz ściągnęła na siebie uwagę całej sali.

– Usłysz mój gniew, jak grom odległy. Me serce rozdarte, nadzieje poległy. Spadła na mnie burza straszliwa, lecz nie ulegnę. – Podniosła wzrok znad kartki papieru. – Bez znaczenia jej siła.

Panna Finch nachyliła się do niego i szepnęła:

– Pani Lange jest w separacji z mężem.

– Poważnie? – mruknął. Podniósł ręce, gotów, żeby uprzejmie zaklaskać.

Ale poemat na tym się nie skończył O, nie. Ciągnął się dalej.

Przez kilkanaście minut.

Było, jak się wydaje, wiele przypadków epickiej zdrady, które należało odnotować. Im dłużej czytała, tym wyżej podnosiła głos. A nawet jej ręce zaczęły drżeć.

– Zwiódł mnie, do innej odchodząc. Odpłaciłam za to, krew w żyłach mrożąc. Brązowa taca na herbatę… Polerowana, krew splamiła ją matem. – Zamknęła oczy. – Pamiętam tę rdzę, plamę wielką. Choć nie chcę, wciąż mam ten obraz…

Pokój wstrzymał oddech.

– …pod powieką.

Cisza.

– Brawo! – Colin zerwał się na równe nogi, klaszcząc jak szalony. – Doskonałe, w rzeczy samej. Posłuchajmy następnego utworu.

Bram dostrzegł kątem oka, jak kąciki miękkich, pysznych warg panny Finch drżą. Walczyła, żeby się nie roześmiać. A Bram powstrzymywał się z całej mocy, żeby tych ust nie przykryć swoimi. Popróbować słodyczy jej śmiechu, cierpkiego smaku jej dowcipu. Wziąć ją w taki sposób, w jaki tego pragnęła. W dziki, średniowieczny sposób.

Wydawało się, że wie, co robić.

Odsunął się od stołu, nogi krzesła zaskrzypiały na deskach podłogi. Wszystkie kobiety w pokoju odwróciły się do niego w niemym przerażeniu, a on wstał, burknął:

– Miłego popołudnia.

I wyszedł.

7

Susanna ruszyła za nim.

Zanim zorientowała się, co robi, zerwała się z krzesła, minęła drzwi i wyszła za tym nieznośnym mężczyzną na drogę. Bez wątpienia chciała, żeby sobie poszedł. Ale nie mogła pozwolić, żeby odszedł w ten sposób.

– To było raczej obcesowe. – Pobiegła za nim, unosząc spódnicę, kiedy zmierzał w stronę swojego konia. – Młode damy, choć zaniepokojone, zrobiły wszystko, żeby panów dobrze przyjąć. Należało przynajmniej grzecznie się pożegnać.

A skoro już o tym mowa, to mógł przyjąć lawendowe ciastko albo kolację poprzedniego wieczoru w Summerfield. Mógł się powstrzymać od prowokowania jej, aż się zaczerwieniła i bawiła własnymi włosami jak dziewczynka, wobec wszystkich swoich protegowanych. Mógł zadać sobie trud, żeby się ogolić.

Co z nim było nie tak, że nie potrafił się zachować w towarzystwie? Miał kuzyna wicehrabiego. Sam, z pewnością, został wychowany na dżentelmena.

Dogoniła go na skwerku, tylko lekko zadyszana.

– Spindle Cove to wieś letniskowa, lordzie Rycliff. Letnicy przybywają z daleka, żeby cieszyć się piękną, słoneczną pogodą i uzdrawiającą atmosferą. Jeśli wciągnie pan głęboko powietrze i rozejrzy się, może stwierdzi, że to miejsce i na pana dobrze działa. Ponieważ, proszę wybaczyć, że to powiem, obecność posępnego, gniewnego lorda tu nie pasuje.

– Wyobrażam sobie. – Bram przejął lejce od Rufusa Brighta. Skinął głową w stronę Pąsowego Bratka. – To nie miejsce dla mnie. Wiedziałem o tym. Pozostaje pytanie, panno Finch… co pani robi w tej wsi?

– Usiłowałam to wyjaśnić. Tutaj, w Spindle Cove, zgromadziły się damy, które wspierają się nawzajem przyjaźnią, zajęciami pobudzającymi intelekt i zdrowym trybem życia.

– Nie, nie. Rozumiem, jakie to może być pociągające dla nijakiej, niezdarnej pannicy bez widoków na coś lepszego. Ale co pani tutaj robi?

Skonsternowana, odwróciła ręce dłońmi do góry.

– Żyję sobie szczęśliwie.

– Doprawdy. – Posłał jej sceptyczne spojrzenie. – Nawet jego koń parsknął jakby niedowierzająco. – Taka kobieta jak pani.

Najeżyła się. Za jaką właściwie kobietę ją uważał?

– Jeśli sądzi pani, panno Finch, że w pani życiu nie ma miejsca dla mężczyzny, to dowodzi tylko jednego. – Szybkim ruchem podciągnął się na siodło. Następne słowa padały z góry, sprawiając, że poczuła się mała i nic nieznacząca. – Spotykałaś niewłaściwych mężczyzn.

Spiął wałacha do cwału i odjechał, zostawiając ją urażoną i wściekłą. Odwróciła się na pięcie i przed nosem dostrzegła epolet kaprala Thorne'a.

Przełknęła ślinę. Z drugiego końca pokoju Thorne wydawał się groźny. Z bliska przerażał. Ale gniew i ciekawość Susanny jeszcze się nie uspokoiły. Razem przemogły wpojoną etykietę i ostrożność.

– Co się dzieje z tym człowiekiem? – zapytała sierżanta.

Jego oczy stwardniały.

– Ten człowiek. – Machnęła ręką ku drodze. – Rycliff. Bramwell. Pański przełożony.

Zacisnął stalowe szczęki.

– Musi go pan dobrze znać. Zapewne przebywał pan latami u jego boku, był najbliższym powiernikiem. Proszę mi zatem powiedzieć. Czy to się zaczęło w dzieciństwie? Czy rodzice go zaniedbywali, guwernantka źle traktowała? Zamykała na strychu?

Teraz twarz mężczyzny obróciła się w kamień. Kamień poprzecinany nieprzyjaznymi bruzdami zmarszczek i twardą linią tam, gdzie powinny być usta.

– Czy to może przez wojnę? Może dręczą go wspomnienia jakiejś bitwy? Czy jego regiment wpadł w pułapkę, wielu żołnierzy zabito? Schwytano go i trzymano w niewoli? Mam nadzieję, że istnieje jakieś usprawiedliwienie!

Czekała, śledząc pilnie twarz kaprala. Nie dało się z niej nic wyczytać.

– Herbata budzi w nim paraliżujący strach – wyrzuciła z siebie. – Albo zamknięta przestrzeń. A może pająki. To ostatnie, co przychodzi mi do głowy. Proszę mrugnąć raz, na tak, dwa na nie.

Nie mrugnął wcale.

– Nieważne – powiedziała zrozpaczona. – Będę musiała sama to z niego wyciągnąć.

Po jakichś trzydziestu minutach, sapiąc i dysząc, Susanna dotarła na klify, w pobliżu zamku Rycliff. Lord Rycliff przybył tam, naturalnie, na długo przed nią. Jego wierzchowiec, już rozsiodłany, pasł się nieopodal.

– Lordzie Rycliff?! – zawołała. Jej krzyk odbił się od kamieni.

Żadnej odpowiedzi.

Spróbowała znowu, otaczając usta dłońmi.

– Lordzie Rycliff, można na słowo?

– Tylko jedno, panno Finch? – nadeszła cicha odpowiedź od strony dziedzińca. – Czyżbym miał tyle szczęścia?

Ruszyła w stronę kamiennych wieżyczek, nastawiając uszy, żeby usłyszeć jego głos.

– Gdzie pan jest?

– W zbrojowni.

Zbrojownia?

Idąc za dźwiękiem jego głosu, skierowała się do łukowato sklepionej bramy na dziedziniec. Wewnątrz skręciła w lewo i weszła do pustej, kamiennej wieżyczki w północno-wschodnim rogu. Obecnie, jak się wydawało, zbrojowni. Przypuszczała, że to odpowiednie miejsce, żeby trzymać proch i broń. Chłodne, ciemne, otoczone kamieniem. Skrzypienie suchego żwiru pod stopami wskazywało, że dach jest w na tyle dobrym stanie, że nie przepuszcza deszczu.

Stanęła w progu, czekając, aż jej oczy przywykną do przyćmionego światła. Powoli scena nabierała wyrazistości, a kiedy Susanna dostrzegła szczegóły, serce jej zamarło.

Miała nadzieję – i to całkiem dużą – że Rycliff nie potraktuje zbyt poważnie zadania zorganizowania oddziału ochotników, że ograniczy wysiłki do niezbędnego minimum. Przekonywała się, że to wszystko tylko na pokaz. Chyba nie liczył, że uda mu się stworzyć w Spindle Cove prawdziwy oddział bojowy.

Ale, jeśli oczy jej nie zawodziły, nie mogła zaprzeczyć prawdzie. Ten człowiek traktował swoją misję jak najpoważniej. Miała przed sobą niezły arsenał.

Pod jedną ścianą wieży stały muszkiety brown bess[6]. Z drugiej strony stosy kul armatnich i kartaczy. Na nowo zbudowanych półkach umieszczono beczułki z prochem. A obok nich, tyłem do niej, stał lord Rycliff.

Przebrał się i teraz miał na sobie tylko luźną koszulę, bryczesy i buty – bez kubraka czy fularu. Jasne płótno pobłyskiwało w słabym świetle, napinając się na muskułach jego ramion i pleców. Susanna nie była doktorem, ale nieźle znała ludzką anatomię. Na tyle dobrze, żeby zorientować się, jaki wspaniały mężczyzna przed nią stoi. Bez wojskowej kurtki, na przykład, była w stanie docenić jego zgrabne pośladki. Jędrne, umięśnione i…

I absolutnie niestosowne jako przedmiot jej uwagi. Co się z nią działo? Podniosła wzrok, poświęcając chwilę, żeby dojść do siebie, zanim się odezwie. Bram miał włosy związane w długi ciemny ogon. Jego koniec zwieszał się między łopatkami, zawinięty jak haczyk wędki, wabiąc ją.

– Lordzie Rycliff?– Nie odwrócił się. Wciągnęła głęboko powietrze i spróbowała jeszcze raz, nadając głosowi mocniejsze brzmienie. – Lordzie…

– Wiem, że pani tu jest, panno Finch. – Jego głos był spokojny i opanowany. Bram stał do niej tyłem, schylony nad czymś, czego nie widziała. – Proszę przez chwilę zachować spokój. Odmierzam proch.

Susanna posunęła się o krok.

– No, proszę – powiedział niskim, uwodzicielskim szeptem. – Tak. Właśnie tak.

Dobry Boże. Zmysłowa chrypka w jego głosie miała wielką moc. Przesunęła środek ciężkości z palców na pięty. Susanna cofnęła się, wpadając plecami na kamienny, stary mur. Przyjemnie chłodził jej łopatki.

Nie odwracając się, Rycliff zagadnął:

– Cóż, panno Finch? Czego pani sobie życzy?

Co za niebezpieczne pytanie.

Uświadomiła sobie, że wciąż przytula się do ściany. Duma kazała jej zrobić dwa kroki do przodu. Kiedy szła, coś beknęło, jakby upominając ją,

że wkracza na cudze terytorium. Zatrzymała się w pół kroku i zerknęła w dół.

– Tu jest jagnię!

– Proszę się nie przejmować. To kolacja.

Uśmiechnęła się, poklepując zwierzę przyjaźnie.

– Cześć, Kolacja. Wiesz, że jesteś słodki?

– To nie imię, raczej… zapowiedź tego, co się z nim stanie. – Zaklął, zniecierpliwiony, i odwrócił się, wycierając ręce szmatą. Dłonie miał ubrudzone prochem czarnym jak węgiel, a jego oczy lśniły jak smolisty gagat. – Jeśli ma pani coś do powiedzenia, proszę zaczynać. Albo ruszać w swoją drogę.

Jęknęła w duchu. Był taki… Taki męski. Szczebiotał pieszczotliwie do broni, a potem na nią warczał. Jako córka swojego ojca, Susanna rozumiała, że ambitny mężczyzna może wydawać się związany ślubem z własną pracą. Ale to było żałosne.

Wyprostowała się.

– Lordzie Rycliff, jestem zainteresowana utrzymaniem harmonii we wsi, a obawiam się, że nie zaczęliśmy najlepiej sąsiedztwa.

– A jednak – skrzyżował ramiona na piersi – jest pani tutaj.

– Jestem. Ponieważ nie dam traktować się w ten sposób, rozumie pan? I nie pozwolę, żeby straszył pan moich przyjaciół. Pomimo dziwacznych okoliczności naszego pierwszego spotkania próbowałam zachowywać się przyjaźnie. Pan za to postępuje jak zwierzę. Sposób, w jaki mówił pan do mnie wczorajszego wieczoru. To, jak pan się zachował w herbaciarni. Nawet teraz, w tej chwili… Po pana naburmuszonym tonie i srogiej postawie wnoszę, że chce mnie pan onieśmielić. Ale proszę spojrzeć. – Machnęła ręką w stronę jagnięcia. – Nawet Kolacja się nie boi. Ja też nie.

– Wobec tego jesteście głupi, oboje. Mógłbym z was przyrządzić jeden posiłek.

Pokręciła głową, idąc do niego.

– Nie sądzę. Wiem, że nie zamierzał pan się tu zatrzymać, ale ludzie zawsze przybywają do Spindle Cove, żeby dojść do siebie. Jeśli wolno mi to powiedzieć, lordzie Rycliff, myślę, że pan cierpi. Jest pan jak wielki kudłaty lew, z cierniem w łapie. Kiedy się wyrwie cierń, wróci dobry humor.

Nastąpiła długa cisza.

Jedna ciemna brew wygięła się w łuk.

– Myśli pani o tym, żeby wyrwać mi cierń?

Zaczerwieniona, zagryzła wargę.

– Nie dosłownie.

Zachichotał i cofnął się o krok, przeczesując palcami włosy.

– Powinna pani odejść. Nie możemy rozmawiać w ten sposób.

– Czy to takie bolesne? – zapytała cichym głosem. – Prześladuje pana jakaś tragedia? Czy okropieństwa wojny zraziły pana do ludzi?

– Nie. – Wytarł do czysta miarkę na proch i odłożył ją ze stuknięciem na półkę. – Nie i jeszcze raz nie. Jedyne, co sprawia mi teraz ból – odwrócił się – to pani.

– Ja? – Straciła na chwilę oddech. – To niedorzeczne. Nie jestem cierniem.

– O, nie. Jest pani czymś dużo, dużo gorszym.

– Rzepem? – podsunęła usłużnie. – Może ostem? Róże mają kolce, ale nie mam urody upoważniającej do takiego porównania. – Nie roześmiał się, więc mówiła dalej. – Lordzie Rycliff, nie pojmuję, jakich mogę przysparzać kłopotów.

– A zatem pozwoli pani, że wyjaśnię. – Mówił cicho i beznamiętnie. – Powinienem zmierzać teraz do Hiszpanii, żeby przyłączyć się do swojego regimentu. Zamiast tego dostałem hrabstwo, o które nie prosiłem, zamek, którego nie chcę, i mam kuzyna, który usiłuje doprowadzić mnie do obłędu albo zrujnować, albo jedno i drugie. Ale pani ojciec dał mi szansę, żeby wznieść się ponad to, ruszyć dalej. Jedyne, co muszę zrobić, to zebrać dwa tuziny miejscowych mężczyzn, wyposażyć ich, uzbroić i wyszkolić tak, żeby stworzyli sprawny oddział. Dosyć łatwe zadanie i miesiąc, by je wykonać. Niemal obraźliwie proste. – Podniósł palec. – Ale jest pewien szkopuł, nieprawdaż? W okolicy nie ma mężczyzn. W każdym razie prawdziwych mężczyzn. Tylko stare panny, ciasteczka i poezja.

– Są mężczyźni. Jeśli potrzebuje pan pomocy, żeby ich zgromadzić, wystarczy poprosić.

– Och, jestem pewien – parsknął gniewnie. – „Proszę zapytać panny Finch”. Wie pani, ile razy to słyszałem dzisiejszego przedpołudnia?

Pokręciła głową.

– Więcej, niż chciałoby mi się liczyć. – Zaczął ją okrążać wolnymi, ciężkimi krokami. Kiedy zapytałem braci Bright, czy są tu jakieś

krawcowe, które uszyłyby mundury… odpowiedzieli: „Proszę zapytać panny Finch”. Kiedy zapytałem kowala, gdzie znaleźć murarzy, żeby wykonali pewne prace tu, w zamku… Cóż, okazało się, że panna Finch także i to będzie wiedziała.– Krążył dalej. – Gdzie znajdę księgi parafialne, żeby dotrzeć do spisu wszystkich rodzin? Cóż, wasz wymuskany proboszcz powiada: „Panna Finch badała dane na temat narodzin, trzeba się zwrócić do niej”. Proszę. Zapytać. Panny. Finch. Nie ma od pani ucieczki. To tak, jakby cała wieś grała nieustająco w jakąś dziecięcą grę.

Susanna wyprostowała się, kiedy obszedł ją w koło i stanął przed nią – odrobinę za blisko. Wyraz jego oczu mówił, że zamierza podejść jeszcze bliżej.

Nie, nie możesz, rozkazywała mu w duchu. Nie możesz posunąć się o dwa kroki naprzód.

Posunął się tak czy inaczej.

– Staram się być pomocna – powiedziała. – Nie ma w tym nic złego. I to naturalne, że wieśniacy okazują mi pewien szacunek przez wzgląd na mego ojca. Jest miejscowym dżentelmenem, liczy się tu.

– Pani ojciec jest miejscowym dżentelmenem, liczy się tu? – Podniósł brodę. – No, cóż. Przypadkiem jestem miejscowym lordem.

– Och – powiedziała, uśmiechając się z ulgą. – Teraz rozumiem. Pańska duma została zraniona. To pana problem. Tak, rozumiem, jakie to musi być rozczarowanie, otrzymać tytuł i mieć tak niewielkie wpływy wśród miejscowej ludności. Ale jestem pewna, że z czasem wieśniacy…

Pokręcił głową.

– Moja duma nie została zraniona, na Boga. I nie, nie jestem rozczarowany. Nic mnie nie prześladuje, nie czuję rozgoryczenia, nie boję się niczego. Niech pani przestanie przypisywać mi te wszystkie emocje, jak zwiewne różowe wstążeczki. Nie jestem jedną z pani delikatnych starych panien, panno Finch. Nie chodzi o moje cenne uczucia. Mam zadanie do wykonania, a pani – wbił jej palec w ramię – mi przeszkadza.

– Lordzie Rycliff – odezwała się ostrożnie. – Dotyka mnie pan.

– Owszem, tak. I nawet nie zapytałem. Widzi pani, nie zamierzam pytać panny Finch o cokolwiek. Zamierzam kazać jej trzymać się z daleka. – Nacisnął mocniej palcem. – Pani jest moim problemem, panno Finch. Nie jest pani cierniem, rzepem czy jakimś delikatnym kwiatuszkiem. Jest pani

beczką prochu i za każdym razem, kiedy się do siebie zbliżamy, sypią się iskry.

– Ja… Nie wiem, co pan ma na myśli.

– Och, tak. Wie pani. – Dotknął palcami koronkowego brzegu jej rękawa, a potem przesunął je pieszczotliwie wzdłuż jej ramienia.

Nie zdołała stłumić dreszczu przyjemności.

Jęknął głucho.

– Widzi pani? Jest pani pełna namiętności. Może pani myśleć, że to uczucie dobrze ukryte i bezpieczne. Schowane przed wszystkimi, nawet przed panią. Może żałosne stworzenia, które w tej wsi uchodzą za mężczyzn, są zbyt onieśmielone pani nowoczesnymi poglądami, żeby to zauważyć. Ale mnie wystarczy jedno spojrzenie i wiem wszystko. Widzę tę ciemną, gotową wybuchnąć moc, którą powstrzymuje tylko kawałek wstążki i koronki. – Zniżył głos, sunąc wzrokiem w dół jej ciała. – Jestem skończonym durniem, dotykając pani, ale nie mogę nad sobą zapanować.

Muskał krawędź długiej do łokcia rękawiczki, dotykając miejsca, gdzie satyna spotykała się ze skórą. Czuła to w całym ciele; zjeżyły jej się włoski na karku. Myślała o jego dłoniach, wciąż pobrudzonych prochem. Takich groźnych. Jego pieszczoty wstrząsały nią, sprawiały, że się zmieniała.

I czuła się tylko odrobinę brudna.

– Czy teraz rozumiesz? – spytał, nie przejmując się już konwenansami i nie ustając w śmiałej pieszczocie. – To niebezpieczne. Wyjdziesz natychmiast, jeśli wiesz, co dla ciebie dobre.

Wyjść? Nie mogła się ruszyć. Jej ciało było tak zajęte reagowaniem na to, co robił, że nie znajdowało czasu na słuchanie poleceń. Oddychała pośpiesznie. W jej piersi narastał dziwny ból. Serce tłukło jej się dziko w piersi, krew pulsowała w tym samym rytmie u szczytu ud.

– Wiem, co pan… co robisz. – Podniosła brodę. – Usiłujesz po prostu przejąć kontrolę nad tą rozmową. Powiedziałam, że cierpisz, i uraziłam twoją dumę. Po co przyznawać się do uczuć, skoro dużo bardziej po męsku jest być chamskim i grubiańskim? Jeśli masz nadzieję mnie odepchnąć, to ci się nie uda.

– Nie? – Wsunął jej palec pod brodę. – Raz już się udało.

Opuścił głowę i musnął wargami jej usta.

Iskry. Mogłaby przysiąc, że je widziała, lśniące i pomarańczowe. Czuła ich ukłucia na skórze.

– A to? – zapytał. Kolejny pocałunek. – Albo może to.

Przesuwał usta, drażniąc ją serią krótkich pocałunków. Pocałunki miały znaczenie, krył się w nich rozkaz i siła. Były jak słowa… po niemiecku albo holendersku. Jeden z tych języków naprawdę powinna poznać, ale nigdy nie zadała sobie trudu, żeby się go nauczyć. A teraz stała bezradna, nie wiedząc, jak odpowiedzieć. Czy to były oskarżenia? Ostrzeżenia? Rozpaczliwe błaganie o coś więcej?

Czegokolwiek by dotyczył ich spór, wiedziała jedno.

Nie mogła pozwolić mu wygrać.

Wyciągnęła się i wycisnęła na jego ustach własne, drobne pocałunki. Zebrała w dłoniach jego koszulę, jakby chciała wbić rozum do głowy temu niemożliwemu mężczyźnie. Albo może po prostu, żeby się nie przewrócić, kiedy zaczynało jej się mącić w głowie od nadmiaru wrażeń. Radość sprawiła, że serce trzepotało jej w piersi jak ptak.

Pocałunki się skończyły, spojrzała mu w oczy, raczej zadowolona z siebie, że nie dała się całkiem oszołomić. Pomimo gwałtownego pomieszania zmysłów udawała opanowaną i obytą. Jakby coś takiego zdarzało jej się regularnie, na co dzień. Jakby często tak stała twarz przy twarzy z ogromnym, męskim, nieogolonym typem w pomieszczeniu pełnym materiałów wybuchowych, czując jak zabójcze iskry pożądania fruwają wokół i między nimi. A jej piersi regularnie ocierały się o twardą ścianę mięśni, powodując napięcie w sutkach. Spodziewana, zwyczajna reakcja.

– No? – powiedział. – Zrozumiałaś, co mam na myśli? Odchodzisz?

– Przykro mi cię rozczarować – odparła, oddychając ciężko. – Ale trzeba dużo więcej, żeby mnie wystraszyć.

Szybko przyciągnął ją do siebie. Kładąc usta na jej ustach, szepnął:

– Boże, miałem nadzieję, że to powiesz.

8

Bram wiedział, że pocałunek mógł być końcem. Całował jak szalony Susannę Finch, tuląc do siebie jej szczupłe ciało, napawając się lekko porzeczkowym smakiem jej ust, a to mogło położyć kres wszystkiemu. Jego planom, jego karierze wojskowej. Mogło się okazać końcem jego samego.

A jeśli tak było, jeśli odruchowo naraził całą swoją przyszłość na niebezpieczeństwo za cenę zakazanego pocałunku…

To mógł równie dobrze zrobić to jak należy.

Pozwolił ustom dłużej spoczywać na jej wargach. Nie całowała się zbyt wiele. Nie we właściwy sposób w każdym razie. Poznał to po sposobie, w jaki usiłowała odpowiadać. Ale wykazywała ogromne naturalne zdolności.

Objął jej szyję dłonią.

– Powoli, kochana. Pozwól, że ci pokażę.

Drażnił jej wargi, muskając je od dołu do góry. I znowu. I jeszcze raz, skłaniając jej usta, żeby się rozchyliły. Drgnęła zaskoczona, kiedy poczuła pierwszy dotyk jego języka, ale trzymał ją mocno, póki się nie uspokoiła. A potem to zrobił. Powoli wsunął język, pieszcząc jej własny, i jęknął z zadowolenia.

Tak, powiedział jej bez słów. Tak. Jeszcze raz.

Od pierwszego spotkania podejrzewał, że ta kobieta jest jak burza, kusicielka z czajniczkiem z herbatą, a teraz każdym dotknięciem języka dowodziła, że miał rację. Jej brak doświadczenia sprawiał, że pocałunek nabierał jeszcze słodyczy. Sposób, w jaki trzymała jego koszulę, bawiła się jego językiem, przesuwała palcem w rękawiczce wzdłuż jego nieogolonej szczęki… Wymyślała te drobne, intymne gesty, niemające nic z wyrachowania. Nie przećwiczyła ich na innych mężczyznach.

Były tylko dla niego.

Pogłębił pocałunek. Za każdym razem brał odrobinę więcej, posuwał się trochę dalej. W taki sam sposób, w jaki by się z nią kochał.

Kiedy ta myśl pojawiła się w jego głowie, natychmiast się jej uczepił. Musiał się z nią kochać. Któregoś dnia. Nie dzisiaj. Dzisiaj uczyła się tylko całować. Nie była gotowa.

Bram za to był zdecydowanie gotowy. Gotowy, chętny, zdolny. Instynktownie przycisnął ją do siebie. Jeśli poczuła fizyczny dowód jego podniecenia, nie odsunęła się. Jej miękkie, ciepłe piersi wtuliły się w jego pierś, odchyliła głowę do pocałunku.

Pochyliwszy głowę, pocałował skrawek jej szyi, ucha, zatracił się w jej zapachu. Jej skóra pachniała ziołami, smakowała… jak wspomnienie. Wspomnienie dawno minionego letniego dnia. Ciepłego słońca. Chłodnej wody. Wysokiej trawy i łagodnego wiatru. Wszystkiego, co dobre, prawdziwe i świeże. Nawet jej imię było radosną piosenką.

– Susanna – szepnął przy jej uchu.

Westchnęła w jego ramionach, jakby rozkoszowała się dźwiękiem swojego imienia w jego ustach. Więc je powtórzył, nucąc tę słodką, upartą melodię.

– Susanna. Susanna, śliczna panna. – Dotknął jej ucha, wsunął jego brzeg między wargi, ssąc delikatnie. Jej ciche westchnienie podnieciło go jeszcze bardziej.

Sprawiła, że tyle pragnął. Zbyt wiele. Do diabła, kazała mu tęsknić i pożądać.

Pocałował ją znowu, smakując nieśpiesznie każdą z bujnych pysznych warg, zanim wsunął między nie język. Tym razem dotarł głębiej, wziął więcej. Miauknęła cicho w głębi gardła, bardziej domagając się, niż skarżąc. W jej pocałunku była teraz natarczywość i słodkie żądanie. Czuł, jak bardzo pragnie jego bliskości, i to doprowadzało go do szaleństwa.

I to wszystko działo się ledwie po paru zwykłych pocałunkach, kiedy oboje byli całkowicie ubrani. Dobry Boże! Przesunął ręką po jej ramieniu, docierając do zapięcia rękawiczki. Był przez nie chory z pożądania, przez te nieskazitelne satynowe pokrowce z niekończącymi się rzędami guziczków i prostymi jak strzały szwami. Jeśli teraz ledwie panowała nad namiętnością, co będzie, kiedy znikną rękawiczki?

Poluzował kciukiem górny guziczek.

– Lordzie Rycliff – szepnęła chrapliwie.

– Bram – poprawił ją, odpinając kolejny. – Po takim pocałunku musisz zwracać się do mnie: Bram.

– Bram, proszę…

– Z przyjemnością. – Pocałował jej usta, wsuwając palce pod rozpiętą satynę.

Przesunęła ręce na jego pierś i pchnęła. Mocno.

– Lordzie Rycliff. Proszę!

Zaskoczyła go desperacka nutka w jej głosie. Zerknął w dół, miała zrozpaczoną twarz, dolna warga jej drżała. Oczy wbijała w ziemię.

Bramowi natychmiast zabrakło jej spojrzenia. Jeśli spędził tyle czasu, myśląc o jej oczach, to dlatego, że przy każdym spotkaniu patrzyła mu prosto w twarz. Nieustraszenie. Aż do tej chwili.

A niech to! A on był pewien, że sprawia jej przyjemność. Nie należał do takich, co się narzucają niechętnym kobietom.

– Susanno? – Sięgnął ręką, żeby ująć ją za brodę, podnieść jej twarz ku sobie. Jej oczy patrzyły błagalnie, serce mu się ścisnęło. Pożądanie walczyło w nim z poczuciem honoru. Pragnął jej, owszem. Ale chciał ją także chronić. Zastanowił się przez chwilę, czy to oznaczało hipokryzję.

Uznał, że nie. Oznaczało po prostu, że jest mężczyzną.

– Ja… – Otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć. Więc powinien słuchać. Walczył ze sobą, żeby stłumić wrzenie krwi, tak żeby usłyszeć jej słowa poprzez dziki łomot własnego serca.

– Mój ojciec – szepnęła.

Jej ojciec.

Puścił ją od razu. Oto niezawodne lekarstwo na jego żądzę. W jakiś sposób, przez całą katastrofalną minutę, zdołał całkowicie zapomnieć o sir Lewisie Finchu. Dobry przyjaciel jego zmarłego ojca. Bohater narodowy. Człowiek, od którego zależały dalsze losy Brama. Jak mógł o tym zapomnieć?

Odpowiedź była prosta. Odkąd zdecydował się pocałować Susannę, naprawdę ją pocałować… Po prostu nie miał ani w głowie, ani w ramionach czy sercu miejsca na nic innego poza nią.

To był druzgocący wszystko pocałunek. I nie mógł się powtórzyć.

– O mój Boże! – szepnęła, gładząc zaczesane do góry włosy. – Jak to się mogło stać?

– Nie wiem. Ale więcej się nie zdarzy.

Posłała mu spojrzenie ostre, jak cięte szafiry.

– Oczywiście, że nie. Nie może.

– Musisz się trzymać ode mnie z daleka. Zachować dystans.

– Boże, tak – szepnęła gorączkowo. – Dystans. Będę się trzymać z dala od ciebie. A ty trzymaj swoich mężczyzn z daleka od moich panien, rozumiesz?

– Doskonale. Zatem umowa stoi.

– Dobrze. – Drżącymi palcami usiłowała zapiąć rękawiczki.

– Pomóc ci?

– Nie – odparła ostro.

– Czy… – Odchrząknął. – Czy zamierzasz powiedzieć ojcu?

– O tym? – Spojrzała na niego przerażona. – Na Boga, nie. Oszalałeś? On nie może się o niczym dowiedzieć.

Przejęły go uczucia, które rozmyły się, zanim zdążył je nazwać.

Przypuszczalnie głęboka ulga.

– To dlatego, że go wspomniałaś. Wcześniej.

– Tak? – Zmarszczyła brwi. – Tak. Nie mów mojemu ojcu, to miałam na myśli. Ani o tym, co zdarzyło się dzisiaj, ani w ogóle. Kiedy przedstawił ten pomysł z organizacją oddziału ochotniczego, myślałam, że to na pokaz, ale kiedy zobaczyłam to wszystko… – Zwróciła wzrok na rzędy broni. – Proszę, nie wciągaj go w to. Będzie chciał wziąć w tym udział, ale nie wolno ci się zgodzić. Starzeje się i jego zdrowie nie jest takie jak kiedyś. Nie mam prawa żądać od ciebie czegokolwiek, ale muszę cię o to prosić.

Nie potrafił odmówić.

– Doskonale. Masz moje słowo.

– A ty moje podziękowania.

I to było wszystko, co od niej dostał. Bo z tymi słowami odwróciła się i uciekła.

Tego wieczoru, jak niemal za każdym razem, Susanna jadła kolację sama.

Po kolacji przebrała się na noc. Wiedząc, że nie zdoła zasnąć, wybrała książkę – ciężkie, działające jak środek nasenny dzieło medyczne. Usiłowała je czytać i poniosła klęskę.

Wpatrywała się w tę samą stronę przez ponad godzinę, po czym wstała i zeszła na dół.

– Papo? Nadal pracujesz?

Objęła się ręką w pasie, opatulając ciasno szlafrokiem, i zerknęła na zegar w holu w świetle trzymanej w drugiej dłoni świecy. Było po północy.

– Papo? – Pokręciła się przy wejściu do gabinetu ojca, na parterze domostwa. Do niedawna ojciec pracował w szopie na zewnątrz, ale przekonała go, mniej więcej w tym samym czasie, kiedy go skłoniła do zarzucenia prób z bronią w polu, żeby przeniósł się do głównego budynku. Lubiła mieć go blisko. Kiedy pracował, często zapominał o świecie na całe godziny, a nawet parę dni z rzędu. W domu wiedziała przynajmniej, czy coś je.

A nie jadł. W każdym razie nie dziś wieczorem. Nienaruszona taca z jedzeniem stała na stole przy drzwiach.

– Papo, naprawdę musisz coś zjeść. Geniusz nie przetrwa, żywiąc się powietrzem.

– To ty, Susanno? – Podniósł głowę, ale nie spojrzał na nią. W pokoju stało kilka stołów: warsztat do obróbki drewna z heblami i tokarką; inny z lutownicą. Dzisiaj siedział przy stole do szkicowania, wśród zwojów papieru i kawałków węgla.

– To ja.

Nie zaprosił jej do środka, a wiedziała, że lepiej nie wchodzić bez wyraźnego zaproszenia. Zawsze tak było, od czasów jej dzieciństwa. Kiedy papa pracował w skupieniu, nie wolno mu przeszkadzać. Ale jeśli pracował nad jakimś drobiazgiem albo coś mu długo nie wychodziło, zapraszał ją i sadzał sobie na kolanie. Siedziała, przyglądając się z podziwem zawiłym rysunkom i obliczeniom. Dla niej były tak samo zrozumiałe jak starożytna greka. W gruncie rzeczy mniej, bo nauczyła się sama greckiego alfabetu pewnego deszczowego popołudnia. Ale i tak uwielbiała z nim siedzieć. Przyglądając się planom, czuła się wtajemniczona w zawodowe sekrety. Była świadkiem historii.

– Czego ci potrzeba? – Poznała tę nutę roztargnienia w jego głosie. Jeśli sprawa okaże się poważna, nie zlekceważy tego. Ale nie miał ochoty przerywać pracy, żeby rozmawiać o głupstwach.

– Nie chcę ci przeszkadzać. Ale widziałam dzisiaj lorda Rycliffa. We wsi. Rozmawialiśmy. – A potem poszłam za nim do zamku, gdzie moje usta

zderzyły się z jego ustami. Wielokrotnie.

Boże. Nie mogła przestać o tym myśleć. Jego kłujący zarost, silne wargi, jego ręce na jej ciele. Jego smak. Susanna codziennie uczyła się czegoś nowego, ale dzisiaj po raz pierwszy poznała smak drugiego człowieka. Ta niepokojąca tajemnica tkwiła w niej i nie mogła nikomu o tym powiedzieć. Ani żywej duszy. Nie miała matki ani sióstr. We wsi przebywało mnóstwo dam i niezliczoną ilość razy wysłuchiwała ich podniecających wyznań. Ale gdyby zwierzyła się niewłaściwej osobie i jej chwila słabości przedostałaby się do wiadomości publicznej… I wszystkie te damy zabrano by do domu. Ryzykowałaby utratę wszystkich przyjaciół.

Uderzyła lekko głową o framugę. Głupia, głupia…

– Wydaje się, że plany Rycliffa co do oddziału zaczynają się krystalizować. Pomyślałam, że pewnie chciałbyś wiedzieć.

– Ach. – Przedarł kartkę na pół i sięgnął po czystą ze stosu. – Miło mi to słyszeć.

– Skąd znasz tego człowieka, papo?

– Kogo, Bramwella?

„Bram. Po takim pocałunku musisz się do mnie zwracać: Bram”.

Zadrżała.

– Tak.

– Jego ojciec to mój stary kolega. Został generałem majorem, zdobył mnóstwo odznaczeń. Większość życia w czynnej służbie spędził w Indiach, ale umarł tam niedawno.

Ogarnęło ją współczucie. Czy Bram nadal opłakiwał ojca?

– Kiedy dokładnie?

Ojciec podniósł głowę, mrużąc oczy, jakby wpatrywał się coś odległego.

– To musiało być ponad rok temu.

A więc nie tak całkiem niedawno. Żałoba mogła jednak trwać dłużej niż rok. Susanna nie chciała myśleć, jak długo opłakiwałaby papę, gdyby nagle umarł.

– Czy znałeś także panią Bramwell?

Scyzorykiem zaostrzył ogryzek ołówka i znowu zabrał się do pisania.

– Widziałem ją parę razy, ostatnio, kiedy Victor był malutki. Potem wyjechali do Indii, i to był dla niej, jak sądzę, wyrok śmierci. Dezynteria, jak mi się wydaje.

– O mój Boże. Co za tragedia.

– Takie rzeczy się zdarzają.

Zagryzła wargę, wiedząc, że ojciec myśli o jej matce. Chociaż zmarła przeszło dziesięć lat temu, wydając na świat martwe dziecko, Anna Rose Finch wciąż żyła w pamięci Susanny: piękna, niezawodnie cierpliwa i dobra. Ale papie trudno było o niej mówić.

Zmieniła temat.

– Czy polecić Gertrudzie przynieść czajniczek świeżej herbaty? Albo kawy czy czekolady?

– Tak, tak – mruknął, pochylając głowę. – Jak uważasz.

Kolejna kartka trafiła na podłogę zwinięta w kulkę. Poczuła nieprzyjemne ukłucie winy. Odrywała go od pracy.

Susanna wiedziała, że powinna odejść, ale coś nie pozwalało jej się ruszyć. Oparła się o framugę, obserwując, jak ojciec pracuje. Kiedy była dziewczynką, zawsze bawiło ją, jak śmiesznie wykrzywiał twarz, koncentrując się na czymś. Jeśli te właśnie zmarszczki ułożone w doskonałą jodełkę miałyby wydobyć coś nowego z dziewiczej płachty papieru, to piorun geniuszu powinien uderzyć właśnie…

Teraz.

– Aha! – Chwycił czystą kartkę. Jego ręka tańczyła tam i z powrotem, kreśląc słowa i rzędy obliczeń. Przypływy geniuszu następowały w określonym rytmie, jak to nieraz zaobserwowała, i właśnie nastąpił jeden z takich momentów. Przygarbione ramiona odgradzały go od świata. Nic, co mogłaby powiedzieć, nie zwróciłoby jego uwagi, z wyjątkiem może: „pożar!” albo „słonie!”.

– Widzisz, papo – powiedziała lekkim tonem. – On mnie dzisiaj pocałował. Lord Rycliff. – Przerwała, a potem, chcąc wypróbować dźwięk jego imienia w swoich ustach, dodała:

– Bram.

– Mm…hm…

Proszę. Komuś powiedziała. Nieważne, że informacja przeleciała papie nad głową jak zbłąkana kula z muszkietu. Przynajmniej mówiła o tym głośno.

– Papo?

W odpowiedzi usłyszała jedynie skrzypienie ołówka na papierze.

– Nie powiedziałam ci całej prawdy. W istocie Bram po raz pierwszy pocałował mnie wczoraj. – Zagryzła wargę. – Dzisiaj… Dzisiaj to było coś

więcej.

– Dobrze – szepnął z roztargnieniem, przesuwając dłonią po tym, co zostało z jego czupryny. – Dobrze, dobrze.

– Nie wiem, co o nim myśleć. Jest szorstki i źle wychowany, a kiedy mnie nie odpycha, dotyka mnie w miejscach, w których nie powinien. Nie boję się go, ale kiedy jest blisko… trochę boję się samej siebie. Czuję się tak, jakbym miała wybuchnąć.

Chwilę stała w milczeniu. Skrzypienie ołówka nie ustawało.

– Och, papo. – Odwróciła się, kładąc czoło na framudze drzwi. Skręciła koniec paska od szlafroka. – Nie chcę, żebyś się martwił. To się więcej nie zdarzy. Nie jestem jedną z tych mdlejących, żyjących wyobraźnią panien, które zapadają na szkarłatną gorączkę, jak tylko oficerowie przechodzą obok. Nie pozwolę, żeby mnie znowu pocałował, i mam dość rozumu, żeby wiedzieć, że nie wolno dopuścić takiego człowieka do swojego serca.

– Tak – wymamrotał, coś pisząc. – Właśnie tak.

Tak. Właśnie tak.

Niezależnie od tego, jak bardzo lord Rycliff ją intrygował, kusił… całował… musi trzymać go na dystans. Od tego zależały jej spokój i reputacja, a damy w Spindle Cove zależały właśnie od jej reputacji.

Wciągnęła głęboko powietrze, pozbyła się ciężaru i podjęła decyzję.

– Tak się cieszę, że porozmawialiśmy, papo.

Podniosła nóż i widelec z tacy i pokroiła wystudzony kawałek pieczeni wołowej w cienkie plasterki. Przecięła bułkę i wsunęła mięso do środka.

Łamiąc ich niepisaną umowę, weszła do gabinetu i na palcach obeszła biurko. Położyła kanapkę przy kałamarzu, mając nadzieję, że w końcu ją zauważy.

– Dobranoc. – Pod wpływem impulsu pochyliła się nad biurkiem i pocałowała go w czubek łysiejącej głowy. – Pamiętaj, proszę, żeby coś zjeść.

Doszła do drzwi, zanim odpowiedział. Słowa brzmiały, jakby wypowiadał je z dna głębokiej studni.

– Dobranoc, moja droga. Dobranoc.

9

Wróciwszy do łóżka, Susanna powiedziała sobie, że nie musi się przejmować lordem Rycliff. Uzgodnili, że damy i mężczyźni będą się trzymać osobno. Przy odrobinie szczęścia, wobec rozlicznych zajęć, prawie nie będzie go widywać przed jarmarkiem.

Nie wzięła pod uwagę kościoła.

Był tam następnego ranka. Siedział po drugiej stronie przejścia, w odległości czterech, może pięciu stóp.

I dzisiaj był ogolony.

Najpierw zwróciła uwagę tylko na ten jeden szczegół. Ale Bram w ogóle wyglądał olśniewająco. Wspaniały w paradnym mundurze, skąpany w złotej poświacie płynącej z wysokiego okna. Sznur i guziki na jego kurtce wypolerowano do takiego połysku, że oczy niemal bolały, kiedy się na niego patrzyło.

Pochwycił jej wzrok.

Susanna przełknęła ślinę i wsadziła nos w książeczkę do nabożeństwa, postanowiwszy, że skupi się wyłącznie na czystych myślach. Nie podziałało. Podczas mszy ciągle wstawała albo siadała odrobinę za późno. Treść homilii pana Keane'a zupełnie jej umknęła.

Wbrew sobie zerkała na Rycliffa przy lada okazji – kiedy przelatywała obok wyimaginowana mucha albo kiedy musiała koniecznie wyprostować szyję. Oczywiście, nie była w tym odosobniona. Zerkały na niego wszystkie parafianki. Jednak Susanna miała uzasadnione powody, żeby sądzić, że tylko jej te ukradkowe spojrzenia przypominają o skandalicznym zachowaniu ich obojga – jej i Brama.

Te wielkie, silne dłonie ściskające książeczkę do nabożeństwa? Wczoraj sunęły po jej ciele śmiało i zuchwale.

Ta gładko wygolona szczęka, tak wyraźnie zarysowana i męska? Wczoraj obrysowała ją palcem w rękawiczce.

Szerokie, zmysłowe wargi szepczące teraz litanię? Wczoraj te usta ją całowały. Gorąco, z pożądaniem. Szeptały jej imię namiętnie. „Susanna. Susanna, śliczna panna”.

Kiedy rozległo się wreszcie wezwanie do modlitwy, mocno zacisnęła powieki.

Boże, miej mnie w swojej opiece. Uratuj mnie przed tym okropieństwem.

Bez cienia wątpliwości zaraziła się straszliwym bakcylem. Zadurzyła się nieprzytomnie.

Dlaczego akurat w nim ze wszystkich możliwych mężczyzn? Dlaczego nie mogła się głupio zakochać w poczciwym proboszczu, jak wiele innych niewinnych panienek? Pan Keane był młody, elokwentny i elegancki. A jeśli pociągał ją żar i brutalna siła, to czemu nie kręciła się przy kuźni?

W głębi duszy znała odpowiedź. Ci inni mężczyźni nigdy nie stanowili wyzwania. Jeśli już nic innego ich nie łączyło, ona i Bram byli obdarzeni niezwykle silną wolą. Jako córka miłośnika broni i naukowca Susanna wiedziała, że trzeba silnego uderzenia krzemienia o metal, żeby powstało tyle iskier.

Po skończonej mszy zebrała swoje rzeczy, gotowa uciec do domu. Papa rzadko bywał we wsi, w kościele, ale czasami jadali wspólnie niedzielną kolację, zwłaszcza kiedy mieli gości.

– Panie Keane! – zawołała, idąc pod prąd, w stronę ambony. Tłum się poruszył, zobaczyła plecy pastora. – Mój ojciec i ja bylibyśmy szczęśliwi, mogąc pana gościć dzisiaj na kolacji.

Proboszcz odwrócił się i zobaczyła, z kim rozmawiał. Z lordem Rycliff.

A niech to. Za późno, żeby się wycofać. Proboszcz skłonił się i Susanna poczuła potrzebę, żeby dygnąć uprzejmie.

– Czy możemy liczyć na pana, pastorze? – Przesuwając spojrzenie w lewo, dodała chłodno: – Lordzie Rycliff, pan także będzie mile widziany.

Pastor Keane się uśmiechnął.

– Dziękuję za miłe zaproszenie, panno Finch. Ale wobec tego, że dzisiaj zgłaszają się ochotnicy…

– Dzisiaj? – zdumiała się Susanna. – Nie zdawałam sobie sprawy, że lord Rycliff zamierza to zrobić dzisiaj.

Keane odchrząknął.

– Eee… ogłosiłem to z ambony. Przed chwilą.

– Czy tak? – Kątem oka dostrzegła rozbawienie na twarzy Rycliffa. – Och! Och, rzeczywiście, panie Keane. Słyszałam, jak pan to mówił.

– Tak więc widzi pani, panno Finch – odezwał się Rycliff – że nasz dobry proboszcz nie może przyjąć zaproszenia. Zamierza zgłosić się na ochotnika.

– Czy tak? – Pan Keane wydawał się zaskoczony. Zaczerwienił się. – Cóż… Jestem chętny i zdolny, naturalnie. Ale nie jestem pewien, czy to właściwe, żeby duchowny wstępował do lokalnego oddziału ochotniczego. Muszę to przemyśleć. – Zmarszczył brwi, przyglądając się swoim złączonym dłoniom. Po chwili twarz mu się rozjaśniła. – Wiem. Zapytajmy pannę Finch.

Rozdrażnienie Rycliffa na dźwięk tych trzech słów nie mogło być wyraźniejsze. Ani też bardziej satysfakcjonujące.

Susanna się uśmiechnęła.

– Sądzę, że lord Rycliff ma rację – odparła szczerze. – Zgłaszając się, da pan wspaniały przykład. A pośrednio odda pan mojemu ojcu przysługę. Będę bardzo wdzięczna.

– A zatem się zgłoszę – oznajmił pan Keane. – Skoro sądzi pani, że tak będzie najlepiej, panno Finch.

– Tak. – Odwróciła się do Rycliffa. – Jesteś zadowolony, mój panie?

Zmrużył oczy.

– Jestem w ekstazie.

Kiedy wyszli z kościoła, Susanna nie posiadała się ze zdumienia. Na wiejskim skwerku nie zebrało się tylu ludzi od czasu zeszłorocznego jarmarku w Dniu św. Urszuli. Przy akompaniamencie dzwonów coraz więcej ludzi wychodziło z kościoła. A jeszcze więcej rolników i pasterzy napływało z okolicy. Nie była pewna, czy chcą się przyłączyć do oddziału Brama, czy po prostu zwabiło ich widowisko. Wyobrażała sobie, że wielu z nich także tego nie wie.

Zwróciła się w stronę domu, ale kiedy szła przez trawę, Sally Bright pociągnęła ją gwałtownie za rękaw.

– Panno Finch, proszę. Potrzebuję pani pomocy. Mama nie wie, co robić.

– O co chodzi? Czy mała Daisy zachorowała?

– Nie, nie. Chodzi o Rufusa i Finna, tych drani. Chcą się zgłosić do oddziału lorda Rycliff.

– Ależ są za młodzi. Nie mają nawet piętnastu lat.

– Ja o tym wiem. I pani o tym wie. Zamierzają skłamać i powiedzieć, że spełniają warunki. Kto ich powstrzyma? – Pokręciła głową, jej jasne loki podskoczyły. – Proszę sobie wyobrazić Rufusa i Finna z muszkietami. To zapowiedź sądnego dnia. Matka nie wie, co robić.

– Nie martw się, Sally. Porozmawiam z Rycliffem.

Rozejrzała się za nim w tłumie. Przy swoim wzroście i w czerwonym mundurze musiał rzucać się w oczy. I oto był, nadzorował dwóch ludzi, którzy ustawiali stoły. Rozpoznała w nich woźniców. Susanna zostawiła Sally na skraju trawnika i podeszła do nich.

– Lordzie Rycliff?

Zgarnąwszy stos papierów, odciągnął ją na bok.

– Nie powinnaś być gdzie indziej? Czy nie musisz trzymać się rozkładu zajęć?

– Jest niedziela. W niedzielę nie mamy zajęć. Ale chętnie cię zostawię samego, jak tylko porozmawiamy.

Przewiercił ją wzrokiem.

– Sądziłem, że doszliśmy do porozumienia. Trzymam swoich mężczyzn z daleka od twoich dam, a ty trzymasz się z daleka ode mnie. Nie dotrzymujesz umowy.

– Chwilowo. Tylko ten jeden raz.

– Ten jeden raz? – parsknął lekceważąco, przerzucając papiery. – A co było przed chwilą w kościele?

– Dobrze, dwa razy.

– Spróbuj jeszcze raz. – Położył papiery i podniósł głowę, pożerając ją zielonymi oczami. – Zeszłej nocy nawiedziłaś moje sny co najmniej pół tuzina razy. Kiedy nie śpię, wciąż obijasz się w moich myślach. Czasami jesteś niemal naga. Jakie znajdziesz na to usprawiedliwienie?

Zająknęła się, usiłując odpowiedzieć. Język jej się zaplątał.

– Ja… ja… nigdy bym się nie obijała.

Co za głupia odpowiedź.

– Hm… – Przechylił głowę, przyglądając jej się uważnie. – Przechadzałabyś się?

Susanna stłumiła jęk. I oto znowu próbuje zbyć ją grubiańskimi insynuacjami. Ostrożność nakazywała jej odejść, ale sumienie na to nie pozwalało. Panie Bright jej zaufały.

– Muszę z tobą porozmawiać o bliźniakach Bright – oznajmiła. – Rufusie i Finnie. Ich siostra dała mi znać, że chcą się zgłosić, ale nie wolno ci na to pozwolić.

Jedna ciemna brew uniosła się w górę.

– Och, nie wolno?

– Są za młodzi. Jeśli powiedzą co innego, skłamią.

– Dlaczego miałbym wierzyć tobie, a nie im? Jeśli mam stworzyć znaczący oddział, muszę przyjmować wszystkich ochotników, jacy się zgłoszą. – Spojrzał jej w oczy. – Panno Finch, mój oddział jest dokładnie tym. Moim oddziałem. Dałem ci słowo co do twojego ojca, ale poza tym sam będę podejmował decyzje, bez twojego udziału. Zadowól się przewodzeniem kobietom we wsi, a ja zajmę się mężczyznami.

– Rufus i Finn to chłopcy.

– Jeśli wstąpią do oddziału, zrobię z nich mężczyzn. – Rozejrzał się w tłumie. – Za chwilę wezwę ochotników. O ile sama nie chcesz się zaciągnąć, sugeruję, żebyś opuściła skwer i usiadła razem z damami. Gdzie jest twoje miejsce.

Wściekła, ale chwilowo bezradna, dygnęła, odchodząc.

– Skoro tak mówisz, mój panie.

– Cóż? – odezwała się Sally, kiedy doszła na skraj skweru. – Dał sobie przemówić do rozumu? Zgodził się?

– Nie przypuszczam, żeby ten człowiek kiedykolwiek posłuchał głosu rozsądku. – Podciągnęła rękawiczki, szarpiąc je gniewnie. – Ale nie martw się, Sally. Zmuszę go, żeby się zgodził. Muszę tylko pożyczyć parę rzeczy ze sklepu.

Kiedy Bram znalazł się w centrum uwagi, postanowił wyrzucić kobiety – wszystkie kobiety – ze swoich myśli. Odwracał głowę powoli, wypatrując w tłumie mężczyzn. Dostrzegł paru młokosów, mniej więcej w wieku bliźniaków. Zauważył paru starych, sfatygowanych życiem, bezzębnych. Gdzieniegdzie wpadł mu w oko ktoś pomiędzy. Garstka rybaków i rolników. Wyrabiający biżuterię kowal stał obok wymuskanego proboszcza. Fosbury wyłonił się z kuchni herbaciarni, ubrany w fartuch i obsypany lukrowym pyłem.

Bram zacisnął szczęki. Z tej niepodobnej do niczego zbieraniny musi wykształcić elitarną, nienagannie działającą siłę bojową. Alternatywą był

koniec jego kariery wojskowej. Zostanie w Anglii jako pokonany, kaleki, niepotrzebny wrak. Pokonany pod każdym względem.

Porażka po prostu nie wchodziła w grę.

– Dzień dobry – zaczął, podnosząc głos, tak żeby wszyscy go słyszeli. – Jak większość z was słyszała, jestem lordem Rycliff. Stary tytuł przywrócono i nadano mnie, żebym umocnił i bronił zamku. W tym celu wzywam mężczyzn, żeby chwycili za broń. Potrzebuję sprawnych mężczyzn między piętnastym a czterdziestym piątym rokiem życia.

Zwrócił ich uwagę. Rzucił wezwanie. Uznał, że pora dodać parę słów, żeby wzmocnić ich motywację.

– Żeby wszystko było jasne, Anglia jest w stanie wojny. Chcę chętnych i sprawnych żołnierzy. Odważnych mężczyzn, gotowych walczyć i zwyciężać. Jeśli są wśród was ludzie szukający wyzwań, którzy chcą uczestniczyć w wielkim dziele… niech wystąpią. Jeśli są tu mężczyźni pragnący wykorzystać daną od Boga siłę w służbie szlachetnej sprawy… niech wystąpią. Jeśli w tym „Spinster” Cove są mężczyźni, którzy chcą się znowu stać prawdziwymi mężczyznami… niech odpowiedzą na wezwanie do broni!

Przerwał, spodziewając się ścinającego krew w żyłach ryku oznaczającego aprobatę.

Odpowiedziało mu milczenie. Pełna zainteresowania, uważna cisza, ale jednak cisza.

Cóż, skoro natchniona mowa nie podziałała, to Bram wciąż miał na podorędziu nieodparty argument. Wygładził kurtkę i dokończył.

– Musztra i szkolenie zajmą miesiąc. Mundury, broń i inne niezbędne rzeczy zostaną przekazane ochotnikom. Będą też dniówki. Osiem szylingów dziennie.

To faktycznie zwróciło ich uwagę. Osiem szylingów to było więcej niż pełny, tygodniowy zarobek dla większości pracujących, więcej, niżby wystarczyło, żeby przełamać wahanie. Przez tłum przebiegł pomruk podniecenia, kilkunastu mężczyzn ruszyło do przodu.

– Stańcie w szeregu – nakazał. – Zgłoście się do lorda Payne’a, żeby was zapisał, a do kaprala Thorne’a po ekwipunek.

Zrobiło się lekkie zamieszanie, kiedy wszyscy rzucili się do stołu, ale Finn i Rufus wysunęli się na czoło, nie dając się odsunąć. Bram stanął za stołem obok Colina.

– Nazwiska? – zapytał Colin.

– Rufus Ronald Bright.

– Phineas Philip Bright.

Colin starannie zanotował nazwiska.

– Data urodzenia?

– Ósmy sierpnia – powiedział Finn, patrząc na brata. – Siedemdziesiątego ós…

– Siódmego – dokończył Rufus. – Mamy skończone piętnaście lat.

Bram przerwał, mierząc chłopców surowym spojrzeniem.

– Jesteście pewni?

– Tak, panie. – Finn wyprostował się, kładąc rękę na sercu. – Mam ponad piętnaście lat. – Niech mnie diabeł porwie, jeśli kłamię, lordzie Rycliff.

Bram westchnął cicho. Z pewnością wsadzili do butów skrawki papieru z liczbą piętnaście. Stara sztuczka rekrutów. Mając taką kartkę pod piętą, mogli całkiem uczciwie stwierdzić, że mają „ponad” piętnaście lat.

Susanna miała rację, chłopcy wyraźnie kłamali. I to byli chłopcy, nie mężczyźni. Przyjrzał się ich jednakowym, starannie wymytym twarzom, których jeszcze przez parę lat nie tknie brzytwa. Ale jeśli naprawdę urodzili się w sierpniu, to do piętnastych urodzin brakowało im zaledwie paru miesięcy. Popatrzył na rząd mężczyzn za bliźniakami, szybko liczył w duchu. Wszystkich razem było mniej niż dwudziestu.

– No? – ponaglił Colin, podnosząc wzrok na Brama.

– Słyszałeś chłopaków. Mają ponad piętnaście lat.

Chłopcy uśmiechali się od ucha do ucha, odpowiadając na dalsze pytania Colina, a potem przechodząc do stołu Thorne’a, gdzie robiono przymiarki i wydawano broń. Bram nie czuł nawet ukłucia winy, dając chłopcom do rąk muszkiety. Jeśli dotąd nie wiedzieli, jak obchodzić się z bronią i strzelać, najwyższa pora, żeby się nauczyli.

Jeden za drugim mężczyźni podawali Colinowi imię i nazwisko, wiek i inne istotne dane, a następnie przechodzili do Thorne’a, gdzie ich mierzono, żeby później uszyć dla nich kurtki, i wydawano broń. W miarę upływu czasu Bram zaczął odczuwać ból w kolanie. Potem ból przeszedł w pulsowanie i drżenie. Wkrótce przeklęty staw wrzeszczał z bólu – tak głośno, że aż dziwne, że nikt inny tego nie słyszał.

Kiedy Colin skończył z kolejnym rekrutem, Bram dźgnął go łokciem.

– Robisz to za wolno. Idź pomóż Thorne’owi.

Siadając na zwolnionym przez Colina stołku, Bram skrzywił się z bólu. Leciutko zgiął i wyprostował nogę pod stołem, próbując złagodzić ból i skupić się na liście rekrutów. Nie śpiesząc się, zanurzył pióro w atramencie.

– A więc… Nazwisko?

– Finch.

10

Bram zamarł z piórem wzniesionym nad kartką papieru, modląc się, żeby słuch go zawodził.

– F-I-N-C-H – przeliterowała usłużnie. – Finch[7]. Jak ten ptak.

Podniósł głowę.

– Susanno, co ty, do diabła, wyprawiasz?!

– Nie wiem, kim jest Susanna. Ale ja, Stuart James Finch, chcę się zaciągnąć do oddziału ochotniczego.

Zniknęła falbaniasta, zielona jak liście, muślinowa sukienka, którą podziwiał w kościele. Zamiast niej włożyła nankinowe bryczesy, w których wyglądała zaskakująco zgrabnie, świeżą płócienną koszulę ze spinkami przy mankietach i kobaltowoniebieski kubrak, który – o dziwo – podkreślał zachwycająco barwę jej oczu.

I, oczywiście, rękawiczki. Męskie rękawiczki. Boże broń, żeby panna Finch pojawiła się publicznie bez rękawiczek.

– Urodziłam się piątego listopada 1788 roku – ciągnęła niezrażona. – Klnę się na Boga, że to czysta prawda, panie.

Związała włosy w ciasny ogon i włożyła męskie ubranie, ale trudno byłoby przeoczyć fakt, że jest kobietą. Jej głos, sposób zachowania… Boże, nawet jej zapach. Nie oszukałaby ślepego.

Rzecz jasna, nie zamierzała oszukać Brama. Hultajka chciała po prostu postawić na swoim. I to wobec dziesiątków ludzi. Wobec wszystkich mieszkańców wsi, mężczyzn i kobiet, ciekawych, co z tego wyniknie. I kto wyjdzie z tego zwycięsko.

On. Jeśli dzisiaj pozwoli jej wziąć górę, mężczyźni nie będą go szanowali. Co więcej, nie będzie na ich szacunek zasługiwał.

– Wpisz mnie – ponagliła go.

– Wiesz, że tego nie zrobię. Tylko mężczyźni mogą się zaciągnąć.

– Cóż, jestem mężczyzną – oświadczyła.

Zamrugał gwałtownie.

– Cóż to? – powiedziała fałszywie niewinnym tonem. – Rufusowi i Finnowi wierzysz na słowo. Dlaczego nie wierzysz mnie?

Zniżył głos i pochylił się nad stołem.

– Ponieważ w tym wypadku posiadam wiedzę z pierwszej ręki, która przeczy twoim słowom. Chcesz, żebym powiedział tym wszystkim ludziom, skąd dokładnie wiem, że jesteś kobietą?

– Proszę bardzo – szepnęła, uśmiechając się kwaśno. – Jeśli planujesz raczej ślub, a nie oddział. – Zerknęła w jedną i drugą stronę. – We wsi tak małej jak ta i w dodatku pełnej dam, tego typu oświadczenie z pewnością wywoła matrymonialną panikę.

Patrzyli na siebie długą chwilę.

– Skoro przyjąłeś Finna i Rufusa – powiedziała – musisz przyjąć i mnie.

– Doskonale. – Ponownie zamoczył pióro w atramencie. Sprawdzi, jak daleko była gotowa się posunąć. – Stuart James Finch, urodzony piątego listopada 1788 roku. – Odwrócił kartkę i posunął w jej stronę. – Podpisz tutaj.

Chwyciła pióro w dłoń w rękawiczce i postawiła zamaszysty podpis zakończony wymyślnym zawijasem.

– Następny! – zawołał, podnosząc się zza stołu i machając w stronę Thorne’a. – Musimy cię wymierzyć, żeby uszyć mundur.

– Ależ oczywiście.

Bram odprowadził ją do drugiego stołu i wyrwał miarkę z ręki Thorne’a.

– Myślę, że sam się zajmę tym rekrutem. – Podniósł miarkę. – Nie masz nic przeciwko temu, Finch?

– Wcale. – Uniosła brodę.

– Zdejmij kubrak.

Posłuchała bez sprzeciwu.

Oniemiał.

Słodki Jezu!

Bram nie przepadał za obecną damską modą, z wysoką talią w stylu empire i długimi jak kolumny spódnicami. Chociaż podobało mu się, że taki fason ukazywał męskim oczom biust w sposób jak najbardziej korzystny – jaki mężczyzna nie doceniłby widoku pulchnego biustu? – z drugiej strony skrywał resztę kobiecej figury. Lubił zgrabne nogi,

szczupłe kostki, bujne biodra. Szczególnie pociągały go krągłe, miękkie pośladki.

Kto mógłby pomyśleć, że strój dżentelmena uwydatni wszelkie krągłości Susanny Finch?

Pożyczona kamizelka nie zapinała się na górze, na jej wydatnych piersiach. Świetnie za to pasowała niżej, podkreślając jej szczupłą talię i słodkie rozkloszowane biodra. Bryczesy sięgały do kolan. Poniżej, białe pończochy opinały jej szczupłe łydki i kostki.

– Odwróć się – polecił chrapliwym głosem.

Posłuchała. Obracając się, przerzuciła włosy na przód, odsłaniając plecy i… siedzenie. Nankinowe bryczesy opinały ciasno słodki, okrągły tyłeczek. Boże, była stworzona dla jego rąk. Uparta, zawzięta dziewczyna dała mu doskonały pretekst, żeby mógł jej dotknąć.

Zaczął od ramion, przykładając miarkę do jednego i powoli rozwijając taśmę do drugiego. Nie śpieszył się, muskając eleganckie krzywizny i krawędzie jej łopatek. Jakby nie dotykał jej dla celów krawieckich, ale dla swojej i jej przyjemności.

Jej ramię zadrżało pod jego dotykiem. A jemu serce zabiło żywiej.

– Siedemnaście cali – przeczytał głośno.

Zmierzył długość jej ramienia aż do kibici, zanim odczytał wynik.

– Wyprostuj się, Finch.

Kiedy stanęła prosto, przyłożył koniec taśmy do jej karku, tuż nad kołnierzykiem. Potem pociągnął wąski pasek materiału wzdłuż jej kręgosłupa, dotykając każdego kręgu po kolei. A potem niżej, do połowy jej rozkosznego siedzenia. Usłyszał, jak gwałtownie wciąga powietrze, i ten dźwięk odbił się echem w jego lędźwiach.

– Długość kubraka, dwadzieścia sześć cali. – Pociągnął przód własnego kubraka, mając nadzieję, że nikt nie zauważy, jak zmieniły się jego rozmiary. Ta scena tak go podnieciła, że zupełnie zapomniał o bólu w kolanie.

– Odwróć się twarzą do mnie, Finch.

Obróciła się powoli, zmysłowo. Prawie jak w tańcu.

– Ręce do góry! – rozkazał. – Teraz zmierzę twoją pierś. – Krew w nim zawrzała na samą myśl o tym, że jego dłonie przesuną się wzdłuż jej bujnego biustu.

Oczy jej zabłysły, skrzyżowała ramiona.

– Znam ten rozmiar. Trzydzieści cztery cale.

Westchnął ponuro.

– Świetnie. – Boże, jak bardzo chciał znowu poczuć jej ciało pod sobą. Marzył o tym.

– Skończyliśmy? – zapytała, zarzucając z powrotem kubrak.

– Teraz broń – odparł, starając się panować nad głosem. – Muszę panu wydać muszkiet, panie Finch.

Nie zniechęciło jej publiczne branie miary, ale zmuszenie jej do wzięcia broni do ręki mogło tego dokonać. Nawet jeśli jej ojciec był wynalazcą w tej dziedzinie, szlachetnie urodzone damy niechętnie dotykały broni, a niektóre po prostu broń przerażała.

Wybrał muszkiet i podał jej.

– To flinta – powiedział, cedząc słowa tonem wyższości. – Kula wylatuje z tej rurki, widzisz? Tutaj jest cyngiel, w środku. Drugi koniec przykładamy do ramienia, o tak.

– Czy tak? – zapytała zamyślonym tonem. – Mogę spróbować?

– Powoli. – Stanął za nią. – Pokażę ci, jak to trzymać.

– To nie będzie potrzebne. – Uśmiechnęła się. – Twoje instrukcje były jasne.

A potem, podczas gdy on – i Thorne, i Colin, i wszyscy mieszkańcy Spindle Cove – jej się przyglądali, Susanna Finch wzięła rożek z prochem ze stołu, rozdarła go równymi, prostymi ząbkami i wypluła papierową kulkę na ziemię. Lekko otworzywszy broń, wsypała odrobinę prochu na panewkę i zamknęła kurek. Potem wsypała resztę prochu do lufy i dopchnęła go stemplem.

Bram widział, jak żony żołnierzy czyszczą i składają broń. Ale nigdy nie widział czegoś podobnego. Susanna nie tylko wiedziała, co robić, ona rozumiała broń. Dłonie w rękawiczkach poruszały się pewnie, obchodząc się z bronią bezwzględnie, ale ze zmysłowym wdziękiem. Pobieranie miary obudziło jego pożądanie. Teraz był bliski wybuchu.

Przyłożyła muszkiet do ramienia i wystrzeliła ślepakiem. Broń kopnęła ją silnie w ramię, ale ona nawet się nie skrzywiła.

– Myślisz, że zrozumiałam, na czym to polega? – zapytała z fałszywą skromnością, opuszczając muszkiet.

Niezwykłe. Bram stłumił odruch zaklaskania w dłonie. Nie mierzył czasu, ale domyślał się, że upłynęło mniej niż dwadzieścia sekund. Może

zaledwie piętnaście. Byli strzelcy wyborowi, którzy nie potrafili załadować i wystrzelić w ciągu piętnastu sekund.

– Gdzie się tego nauczyłaś?

– Od ojca, oczywiście. – Wzruszyła ramieniem. – Czy większość mężczyzn nie uczy się takich rzeczy od swoich ojców?

Tak. Większość mężczyzn właśnie tego się od nich uczyła. Bram wszystkiego o strzelaniu dowiedział się od ojca. Błagał o pierwszą strzelbę na ptactwo niemal jednocześnie z tym, jak nauczył się formować słowa. Nie dlatego, że tak kochał broń, tylko dlatego, że czcił ojca. Zawsze szukał wymówek, żeby spędzać z nim więcej czasu. Te poważne, cierpliwe lekcje o bezpieczeństwie, czyszczeniu broni, sztuce strzeleckiej… należały teraz do najcenniejszych wspomnień Brama. Ciekaw był, czy z nią było tak samo. Czy odbierała podobne lekcje od sir Lewisa. Opanowała broń, nauczyła się wszystkiego o jej działaniu, ćwiczyła, aż była w stanie strzelać instynktownie – po to, żeby być bliżej niego.

A teraz Bram poczuł się bliższy jej, w sposób, jakiego by nigdy nie podejrzewał. Dziwne. I straszliwie niewygodne. Wyprostował się, usiłując otrząsnąć z tego uczucia.

– Czy chcesz zobaczyć, jak zakładam bagnet? – zapytała.

– To nie będzie potrzebne.

Patrzył na nią z podziwem – wyprostowaną, z muszkietem na ramieniu, w doskonałej pozie. Uważał się za mądrego, pozwalając jej prowadzić tę grę w „jestem mężczyzną”. A to on okazał się śmieszny. Mężczyzna czy nie, była jego najbardziej obiecującym rekrutem. Miał ochotę ukarać ją, wciągając na listę.

Ale za bardzo rozpraszałaby uwagę wszystkich mężczyzn, a zwłaszcza Brama. Spędzać z nią cały dzień, podczas gdy nosiła te dopasowane bryczesy? Nie byłby w stanie prowadzić musztry.

Ale, co ważniejsze, nie mógł dopuścić, żeby go pokonała na oczach wsi. Musi jej się jakoś pozbyć, zachowując jednak chłopców Bright.

Spojrzał na stół. Odpowiedź zalśniła, wypolerowana i ostra.

– Jeszcze jedno, panno… panie Finch. Jeszcze jeden wymóg wobec rekrutów.

– Doprawdy? Co takiego?

Bram zwrócił się do szeregu dam siedzących na brzegu skweru.

– Panie, potrzebuję waszej pomocy. Proszę, żeby każda z was znalazła nożyczki i przyniosła je tutaj najszybciej, jak to możliwe.

Kobiety popatrzyły jedna na drugą. Potem nastąpiło zamieszanie, kiedy wszystkie zanurkowały do Królowej Ruby, żeby przejrzeć zawartość toaletek i pudeł z przyborami do szycia. W podobny sposób magazyn Mydła i Powidła został wywrócony na lewą stronę jak kieszeń.

Kiedy wydobyto spod ziemi wszystkie pary nożyczek i wszystkie damy odpowiednio uzbrojone zebrały się ponownie na skwerze, Sally Bright wysunęła się naprzód.

– Co mamy z nimi zrobić, lordzie Rycliff?

– Macie ich użyć – odparł. – W moim oddziale rekruci muszą nosić krótkie włosy. Nad kołnierzykiem z tyłu. Nad uszami po bokach.

Spojrzał na Susannę. Pobladła, piegi niemal zeskoczyły jej z twarzy.

Zwracając się do rekrutów, wykonał szeroki gest ramieniem.

Kobiety wymieniły zaskoczone spojrzenia. Mężczyźni byli równie zdumieni, wahali się. Niektóre pary narzucały się w oczywisty sposób. Jedna z kobiet, zapewne pani Fosbury, trzymała już męża za kołnierz, ciągnąc go w stronę pieńka, żeby poddać go zabiegom fryzjerskim. Jednak nieżonaci mężczyźni i niezamężne panny ze Spindle Cove przyglądali się sobie niepewnie. Jak kwakrzy na zebraniu, czekali na jakiś sygnał z góry. Dobry Boże, musiał nauczyć tych mężczyzn przejmować inicjatywę.

Bram zwrócił się do kuzyna.

– Czy nie jesteś zwykle pierwszy, żeby ruszyć do tańca? Czyń honory.

Colin łypnął na niego spode łba.

– Nie jestem ochotnikiem.

– Nie, nie jesteś. Tkwisz w długach i znalazłeś się w sytuacji przymusowej. Nie masz wyboru.

Colin podniósł się powoli, obciągając kamizelkę.

– Doskonale. Jak sam powiadasz, lubię wybierać spośród najlepszych. – Nałożył kapelusz teatralnym gestem i podszedł, żeby uklęknąć u stóp panny Diany Highwood.

– Panno Highwood, uczyni mi pani ten zaszczyt?

Jasnowłosa dama się zarumieniła.

– Och, tak. Oczywiście, lordzie Payne. Z przyjemnością.

Damy zaświergotały między sobą, z pewnością zarzucając Colinowi stronniczość. Susanna miała rację co do gorączki matrymonialnej. Zanim

wybije południe, zaczną plotkować o zaręczynach. Gdyby chociaż była w tym odrobina prawdy. Bram ucieszyłby się z zaręczyn Colina – kuzyn przestałby stanowić kłopot.

Jego obecny problem przechylił śliczną głowę.

– Miałeś trzymać swoich mężczyzn z daleka od moich dam.

– Czy muszę ci przypominać, kto pierwszy złamał umowę? – Podniósł leżące na stole nożyczki – te same, których Thorne używał do cięcia taśmy do mierzenia. – Cóż? – zapytał głośno. – Jak będzie, Finch?

Spojrzała na nożyce szeroko otwartymi oczami.

– Nad kołnierzykiem, powiadasz?

– O tak.

– Wszyscy ochotnicy w oddziale?

– Bez wyjątku.

Jej oczy patrzyły błagalnie. Zniżyła głos do szeptu.

– To są chłopcy. To znaczy, Finn i Rufus. Matka się o nich niepokoi. Spróbuj zrozumieć.

– Och, rozumiem. – Rozumiał, że usiłuje chronić chłopców, żeby nic im się nie stało. Jednak rozumiał także jej drugi cel – utrzymanie swojej pozycji we wsi. Z tego powodu nie mógł pozwolić jej wygrać. – Być może żadne z nas tego nie chciało, ale teraz ja jestem panem. Mój oddział. Moja wieś. Moje zasady. – Wyciągnął nożyce. – Tnij albo będziesz ścięta.

Po długiej chwili zdjęła pożyczony kapelusz i odłożyła go na bok. Sięgnęła rękami za kark i rozwiązała długi ogon, a potem pokręciła głową i loki się rozsypały. Spłynęły na jej ramiona bujnymi, złotoczerwonymi falami, które zalśniły w słońcu, niemal go oślepiając.

W tej chwili Bram zrozumiał, że popełnił poważny błąd taktyczny.

Westchnąwszy z rezygnacją, spojrzała mu w oczy.

– W porządku. To tylko włosy.

To tylko włosy.

Dobry Boże. Aureola z płynnego brązu okalająca jej twarz to z pewnością nie były tylko włosy. To było żywe, płynne piękno. Królewska korona. To było jak… oddech rozgniewanych aniołów. Rodzaj przeżycia religijnego. Zasłużył prawdopodobnie na potępienie, tylko na nie patrząc.

Z jego gardła wydobył się cichy jęk. Ukrył go, pokasłując.

Pozwól jej je ściąć, powiedział sobie w duchu. Nie masz wyboru. Jeśli ona wygra tę bitwę, to koniec. Będziesz przegrany.

– Daj mi je – poprosiła. – Zrobię to sama. – Wyciągnęła rękę w stronę nożyczek.

Ścisnął je mocno.

– Nie.

– Nie? – powtórzyła Susanna, próbując nie zdradzić paniki. Liczyły się pozory odwagi.

Naprawdę nie chciała ściąć włosów. Tych włosów, które jej kuzynki klęły bez ogródek. Dzikie, niemodne, odpowiadały jej teraz i były czymś, co odziedziczyła po matce. Susanna była jednak gotowa złożyć ofiarę, jeśli to miało zapewnić bezpieczeństwo Finnowi i Rufusowi.

Jeśli to oznaczało zagranie mu na nosie.

Odrosną, przekonywała się w duchu. Już raz odrosły, po tym okropnym lecie w Norfolk. Tylko że tym razem sama chciała je obciąć. Szybko, jak najmniej się nad tym zastanawiając. Nie sądziła, że mogłaby stać spokojnie, kiedy ktoś inny będzie trzymać nożyce.

– Po prostu mi je daj. – Bliska desperacji, szarpnęła za uchwyty nożyc. – Zrobię to teraz.

Nie puszczał.

– Finn i Rufus. – Mówił cicho, tylko do niej. – Jeden będzie doboszem, drugi będzie grać na piszczałce. Znajdą się w oddziale, wezmą udział w musztrze i dostaną dniówki. Ale nie będą uzbrojeni. Czy to wystarczy?

Nie posiadała się ze zdumienia. Doprowadził ją tam, gdzie chciał – na krawędź publicznego upokorzenia, a teraz szukał kompromisu?

– Przy… przypuszczam, że tak. Wystarczy.

– A zatem w porządku, Czy to znaczy, że znowu jesteś damą?

– Natychmiast pójdę się przebrać.

– Nie tak szybko – powiedział, wciąż mocno ściskając nożyce. Spojrzał na nią śmiało. – Zanim odejdziesz, zrobisz coś dla mnie. Tak jak inne damy.

W istocie, wokół nich panowie i panie ze Spindle Cove dobierali się w pary. Diana zajmowała się lordem Payne, a kowal skierował się do owdowiałej pani Watson i jej nożyczek. Finn i Rufus wydawali się spierać, który z nich będzie skazany na Sally.

– Chcesz, żebym obcięła ci włosy? – Oczami wyobraźni zobaczyła długi ogon wiszący między jego łopatkami, jak wyzwanie.

– Jak powiedziałem, żadnych wyjątków. – Wcisnął jej nożyce do rąk. – No, dalej. Jestem cały twój.

Susanna się wyprostowała.

– Myślę, że będziesz musiał uklęknąć.

– Uklęknąć – parsknął gniewnie. – Ani mi się śni, panno Finch. Tylko z jednego powodu uklęknę przed kobietą, a teraz to co innego.

– Mam nadzieję, że masz na myśli oświadczyny.

W jego oczach pojawił się szatański błysk.

– Nie.

Zmieszała się. Rozejrzała wokół. Wszędzie na skwerze jej przyjaciele i sąsiedzi byli pochłonięci obcinaniem włosów. Rozmawiali zupełnie prywatnie. I dobrze się złożyło, wziąwszy pod uwagę to, co nastąpiło potem.

– Jeśli nie zamierzasz uklęknąć – powiedziała, wspinając się na palce – nie wiem, jak spodziewasz się, że to zrobię. Wszystkie krzesła są zajęte. Jestem wysoka, ale przecież nie dosięgnę… Och!

Objął ją rękami w pasie i podniósł w powietrze. Brutalna siła zawarta w tym ruchu podziałała podniecająco. To już drugi raz w ciągu trzech dni, kiedy „zbił” ją z nóg. Trzeci, jeśli liczyć wczorajszy pocałunek.

Dlaczego je liczyła? Nie powinna tego robić.

Postawił ją na stole tak, że górowała nad nim.

– Będzie dobrze?

Kiwnęła milcząco głową, a on zsunął ręce z jej tali. Zagubiła się we wspomnieniach wczorajszej pieszczoty, dotyku jego ciała… Ich spojrzenia się spotkały. Pojawiły się znajome iskry.

Susanna przełknęła ślinę.

– Odwróć się, proszę.

Dzięki Bogu. Raz posłuchał.

Ujęła w dłoń gruby, ciemny, przewiązany kawałkiem rzemienia pęk włosów na jego karku. Miał gęste, miękkie włosy. Zapewne to najdelikatniejsza rzecz w tym człowieku, pomyślała. Kiedy je zetnie, będzie cały kanciasty, twardy.

– Czemu się wahasz? – zapytał kpiąco. – Boisz się?

– Nie. – Pewną ręką podniosła nożyce. Przytrzymując włosy drugą ręką, wymierzyła i… ciachnęła. – O Boże! – Pomachała mu obciętym

kosmykiem przed twarzą, a potem bezceremonialnie rzuciła go na ziemię. – Szkoda.

Zachichotał, ale miała wrażenie, że słyszy w jego głosie urażoną dumę.

– Widzę, że bawi cię możliwość zagrania Dalili.

– Powinieneś mieć nadzieję, że nie zdecyduję się zagrać Judyty. Trzymam w tej chwili nożyce i radzę, żebyś się nie ruszał. Muszę się skupić. – Odłożyła nożyczki, odsunęła z twarzy własne włosy i związała je w prosty supeł. Potem zabrała się do obcinania jego włosów i oboje zamilkli.

W miarę jak pracowała, spokój narastał, cisza stawała się głęboka. Zadanie było tak intymne. Żeby ciąć równo, musiała wsuwać palce w ciężkie loki, podnosząc je i nachylając odpowiednio dla nożyczek. Dotykała jego ucha, skroni, szczęki.

– Nie byłoby łatwiej, gdybyś zdjęła rękawiczki? – spytał.

– Nie. – W tej chwili tylko cienkie skórzane rękawiczki chroniły jej umysł przed obłędem.

Powietrze wokół nich zgęstniało od namacalnego, zmysłowego napięcia. Słyszała jego chrapliwy oddech. Palce zawiodły ją na moment i drasnęła go w ucho. Przeraziła się, ale on wydawał się nie zwrócić na to uwagi. W rance pojawiła się maleńka kropelka krwi, musiała wytężyć całą siłę woli, żeby nie przywrzeć do niej ustami.

Po paru kolejnych cięciach odłożyła nożyce. Żeby sprawdzić, czy równo obcięła, położyła ręce na jego głowie, a potem przesunęła powoli palce od czubka w dół.

Kiedy jej palce sunęły tak delikatnie, powoli, wydał z siebie mimowolny jęk. A może sapnięcie? Pochodził nie z gardła, ale z głębi piersi. Gdzieś z okolic serca.

To było więcej niż westchnienie. Stanowiło wyznanie, prośbę. Zwykłym muśnięciem palców wydobyła z niego oznakę głębokiego, ukrytego pragnienia. Poczuła dreszcz w całym ciele.

O Boże! Och, Bram!

– Obróć się – szepnęła.

Posłuchał, oczy miał zamknięte.

Jej za to były otwarte. Otwarte na całkiem nowego człowieka. Ten wielki, brutalny żołnierz zamieniony w średniowiecznego pana zamku –

teraz z włosami krótko obciętymi jak u młodzika – wyglądał na bezbronnego i zagubionego. Na kogoś, kto potrzebuje opieki. Jej opieki.

Przypomniała sobie, jak zaprzeczał swoim uczuciom. Czy zdawał sobie sprawę, jak bardzo się zdradził? Pomyślała o wczorajszych namiętnych pocałunkach. Jak czepiał się każdego pretekstu, żeby jej dotknąć. Boże, sposób, w jaki brał z niej miarę… Znowu poczuła mrowienie wzdłuż kręgosłupa, jakby ją tam dotykał. A myślała, że chce ją po prostu wytrącić z równowagi.

Ale teraz zrozumiała jego motywy. Oto i ona, jego tajemnica. Żadne dramatyczne przeżycia z dzieciństwa czy potworności wojny. Tylko głębokie, niewypowiedziane pragnienie bliskości. Och, prędzej by umarł, niż wyraził to w ten sposób, ale jego jęk powiedział wszystko.

To był jęk, jaki wydawała z siebie wielka, włochata bestia, kiedy wyciągano jej cierń z łapy.

Oto mężczyzna, który potrzebował dotyku i pożądał czułości. Któremu od dawna brakowało jednego i drugiego. Ile pozwoli jej dać? Musnęła palcami przyciętą grzywkę na jego skroniach. Jabłko Adama podskoczyło mu na szyi. Opuszkiem palca przesunęła lekko po jego kości policzkowej.

– Dosyć. – Otworzył oczy, chłodne i wyzywające.

Zraniona ostrym tonem jego głosu, odsunęła ręce.

– Cóż, panno Finch. – Odstąpił o krok i przesunął ręką po swoich ciemnych, teraz krótkich włosach. – Powiedz, jak wyglądają inni mężczyźni?

Susanna rozejrzała się po skwerze. Wszędzie widziała mężczyzn z włosami obciętymi krótko, tuż przy skórze.

– Jak stado jednorocznych owiec, świeżo ostrzyżonych.

– Nieprawda – powiedział. – Nie wyglądają jak owce. Mają wygląd żołnierzy. Mężczyzn, którym przyświeca wspólny cel. Drużyny. Wkrótce zaczną też działać w ten sposób.

Chwycił ją w pasie, zdjął ze stołu i ponownie postawił na twardym gruncie. Dziwne, ale świat wciąż wydawał się chwiejny.

– Przyjrzyj im się dobrze. W ciągu miesiąca zrobię z nich prawdziwych żołnierzy. Staną się ludźmi oddanymi służbie, ludźmi czynu. Pokażę twoim wychuchanym, wymuskanym starym pannom, co potrafią prawdziwi mężczyźni. – Drgnął mu kącik ust. – Spindle Cove stanie się zupełnie innym miejscem. A ty, panno Finch, mi za to podziękujesz.

Pokręciła głową. Zbyt wiele przed nią odkrył. Ten zabijaka nie mógł już jej nastraszyć. Nie zamierzała zostawić takiego wyzwania bez zdecydowanej odprawy.

Spokojnie strzepnęła pojedyncze włoski z klap jego kubraka.

– Za miesiąc społeczność, którą kocham, atmosfera, którą stworzyliśmy z takim trudem, będą takie same. Wszystko, co dzisiaj widzę, pozostanie niezmienione, z wyjątkiem jednej rzeczy. Spindle Cove zmieni ciebie, lordzie Rycliff. A jeśli zagrozisz zdrowiu i szczęściu moich dam? – Dotknęła delikatnie jego policzka. – Rzucę cię na kolana.

11

W poniedziałki spacerujemy po okolicy.

Susanna prowadziła siostry Highwood ścieżką pod górę. Zostały nieco w tyle za większą grupą. Panie przed nimi tworzyły tęczowe pasmo muślinu.

– Równina jest piękna o tej porze roku. Kiedy dotrzemy na szczyt, zobaczycie ziemie na mile wokół. To takie uczucie, jakby się stało na szczycie świata.

Dzięki Bogu za planowe zajęcia. Po wczorajszych… podniecających przeżyciach… na skwerze i kolejnej niespokojnej nocy Susanna była wdzięczna, że może skupić się na czymś innym. Szła energicznie, wciągając do płuc pachnące zielenią powietrze.

– Polne kwiaty są prześliczne. – Charlotte zerwała lawendowej barwy dzwoneczek i obróciła go w palcach.

Minerva przysunęła się do Susanny.

– Panno Finch, nawet nie zdaje sobie pani sprawy, jak bardzo nienawidzę mówić jak moja matka. Ale czy ten wysiłek na pewno posłuży zdrowiu Diany?

– Z całą pewnością. Ćwiczenia fizyczne to jedyny sposób, żeby ją wzmocnić. Pójdziemy powoli i tylko tak daleko, żeby się zanadto nie zmęczyć. – Dotknęła ramienia Diany. – Panno Highwood, proszę mi koniecznie powiedzieć, kiedy poczuje pani najlżejszą trudność w oddychaniu. Zatrzymamy się natychmiast i odpoczniemy.

Słomkowy kapelusz zakołysał się na znak zgody.

– I – Susanna sięgnęła do kieszeni, wydobywają małą, zakorkowaną butelkę – mam dla ciebie specjalną miksturę. Noś ją cały czas w torebce. Ostrożnie, bo jest za silna, żeby zażywać ją codziennie. Tylko wtedy, kiedy czujesz, że to naprawdę potrzebne. Zakrętką odmierzysz odpowiednią

dawkę. Aaron Dawes zrobił tę buteleczkę w swojej kuźni. Świetnie sobie radzi z takimi drobiazgami.

Panna Highwood przyjęła buteleczkę.

– Co zawiera?

– Pospolita nazwa to skrzyp polny. Brzmi niepozornie, ale jego zdolność do otwierania płuc jest zaiste niezwykła. Ta roślina zazwyczaj występuje w cieplejszym klimacie, ale pogoda na wybrzeżu jest na tyle łagodna, że jestem w stanie ją tu uprawiać.

– Pani przyrządziła tę miksturę?

– Tak – odparła Susanna. – Param się aptekarstwem.

Minerva zerknęła nieufnie na butelkę. Kiedy szli równym, powolnym krokiem pod górę, odciągnęła Susannę na bok.

– Proszę mi wybaczyć, panno Finch, ale moja siostra bardzo cierpiała. Nie podoba mi się myśl, że jej zdrowie można by powierzyć komuś, kto się zaledwie „para” aptekarstwem.

Susanna ujęła ją pod ramię.

– Wiedziałam, że cię polubię, Minervo. – Masz całkowitą rację, starając się chronić siostrę, a ja nie powinnam przedstawiać mojej pracy w ten sposób. Nie bardziej niż ty powinnaś opowiadać, że się „parasz” geologią. Dlaczego my, kobiety, tak często pomniejszamy własne osiągnięcia?

– Nie wiem. Mężczyźni zawsze chełpią się swoimi.

– Prawda. Chwalmy się zatem jedna przed drugą. Studiowałam wnikliwie sztukę farmacji przez wiele lat. Robię lekarstwa dla wielu gości i wieśniaków. I mam solidne, naukowe podstawy, żeby twierdzić, że w ataku duszności zawartość tej buteleczki może okazać się pomocna twojej siostrze.

– W takim razie ufam pani doświadczeniu. – Minerva się uśmiechnęła. – A co do moich przechwałek. – Zwolniła kroku, zerknąwszy na inne damy. Od głównej grupy dzieliła je teraz spora odległość. – Czy potrafisz dochować sekretu? Jestem pierwszą – i jedyną – kobietą członkiem Królewskiego Towarzystwa Geologicznego.

Susanna sapnęła z zachwytu.

– Jak ci się udało tego dokonać?

– Nie mówiąc im, że jestem kobietą. Dla nich jestem po prostu M.R. Highwood i porozumiewam się z nimi korespondencyjnie. Moją specjalnością są kopaliny.

– Och, zatem jesteś w jak najbardziej właściwym miejscu. Te kredowe wzgórza obfitują w dziwne małe kamienie, a zatoczka… Poczekaj, aż ją jutro zobaczysz.

Zamilkły na chwilę, gdy dróżka stała się bardziej stroma i węższa – tak że musiały iść gęsiego.

– Oto zamek. – Wyżej na ścieżce Charlotte stanęła na palcach, machając rosnącym bukiecikiem polnych kwiatów w kierunku ruin. – To takie romantyczne, czyż nie? Z morzem w tle.

– Przypuszczam – odparła Susanna, nie odrywając oczu od ziemi.

Wiedziała doskonale, jaki malowniczy widok przedstawia zamek, ale starała się trzymać zamki i romanse w dwóch osobnych, dobrze zakorkowanych buteleczkach na półeczce swojej wyobraźni.

– Pani kolej, panno Finch – szepnęła Minerva, idąc tuż za nią. – Czy ma pani jakiś sekret, którym chciałaby się podzielić?

Susanna westchnęła. Miała tajemnicę – skandaliczną i potencjalnie niebezpieczną, związaną z lordem Rycliffem, pocałunkami w zbrojowni i plątaniną uczuć, z którymi nie mogła sobie poradzić. Żałowała, że nie może powierzyć jej Minervie. Ale mężczyźni i kopaliny to dwie zupełnie różne rzeczy.

Minęły zakręt ścieżki i o mało nie wpadły na inne damy. Zatrzymały się na skraju urwiska, patrząc w milczącym podziwie na rozciągającą się poniżej dolinę.

– O do czarta! – zawołała Violet Winterbottom. – Co za widok!

– Tylko popatrz na nich wszystkich – sapnęła Kate Taylor.

– Na Boga, co to jest? – zapytała Susanna, przepychając się do przodu. – Czy krowy pana Yarborough znowu uciekły?

– Nie. To stworzenia innego gatunku. – Kate uśmiechnęła się szeroko.

Do uszu Susanny dotarła mieszanina dźwięków. Nierówny rytm bębna. Piskliwy głos fujarki. Niecierpliwe rżenie konia.

Wreszcie to zobaczyła. Mężczyźni. Byli tam, w dole, na łące, na północ od usadowionego na klifach zamku. Z tej wysokości trudno było ich rozróżnić. Nie byłaby w stanie rozpoznać pana Fosbury czy kowala. Ale Bram, jak zwykle, wyróżniał się w tłumie. Tym razem nie tylko dlatego, że był najwyższy, a jego kurtka najjaskrawsza, ale dlatego że siedział na koniu, żeby precyzyjnie ustawiać formację. Kiedy maszerowali, objeżdżał ich wokoło, wydając polecenia ze wszystkich stron.

Wydawał się na swoim miejscu, silny, pełen energii. Źle się składało, bo te wszystkie cechy pociągały ją w mężczyznach. Nigdy nie żałowała okropnego sezonu w Londynie, ponieważ dżentelmeni tak bardzo ją rozczarowali. Byli tacy rozleniwieni i bezużyteczni. O wiele łatwiej przychodziło jej szanować ludzi, którzy coś robili.

Violet osłoniła czoło dłonią.

– Chyba nie idzie im za dobrze, co?

Kate parsknęła śmiechem.

– Powtarzają w kółko to samo. Pojedynczy szereg, marsz w tę i we w tę. Wciąż od nowa. Z jednego końca łąki w drugi. Zatrzymują się, odwracają i idą z powrotem. – Spojrzała na Violet. – Ile razy, jak dotąd?

– Przestałam liczyć przy ośmiu.

– Nie powinnyśmy im się przyglądać – stwierdziła Susanna.

– Czemu nie? – sprzeciwiła się Kate. – Czy nie przygotowują się do przeglądu w polu? Publicznego pokazu?

– Tak czy inaczej, nie przerywajmy spaceru.

– Otóż, panno Finch – odezwała się Diana – trochę brakuje mi tchu. Może odpoczynek dobrze mi zrobi.

– Och! Oczywiście. – Nie mogąc się upierać, Susanna rozłożyła szal i usiadła na zboczu wzgórza. Pozostałe damy poszły za jej przykładem, żadna nie siliła się na udawanie, że zamierzają zrywać kwiaty czy też obserwować ptaki.

Wszystkie wpatrywały się jak zaczarowane w żałosną musztrę nowego oddziału ochotników.

Susanna się niepokoiła. Obiecała trzymać swoje damy z dala od mężczyzn Brama. Fizyczna odległość, jaka ich teraz dzieliła, nie łagodziła jej obaw. Dystans sprawiał tylko, że panie mogły swobodnie się gapić i plotkować.

– Poznaję tę jasnozieloną kurtkę. To musi być pastor Keane.

– Można by się spodziewać, że będzie miał lepsze wyczucie rytmu. Tyle śpiewa w kościele.

Ktoś szturchnął ją łokciem w bok.

– Lord Rycliff schodzi z konia, niech pani spojrzy.

Susanna postanowiła nie patrzeć.

– Zabiera jednemu z nich muszkiet. Może sam chce im pokazać, jak to ma wyglądać.

Susanna umocniła się w swoim postanowieniu, żeby nie patrzeć. Źdźbła trawy pod palcami interesowały ją o wiele bardziej. I proszę, jaka fascynująca mrówka!

Obok rozległo się kobiece westchnienie.

– Co to za małe, puchate stworzenie, które mu depcze po piętach? Jakiś pies?

Niech to. Teraz musiała spojrzeć. Uśmiechnęła się radośnie.

– Nie. To jego osobista owieczka. Słodkie stworzonko wszędzie za nim chodzi. Nazywa się Kolacja.

Wszystkie panie wybuchnęły śmiechem, Susanna śmiała się razem z nimi, wiedząc, jak Bram by się złościł, że stroją sobie z niego żarty. Dziwne – i trochę niepokojące – że była taka pewna siebie, przewidując jego reakcje. I do tego myślała o nim zwyczajnie „Bram”.

– Och! – Gestem, który bardzo przypominał jej matkę, Charlotte przycisnęła rękę do serca. – Zdejmują kurtki.

– Nie tylko kurtki.

Damy patrzyły w milczeniu, podczas gdy mężczyźni zdjęli najpierw kurtki, potem kamizelki i fulary.

– Dlaczego to robią? – zapytała Charlotte.

– Ciężko pracują – zauważyła Diana. – Może jest im gorąco.

Kate się roześmiała.

– Tutaj też temperatura rośnie.

– To nie gorąco – oznajmiła Susanna, po raz kolejny dziwiąc się, że tak łatwo czyta w myślach Brama. – Mają kurtki w różnych kolorach. Lord Rycliff chce, żeby wyglądali tak samo i zachowywali się jednakowo.

Charlotte zabrała Minervie okulary i przyłożyła je do własnych oczu.

– Niech to. Nic nie widzę.

– Gąsko. – Minerva trąciła czule siostrę. – Jestem dalekowzroczna. Okulary pomagają tylko przyjrzeć się czemuś z bliska. A poza tym nie rozumiem, dlaczego robicie tyle zamieszania z powodu paru mężczyzn w koszulach. Z tej odległości to tylko blade plamy.

Z wyjątkiem Brama. W jego torsie nie było nic niewyraźnego. Nawet z tej odległości Susanna widziała wyraźnie napięte pod płótnem mięśnie ramion i rąk. Przypomniała sobie ich ciepło pod palcami.

– Powinnyśmy wracać do wsi. – Podniosła się i otrzepała spódnicę z trawy, a indyjski szal złożyła w schludny prostokąt.

– Ale panno Finch, nie doszłyśmy nawet do… – sprzeciwiła się Violet.

– Pannie Highwood brak tchu – przerwała tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Na dzisiaj wystarczy.

Panie stały w milczeniu, wiążąc wstążki od kapeluszy pod szyją i przygotowując się do powrotu.

– Jak myślisz? – Kate uśmiechnęła się na słaby odgłos bębna, który rozległ się ponownie. – Ile razy każe im jeszcze ćwiczyć to samo?

Susanna nie mogła podać liczby, ale i tak znała odpowiedź.

– Tyle, ile trzeba, żeby zrobili to jak należy.

– Nigdy nie zrobią tego porządnie – mruknął Thorne. – Beznadziejni, co do jednego.

Bram zaklął pod nosem. Na Boga, cały wczorajszy dzień poświęcił na to, żeby nauczyć tych mężczyzn maszerować w równym szeregu. Podczas musztry we wtorek rano postanowił to zadanie jeszcze uprościć. Żadnej określonej formacji, tylko marsz w równym tempie przez otwarty teren – lewa, prawa, lewa.

Jednak w określonym tempie maszerowało się łatwiej z doboszem, który wybijał jednostajnie rytm, a Finn Bright wydawał się urodzić bez poczucia rytmu. Nie wspominając już o rozdzierających ucho piskach na fujarce w wykonaniu Rufusa.

Mimo tego udało im się jakoś przebyć półksiężyc ziemi między zamkiem Rycliff a wysokimi klifami wyznaczającymi drugi koniec zatoczki.

– Każ im spocząć – polecił Thorne’owi. – Zobaczymy, czy potrafią po prostu… stać przez chwilę spokojnie, nie przewracając się na tyłki.

Bram prędzej by się przewrócił na własną szablę, niżby przyznał, że to on potrzebuje odpoczynku. Zerknął w drugi koniec zatoczki. Wznosił się tam zamek. Blisko – jeśli byłoby się morskim ptakiem, dla ludzi raczej kawał drogi. Niech to diabli, powinien był zabrać konia.

– A więc to jest, jak rozumiem, wrzeciono[8]? – Colin zerknął na skalną kolumnę u wejścia do zatoczki. Skały były wysokie, zaokrąglone, z czapą piaskowca na szczycie.

– Tak sądzę.

Colin parsknął.

– To niezbicie dowodzi, że nazwę temu miejscu nadały zasuszone stare panny. Żaden mężczyzna – do diabła, żadna kobieta z odrobiną

doświadczenia – nie spojrzałby na to, nie nazwawszy tego inaczej, niż… taaaak, wrzecionem?

Bram wypuścił powoli powietrze. Nie miał dzisiaj cierpliwości do szczeniackich dowcipów kuzyna. Słońce grzało go w plecy. Niebo i morze konkurowały ze sobą, które jest bardziej niebieskie. Jedno i drugie zdobiły cętki bieli, morska piana była jak lustrzane odbicie chmur.

Patrząc, jak mewy unoszą się z wiatrem, czuł, że serce wyrywa mu się z piersi. Chłodna woda kusiła.

A jego kolano było jak odłamki szkła ukryte pod skórą. W ciągu ośmiu miesięcy, odkąd został ranny, nie maszerował tyle bez ortopedycznej szyny. Do diabła, nie powinien już jej potrzebować. Co to znaczy mila czy trzy w polu?

Należałoby to wmówić jego ścięgnom. Cała noga wściekle mu dokuczała i nie miał pojęcia, jak wróci do zamku. Ale wróci. Poprowadzi ich wszystkich i ani razu się nie skrzywi.

Ból jest dobry, przekonywał siebie Bram. Ból uczyni go silniejszym. Następnym razem zmusi się do trochę większego wysiłku, a ból trochę się zmniejszy.

Jakiś ruch w zatoczce przyciągnął jego wzrok.

– Co to jest?

– Cóż, niebezpiecznie wychodzę z wprawy – odparł Colin. – Ale, jak dla mnie, wygląda to na damy.

Kuzyn się nie mylił. Damy – Bram był pewien, że rozpoznaje wśród nich wysoką, szczupłą postać Susanny Finch – wędrowały wzdłuż brzegu. Zatrzymały się całą grupą, zdjęły czepki i szale i powiesiły je na gałęziach niskiego drzewa o powykręcanych gałęziach. Bram dostrzegł złotorudy błysk włosów Susanny i odżyło w nim pożądanie. Rozpoznałby te włosy wszędzie. Odgrywały raczej żywą rolę w jego snach zeszłej nocy.

Damy doszły do kamienistej plaży i znikły im z oczu, ukryte za wzniesieniem.

– Jak myślisz, co one robią? – zapytał Colin.

– Jest wtorek – odparł Bram. – Kąpią się w morzu. – „W poniedziałki spacerujemy po okolicy. We wtorki morskie kąpiele. W środy znajdziesz nas w ogrodzie…” Obietnica zajęć w ogrodzie dała mu nadzieję. Boże! Może jutro uda mu się wymknąć Susannie i wpływowi, jaki wywierała na jego zmysły. Jakby nie dość, że wczoraj patrzył, jak wspina się po zboczu,

to dzisiaj musiał znosić świadomość, że gdzieś niedaleko wkrótce przemoczy się do gołej skóry.

Bracia Bright odłożyli instrumenty i przyłączyli się do nich na szczycie urwiska.

– Nie ma sensu wykręcać sobie szyi – uprzedził Rufus. – Są dobrze schowane, kiedy się przebierają w kostiumy kąpielowe.

– Kostiumy kąpielowe? – parsknął Bram. – Oto jak Angielki cywilizują ocean.

– Jeśli chcecie mieć lepszy widok, najlepiej zejść trochę niżej – oznajmił Finn, wskazując fragment nieco wysuniętego gruntu. Bram uniósł brew i policzki chłopca poczerwieniały. – Tak słyszałem. Od Rufusa.

Bliźniak przyłożył mu łokciem w bok.

Tymczasem reszta mężczyzn zebrała się niedaleko od nich.

– Opowiedz nam o tej ścieżce – zażądał Bram.

– To tam. – Finn wskazał ją. – Stopnie wykute przez piratów w piaskowcu za czasów naszego dziadka. Kiedyś, jak był odpływ, można było wdrapać się z plaży aż na szczyt klifu. Później ścieżka się osunęła. Zanika w połowie drogi. Ale jak się zejdzie trochę niżej, ma się lepszy widok na zatokę.

Bram zmarszczył brwi.

– Jesteś pewien, że nikt nie może się tu wspiąć? Gdyby zwiedzieli się o tym szpiedzy albo szmuglerzy, ta ścieżka stanowiłaby duże ryzyko. – Zwrócił się do rybaków ochotników. – Czy wasze łodzie nadają się do użytku? Chciałbym przyjrzeć się tym klifom z wody.

Proboszcz podbiegł do niego pośpiesznie.

– Och, ale panie…

– Ale co, pastorze? Dzień jest całkiem ładny. I jest przypływ.

– Damy zażywają morskiej kąpieli. – Keane otarł poczerwieniałą twarz rękawem. – Pannie Finch to by się nie spodobało.

Bram parsknął niecierpliwie.

– Panie Keane. Celem oddziału jest chronić pannę Finch i wszystkich mieszkańców Spindle Cove przed intruzami. A jakby w tej chwili pojawiła się tutaj francuska fregata, zmierzająca w stronę zatoczki? Albo amerykański korsarz? Czy myślisz, że powstrzymaliby się od inwazji tylko dlatego, że dziś jest wtorek? A pan przełożyłby walkę tylko dlatego, że damy się akurat kąpią?

Kowal podrapał się w szyję.

– Jakby jakiś statek był na tyle głupi, żeby wpłynąć do zatoczki, siedzielibyśmy spokojnie, czekając, aż rozbije się na skałach.

– Nie ma tam aż tylu skał. – Bram zerknął w dół. W paśmie wody barwy akwamaryny wprost pod nimi niewiele głazów wystawało ponad poziom morza. Spora łódź wiosłowa mogła dopłynąć do samego brzegu.

– Tak czy inaczej – zauważył Fosbury – dzisiaj nie widać na horyzoncie francuskiej fregaty. Ani amerykańskich piratów. Nie zakłócimy damom spokoju.

– Spokoju? – powtórzył Bram. – Jakiego spokoju? Stoimy tu i gapimy się, jak one podskakują w wodzie jak syreny.

Oczywiście, nie był lepszy od innych. Stali w milczeniu przez długą minutę, podczas gdy podopieczne Susanny wchodziły po kolei do wody, zanurzając się raptownie aż po brodę. Liczył je. Jedna, dwie, trzy małe stare panny… Aż do jedenastu. A panna Finch – z wyróżniającą ją wszędzie rudą grzywą – okazała się dwunasta.

Na Boga, Bram z największą ochotą wskoczyłby teraz do wody. Prawie czuł, jak otacza go chłodna, poruszająca zmysły woda. Oczami wyobraźni widział, jak Susanna płynie obok. W mokrej, przezroczystej koszuli, spowita wspaniałymi, puszczonymi wolno włosami. Leży na płyciźnie, kreśląc leniwe kółka ramionami, a spieniona fala odbija się od jej piersi.

Skup się, Bramwell!

Mlecznobiałe piersi, rozmiarem idealnie pasujące do jego rąk, ozdobione sutkami barwy róż.

Skup się na czymś innym, ty otumaniony głupku!

Usiadł ciężko na najbliższym kamieniu i zaczął zdejmować buty. Zdjął oba i podwinął rękawy do łokci. W samych bryczesach i koszuli Bram podszedł na skraj skalnego urwiska tam, gdzie skała wysuwała się nieco ponad morze. Jego bose palce obejmowały piaskowiec.

– Poczekaj – powiedział Colin. – Co ty wyprawiasz? Wiem, że z oddziałem nie układa się tak, jak planowałeś, a te żałosne duszyczki, męskie karykatury, nie potrafią z siebie nic wykrzesać. Ale z pewnością sprawy nie przedstawiają się aż tak ponuro.

Bram przewrócił oczami.

– Po prostu przyglądam się tej ścieżce. Skoro myśl o obejrzeniu jej z łódki wprawiła wszystkich w takie oburzenie.

– Nie jestem oburzony – odparł Colin. – Ale też nie taki głupi, żeby spacerować po krawędzi urwiska.

– Dobrze. Nie we wszystkim musimy się zgadzać. – Bram podszedł na tyle daleko, na ile się dało. Zgodnie z tym, co powiedzieli Finn i Rufus, skalne stopnie schodziły w dół, po czym rozpływały się w nicości. Nie dałoby się wejść tamtędy bez pomocy lin i haków. Może skrzydeł.

Zaspokoiwszy ciekawość, wrócił na kamień i zwrócił się do swoich ludzi. Nie miał na sobie odznak oficera, ale przybrał władczy wyraz twarzy, dostosowując do niego głos.

– Słuchajcie uważnie, wy wszyscy. Kiedy wydaję rozkaz, macie go wykonać. To ostatni dzień, kiedy jestem gotów tolerować jakiekolwiek wahanie z waszej strony. Wykręty, uniki – a szczególnie zdania typu: „Zapytajmy pannę Finch” – będą podstawą do natychmiastowego zwolnienia bez zapłaty. Czy to jasne?

Rozległ się chóralny pomruk oznaczający zgodę.

Wbił kciuk we własną pierś.

– Ja jestem teraz waszym panem i dowódcą. Jak mówię maszerować, maszerujecie. Jak mówię strzelać, strzelacie. Nieistotne, co by o tym pomyślała panna Finch… A jak wam mówię, żebyście skoczyli z klifu głową w dół, to skaczecie z uśmiechem.

Zanim odeszli, pozwolił sobie na jeszcze jedno spojrzenie na zatoczkę. Wszystkie te damy podskakujące, unoszące się w kryształowo niebieskiej wodzie. Jedna, dwie, trzy małe stare panny…

Przerwał. Zmarszczył brwi. Skupił się i spojrzał znowu. A potem serce wyskoczyło mu z piersi i spadło z klifu.

Doliczył się tylko jedenastu.

12

– Co lord Rycliff tutaj robi? – zapytała Charlotte, wskazując na wysoki brzeg. – Podgląda nas? Gdzie jego ubranie?

– Nie wiem. – Susanna szła przez wodę, obserwując zmrużonymi oczami, jak bosonogi Bram zbliża się do krawędzi urwiska.

– Wygląda ponuro i poważnie.

– On zawsze tak wygląda.

Z wysoka dobiegł głos lorda Payne.

– Nie rób tego, Bram! Masz po co żyć!

Damy krzyknęły, kiedy Bram, najwyraźniej ignorując kuzyna, zgiął nogi i skoczył.

– O, Boże! – Susanna patrzyła z przerażeniem, jak leci do wody. – Zrobił to. Przekonał się, jak beznadziejni są ochotnicy, i to go skłoniło do samobójstwa!

Potężny plusk obwieścił, że zetknął się z wodą. Mogła się tylko modlić, żeby zaraz potem nie zetknął się z czymś innym. To było kamieniste miejsce. Cała zatoczka była kamienista. Bardzo prawdopodobne, że uderzył głową o kamień i już nigdy nie wypłynie.

– Biegnij po pomoc – zwróciła się do Charlotte, podwijając spódnicę swojego kostiumu. – Zawołaj mężczyzn na górze i powiedz, żeby zeszli ścieżką na plażę.

– Ale… ale ja nie jestem ubrana. Co by mama powiedziała?

– Charlotte, nie pora na takie fochy. To sprawa życia i śmierci. Po prostu zrób, co mówię.

Susanna rzuciła się do wody i płynęła do miejsca, gdzie powinien wylądować. Cięła fale szybkimi, pewnymi ruchami, ale przeklęty kostium, który nosiły ze względów przyzwoitości, hamował jej tempo. Materiał, ciężki od wody, oplatał jej kostki.

– Lordzie Rycliff! – zawołała, podpływając bliżej klifu. Podniosła się i zaczęła brodzić, szukając na lewo i prawo. Widziała mnóstwo kamieni, ale żaden nie przypominał jego zakutego łba. – Lordzie Rycliff, czy nic ci nie jest?

Żadnej odpowiedzi. Spódnica zaczepiła się na jakiejś przeszkodzie i nagłe szarpnięcie wciągnęło ją pod wodę. Morska woda wlała jej się do gardła. Wynurzyła się, kaszląc i prychając.

– Bram! – krzyknęła z rosnącą desperacją. – Bram, gdzie jesteś? Zraniłeś się?

Wystawił głowę z wody, niecałe dwie stopy przed nią. Przemoczony, z ponurym, niebezpiecznym wyrazem twarzy.

Żył. Przypływ ulgi był tak namacalny, tak silny, że przesłonił wszystko inne.

– Bram, co ty najlepszego wy…

Nie zwrócił na nią uwagi, rozglądając się po zatoczce.

– Gdzie ona jest?

– Kto?

– Numer dwanaście.

Nabrał powietrza i zniknął pod wodą, zostawiając ją w stanie kompletnego oszołomienia.

Numer dwanaście? To nie miało żadnego sensu. Na Boga, dokładnie tak samo jak tamto nieszczęsne bombardowanie owiec.

Wynurzył się, ocierając twarz z wody.

– Muszę ją znaleźć. Ciemnowłosa dziewczyna.

Minerva. Teraz zrozumiała. Szukał Minervy Highwood. Skoczył z klifu, żeby ją uratować. Heroicznie odważny, nieustraszony, wprowadzony w błąd głupiec.

– Sprawdzę tam. – Zaczął opływać skupisko kamieni.

– Poczekaj! – zawołała, płynąc za nim. – Bram, mogę ci to wyjaśnić. Zapewniam cię, że nie utonęła.

– Była tutaj. Teraz jej nie ma.

– Wiem, że to tak wygląda. Ale jeśli…

Wciągnął głęboko powietrze i znowu się zanurzył. Miała wrażenie, że upłynęła wieczność, zanim się znowu pokazał. Ten człowiek miał płuca jak wieloryb.

Susanna rzuciła się na niego, żeby go powstrzymać przed kolejnym zanurzeniem się.

– Poczekaj!

Złapała go od tyłu, jak dziecko dosiadające kucyka, otaczając ramionami za szyję, a nogami, na tyle, na ile pozwalał kostium, w pasie.

– Nic jej nie jest! – krzyknęła mu do ucha, potrząsając nim bezlitośnie. – Posłuchaj. Numer dwanaście, Minerva Highwood! Żyje i ma się dobrze.

– Gdzie? – wysapał. Otrząsnął się i woda prysnęła jej w oko.

– Tam jest jaskinia. – Objęła jego głowę dłońmi z dwóch stron i obróciła ją we właściwym kierunku. – Tam. Wejście jest pod wodą podczas przypływu, ale pokazałam jej, jak się tam dostać. Jest cała i zdrowa. I szuka kamieni. Geologia. Pamiętasz?

– Geologia.

Milczeli jakiś czas. Podnosiła się i opadała na wodzie, podczas gdy on starał się odzyskać oddech.

– To ładnie z twojej strony – powiedziała, przytulając policzek do jego karku – ze próbowałeś jej pomóc.

– Ale nic jej nie jest.

– Tak. – I tobie też nie, dzięki Bogu, pomyślała.

Parę urywanych oddechów później, powiedział:

– Myślę, że możesz mnie już puścić. Jest tu na tyle płytko, żeby dało się stanąć.

Uświadomiła sobie wówczas, że trwał nieruchomo, mając ją na grzbiecie. Zerknęła mu przez ramię. Woda uderzała go poniżej piersi, przylepiając koszulę do ciała. W rozpięciu koszuli drobne krople wody na jego ciemnych włosach lśniły w słońcu. Małe fale lizały jego sutki, wyraźnie widoczne pod mokrym płótnem.

A ona przykleiła się do jego pleców, z rozcapierzonymi we wszystkie strony nogami i rękoma. Jak zwariowana ośmiornica.

– Och! – Zmieszana zsunęła się na piasek. Poruszyła stopami znalazła solidne oparcie.

– Cóż, to raczej krępujące.

Kiedy w końcu zdobyła się na to, żeby spojrzeć mu w twarz, stwierdziła, że teraz on gapi się na jej sutki. Jakie to przewidywalne. Mężczyzna. Ona się zamartwia, że Bram zginął, a on ma czelność ujść z życiem. Obrzydliwie męski, silny i żywy. Jak on śmie? Jak śmie?!

I to podniecenie jego wyczynem, po iluś tam dniach skrywanego napięcia. A przedtem obcinanie włosów, które tyle ujawniło. I ten pocałunek…

Narastało w niej zbyt wiele emocji, które mogły znaleźć jedno z dwóch możliwych wyjść. Irracjonalny gniew albo…

Nie zamierzała się zastanawiać nad tym „albo”. Zatem irracjonalny gniew.

– Bezmyślny głupcze! – krzyknęła. – Półgłówku z mózgiem mięczaka. Coś ty myślał, ważąc się na taki skok?! Nie widzisz skał? Mogłeś się zabić!

Podniósł brodę.

– Równie dobrze mógłbym się ciebie zapytać, co ty robisz, pływając w tym okropnym odzieniu. Mogłoby cię wciągnąć pod wodę i utonęłabyś jak Ofelia.

– Przypłynęłam tu, żeby cię ratować, ty dzikusie. Jestem dobrą pływaczką.

– Ja też jestem dobrym pływakiem. Nie potrzebuję ratowania.

Odwróciła głowę, wypluwając kolejny haust morskiej wody.

– Och, będziesz, kiedy z tobą skończę.

Pod powierzchnią wody coś musnęło jej talię. Ryba? Węgorz? Zaczęła się opędzać, uderzając ręką.

– Spokojnie, to tylko ja. – Objął ją ramieniem w pasie, przyciągając mocno. Zanurzyli się po szyję. Zagarniając wodę jednym ramieniem, wpłynął razem z nią między kamienie.

– Co ty wyprawiasz?

Zerknął w górę, na klif.

– Zapewniam nam trochę prywatności. Musimy porozmawiać.

– Tutaj? Teraz? Nie moglibyśmy porozmawiać w jakimś normalnym czasie i miejscu?

– To jest problem. – Przesunął ręką przez ciemne, wilgotne włosy. – Nie mogę przestać o tobie myśleć. Przez cały czas. Wszędzie. Mam zadanie do wykonania. Muszę musztrować ochotników. Organizować pokaz. Bronić zamku. Ale nie mogę się na niczym skupić, bo myślę o tobie.

Popatrzyła na niego zdumiona. To? To była rozmowa, którą chciał odbyć. Cóż, rozumiała, że nie mógł w tym celu odwiedzić jej w domu, żeby porozmawiać przy herbacie.

– Powiedz mi, dlaczego tak jest, Susanno. Pamiętaj, że rozmawiasz z mężczyzną, który jest gotów zboczyć z drogi o sto mil, żeby uniknąć romantycznego związku.

– Związku? – Zmusiła się do lekceważącego chichotu. Zupełnie nieprzekonującego. – Baryłka gorącej smoły nie zdołałaby mnie z tobą związać.

Pokręcił głową, zaniepokojony.

– Lubię nawet to, że mi dogryzasz.

– Widziałeś mnie z bronią. Gdybym chciała ci dogryźć, z pewnością byś to poczuł. I na pewno by ci się to nie podobało. – Musiała się wyplątać z tej sytuacji i jego silnych ramion. Szarpnęła się, ale tylko ścisnął ją mocniej.

– Nie uciekniesz. Jeszcze nie. – Jego głęboki głos wywoływał zmarszczki na wodzie. – Wyrzucimy to z siebie, ty i ja. Tutaj. Teraz. Wyjawię ci wszystkie dzikie, erotyczne, niestosowne myśli, jakie we mnie wzbudzasz, a potem pobiegniesz do domu przerażona. Zamkniesz się w sypialni na klucz i zostaniesz tam przez miesiąc, a ja będę mógł się skupić i wykonać swoje zadanie.

– To się wydaje marnym planem.

– Myślenie nie jest ostatnio moją mocną stroną.

To nagłe pobudzenie zmysłów… Och, to było niebezpieczne. Mogłaby to polubić. Szczerze mówiąc, już to lubiła. Ale mogłaby z czasem zacząć tego pożądać, a to skazałoby ją na mękę w samotności. Wiedziała, że Bram potrzebuje trochę bliskości. Może z powodu wojny zbyt długo był jej pozbawiony. Ale myślał co najwyżej o plątaninie członków ciała, a nie związku serc i dusz.

– Chcę ciebie – powiedział po prostu. Otwarcie. Rozbrajająco.

Widzisz? Powiedziała sobie w duchu. Nie mógłby być bardziej bezpośredni.

– Chcę ciebie. Marzę o tobie. Rozpaczliwie pragnę być blisko ciebie. – Poczuła, jak dreszcz przebiega jej po plecach. – Dotykać cię. Wszędzie. – Przesuwał rękami po jej ramionach i plecach. – Co to za paskudztwo, które masz na sobie?

– Kostium kąpielowy.

– W dotyku jest jak całun. I taki piekielnie nieprzezroczysty.

– Tak, owszem. Raczej o to chodzi. Nieprzezroczysty. – Oddychała szybko, mówiła bez sensu.

Zsunął rękę, żeby chwycić jej palce. Podniósł je nad powierzchnię wody i potrząsnął, jakby stanowiły obciążający dowód.

– Kto nosi rękawiczki w oceanie?

Przełknęła z trudem.

– Ja noszę.

– Te twoje rękawiczki doprowadzają mnie do szaleństwa. Mam ochotę zerwać je z twoich dłoni. Całować te delikatne nadgarstki, ssać każdy z tych delikatnych, długich palców. A to byłby zaledwie początek. Resztę twojego ciała też chcę zobaczyć. Masz ciało stworzone dla męskiej przyjemności. Ukrywać je to zbrodnia przeciwko naturze.

To nie mogło się zdarzyć naprawdę. Nie jej. Zamknęła mocno oczy, potem znowu je otworzyła.

– Lordzie Rycliff. Zapomina się pan.

– Wcale nie. – Jego zielone oczy trzymały ją na uwięzi. – Dokładnie pamiętam, kim jestem. Podpułkownik Victor St. George Bramwell, od paru dni hrabia Rycliff. A ty jesteś Susanna Jane Finch i chcę cię widzieć nagą. Nagą, bladą, przemoczoną po nasadę włosów, lśniącą w blasku księżyca i od kropli słonej wody. Zlizałbym sól z twojej skóry.

Dotknął językiem jej policzka, wciągnęła gwałtownie powietrze. Jej piersi napięły się pod ciężkim, mokrym materiałem.

– Oszalałeś – szepnęła.

Jego wargi musnęły jej ucho.

– Mam doskonale jasny umysł. Chcesz sprawdzić, jak działa moja pamięć? W poniedziałki spacerujecie po okolicy. We wtorki kąpiel w morzu. Jutro może znajdę cię w ogrodzie i wciągnę w jakieś krzaki.

Ta wizja pozbawiła ją sił. Wyobraziła sobie jego ciało na swoim. Jego ciepło kontrastujące z chłodem wilgotnej ziemi. Jej umysł przywołał zapach ziemi i trawy.

– A we czwartki… – Odsunął się i spojrzał na nią szelmowsko. – Nigdy nie doszliśmy do czwartku. Powiedz, że w czwartki smarujecie ciało oliwą i odbywacie zapasy w greckim stylu.

Sapnęła gniewnie.

– Jesteś okropny.

– A ty to uwielbiasz. To najgorsze w tym wszystkim. Chcesz mnie tak samo mocno jak ja ciebie. Ponieważ jestem dokładnie tym, czego potrzebujesz. W tej wsi nie ma nikogo innego dostatecznie silnego, żeby cię

posiąść. Potrzebujesz prawdziwego mężczyzny, żeby ci pokazał, co zrobić z tą całą namiętnością, która aż ci się gotuje pod skórą. Ktoś musi ci postawić wyzwanie, opanować cię.

Opanować?

– Ciebie trzeba zamknąć w klatce. Zwierzę!

– Zwierzę to właśnie to, czego pragniesz. Wielki, czarny, średniowieczny brutal, który rzuci cię na ziemię, zerwie z ciebie ubranie i zrobi z tobą, co mu się spodoba. Wiem, że mam rację. Nie zapomniałem, jaka byłaś podniecona po tamtym wybuchu.

Co za czelność!

Skąd mógł wiedzieć?

Uniosła brodę.

– Cóż, a ja nie zapomniałam, jaki dźwięk z siebie wydałeś, kiedy pierwszy raz dotknęłam twojego czoła. To nawet nie był jęk… To było coś, jak łkanie.

Parsknął lekceważąco.

– O, tak. Żałosne, tęskne łkanie. Bo ty pragniesz anioła. Słodkiej, czułej dziewicy, która będzie cię obejmować, pieścić i szeptać słodkie obietnice, sprawiając, że znowu poczujesz się człowiekiem.

– To absurd – burknął. – Błagasz o ostrą, szybką lekcję. Chcesz się dowiedzieć, co to znaczy podobać się mężczyźnie.

– A ty tęsknisz za tym, żeby położyć mi głowę na kolanach i poczuć moje palce we włosach.

Oparł ją o skałę.

– Potrzebujesz, żeby się z tobą kochać.

– A ty – szepnęła – potrzebujesz, żeby cię przytulić.

Patrzyli na siebie przez długie, pełne napięcia chwile. Najpierw patrzyli sobie w oczy. Potem na usta.

– Wiesz, co myślę? – zapytał, przysuwając się. Tak blisko, że czuła jego ciepły oddech na policzku. – Myślę, że znowu odbywamy jedną z tych denerwujących kłótni.

– Takiego rodzaju, w których obie strony mają rację?

– Do diabła, tak.

Tym razem, kiedy się pocałowali, oboje wydali ten dźwięk. Głęboki, błagalny, płaczliwy dźwięk.

Dźwięk, który oznaczał: „Tak”.

I: „Nareszcie”.

I: „Jesteś dokładnie tym, czego potrzebuję”.

Czuła napięcie w jego mięśniach. Ale całując ją, zamienił się w uosobienie cierpliwości. Muskał jej wargi ustami, skłaniając je, żeby się rozsunęły. Jej serce waliło jak młotem, kiedy wsunął między nie język.

O Boże! O Boże, o Boże, o Boże, o Boże!

Była w niej namiętność. Nazwał ją beczką prochu, ale to niedomówienie. Zobaczyła to teraz oczami wyobraźni. Ogromne magazyny, przestronne składy. Skrzynie nigdy niedzielonych z nikim pocałunków. Szkatuły słodkich pieszczot zabezpieczone przed deszczem. Rzędy zmysłowych jęków i westchnień, wszystko starannie zabutelkowane i zakorkowane.

Jedną taką butelkę teraz odkorkował zręcznym ruchem języka. Dotknął kciukiem jej policzka, uwalniając jeszcze więcej pożądania. Całował ją powoli, głęboko, nie śpiesząc się.

– Bram. – Usłyszała swój szept. Wsunęła ręce w jego krótkie, śliskie włosy. – Och, Bram!

Im dłużej to trwało, tym bardziej zbliżał się do innych pomieszczeń. Tych nieużywanych, zarosłych pajęczyną komnat w jej sercu. Ośmieli się tam zapuścić? Wątpiła w to. Skok ze skały to prawdziwy popis, ale przedarcie się przez te zamknięte na kłódkę drzwi wymagałoby prawdziwej siły i odwagi. Pewne ciemne miejsca, nieoznaczone na mapie jej serca przeznaczone były dla miłości i nawet ona bała się je badać. Przerażało ją to, że mogłaby się dowiedzieć, jak były rozległe i jak boleśnie puste. Kiedy się całowali, wsunął ręce pod jej pośladki i podniósł ją, przyciskając do siebie. Jęknęła, bezgłośnie błagając o więcej. Z pewnością będzie wiedział, jak odpowiedzieć.

Odpowiedział.

Ugryzł ją w wargę. Mocno.

– Ach! – Odsunęła się, wyślizgując z jego objęć.

Susanna otworzyła oczy. Trzymał się za głowę, krzywiąc z bólu.

– Co do diabła…? – powiedział.

– Dobrze ci tak, brutalu! – Minerva Highwood stanęła między nimi, przemoczona do suchej nitki i ściskająca w dłoni ciężką sakwę.

– Minerva? – Oszołomiona niespodziewaną interwencją Susanna dotknęła wargi, sprawdzając, czy krwawi.

– Proszę się nie martwić, panno Finch. Jestem tutaj.

Widocznie wypłynęła z jaskini i… zobaczyła ich. O Boże!

– Nic mi nie jest, doprawdy. – Zerknęła na sakiewkę zwisającą z nadgarstka Minervy. Wyglądała jak torebka uszyta z wodoodpornego materiału. – Co jest w środku?

– Skały. Cóż by innego?

Skały. Dobry Boże! Susanna spojrzała na Brama na nowo zaniepokojona. Właśnie dostał maczugą w głowę. Dziwne, że nie stracił przytomności. Susanna ruszyła ku niemu, ale Minerva pisnęła i rzuciła się między nich.

– Proszę uważać! Oto znowu nadchodzi ten… ten rozpasany Zeus!

Bram, wciąż zamroczony, pocierał głowę ręką. Z jękiem bólu nagłym ruchem wyprostował się – unosząc nad wodę głowę, ramiona i wspaniale wyrzeźbiony tors. Kropelki wody na jego ciele lśniły jak iskry w promieniach słońca.

Rozpasany Zeus, rzeczywiście. Wyglądał istotnie jak grecki bóg owinięty w płótno, władczy i roztaczający aurę męskości. Ten widok pozbawił Susannę tchu w piersiach. Przez chwilę zastanawiała się, czy to ona nie dostała torbą z kamieniami w głowę. Był piękny. Olśniewający w swej doskonałości.

– Proszę się nie martwić. – Minerva wdrapała się na pobliski kamień, przygotowując torebkę. – Uratuję panią, panno Finch.

Susanna wyciągnęła do niej rękę.

– Minervo, nie! Nie potrzeba. On nie…

Plusk!

13

Bram wracał powoli do przytomności, jakby kołysany łagodną falą. Świat ogarnęła ciemność, ale jemu było przyjemnie ciepło. W jego rannej nodze rozlały się słodkie doznania, lekki, rytmiczny dotyk odganiał wszelki ból.

Otworzył oczy! W głowie kołatało mu się tysiąc pytań.

Gdzie jest? Kto go dotyka? Jak sprawić, żeby ten dotyk nigdy, przenigdy nie ustawał?

– Och, Bram. – To był głos Susanny. – Mój Boże! Popatrz tylko na to.

Podniósł się z trudem na łokciu, krzywiąc z nagłego bólu. Zobaczył pozwijane białe prześcieradła, własne ciemne, owłosione nogi i jej ręce na swojej skórze.

Jej nagie, pozbawione rękawiczek dłonie.

Opadł z powrotem na materac, chcąc znowu zasnąć. Musiał mieć halucynacje. Albo nie żył. Ten dotyk był niebiański.

– To tyle wyjaśnia. – Mlasnęła językiem, jak matka kwoka. – Usiłujesz sobie zrekompensować ten osłabiony członek.

Osłabiony członek?! O czym ona, do diabła, mówi? Pokręcił głową, próbując rozegnać spowijającą ją mgłę. W głowie zakołatała mu ponura przepowiednia Colina o patyczkach i wysuszonych porzeczkach.

Całkowicie rozbudzony, podniósł się z wysiłkiem, zmagając z krępującą go pościelą.

– Posłuchaj no. Nie wiem, na jaką nieprzyzwoitość sobie pozwoliłaś, kiedy byłem nieprzytomny, albo co zobaczyłaś oczami swojej staropanieńskiej wyobraźni. Ale przyjmij do wiadomości, że woda była wściekle zimna.

Zatrzepotała powiekami.

– Mówię o twojej nodze.

Och, jego noga. Ten osłabiony członek.

Jak długo był nieprzytomny? Godzinę? Dłużej? Przebrała się w pasiastą muślinową suknię, ale włosy wciąż miała wilgotne, zaczesane do tyłu w ciemnobursztynowych pasmach.

Jej ręce wciąż go gładziły. Zauważył, że jej palce błyszczą – od jakiejś maści. Od ziołowego zapachu zakręciło mu się w głowie. Krew zakipiała z pożądania. To chyba na skutek przedłużającego się celibatu widok jej rąk bez rękawiczek podniecał go bardziej niż kiedyś nagie ciało kobiety.

A może pragnął tej kobiety bardziej niż jakiejkolwiek innej.

– Gdzie jesteśmy? – zapytał, rozglądając się po pokoju. Była to jasna, wesoła sypialnia, pełna barwnych tkanin i drewna. Materac pod nim uginał się pod jego ciężarem niczym hamak.

– W Summerfield.

– Jak się tu dostaliśmy?

– Z wielkim trudem. Jesteś ciężki jak wół. Ale pewnie sprawi ci przyjemność, że twoi mężczyźni sprostali zadaniu.

A niech to! Niech to diabli! Szlag by to trafił i zrzucił z urwiska! Drugi dzień szkolenia rekrutów, a on kończy nieprzytomny, powalony przez zezowatą uczoną pannicę i jej torebkę. Musieli dźwigać jego cielsko przez całą wieś, przyciągając tłum gapiów. Pewnie nawet owce przyglądały się procesji, becząc z satysfakcją. Był ich panem i dowódcą, a oni zobaczyli go w chwili największej słabości.

– Pewnie cię rozbawiło, jak ta dziewczyna mi przyłożyła.

– Wcale nie. Byłam przerażona.

Teraz się nie bała. Proszę, jak się nad nim pochylała, błyskając mu w oczy białym, piegowatym biustem. Masowała jego nogę zręcznymi, nieznającymi strachu palcami. Przedtem nazwała go zwierzęciem. Teraz traktowała go jak ptaka ze złamanym skrzydłem.

Skrzywił się, zerkając na chorą nogę. Osłabiony członek, no rzeczywiście.

– Proszę. – Wcisnęła mu filiżankę w dłonie. – Wypij to.

Popatrzył na jej zawartość podejrzliwym wzrokiem.

– Co to jest?

– Płyn, który przynosi ulgę w bólu. Moja własna receptura.

Zmarszczył brwi i poczuł ból.

– Powinienem się domyślić, że jesteś jedną z tych kobiet, które biegają z koszykiem ziół i słońca.

– Zioła są dobre. Służą do różnych celów. Na taką ranę potrzebujesz leków.

Łyknął z filiżanki.

– Tfu! Paskudztwo.

– Za dużo? Jak chcesz, mogę dodać miodu. Tak robię dla dzieci we wsi.

Łyknął resztę naparu bez komentarza. Naprawdę nie mógł wydobyć z siebie słowa, gorycz paliła go w gardle jak ogniem.

Odstawiwszy filiżankę, ponownie skupiła się na jego nodze.

– Co ci się przydarzyło?

– Przydarzyła mi się kula.

– Cud, że nie straciłeś nogi.

– To nie cud, to siła woli. Wierz mi, chirurdzy polowi chcieli mi ją uciąć.

– Och, wierzę. Znałam wielu takich chirurgów. W młodości miałam z nimi bez przerwy styczność.

– Chorowałaś w dzieciństwie?

Pokręciła głową.

– Nie.

Zanurzyła palce w naczynku z maścią i zaczęła ponownie masować obolałe mięśnie jego ud. Naturalnie, łagodząc ból tutaj, wywoływała inny ból w jego lędźwiach. Czy nie rozumiała, jakie to niebezpieczne prowokować mężczyznę w ten sposób?

Powinien kazać jej przestać. Nie mógł.

Jej dotyk był… Boże, dokładnie tym, czego potrzebował. Naprawdę była uzdolniona.

– No, to jak sobie z nimi poradziłeś? – zapytała. – Z chirurgami?

– Thorne – wyjaśnił. – Siedział przy moim łóżku z odbezpieczonym pistoletem, gotów strzelać, gdyby tylko błysnęła obok piła do kości.

– Wyobrażam sobie, że Thorne odstraszał ich samym wyglądem. – Przesunęła palcem wzdłuż blizny, cienkiej wypukłej linii z boku kolana. – Ale ktoś tu operował. Ktoś zręczny.

Skinął głową.

– To trwało trzy dni, ale znaleźliśmy chirurga, który zgodził się nie przeprowadzić amputacji.

Przesunęła palcami w poprzek uda, powyżej rany. Nie było tam blizny, ale skórzany pas zostawił po sobie biały, pozbawiony włosów obszar skóry bladej i delikatnej jak u dziecka. Na górze łydki widniał podobny ślad. Taki,

że go dotknęła. Skrzywił się. Nie z bólu, ale z zakłopotania. Miał nadzieję, że nie zrozumie znaczenia tych śladów.

– Nosiłeś szynę – stwierdziła.

Nie odpowiedział.

– Dlaczego ją zdjąłeś? Bram, nie możesz po prostu ignorować tak poważnej rany.

Musiał ją ignorować. Miał nie tylko szkolić ludzi, ale ich prowadzić, służyć za inspirację. Jak mógłby to osiągnąć, okazując taką słabość?

– Jestem wyleczony – oznajmił. – To już mnie prawie nie boli.

Parsknęła niedowierzająco.

– Kłamca. Bardzo cię boli. A założę się, że dzisiaj bardziej niż zwykle, po tym forsownym marszu. Woda musiała ci dobrze zrobić.

– Zrobiła. Ale nie tak dobrze, jak ty. – Wyciągnął rękę, nagle przejęty chęcią odegrania bardziej aktywnej roli. Za długo leżał tak zupełnie bezradny.

Odtrąciła jego rękę.

– Powinieneś nosić szynę. Popatrz na tę opuchliznę. – Opuszkiem palca przejechała po czerwonym, zniekształconym kolanie. – Nie jesteś gotowy, żeby bez niej chodzić.

Ten jej litościwy dotyk. Poniżające słowa… Coś w nim pękło.

Chwycił jej nadgarstek tak mocno, że jęknęła.

– Nie mów mi, do czego jestem gotowy. – Ścisnął jeszcze mocniej. – Słyszysz? Nigdy mi nie mów, czego nie mogę robić. Chirurdzy twierdzili, że nigdy nie będę chodził. Udowodniłem, że się mylą. Moi przełożeni uważają, że nie jestem w stanie dowodzić żołnierzami. Im także pokażę, że nie mają racji. Jeśli zamierzasz traktować mnie jak inwalidę, mężczyznę, którego możesz utulać, pielęgnować, dotykać, nie narażając się na niebezpieczeństwo… – Pociągnął ją za rękę i położył na sobie. Drugą ręką otoczył ją w pasie. – Tobie także będę musiał dowieść, że się mylisz.

Oczy jej rozbłysły.

– Puść mnie.

– Ani myślę.

Szarpała się w jego uścisku, oddychając szybko i płytko, dając mu znakomity widok na swoje piersi.

– Nie dasz rady, kochana. Mogę być ranny w nogę, ale wszędzie indziej jestem silny jak byk.

– Nawet byki mają słabe punkty. – Wiła się, czuł, jak wsuwa szczupłą, zgrabną nogę między jego własne. Gorący dotyk jej ciała, przez suknię i płócienne prześcieradło, sprawiał mu ból. Zgięła szybko kolano, chcąc uderzyć go w krocze. Och, wiedziała, jak zranić mężczyznę. Ale miał nad nią przewagę. Przygwoździł jej nogi swoją zdrową kończyną, unieruchamiając dolną część jej ciała. Potem przekręcił się razem z nią, kładąc ją na plecach.

– No, to mam cię – powiedział, kładąc jedną rękę nad jej głową. – I co teraz zrobisz?

– Będę krzyczeć. Za tymi drzwiami jest dwóch lokajów. Mój ojciec śpi dalej w korytarzu.

– Dalej, krzycz. Przywołaj lokajów i ojca. Zastaną nas w bardzo kompromitującej sytuacji. Moja kariera się skończy, ale ty się skompromitujesz i będziemy na siebie skazani przez resztę życia. A nie chcemy tego, co?

– Na Boga, nie!

Bram spojrzał na nią uważnie. Dziwne. Całe dorosłe życie unikał romantycznych awantur. A oto zaplątał się w przygodę z tą kobietą i myśl o przymusowym poślubieniu jej wcale nie budziła w nim takiej zgrozy jak powinna. W gruncie rzeczy, jeśli miałby przed sobą perspektywę niekończących się nocy w ładnie urządzonej sypialni, na miękkim, czystym materacu, z jej cudowną, ziołową wonią unoszącą się w powietrzu i jej jasnym ciałem wijącym się pod nim…

To był przedziwny, obcy, nieprawdopodobny obraz. Ale, co zdumiewające, wcale go nie odstręczał.

Poruszyła się pod nim gwałtownie.

– Brutal… Bestia!

Zachichotał i pocałował ją w czoło.

– To już lepiej. – Wolał, żeby się na niego złościła, niż nad nim litowała. Litość sprawiała, że czuł się bezradny. Prowokowanie w niej gniewu budziło go do życia. A ona tak cudownie łatwo dawała się prowokować.

– Boże, mieć cię pod sobą, w łóżku… – Pocałował kącik jej ust. – Doprowadzasz mnie do szaleństwa, Susanno. Tak by nam było dobrze razem.

Złagodził uścisk na jej nadgarstku, ale nadal unieruchamiał go samym ciężarem dłoni. Przesunął kciukiem wzdłuż policzka Susanny, docierając do

miejsca, gdzie wyczuł pulsowanie krwi. Potem pogładził delikatną krzywiznę jej szyi. Miała taką miękką skórę. Ciekaw był, czy wzięła kąpiel. Czy nadal smakowałaby morzem?

– Doskonale – powiedziała. – Postawiłeś na swoim. Jesteś wielkim, silnym mężczyzną, a ja słabą kobietą. A teraz mnie puść.

– Puszczę cię, jeśli naprawdę tego chcesz. Ale nie sądzę, żeby tak było.

Odwrócił rękę i przesunął wierzchem dłoni w dół, do krawędzi dekoltu. Cienki materiał wznosił się i opadał z jej rytmicznym oddechem – niczym piana na szczycie fali.

Jeśli chciała, żeby przestał, mogła go powstrzymać. Ramiona miała praktycznie wolne. Przeniósł ciężar na jeden łokieć. Szybkie szarpnięcie w bok i odzyskałaby swobodę.

Spojrzała w tę stronę, najwyraźniej myśląc o tym samym.

Ale nie poruszyła się. Ona też tego chciała.

Powolnym ruchem położył dłoń na jej piersi. Powstrzymała jęk. Bram walczył ze sobą, żeby samemu nie jęknąć z rozkoszy. Miękkie, okrągłe wzniesienie tak świetnie pasowało do jego dłoni, ogrzewając się pod jego dotykiem. Jej ciało go wzywało.

Schylił głowę i przycisnął wargi do jej nagiej szyi. Nie puszczał piersi, sunąc leniwie wargami w dół. Smakowała solą i słodką kobiecością. Lizał jej skórę na obojczyku wężowymi ruchami języka. A potem krawędź jej dekoltu. Tutaj ciasny stanik stanowił przeszkodę. Wsunął palec między skórę a materiał i dekolt ustąpił odrobinę. Musiał ją tam dotknąć, poczuć jej sutek na opuszku palca.

Posuwając się maleńkimi kółeczkami, przesuwał palce niżej, badając miękką satynę jej skóry. Uczył się jedynej w swoim rodzaju geografii miękkiej, słodkiej kuli. Dotarł w końcu kciukiem do brzegu jej sutka i ogarnęło go poczucie triumfu. Miał wrażenie, że jest konkwistadorem odkrywającym nowe terytorium. Okrągła, podniecająca, pełna obietnic wyspa z maleńkimi wydmami na obrzeżu, ze szczytem skierowanym ku górze. Wspinał się na niego stopniowo, sapiąc z wysiłku. Boże, jeszcze tylko trochę.

Tutaj.

Pisnęła zaskoczona, jej ciało wygięło się w łuk, przywierając do niego. Jej namiętna reakcja poruszyła go głęboko. Nie mógł myśleć. Mógł skupić się tylko na jednym.

Więcej.

Tylko tyle rozumiał. Więcej. Musiał mieć jej więcej. Jak dotknąć więcej, pocałować więcej? Jedną z jej rąk wciąż trzymał uwięzioną nad jej głową. Gdyby opuścił tę rękę do jej boku, mógłby się dostać niżej pod dekolt. Suknia musiałaby się poddać, tak żeby mógł dotknąć ustami tego słodkiego, sterczącego szczytu jej piersi. Kiedy jednak uniósł się trochę, chcąc przełożyć jej rękę…

– Jezu!

Zamarł z szeroko otwartymi oczami, usiłując zrozumieć to, co widziały jego oczy. Od nadgarstka po łokieć jej delikatną skórę przecinała siatka blizn.

Zmusił swoje ciało do opanowania. A więc to był powód, dla którego zawsze nosiła te długie rękawiczki z rzędami guziczków. Ona też coś ukrywała.

Coś dużo poważniejszego niż cierń w łapie.

– Susanno, śliczna panno – powiedział, dotykając ostrożnie pobrużdżonej skóry. – Co się stało?

Susanna skrzywiła się, czując jego dotyk. Skurczyła się wewnętrznie. Powinna wiedzieć, że wiecznie nie uda jej się tego ukrywać. Że nie zdoła się zbliżyć się do mężczyzny, żeby te przeklęte blizny nie zniszczyły wszystkiego w ten czy inny sposób.

– Od jak dawna je masz? – zapytał, muskając delikatnie cienką linię.

– Od dosyć dawna – odparła wymijająco. – To nic takiego. Od pracy w ogrodzie.

– W ogrodzie? Walczyłaś na śmierć i życie z krzakiem róż?

– Nie. – Wygięła plecy, dotykając piersiami jego piersi. Jego dotyk był taki dobry. Taki właściwy. – Czy możemy wrócić tam, gdzie skończyliśmy?

Najwyraźniej nie mogli.

Wiła się pod nim, ale użył swojego ciężaru i siły, żeby ją unieruchomić. Nie chciał jej podporządkować, martwił się o nią.

– Co się stało? Powiedz prawdę.

– Ja… – zawahała się. Potem odetchnęła głęboko i postanowiła być z nim szczera. Zrobi z tą prawdą, co uzna za stosowne. – To od puszczania krwi.

– Aż tyle? – Zaklął cicho, przesuwając palcami po pokrytej bliznami skórze. – Mówiłaś chyba, że nie chorowałaś jako dziecko.

– Nie chorowałam. Ale to nie powstrzymało doktorów przed próbami leczenia mnie.

– Opowiedz.

Uciekła wzrokiem w bok. Krew szumiała jej w uszach jak ostrzeżenie.

– Widziałaś moje blizny – przypomniał jej, przesuwając się na bok, żeby zrobić jej więcej miejsca. – Powiedziałem ci wszystko.

– To było rok po śmierci matki. – Jej głos brzmiał beznamiętnie, obco. – Papa myślał, że potrzebuję towarzystwa kobiet i kogoś, kto by dopilnował, żebym wyrosła na młodą damę. Więc wysłał mnie do krewnych, do Norfolk.

– I tam zachorowałaś?

– Tylko z tęsknoty za domem. Ale kuzynki nie wiedziały, co ze mną robić. Uznały za swój obowiązek przygotować mnie do debiutu, ale rozpaczały, że to się nigdy nie uda. Byłam wysoka i piegowata, moje włosy przyprawiały je o wapory. Nie mówiąc już o moim zachowaniu, które zostawiało wiele do życzenia. Byłam… trudna.

– Oczywiście, że byłaś.

Ta uwaga ukłuła ją boleśnie. Widocznie się domyślił, bo zaraz dodał:

– Chciałem tylko powiedzieć, że to naturalne. Wysłano cię do praktycznie obcych ludzi, twoja matka niedawno umarła.

Skinęła głową.

– Na początku to rozumiały. Ale potem mijały tygodnie i moje zachowanie się nie poprawiało… myślały, że to coś poważniejszego. I wtedy wezwały doktorów.

– Którzy cię wykrwawili.

– Od tego zaczęli. Z czasem przepisali rozmaite kuracje. Widzisz, nie reagowałam, jak się spodziewali. Mam w sobie dużo uporu.

– Miałem okazję się o tym przekonać. – Uśmiechnął się lekko. Ciepło w jego oczach dało jej siłę, żeby mówić dalej.

– Lekarze puszczali mi jeszcze więcej krwi, dawali środki wymiotne i przeczyszczające. Po tym wszystkim odmówiłam posiłków, chowałam się w szafach. Wzywali doktorów raz za razem. Walczyłam z nimi, uznali, że cierpię na histerię. Kuracje się nasiliły. Dwóch lokajów mnie trzymało, żeby doktor mógł mi puszczać krew i wlewać we mnie więcej trucizny.

Zawijali mnie w koce, aż zalewałam się potem, a wtedy zmuszali mnie do kąpieli w lodowatej wodzie.

Wróciły przykre wspomnienia, ale nie było tak trudno mówić o tym głośno, jak się spodziewała. Po tak długim czasie słowa po prostu płynęły, jakby…

Och, co za ironia.

Jakby otworzyła żyłę.

– Oni… – Przełknęła ślinę. – Ogolili mi głowę i przyłożyli pijawki do gołej skóry.

– O Boże. – Poczucie winy odbiło się na jego twarzy. – Tamtego dnia, na skwerze, kiedy zagroziłem, że ci zetnę włosy…

– Nie, Bram. Nie patrz na to w ten sposób. Nie wiedziałeś. Skąd miałbyś wiedzieć?

Westchnął.

– Tylko teraz opowiedz mi wszystko.

– Opowiedziałam to, co najgorsze, naprawdę. Po prostu jedna szkodliwa, bezsensowna kuracja za drugą. W końcu byłam tak osłabiona, że naprawdę zachorowałam.

Marszcząc brwi, odsunął jej włosy z czoła. W jego zielonych oczach odbijał się gniew morza podczas sztormu.

– Wydajesz się taki zasmucony.

– Jestem.

Serce jej się ścisnęło. Naprawdę? Dlaczego miałby się przejmować medycznymi przejściami starej panny, które wydarzyły się lata temu? Na wojnie musiał widzieć gorsze rzeczy. I wojna gorzej się z nim obeszła. A jednak coś w poważnym, groźnym wyrazie twarzy – jakby Bram szykował się do walki – przekonywało ją, że naprawdę go to obchodzi. Że gdyby to w jakiś sposób było możliwe, to cofnąłby się w czasie i nadział doktorów na ich przeklęte lancety.

Mogła go pokochać. Boże dopomóż, mogła go pokochać już choćby za to.

– Już nic mi nie grozi. Przeżyłam. – Uśmiechnęła się z ironią, żeby historia nie wydawała się taka ckliwa. Albo żeby nie wybuchnąć łzami.

– Pewnie zawdzięczasz to swojemu uporowi. Bez wątpienia, po prostu odmówiłaś śmierci.

– Coś w tym guście. Na szczęście nie pamiętam za dużo z choroby. Byłam taka słaba, że posłali pilną wiadomość do ojca, myśląc, że moje dni są policzone. Przyjechał, spojrzał na mnie raz, zawinął w swój płaszcz i w ciągu godziny zabrał z tamtego domu. Był wściekły.

– Wyobrażam sobie. Ja też jestem wściekły.

Mrugając, żeby odgonić łzy, rozejrzała się po pokoju.

– To wtedy przeprowadziliśmy się tutaj, do Summerfield. Kupił ten dom, żebym mogła dochodzić do siebie nad morzem. Powoli odzyskałam zdrowie. Nie potrzebowałam doktorów czy chirurgów. Tylko dobrego jedzenia i świeżego powietrza. A kiedy już byłam na tyle silna, ćwiczeń.

– A więc – powiedział w zamyśleniu, przesuwając kciukiem po jej bliznach – to dlatego…

– Tak, to dlatego.

Nie pytał o dalsze wyjaśnienia, ale i tak ciągnęła.

– Widzisz, ojciec w końcu zabrał mnie do Londynu na prezentację. I zgodnie z tym, co przewidziały kuzynki, nie pasowałam tam. Ale kiedy stałam pod ścianami eleganckich sal balowych, zdałam sobie sprawę, że są inne takie jak ja. Dziewczęta, które z tego czy innego powodu nie spełniały oczekiwań. Którym groziło wysłanie do jakiegoś koszmarnego spa na kurację, której nie potrzebowały. Zaczęłam je zapraszać do siebie na lato. Najpierw parę przyjaciółek, ale ich liczba rosła z każdym rokiem. Pani Nichols cieszyła się ze stałej klienteli w gospodzie.

– A ty wykorzystałaś swoje talenty do leczenia.

– Myślę, że wrodziłam się w ojca. Jest wynalazcą. Te wszystkie nieudane eksperymenty chirurgiczne natchnęły mnie chęcią szukania skuteczniejszych metod.

Znowu przeciągnął palcami po drabinie blizn. Tyle ich było, od cienkich jak ostrze brzytwy nitek po grube szramy, ślad straszliwego skalpela. Drżała na samo wspomnienie.

– Przeklęci rzeźnicy – mruknął. – Widziałem weterynarzy, którzy otwierali żyły koniom, powodując mniej szkód.

– Ślady byłyby mniej widoczne, gdybym tak nie walczyła. Czy one… – Zmusiła się, żeby nie odwracać wzroku. – Czy one budzą w tobie odrazę?

W odpowiedzi pocałował jej pocięty bliznami nadgarstek. Raz, a potem drugi. Zrobiło jej się ciepło na sercu.

– Uważasz, że z tego powodu jestem słabsza?

Zaklął z oburzeniem.

– Te blizny nie mają nic wspólnego ze słabością. Dowodzą tylko twojej siły.

– Cóż. Też nie sądzę, żebyś był słabszy z tymi ranami. – Patrzyła mu głęboko w oczy, chcąc, żeby ją dobrze zrozumiał. – Nikt by tak nie pomyślał.

– To nie to samo – sprzeciwił się, kręcąc głową. – To nie to samo. Twoje rany można ukryć. Nie sprawiają, że kulejesz, przewracasz się czy wleczesz za tymi, których masz prowadzić.

Być może. Ale, jak zaczęła sobie teraz zdawać sprawę, te rany ograniczały ją pod wieloma względami. Tak długo bała się zbliżyć do mężczyzny. Pozwolić, żeby rękawiczki zsunęły się z jej rąk. Podjąć ryzyko, że znowu zostanie zraniona.

– Są różnice, z pewnością – szepnęła, ciągnąc go w dół. – Ale wiem, co to znaczy długo i powoli dochodzić do siebie. Czuć się zamkniętym we własnym ciele, złym na jego ograniczenia. I wiem, co to znaczy pożądać bliskości, Bram. Nie musisz mnie atakować za każdym razem, kiedy chcesz, żebym cię dotknęła. Żebym cię przytuliła.

Otoczyła go ramionami. Leżał na niej w milczeniu i przez chwilę się bała. Chciała dać mu to samo ciepło i poczucie bezpieczeństwa, jakie on dał jej, ale obawiała się, że robi coś nie tak. Drżącymi palcami pogładziła leciutko jego plecy.

– Tak. – Odetchnął przy jej szyi. – Dotykaj mnie. Właśnie tak.

Pieściła jego plecy obiema dłońmi, szerokimi, łagodnymi ruchami.

– Susanno? – odezwał się po paru minutach.

– Tak.

– Dziwnie się czuję, Nie mogę podnieść głowy.

– To zioła. Zaczynają działać.

– Su-san-na – pół szepnął, pół zaśpiewał przeciągłym, nieprzytomnym głosem. – Śliczna Susanna, płomiennowłosa panna. – Roześmiała się, a on przycisnął czoło do jej pulsującej szyi. – To doskonałe słowo, jeśli chodzi o ciebie: płomienna. Wiesz dlaczego? Bo twoje włosy są jak roztopiony brąz. Złote, czerwone i lśniące. A ty jesteś śmiała i odważna.

– Tylu rzeczy się boję. – Jej serce biło szybko, jak u zająca.

– Nie boisz się mnie. Tego pierwszego dnia, kiedy się spotkaliśmy. Tych parę sekund po wybuchu… Byłaś pode mną tak jak teraz. Miękka, ciepła.

Wymarzone miejsce, żeby się w nim znaleźć. I ufałaś mi. Widziałem to w twoich oczach. Ufałaś, że cię ochronię.

– Pocałowałeś mnie.

– Nie mogłem się powstrzymać. Taka śliczna.

– Cicho. – Odwróciła głowę, żeby go pocałować. Jej serce nie mogło więcej pomieścić. Miał na wargach słaby smak laudanum. – Odpoczywaj.

– Udusiłbym tych chirurgów – szepnął. – Twoich krewnych też. Nigdy nie pozwoliłbym cię zranić.

Nie mogła się nie uśmiechnąć na tę słodką obietnicę przemocy oferowaną jak bukiet trujących ziół.

– Myślę, że chcieli pomóc – powiedziała. – To znaczy, moi krewni. Po prostu nie wiedzieli jak. Patrząc wstecz, wiem, że stanowiłam wyzwanie. Byłam taka niezręczna i uparta. Żaden materiał na prawdziwą damę. Kazali mi kopiować strony z tej okropnej, głupiej książki *Mądre rady dla młodych panien*. Och, Bram! Tak byś się z tego śmiał.

Zachowywał się cicho dłuższą chwilę, po czym z jego piersi wydobył się głośny dźwięk. Nie był to śmiech, Bram chrapał donośnie.

Parsknęła śmiechem i jednocześnie gorące łzy trysnęły jej z oczu. We śnie otoczył ją opiekuńczo ramieniem. Tak dobrze jej było w jego objęciach.

Może mogła mu zaufać, że ją ochroni. Był silny, miał zasady i nie wątpiła, że zaryzykowałby życie, żeby zachować w zdrowiu jej ciało. Ale nie mógł poczynić żadnych obietnic, że będzie chronić jej serce.

A właśnie w głębi serca bała się, że spada. Głową naprzód w morze bólu.

14

Auć!

Susanna puściła róże i zapatrzyła się na rosnącą kroplę krwi na palcu. Odruchowo wsunęła go do ust, łagodząc ból.

– Kate! – zawołała przez ogród. – Dokończysz za mnie róże? Zapomniałam dzisiaj rękawiczek.

Niewiarygodne. Nigdy nie zapominała rękawiczek.

Zostawiła róże i przeniosła się do ziół. Zgarniała wielkie garście pozbawionej kolców lawendy i ścinała je nożycami. Wkrótce pachnące rośliny wypełniły jej koszyk po brzegi. A ona wciąż układała je wyżej.

Za każdym razem, kiedy próbowała odpocząć, dłonie zaczynały jej drżeć. Może dlatego, że wciąż czuła na nich dotyk jego skóry, jego włosów.

W tej chwili Bram wciąż spał na górnym piętrze w Summerfield. Na dole, w ogrodzie, Susanna musiała – jak w każdą środę – podejmować kuracjuszki Spindle Cove. Praca w ogrodzie, a potem herbata. Zwykle ceniła sobie ich towarzystwo i pomoc. Dzisiaj jednak o wiele bardziej wolałaby zostać sama ze swoimi myślami.

Ponieważ mogła myśleć tylko o nim. Czerwieniła się od tych myśli. Czuła się od nich naga. Powodowały, że wzdychała – głośno, na Boga! Damy pracowały wokół niej, wyrywając chwasty, przycinając krzewy, szkicując trzmiele i kwiaty. Kiedy jednak Susanna przysiadła koło złocienia maruny, nie skupiając na niczym wzroku, jej myśli pobiegły prosto na górę.

Widziała go. Ciemne, mocne ręce i nogi, pokryte jeszcze ciemniejszymi włosami, splątane pod białymi prześcieradłami. Jej śpiąca bestia. Oczyma wyobraźni ujrzała, jak zbliża się do łóżka i kładzie obok niego na materacu. Gładzi jego przycięte, aksamitne włosy. Całuje miejsce między gardłem a obojczykiem. Jej ciało oblało się gorącem, które spłynęło między uda.

A potem obudzi się, obejmując ją silnymi ramionami i tym współczującym spojrzeniem zielonych oczu. Wczoraj jego ciało na niej okazało się błogosławieństwem, nie ciężarem czy groźbą.

„Śliczna Susanno – powie – byłaś doskonałym miejscem, żeby się w nim znaleźć”.

– Panno Finch. Panno Finch!

Otrząsnęła się, wracając do rzeczywistości.

– Tak, pani Lange? – Od jak dawna nieszczęsna kobieta usiłuje zwrócić jej uwagę?

– Czy chciałaby pani, żebym dzisiaj porozsadzała te lilie, czy zostawimy je na przyszły tydzień?

– Och, proszę zrobić tak, jak będzie lepiej.

Kobieta posłała jej niecierpliwe spojrzenie spod słomkowego kapelusza.

– To pani ogród, panno Finch. I zawsze miała pani jakąś konkretną opinię.

– Co się dzieje, moja droga? – wtrąciła pani Highwood. – Takie roztargnienie jest do pani zupełnie niepodobne.

– Wiem. Macie rację, wybaczcie.

– To piękny dzień – stwierdziła Kate. – Nie mam pojęcia, co mogło cię tak wybić z równowagi.

– To nie coś – odezwała się Minerva znad swojego szkicownika. – Tylko ktoś.

Susanna posłała jej ostrzegawcze spojrzenie.

– Minervo, jestem pewna, że nie musisz…

– Och, jestem pewna, że tak. Nie powinna się pani wstydzić o tym mówić, panno Finch. Niedobrze cierpieć w milczeniu i należy damom o tym powiedzieć. Żeby móc się bronić. – Zamknęła szkicownik i zwróciła się do zebranych pań. – To lord Rycliff, ten zły człowiek. Wcale nie uderzył się w głowę, kiedy wczoraj nurkował. Wyszedł z nurkowania bez szkody, a potem zaatakował pannę Finch w zatoczce.

– Minervo. – Susanna dotknęła ręką jej skroni. – On mnie nie zaatakował.

– Ależ tak! – Zwróciła się do pozostałych. – Kiedy się na nich natknęłam, oboje byli kompletnie mokrzy. Biedna panna Finch trzęsła się jak liść, a on trzymał ręce… Cóż, wystarczy, że powiemy, że trzymał je

w miejscach, gdzie nie powinien. Próbowała go odepchnąć, ale nie pozwalał.

„Lubię nawet, kiedy mi dogryzasz”. Zadrżała z podniecenia na samo wspomnienie.

– Na szczęście zjawiłam się we właściwej chwili – oznajmiła Minerva. – I znalazłam tego rana parę ciężkich okazów.

Na szczęście? Może i tak. Bogu wiadomo, na co Susanna by mu pozwoliła, gdyby nie interwencja Minervy. I gdyby zeszłej nocy nie zasnął pod wpływem leków…

Leżała godzinę w jego ramionach, nie mogąc się poruszyć. Gładząc jego silne plecy i ramiona i słuchając jego cichego pochrapywania. Kiedy poczuła, że ją samą ogarnia sen, wysunęła się z łóżka i wróciła do swojego pokoju. Obserwowanie rannego podczas snu… to mieściło się w obowiązkach uzdrawiacza. Spanie u jego boku… To już był przywilej żony.

A ona nie była jego żoną. Nie należało do niej dzielenie z nim łoża, zatoczki czy zbrojowni. Niezależnie od tego, że uświadomił jej namiętność, jaka w niej kipiała, ile radości sprawiały jej jego pieszczoty i jak czule całował jej pocięte nadgarstki.

Mogła to wszystko teraz stracić, jeśli nie zdoła powstrzymać usłużnej Minervy.

– Minervo, mylisz się – oświadczyła zdecydowanie. – Nie miałaś okularów, nie wiesz, co widziałaś. – Zwracając się do reszty, wyjaśniła: – Popłynęłam, żeby sprawdzić, czy lord Rycliff nie ucierpiał. Właśnie o tym rozmawialiśmy, kiedy zjawiła się Minerva.

– To nie była rozmowa, tylko szamotanina – sprzeciwiła się Minerva. – I nie jestem ślepa. Dobrze wiem, co widzę. On cię pocałował!

Pani Lange pisnęła z oburzeniem.

– Wiedziałam. Mężczyźni to sprośne zwierzęta. Napiszę o tym wiersz.

– Pocałował cię? – Kate otworzyła szeroko oczy. – Lord Rycliff cię pocałował? Wczoraj?

– Owszem, tak – wyręczyła Susannę Minerva. – I wydaje się, że to nie pierwszy raz. Jasne jest, że molestował ją, odkąd się tu zjawił.

Susanna usiadła na najbliższej ławeczce. Miała wrażenie, że jej życie pęka w szwach.

– Och, to cudownie – powiedziała pani Highwood, siadając obok Susanny. – Wiedziałam, że wpadłaś mu w oko, moja droga. A lord Payne wyraźnie faworyzuje Dianę. Pomyśl tylko, wy obie mogłybyście zostać kuzynkami przez małżeństwo!

– Nie wyjdę za lorda Rycliffa – oznajmiła stanowczo Susanna. – Nie wiem, jak mogło to pani przyjść do głowy. – Wolałaby, żeby starsza dama nie mówiła tego tak głośno. Bram nadal znajdował się w majątku Summerfield i nie dało się przewidzieć, kiedy się obudzi. Mógł już nie spać.

Może się właśnie przeciąga, wysuwając potężne członki poza brzegi materaca i ziewa jak lew.

– Lord Payne nie okazał mi żadnych szczególnych względów – powiedziała Diana. – Szczerze mówiąc, wcale bym sobie tego nie życzyła.

– Ha! Poprosił cię, żebyś obcięła mu włosy! Jest utytułowany, przystojny jak sam diabeł i do tego bogaty. Z twoją urodą… Z pewnością się wkrótce oświadczy. Pomyśl, czy nie dałabyś się złapać z nim w pułapkę w zatoczce. Pocałunek z pewnością załatwiłby sprawę.

– Mamo! – zawołały Diana i Minerva jednocześnie.

– Co się z wami dzieje? – zapytała pani Highwood, patrząc to na jedną, to na drugą. – Ci mężczyźni są lordami. Potężnymi, bogatymi. Powinnyście ich zachęcić.

– Proszę mi wierzyć, zachęta, to ostatnia rzecz, jakiej im potrzeba. – Wypowiadając te słowa, Susanna się zmartwiła. Czy Bram uzna ich spotkanie zeszłej nocy za zachętę? Czy chciała tego? Rozumieli się teraz, i to nie tylko powierzchownie, przyjmując, że pamiętał coś z ich rozmowy, kiedy się obudził. – Lord Rycliff nie szuka żony – oświadczyła pewnym tonem. – Ani on, ani jego kuzyn. Gdybyśmy były na tyle szalone, żeby ich zachęcać, ryzykowałybyśmy nie tylko naszą reputację, ale także reputację Spindle Cove. – Powiodła wzrokiem po twarzach kobiet. – Rozumiecie? Nic się nie dzieje. Nic.

– Ale, panno Finch… – usiłowała się wtrącić Minerva.

– Minervo! – Susanna zwróciła się do niej, mając nadzieję, że jej nowa przyjaciółka kiedyś zrozumie i wybaczy szorstkość. – Przykro mi to stwierdzić, ale błędnie oceniłaś to, co zobaczyłaś, i twój upór robi się męczący. Lord Rycliff nie napadł na mnie ani wczoraj, ani żadnego innego dnia. Nic niestosownego między nami nie zaszło. W istocie, skoczył z klifu,

bo myślał, że ty utonęłaś i chciał cię uratować. Oskarżać go o najgorsze po tym bohaterskim, choć niepotrzebnym czynie, to niewdzięczność. W tej rozmowie powiedziałam już wszystko, co mam do powiedzenia.

Minerva zamrugała, wyraźnie zraniona. Susanna czuła się okropnie, ale stawką była przyszłość ich wspólnoty. Gdzie Minerva będzie szukać swoich kopalin, jeśli po Londynie rozniesie się wieść, że stare panny ze Spindle Cove oszalały, a Królowa Ruby będzie zmuszona zamknąć podwoje?

– Wkrótce zawołają nas na herbatę. – Podniosła koszyk i skierowała się do domu. – Do tego czasu będę w destylarni. Muszę utrzeć zioła, kończą mi się maści.

Kate poszła za nią.

– Pomogę. – Kiedy zbliżyły się do domu, szepnęła: – Jak to było? Pocałunek.

Susanna stłumiła okrzyk zniecierpliwienia.

– Możesz mi powiedzieć. – Kate otworzyła drzwi destylarni. Kiedy obie znalazły się w środku, szybko je za nimi zamknęła. – Susanno, wiesz, że nie powiem żywej duszy. Nie mam gdzie mieszkać poza Spindle Cove. Los Spindle Cove jest moim losem.

Susanna oparła się o drzwi i zamknęła oczy.

– Czy to było cudowne?

„Cudowne” nie było właściwym słowem. Nie znała słów, żeby opisać te dzikie, oszałamiające doznania.

Nie mogła trzymać tego dłużej ani chwili w tajemnicy. Skinęła leciutko głową, szepcząc:

– Tak.

Kate ścisnęła ją za ramię.

– Wiedziałam. Musisz mi wszystko opowiedzieć.

– Och, Kate. Nie mogę. Nie powinnam ci mówić nawet tyle. – Zaczęła zdejmować butelki z półek i chwyciła pęk wysuszonego dziurawca. – I to się już więcej nie zdarzy.

– Nie sądzisz, że on chce się z tobą ożenić?

– Absolutnie nie. A ja nie zamierzam wyjść za niego.

– Nie chcę być wścibska – powiedziała Kate. – Naprawdę nie. To po prostu moja jedyna szansa, żeby się dowiedzieć. To znaczy… Ja… Mnie nigdy lord nie pocałuje w zatoczce.

Susanna upuściła tłuczek od moździerza.

– Dlaczego nie? Jesteś piękna. I masz tyle talentów.

– Jestem sierotą z nieznanej rodziny. Nikim. Co więcej, nikim z tym. – Dotknęła dłonią znamienia na skroni.

Susanna odłożyła pracę na bok i położyła ręce na ramionach przyjaciółki, patrząc jej prosto w oczy.

– Kate, jeśli to znamię jest twoją największą niedoskonałością, to z pewnością jesteś najpiękniejszą i najbardziej godną kochania kobietą, jaką znam.

– Mężczyźni wydają się innego zdania.

– Może spotykałaś niewłaściwych mężczyzn.

Słysząc echo słów, jakie Bram wypowiedział pod jej adresem, Susanna stłumiła uśmiech. Niezależnie od tego, co się stanie, życie zawsze będzie trochę inne. Ponieważ wreszcie Susanna dowiedziała się, co to znaczy być pożądaną, mimo wad. Czuła wewnątrz zaskakujące ciepło płynące z tego odkrycia i chciała, żeby Kate przeżyła to samo.

– Twój wielbiciel pojawi się pewnego dnia. Jestem tego pewna. Ale na razie… – Pociągnęła przyjaciółkę za kasztanowy lok. – To Spindle Cove, Kate. Opieramy poczucie własnej wartości na naszych osobistych zaletach i osiągnięciach, a nie opinii obcych dżentelmenów.

– Tak, wiem. Wiem. – W oczach Kate pojawiło się zakłopotanie. – Ale nie sposób przestać o nich myśleć, tak czy inaczej.

Susanna zgodziła się z nią w duchu. Tak było. I nagle zaniepokoiła się, co mogą porabiać ochotnicy, podczas gdy ich przywódca leży u niej na górze w domu, złożony niemocą.

W cieniu zamku Rycliff Colin Sandhurst przyglądał się swoim ludziom.

To byli jego ludzie tego dnia, jak uznał, skoro jego bezmózgi kuzyn wciąż nie wracał do przytomności. Colin ostrzegał go, żeby nie skakał z klifu, jak szaleniec, ale czy Bram go kiedykolwiek posłuchał? O nie. Oczywiście, że nie.

Miał cichą nadzieję, że cały oddział się rozleci po tym pokazie głupoty. Ale, jak się wydaje, przynęta w postaci ośmiu szylingów i obietnica rozrywki kazały się rekrutom stawić kolejnego dnia.

Klasnął w dłonie.

– Dobrze, zatem. Chodźcie tu, ludzie. Ustawcie się dookoła.

Żadnej reakcji.

Thorne rzucił mu kpiące spojrzenie.

– Do szeregu! – warknął.

Ochotnicy stanęli w szeregu.

– Dziękuję, kapralu Thorne. – Colin odchrząknął i zwrócił się do rekrutów. – Jak wszyscy dobrze wiecie, nasz niezłomny dowódca leży teraz w łóżku, ranny w głowę. Za sprawą, mógłbym dodać, nic nieznaczącej, małej dziewczynki. Więc ja, jako najstarszy rangą, jestem dzisiaj waszym dowódcą. I odbędziemy inny rodzaj szkolenia.

Proboszcz podniósł rękę.

– Nauczymy się nowej formacji?

– Nie – odparł Colin. – Przeprowadzimy inwazję. Damy ze Spindle Cove okupują to, co powinno być waszą wsią. Naszą wsią. Czy mamy nabrać wody w usta i grzecznie się z tym pogodzić?

Mężczyźni popatrzyli po sobie.

– Nie! – odparł za nich zdesperowany Colin. – Nie pogodzimy się z tym ani jednego wieczoru więcej.

Bram miał jednak dobry pomysł. Tym mężczyznom należało pomóc odzyskać jaja i władzę we wsi. Kuzyn jednak obrał niewłaściwą taktykę, odwołując się do mętnego poczucia honoru i obowiązku. Można było znaleźć dużo lepsze źródło motywacji – pierwotny instynkt, który tkwił w każdym mężczyźnie.

Seks.

– Dzisiaj – oznajmił – jest ta noc, kiedy odbijemy wieś. Nie uczynimy tego, maszerując w równym szeregu czy dopuszczając się aktów bezsensownego bohaterstwa. Zrobimy to, zachowując się jak mężczyźni. Prawdziwi mężczyźni. Tacy mężczyźni, nad którymi kobieta nie zdoła zapanować.

Czoła zmarszczyły się w zamyśleniu.

– Ale… – Kowal rozejrzał się po grupie. – Jesteśmy mężczyznami. W każdym razie ostatnio, jak patrzyłem…

– To nie tylko kwestia odpowiedniego wyposażenia. – Colin wskoczył na skrzynię i otworzył szeroko ramiona. – Spójrzcie na mnie. Teraz popatrzcie na siebie. I znowu na mnie. Ja jestem mężczyzną, jakim chcecie być.

Dawes skrzyżował ramiona.

– A dlaczego to, ściśle mówiąc?

– Czy wiecie, z iloma kobietami byłem w łóżku? – Kiedy Finn i Rufus podskoczyli, zaskoczeni, pomachał im ręką. – Zgadnijcie, chłopcy.

– Siedemnastoma – powiedział Finn.

– Więcej.

– Osiemnastoma.

– Jeszcze więcej.

– Eee… dziewiętnastoma?

– Och, na miłość boską – mruknął. – Zejdzie nam na tym cały dzień. Powiedzmy, że ta liczba jest większa, niż możecie sobie wyobrazić. Bo wyraźnie tak jest. – Pod nosem dodał: – Może większa, niż potraficie policzyć. – Podniósł rękę nad głowę. – Dzisiaj pomaszerujemy do wsi i zabawimy się w naszej tawernie.

– To znaczy herbaciarni? – zapytał Fosbury. – Ale dzisiaj damy grają w karty.

– Ale dzisiaj damy grają w karty. – Colin przedrzeźniał go wysokim, piskliwym głosem. – To jest właśnie wasz problem. Wszyscy jesteście pantoflarzami. Pozwoliliście się wykastrować temu stadku przemądrzałych kwok. Dziś wieczorem damy nie będą grać w karty. Będą tańczyć.

Fosbury podrapał się w kark.

– No, one czasami to robią w piątki. Tańczą. Ale tylko ze sobą. Nie proszą, żebyśmy się przyłączyli.

Colin pomasował nasadę nosa z ciężkim westchnieniem.

– Nie będziemy czekać, aż nas poproszą, Fosbury. – Opuścił rękę i skinął na Dawesa. – Ty, tam. Jak prosisz kobietę do tańca?

Kowal wzruszył ramionami.

– Nie proszę. Nie tańczę.

Ręka Finna wystrzeliła w górę.

– Ja wiem! Słyszałem, jak Sally mówiła to przed lustrem: „Czy mogę mieć przyjemność z panią zatańczyć?” – Skłonił się, wykonując zamaszysty zawijas ręką.

– Nie tak – powiedział Colin. – Wszystko nie tak. – Podniósł głos. – Powtórzcie za mną: „Sądzę, że ten taniec należy do mnie”.

Mężczyźni powtórzyli słowa szeptem.

Żałosne.

Colin wyciągnął pistolet z podwójną lufą, odbezpieczył go starannie, podniósł na wysokość ramienia i wystrzelił w powietrze. Głośny huk

zwrócił uwagę grupy.

– Powiedzcie to z przekonaniem: „Sądzę, że ten taniec należy do mnie”.

Mężczyźni odchrząknęli, przestępując z nogi na nogę.

– Sądzę, że ten taniec należy do mnie – powtórzyli.

– Lepiej. Spróbujcie tego: „Twoje włosy są jak rzeka jedwabiu”. – Widząc ich zdumione spojrzenia, wyjaśnił: – Po pierwszym zdaniu trzymacie ją w ramionach. Jeśli chcecie zaciągnąć kobietę do łóżka, potrzebujecie więcej słodkich słówek. A teraz powtórzcie za mną, do diabła! „Twoje włosy są jak rzeka jedwabiu”.

– Twoje włosy są jak rzeka jedwabiu – zawtórowali jak echo.

– No, to już coś. – Zamilkł, zastanawiając się. – A teraz to: „Twoje oczy błyszczą jak diamenty”.

Powtórzyli, tym razem z większym zapałem.

– I jeszcze: „Twoje piersi są jak kule z alabastru”.

– Co? – sprzeciwił się Rufus. – To głupie. Nie będę tego mówić.

– Masz lepszą propozycję?

– Dlaczego nie powiedzieć po prostu, że ma fajne cycki?

Colin spojrzał na Keane’a.

– Proboszczu, proszę zatkać uszy.

Zrobił to faktycznie.

Colin jęknął. Zeskoczył ze skrzyni i podszedł do Rufusa.

– Posłuchaj, chłopcze. Nie będziesz gadał o cyckach. To wulgarne. Paniom się to nie spodoba. Chyba że się już dobrze rozgrzejecie. Wtedy, co niektórym kobietom to się może bardzo podobać. Ale kiedy twoim celem jest uwieść, nie możesz popełnić błędu, kiedy mówisz o kulach z alabastru.

– To wcale nie jest dobre. – Thorne skrzyżował ramiona. – Alabaster jest zimny i twardy. Nie wiem, jakie piersi pan ssał, ale ja osobiście wolę kobiety z krwi i ciała. Nie wymyśliłby pan czegoś lepszego?

– Oczywiście, że tak. Ale swoich najlepszych zagrywek nie będę na was marnować. – Podniósł pistolet i wystrzelił w powietrze po raz drugi. – Wyprostujcie się, ramiona do tyłu, i powiedzcie to głośno i dumnie: „Twoje piersi są jak kule z alabastru”.

Po paru próbach wreszcie wykrzyczeli to zdanie tak, że Colin poczuł się usatysfakcjonowany.

– W porządku – stwierdził, chodząc przed szeregiem tam i z powrotem. – A teraz nagrody. Piwo! – Grzmotnął pięścią w pokaźną beczułkę. Butem

kopnął najbliższą skrzynię. – Wino! – Umilkł na chwilę dla dramatycznego efektu, podniósł beczułkę, którą wyciągnął z prywatnych zasobów Brama. – Whiskey!

– Co zrobimy z tym wszystkim? – zapytał Rufus.

– Zużyjemy do czyszczenia butów – odparł Colin sucho. – Wypijemy, rzecz jasna. Tej nocy jemy, pijemy, hulamy i kochamy się z kobietami tak, jak mamy na to ochotę. Ale poczekajcie. Jest jeszcze coś.

Szyld zachował na koniec. Pracował nad nim całą noc przy świetle latarni. Nie dlatego, że lubił dłubać w drewnie, ale dlatego, że alternatywą była kolejna bezsenna noc na zimnym, niewygodnym legowisku. Po niemal tygodniu z dala od Londynu tęsknił rozpaczliwie za ciepłym ciałem i zdrowym snem.

Tej nocy chodziło nie tylko o zasadę. Musiał sobie znaleźć kobietę, i to szybko.

– Z tym, ludzie – podniósł szybkim ruchem materiał przykrywający szyld – oddaję wam waszą tawernę.

15

Bram obudził się pod wpływem ostrego światła, które raziło go przez powieki. Ktoś włożył mu do ręki chłodną filiżankę. Nie był nawet w stanie zmusić się, żeby otworzyć oczy, czy sprawdzić zawartość filiżanki. Powąchał ostrożnie, a potem wypił. Woda. Czysta, chłodna woda. Najpyszniejsza rzecz, jakiej kiedykolwiek próbował. Szepnąłby jakieś podziękowania, ale miał za sztywny język. Przestał nim władać.

Ręka dobroczyńcy zasunęła zasłony. Ogarnęła go ciemność, opadł z powrotem na poduszki i zapadł w sen.

Kiedy znowu się ocknął, ostrego światła nie było. Odsunął pościel i uniósł się na łokciu. Był sam w sypialni. Migotliwa świeca stanowiła jedyne oświetlenie pokoju.

Przecierając zaspane oczy, usiadł i postawił bose stopy na podłodze. Ile czasu stracił? Zerknął na zegar na bocznym stoliku. Wskazywał wpół do ósmej. Ale skoro tak, to słońce powinno stać wysoko. Chyba że…

Chyba że znowu był wieczór. Środa wieczór. Pomasował obolałe skronie. A niech to. Stracił cały dzień.

Oficerska kurtka wisiała na haku koło drzwi. Na krześle w pobliżu położono koszulę, spodnie i kamizelkę. Należały do niego, ale to nie było to samo ubranie, które miał na sobie poprzedniego dnia. Widocznie Thorne przyszedł, zabrał jego przemoczony strój i zastąpił go nowym.

Siedząc na brzegu materaca, sprawdzał, jak się miewa jego kolano; prostował i zginał nogę. Zdumiewające, ale noga nie bolała bardziej mimo długiego marszu. W gruncie rzeczy wyczuwalnie mniej. Czy to zasługa leczniczej maści, nasennego napoju, delikatnego dotyku Susanny czy tego, że przespał cały dzień? Nie miał pojęcia. Tak czy inaczej, musiał jej podziękować.

Nagle pamięć wróciła mu żywe wspomnienia sprzed dwudziestu godzin. Był w łóżku, a ona pod nim. Trzymał w dłoni jej jędrną, pulchną pierś, a ona gładziła go leciutko po plecach, kołysząc do snu.

Ogarniały go uczucia, z którymi nie dawał sobie rady. Podniecał go jej dotyk, uspokajał szept, wzruszały sekrety, które mu wyznała. Czuł się jej bliski w każdy możliwy sposób.

Z przyzwyczajenia przesunął rękami po włosach, jakby chciał je zebrać w ogon. Jego palce, rzecz jasna, trafiły jedynie na bandaż i krótką grzywkę, która umknęła jej nożycom.

Ta kobieta go zmieniała.

Napiwszy się wody, zrobił użytek z umywalki i mydła. Wytarł się do sucha i przebrał w świeże ubranie. Po dwóch dniach w łóżku powinien się ogolić, ale to musiało poczekać. Sprawdził szybko w lustrze węzeł fularu pod szyją i wyszedł z pokoju.

Summerfield było zamożnym, ale niezbyt dużym domem. Szybko znalazł tylne schody i zaczął po nich schodzić żwawym krokiem, pewien, że trafi do kuchni. Etykieta i zwykłe poczucie przyzwoitości wymagały, żeby odszukał Susannę i podziękował jej za opiekę i gościnę, ale uznał, że łatwiej przełknie tę odrobinę pokory, jeśli przedtem znajdzie coś do jedzenia. Burczało mu w brzuchu z głodu i kręciło się w głowie. Nie byłoby dobrze, gdyby wrócił do zamku i zemdlał na oczach swoich ludzi.

– Hej, tam. Czy to ty, Rycliff?

Pytanie zatrzymało go w korytarzu.

– Sir Lewis?

Zza drzwi wychynął niski, tęgawy mężczyzna w skórzanym fartuchu. Wycierał ręce w ścierkę. Parę srebrnych kosmyków, które nadal trzymały się jego głowy, rozpierzchło się we wszystkie strony.

– Wybacz. – Machnął ręką w stronę potarganej głowy. – Pracowałem w laboratorium

Bram skinął głową. Drobny ruch sprawił mu ból.

Sir Lewis upchnął poplamioną tłuszczem ścierkę w kieszeni fartucha.

– Susanna wspominała, że zatrzymała cię w domu. – Niebieskie oczy starego mężczyzny przesunęły się na bandaże na głowie Brama. – Już ci lepiej?

– Tak. – Schylił głowę i zajrzał za plecami sir Lewisa do dużego, oświetlonego lampą pomieszczenia. – Pańskie laboratorium?

– Tak, tak. – Oczy sir Lewisa zabłysły, kiedy kiwnął głową w stronę pracowni. – Zajrzyj do środka, jeśli masz ochotę.

– Nie chcę przeszkadzać.

– Ależ nie szkodzi, nie szkodzi.

Bram poszedł za nim, schylając się, żeby nie rąbnąć głową o framugę. Kiedyś musiała tam być zmywalnia naczyń albo pralnia. Podłogę pokrywały zniszczone płytki, a nie drewniany parkiet, jak na korytarzu. Ściany wyłożone były nagą cegłą. Od południowej strony znajdowało się duże, wysokie okno, przez które wpadały purpurowe promienie zachodzącego słońca.

Na ścianach, na hakach, wisiały rozmaite rodzaje broni. Nie tylko zwykłe strzelby i pistolety do pojedynków, ale garłacze i kusze. Nad drzwiami wisiała stara maczuga z kolcami.

– Jeśli masz ochotę – powiedział sir Lewis – to później pokażę ci salę średniowieczną. Tarcze, kolczugi i tym podobne. Niewielu młodych ludzi odwiedza Summerfield, ale jeśli już, to zawsze się tym interesują.

– Nie wątpię. – Bram zaczynał rozumieć, dlaczego Susanna Finch nie wyszła za mąż. Ten dom odstraszyłby chyba najbardziej zawziętego zalotnika.

Skrzywił się na myśl o Susannie. Spojrzał na mahoniową płytę nad kominkiem. Umieszczono na niej parę lśniących pistoletów. Pistoletów, jakich Bram oraz wszyscy oficerowie w armii brytyjskiej używali jako broni osobistej.

Pistolety Fincha. Standard od dziesięcioleci.

Mały, ekscentryczny sir Lewis Finch był, na swój sposób, jednym z największych brytyjskich bohaterów wojennych. Bram nie przesadziłby, mówiąc, że zawdzięcza mu życie. Sir Lewisowi zawdzięczał także nowo otrzymany tytuł, możliwość zorganizowania oddziału i skromną, bo skromną, ale szansę na odzyskanie dowództwa w armii. A wczorajszego dnia uwodził mu jedyną córkę. Napadł na nią w zatoczce. Przyciskał do łóżka gołymi nogami i obmacywał.

Do diabła z tym. Susanna zasługuje na lepsze traktowanie. Sir Lewis zasługuje na lepsze traktowanie. A Bram zasługuje zapewne, żeby patrzeć teraz w lufę pistoletu Fincha. Musi opanować chuć i skupić się znowu na zadaniu. Jeśli groźna zawartość tej pracowni go w tym nie utwierdzi, to nic nie zdoła tego dokonać.

Pocierając twarz dłonią, przeniósł wzrok z broni na ścianach na umeblowanie pokoju. Pod oknem stał długi stół z narzędziami do lutowania, przyborami pomiarowymi, raszplami i tym podobnymi. Na mniejszym biurku dostrzegł rozmontowany mechanizm flinty. Wyglądał jak zwykły zamek w większości strzelb, ale młotek był niezwykłego kształtu.

– Mogę? – zapytał, sięgając po niego.

– Oczywiście.

Bram obracał zamek w rękach, przyglądając się skomplikowanemu mechanizmowi.

– To ma być udoskonalony zamek – powiedział sir Lewis. – Chyba mi się udał. Ale zostawiłem go, żeby pracować nad tym przeklętym działem. Od lat się nad tym męczę.

– Działo? – Zwrócił uwagę na drewniany model na stole. – Proszę mi o tym opowiedzieć.

Sir Lewis wzburzył kosmyki włosów na głowie i mruknął zdenerwowany.

– Bawię się tym pomysłem od dziesięcioleci. Chodzi o działo z gwintowaną lufą.

Bram gwizdnął z wrażenia przez zęby. Wszystkie działa miały gładkie lufy. Były artyleryjskim odpowiednikiem muszkietów – przyzwoity zasięg i siła rażenia, ale średnia celność. Jednak, gdyby dało się wyżłobić działo wewnątrz, pociski nie tylko leciałyby dalej i szybciej, ale także trafiałyby z większą celnością. Gwintowane działo dałoby przewagę armii brytyjskiej w sytuacji każdego oblężenia. To mógłby być ów as z rękawa, dzięki któremu Wellington przepędziłby Napoleona z Hiszpanii.

– Wypróbowałem dziesiątki wariantów – powiedział sir Lewis, gestykulując w stronę miniaturki działa na stole. – A setki pomysłów nigdy nie wyszły poza szkicownik. Ale mam dobre przeczucia co do tego. – Poklepał model. – Czuję to w moich starych, skrzypiących kościach. – Starszy mężczyzna uśmiechnął się do Brama. – Rozumiem cię, Rycliff. Lepiej niż sądzisz. Obaj jesteśmy ludźmi czynu, którym przyświeca jakiś cel, każdemu na swój sposób. Żaden z nas nie jest gotów wycofać się z pola. Wiem, jak trudno jest tkwić w tej dziwnej maleńkiej wiosce, podczas gdy na świecie toczą się wojny. To musi być dla ciebie tortura.

– To odpowiednie słowo. – Słodka, piegowata tortura w najczystszej postaci.

– Czy moja Susanna męczy cię w jakiś sposób?

Bram o mało nie udławił się własnym językiem. Zakasłał w rękaw, czując, że twarz mu płonie.

– Nie martw się, możesz być ze mną szczery. – Sir Lewis poklepał go po plecach. – Droga dziewczyna chce dobrze, ale wiem, że ma skłonność do przesady. Jest mądra, więc cała wieś zasięga u niej porad. Lubi pomagać.

Bram rozumiał coraz lepiej, dlaczego Susanna Finch miała taką potrzebę troszczenia się o innych. Czy chodziło o jedzenie, zachętę, leczniczą maść… czy też najsłodszą, najczulszą pieszczotę, o jakiej mężczyzna mógłby marzyć.

„Nie musisz mnie atakować za każdym razem, kiedy chcesz, żebym cię dotknęła. Żebym cię przytuliła”.

Przełknął ślinę, usiłując usunąć jej smak z ust.

– Ale Susanna nie zawsze rozumie męską potrzebę bycia użytecznym – ciągnął sir Lewis. – Potrzebę ciągłego, upartego dążenia do celu. – Rozłożył ramiona, wskazując pracownię. – Susanna wolałaby, żebym to porzucił. Ale nie mogę tego zrobić, póki nie wyzionę ducha. Wiem, że mnie rozumiesz.

Kiwnął głową.

– Rozumiem.

Bram rozumiał sir Lewisa znakomicie. I sprawiło mu wielką ulgę, że nareszcie ktoś rozumie jego. Podczas miesięcy, które upłynęły odkąd odniósł ranę, żaden z jego towarzyszy – nie mówiąc już o przełożonych – nie wykazywał zrozumienia dla jego usilnej chęci odzyskania dowództwa. Wszyscy wydawali się myśleć, że Bram powinien być zadowolony, jeśli nie po prostu wdzięczny losowi, że może się wycofać i przeżyć resztę życia, jak mu się podoba. Nie potrafili pojąć, że armia jest jego życiem.

– Ludziom takim jak my nie wystarczy po prostu żyć. Pragniemy coś po sobie zostawić. – Sir Lewis dotknął czubkiem palca małego modelu działa. – To działo będzie moje. Może jestem stary i łysiejący, ale mój najcenniejszy wynalazek jeszcze przede mną.

Bystre, niebieskie oczy spotkały wzrok Brama.

– A ty możesz być ranny, ale wiem, że największe bitwy dopiero stoczysz. Chcę ci to umożliwić, na ile jestem w stanie. Napisałem do generałów Hardwicka i Cummingsa i zaprosiłem ich na paradę lokalnego oddziału ochotników. Jestem przekonany, że zobaczą to, co ja widzę. Że

jesteś synem swojego ojca. Że nie możesz pozostawać bezczynny. Bez wątpienia uznają, że Anglii jesteś potrzebny jako dowódca w wojsku.

Wzruszenie ścisnęło Brama za gardło.

– Sir Lewisie… Nie wiem, co powiedzieć. Nie wiem, jak dziękować.

Kłamał. Wiedział dokładnie, jak podziękować staremu człowiekowi – trzymać głowę mocno na karku, wypełniać swoje obowiązki, przeszkolić oddział tak, żeby mógł być z niego dumny, i trzymać się na milę od Susanny Finch.

Zegar na ścianie wybił ósmą.

– Czy interesowałaby cię kolacja, Rycliff?

Żołądek Brama udzielił głośnej odpowiedzi.

– Dziękuję za zaproszenie, ale… nie jestem odpowiednio ubrany.

– Ani ja. – Sir Lewis roześmiał się, wskazując na własne, robocze ubranie. – W tym domu nie dbamy o konwenanse, Rycliff.

– W takim razie proszę, aby zwracał się pan do mnie: Bram.

– A zatem Bram. – Sir Lewis rozwiązał fartuch i odłożył go na bok. Potem poklepał Brama po ramieniu. – Poszukajmy czegoś do jedzenia, synu.

Stary człowiek wyprowadził go z warsztatu na korytarz.

Kiedy krążyli po domu, ciemne drewno witało Brama w każdym pokoju, a ciepło dziesiątków świec zdawało się wnikać w jego kości. Od dziecka nie przebywał w takim domu jak ten. Od lat składał swoje zmęczone wojną kości w namiotach, koszarach, oficerskich kwaterach. Potem na łóżku szpitalnym i wreszcie, w Londynie, w prostych pokojach starego kawalera. Zawsze celowo omijał rodzinne rezydencje, takie jak Summerfield. Bo były więcej niż budynkami. To były domy, ale nie dla niego. Sprawiały, że czuł się nie na miejscu, i budziły dziwny ból w sercu.

– Susanna ucieszy się na nasz widok bez względu na to, jak jesteśmy ubrani – zapewnił sir Lewis. – Zazwyczaj wieczorami w ogóle nie docieram do jadalni. To ona zawsze dba, żebym jadł więcej. Namawia, żebym dbał o siebie.

Bram wciągnął głęboko powietrze i wypuścił je powoli, starając się oczyścić umysł, ciało, serce i duszę z wszelkich niestosownych myśli o Susannie Finch. Kolacja to doskonała okazja. Cywilizowane zajęcie, w obecności osób trzecich, dzięki któremu będzie mógł na nią patrzeć, rozmawiać z nią, uczyć się zachowywać bardziej jak człowiek, a nie

śliniąca się bestia. To, co robił przez ostatnich kilka dni, było naganne. Pod strojem żołnierza krył się przecież urodzony dżentelmen. Świadomość tego zagubił gdzieś w tych wszystkich piegach, ale jeśli nie chciał zatracić szansy na odkupienie i zniechęcić do siebie sir Lewisa, musi zacząć postępować jak należy.

– Oto jesteśmy. – Sir Lewis poprowadził Brama korytarzem, a potem przez podwójne drzwi i oznajmił głośno: – Mamy dzisiaj gościa, Susanno. Każ przynieść jeszcze jedno nakrycie.

Tak jest, pomyślał Bram. Zjemy kolację. Będzie używał właściwych sztućców. Zajmie ją rozmową, w której nie będzie miejsca na takie słowa, jak: „skóra”, „lizać”, „beczka z prochem”. Podziękuje jej za wspaniałą gościnność i pomoc w dochodzeniu do zdrowia. Potem pocałuje ją w rękę i pożegna się…

I nigdy więcej nie tknie palcem Susanny Finch. To zostało zdecydowanie, nieodwołalnie postanowione.

Póki nie minął zakrętu korytarza.

Bram zatrzymał się w pół kroku. Pole widzenia rozmywało mu się na brzegach. Był pewien, że zemdleje. A ten zawrót głowy nie miał nic wspólnego z niedawną raną głowy ani głodem. Ona była przyczyną.

Tym razem nie miała na sobie ani wstrętnego kostiumu kąpielowego, ani męskich bryczesów, ani też codziennej muślinowej sukienki. Dzisiaj ubrała się we wspaniałą, fioletową, jedwabną suknię lamowaną brokatowymi guzami. Światło świec odbijało się lśniącymi strzałami od stojących na stole kryształowych kieliszków na wino, rzucając dookoła świetliste iskry. Wydobywało z mroku perły naszyte na szarfę, każdą wstążkę wplecioną w połyskujące, upięte do góry włosy. Kiedy Susanna pochyliła się, żeby wygładzić zmarszczkę na obrusie, podkręcone na żelazko loki obramowały jej twarz, pieszcząc jej jasną szyję.

– Lordzie Rycliff. – Wyprostowała się, uśmiechając do niego nieśmiało.

Nie był w stanie się odezwać. Wyglądała…

Pięknie. Przypuszczał, że tak to należało określić. Ale „pięknie” nie było dostatecznie mocnym słowem. Ani też olśniewająco, zjawiskowo, porażająco – chociaż to ostatnie było już blisko.

Jej wygląd składał się tylko na część efektu. To, co go poruszyło, to zaproszenie, które przekazywała jej postawa, głos, śliczne niebieskie oczy. Sprawiała wrażenie, jakby na niego czekała. Nie tylko dzisiaj, codziennie.

Wyglądała, jakby zapraszała go do domu.

– Cieszę się, że się obudziłeś – powiedziała.

– Czy tak?

– Sprowadziłeś ojca do jadalni, zaledwie pięć po ósmej. W tym domu to mały cud.

Sir Lewis parsknął śmiechem.

– A teraz, kiedy już tu dotarłem, muszę was prosić, żebyście mi wybaczyli na chwilę. – Podniósł zabrudzone od pracy dłonie. – Muszę się przygotować do kolacji.

Starszy człowiek wyszedł, a oni oboje zostali w jadalni, patrząc na siebie.

Odchrząknęła.

– Dobrze się czujesz?

– Nie wiem – odparł. Nie kłamał. W tej chwili nie był niczego pewien, poza tym, że buty niosły go naprzód. Niezależnie od szczytnych postanowień i szacunku dla sir Lewisa, po prostu nie mógł postąpić inaczej. Cokolwiek ich łączyło, wzywało go nieodparcie. Popełniłby grzech, zaprzeczając temu.

Widział, jak jej rumieniec się pogłębia, w miarę jak podchodził bliżej. Przyjemnie wiedzieć, że on też nie był jej obojętny. Sięgnął po jej rękę, spoczywającą na adamaszkowym obrusie.

– Dzisiaj bez rękawiczek? – Przesuwał kciukiem po jej miękkiej skórze, obrysowując każdy palec i skórę między nimi.

Pokręciła głową.

– Nie nosiłam ich przez cały dzień. Ciągle zapominałam.

Zagubił się w jej spojrzeniu. I został tam na małą wieczność.

– Ja… – zaczął.

– Ty… – powiedziała.

Do diabła ze słowami, pomyślał, obejmując ją ręką w pasie. Do diabła z tym wszystkim! Nawet jeśli mieli zaledwie parę chwil dla siebie, nie chciał ich zmarnować. Jedwab chłodził mu dłoń, kiedy przyciągał ją do siebie. Wciągnął chrapliwie powietrze, oszołomił go jej wyjątkowy zapach.

– Bram – szepnęła. – Nie możemy.

– Wiem. – Schylił głowę, żeby ją pocałować. Poczuł jej miękkie usta pod swoimi. Jej pocałunek był czuły i słodki i w tej krótkiej, kradzionej chwili, wart każdego ryzyka.

Odskoczyli od siebie, słysząc lekkie kroki na korytarzu.

Do pokoju wpadła młoda kobieta, za nią zmieszany lokaj.

– Panno Finch! Panno Finch, musi pani natychmiast przyjść. – Dziewczyna urwała dla zaczerpnięcia oddechu, Bram rozpoznał ją jako jedną z młodych dam z Królowej Ruby. Jedną ze spokojniejszych, której imienia jeszcze nie zapamiętał.

– We wsi dzieje się coś złego – wysapała.

Susanna przemierzyła pokój w szumie jedwabiu.

– O co chodzi, Violet?

– Och, panno Finch, nie uwierzy pani. Zostałyśmy najechane!

Zostały najechane.

Minerva dotknęła palcem okularów. Wiedziała, że musi je nosić – nigdzie się bez nich nie ruszała. Ale w tej chwili niczego nie widziała jasno. Rzeczywistość rozmywała się, wszystko traciło sens.

Zaledwie przed kwadransem damy siedziały przy kartach w Pąsowym Bratku. Minerva, przy stole przy oknie, z matką i siostrami, zaczęła właśnie rozdawać karty.

A potem – jeszcze przed pierwszym rozdaniem – mężczyźni wpadli do środka bez ostrzeżenia, przynosząc butelki napitków. To było preludium do kompletnego chaosu.

Zerwano koronkowe firanki i szyld z pozłacanymi literami. Zawieszono stary miecz i rogi jelenie nad kominkiem. Na zewnątrz, nad drzwiami, kołysał się nowy szyld.

– Co na nim jest? – zapytała matka, wyglądając przez okno.

Minerva zerknęła przez okulary.

– Rozbuchany Byk.

– O Boże – szepnęła Diana.

Damy zamarły na swoich krzesłach, nie wiedząc, jak się zachować. Jaka obowiązuje etykieta, kiedy wokół człowieka wali się cywilizacja. Odpowiedzi nie dałoby się znaleźć nawet w *Mądrych radach* pani Worthington.

Lord Payne wskoczył na stopień, zwracając powszechną uwagę. Nic dziwnego. Gdziekolwiek zbierały się damy, ten człowiek zawsze ustawiał się w centrum uwagi. Minerva go nienawidziła. Jeśli Diana chciała wyjść za mąż, to zasługiwała na kogoś dużo lepszego niż zadufany w sobie hulaka. Na nieszczęście, matka wydawała się już go uważać za zięcia.

– Piękne panie ze Spindle Cove – oznajmił Payne. – Zawiadamiam was, że herbaciarnia Pąsowy Bratek została zamknięta na dzisiejszy wieczór.

Damy wydały zbiorowy jęk przestrachu.

– Jednakże – ciągnął Payne – z największą przyjemnością oznajmiam, że na jej miejsce otwarto tawernę Rozbuchany Byk.

Mężczyźni wykrzyknęli głośne hurra.

– Będziemy pić. Będziemy tańczyć. Grać w kości i zajmować się wszelkimi przyjemnymi bezeceństwami. Panie, zostałyście ostrzeżone. Wyjdźcie teraz albo bawcie się z nami.

Mężczyzna, którego nie znała – pewnie chłop albo rybak – wydobył podniszczone skrzypce. Przyłożył smyczek do strun i zaczął grać dziki, ludowy taniec.

Pozostali mężczyźni nie tracili czasu, odsuwając stoły i krzesła pod ściany. W niektórych przypadkach z przerażonymi damami, które wciąż na nich siedziały. Do ich stolika zbliżył się kowal. Skinął krótko głową i spojrzał na nie w milczeniu, a następnie wsunął rękę pod stół, podniósł go do góry i odstawił na bok.

– O Boże… – szepnęła Diana, kiedy ktoś wcisnął jej napełniony kufel do ręki. Powąchała jego zawartość, a potem przekazała kufel Minervie. – Czy to piwo, Min?

Minerva spróbowała.

– Tak.

Pannę Kate Taylor posadzono przy fortepianie. Parę młodszych dziewcząt chwyciło się za ręce i uciekło, zapowiadając w przelocie, że sprowadzą pannę Finch.

– Powinnyśmy odejść – zauważyła Diana.

– Nie rozumiem. – Charlotte usiłowała przebić się ponad crescendo muzyki. – Co się tu dzieje?

– Otwierają się możliwości. – Twarz matki zapłonęła jak ognisko. – Oto, co się dzieje. I niech ci nie przyjdzie do głowy opuścić to miejsce. Zostajemy tu. Uśmiechnij się, Diano. Oto i on.

Lord Payne przedarł się przez tłum i podszedł wprost do ich grupki.

– Pani Highwood. – Skłonił się głęboko, obdarzając jasnowłose siostry promiennym uśmiechem. – Panno Highwood. Panno Charlotte. Jak pięknie wyglądacie tego wieczoru. – Dopiero teraz zwrócił się do Minervy,

posyłając jej chłodny uśmiech. – Och, czyż to nie nasza pogromczyni olbrzymów, panna Miranda.

Zmrużyła gniewnie oczy.

– Minerva.

– Tak. Czy przyszłaś uzbrojona? To znaczy, w coś innego niż te spojrzenia jak sztylety.

– Niestety, nie.

– W takim razie – wyciągnął rękę do Diany – myślę, że ten taniec należy do mnie.

Ponieważ Diana nie zareagowała od razu, wtrąciła się matka.

– Na co czekasz, Diano? Na pozwolenie? Oczywiście, że możesz zatańczyć z lordem Payne.

Kiedy para przeszła na środek pokoju, Minerva trąciła matkę łokciem w bok.

– Nie możesz pozwolić jej tańczyć. Nie w ten sposób. Co z jej astmą?

– Phi! Od wieków nie miała żadnego ataku. A panna Finch zawsze powiada, że zdrowe ćwiczenie przyniesie jej korzyść. Taniec dobrze jej zrobi.

– O tańcu nic nie wiem, ale lord Payne nie jest dla niej odpowiedni. W żaden sposób. Nie ufam mu.

Jeden z braci Bright przesłonił jej widok, odwracając uwagę. Skłonił się nerwowo przed Charlotte.

– Panno Charlotte, twoje włosy to rzeka diamentów, a oczy kule z alabastru.

Minerva nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

– Charlotte, masz kataraktę?

Biedny młodzian spłonął pąsowym rumieńcem i wyciągnął rękę.

– Zechcesz zatańczyć?

Rzuciwszy matce szybkie spojrzenie, by uzyskać jej zgodę, Charlotte podniosła się z krzesła.

– Z przyjemnością, panie… Eee, którym z bliźniaków jesteś?

– Finn, panienko. Chyba żebym ci przypadkiem nadepnął na palce… wtedy mam na imię Rufus. – Uśmiechnął się szeroko i podał jej rękę. Oboje przyłączyli się do tańczących.

Minerva spojrzała zdumionymi oczami na matkę.

– Pozwalasz jej tańczyć? Ma ledwie czternaście lat!

– To tylko zabawa. Tańce na wsi, a nie bal w Londynie. – Matka mlasnęła językiem. – Uważaj, Minervo. Widać, że jesteś zazdrosna.

Sapnęła gniewnie. Nie była zazdrosna. Chociaż, kiedy wokół tworzyło się coraz więcej par, zaczęła czuć się dziwnie samotna. To nie było obce jej uczucie.

– Ciągle ci powtarzam, Minervo. Gdybyś tylko lekko wyszczypała policzki i zostawiła te okulary, byłabyś…

– Ślepa jak nietoperz, mamo.

– Atrakcyjny nietoperz. Wiesz, to tylko okulary. Masz wybór, czy je nosić, czy nie.

Minerva westchnęła. Może miałby ochotę zwrócić uwagę jakiegoś dżentelmena, ale nie takiego, którego opinia o niej mogłaby zależeć od drobnej zmiany w wyglądzie. Jeśli wyjdzie za mąż, to za mężczyznę z mózgiem i z charakterem. Nie marzyła o próżnym arystokracie, choćby nie wiadomo jak gładkimi słówkami sypał i z jakim szatańskim wdziękiem się uśmiechał.

Irytowało ją tylko, że czuła się zawsze odrzucona przez mężczyzn takich, jak lord Payne, nie mając okazji odtrącić ich jako pierwsza.

Podniosła kufel z piwem i pociągnęła długi, zupełnie nie jak dama, łyk. Potem wstała, zdecydowana nie siedzieć i nie podpierać ściany.

– Co chcesz zrobić, Minervo?

– Jak powiedziałaś, chcę wykorzystać tę niespodziewaną możliwość.

Przecisnęła się do wyjścia przez coraz bardziej hałaśliwy tłumek tańczących i raczących się trunkami. Wcześniej tego popołudnia przerwała w połowie pisanie wyjątkowo ważnego listu i mogła teraz skorzystać z okazji i go dokończyć. Należało coś istotnego uświadomić członkom Królewskiego Towarzystwa Geologicznego.

W końcu, to tylko mężczyźni.

16

Susanna wybiegła z domu, unosząc spódnice, i pędziła alejką.

– Moglibyśmy wziąć powóz – powiedział Bram, doganiając ją na pierwszym zakręcie. – Albo pojechać konno.

– Mamy mało czasu – odparła, zachłystując się chłodnym, nocnym powietrzem. – Tak będzie szybciej.

Szczerze mówiąc, cieszyła się, że może biec. Zbyt wiele pytań narosło między nimi, zbyt wiele emocji, z którymi nie wiedziała, jak sobie poradzić. Zerknęła w jego stronę, zastanawiając się, czy nie boli go kolano. Miała jednak dość rozumu, żeby nie zapytać. Gdyby tak było, nigdy by się do tego nie przyznał.

Ale troszeczkę zwolniła.

Kiedy zbliżyli się do centrum wioski, ich uszu dobiegł głuchy hałas. Nie musieli się zastanawiać, skąd dobiega. Razem przebiegli ostatni odcinek za kościołem i przez skwer.

– Niech mnie diabli. – Zatrzymał się, dysząc ciężko.

Ujęła się pod boki, patrząc na szyld nad herbaciarnią.

– Rozbuchany Byk? A cóż to znaczy?

– Wiem, co to znaczy. Mężczyźni odbili swoją tawernę.

– Chcesz powiedzieć, naszą herbaciarnię.

– Nie dzisiejszego wieczoru. – Uśmiechnął się, kręcąc głową. – Ha! Widać w tym robotę Colina. Ale miło, że przejawili jakąś inicjatywę.

– To nie jest zabawne. – Oparła ręce na biodrach. – Wiedziałeś, że to planują?

Słysząc jej oskarżycielski ton, przybrał postawę obronną.

– Nie, nie miałem pojęcia, że szykują coś takiego. Ostatnich trzydzieści godzin spędziłem nieprzytomny. Ktoś podał mi dawkę laudanum wystarczającą, żeby powalić byka.

– Nie, Bram. Ktoś podał ci odpowiednią dawkę, a twoje poranione ciało wykorzystało okazję, żeby porządnie odpocząć. Chciałam twojego dobra. A teraz muszę zadbać o dobro moich przyjaciółek. – Wskazała ręką herbaciarnię. – Musimy to powstrzymać. Dziewczęta nie są przyzwyczajone do tego rodzaju zachowań. Zrozumieją je zupełnie opacznie.

– Opacznie to rozumiesz. Oni tylko trochę tańczą i śpiewają.

– No właśnie. Dla mężczyzny takiego jak ty to tylko nieszkodliwa zabawa. Ale to są delikatne, trzymane pod kloszem damy. Ich serca i nadzieje są bardzo wrażliwe. Zbyt wrażliwe. Nie wspominając już o ich reputacji. Musimy to przerwać.

Oboje popatrzyli na herbaciarnię zamienioną w tawernę. Z lekkim wiatrem dotarła do nich muzyka i głośny śmiech, a także brzęk szkła.

– Nie. – Pokręcił głową. – Nie przerwiemy tego, ani ja, ani ty. To, co tam się dzieje, jest ważne.

– Publiczne pijaństwo jest ważne?

– Tak, czasami. Co więcej, koleżeńska wspólnota. Braterstwo w grupie żołnierzy. Ludzie, których łączy wspólne zadanie. To wszystko jest ważne. To się nazywa duma, Susanno, a ci mężczyźni próbują jej smaku po raz pierwszy od długiego czasu.

– Co masz na myśli, mówiąc o próbowaniu jej smaku po raz pierwszy? To wszystko uczciwi, przyzwoici ludzie. Przynajmniej tacy byli!

– Daj spokój. Zanim zjawiłem się we wsi, ty i twoja odziana w muślin gwardia zdymisjonowałyście ich do naprawiania medalionów i lukrowania ciasteczek. Nie rozumiesz?! Mężczyzna musi mieć cel, Susanno. Jakiś godny cel. Taki, który przemawia do jego duszy i serca, nie tylko do głowy.

– Mężczyźni potrzebują celu? – Westchnęła zdesperowana. – Nie sądzisz, że kobiety są takie same? Potrzebujemy własnych celów i osiągnięć, a także siostrzanego porozumienia. A jest niezwykle mało miejsc, gdzie możemy tego zaznać w świecie rządzonym przez płeć przeciwną. Wszędzie indziej rządzą nami męskie reguły, jesteśmy zależne od męskich kaprysów. Ale tu, w tym maleńkim zakątku świata, możemy swobodnie być sobą w najprawdziwszym, najlepszym sensie tego słowa. Spindle Cove jest nasze, Bram. Będę walczyć do ostatniego tchu, żeby nie pozwolić ci go zniszczyć. Potrzeby kobiet też są ważne.

Chwycił ją obiema rękami, odciągając od budynków, w stronę skweru. Wkrótce skryli się pod baldachimem gałęzi starej wierzby. Zawsze kochała to drzewo, którego nisko opadające gałęzie tworzyły jakby inny świat. Zielone, świeże, łaskoczące witkami schronienie, do którego przenikało akurat tyle słońca, ile trzeba, i które chroniło przed żywiołami, z wyjątkiem największej ulewy. Pod jego gałęziami zawsze czuła się bezpiecznie i wygodnie.

Aż do teraz. Drapieżny błysk w jego oczach zwiastował niebezpieczeństwo. Kiedy się odezwał, jego głos brzmiał bardziej zmysłowo. Świat stał się bardziej mroczny.

– Powiem ci, co jest najważniejsze w tym wszystkim. To. – Przyciągnął ją mocno do siebie. – Nie kobiety, nie mężczyźni, ale to, co powstaje między dwojgiem ludzi, którzy pragną siebie bardziej niż powietrza. Możesz się ze mną kłócić, ile chcesz, ale nie zdołasz się temu przeciwstawić. Wiem, że to czujesz.

O, tak. Czuła to. Wrażenie elektryzującego gorąca ogarnęło jej ciała, od nasady włosów po czubki palców u nóg.

– To jest ważne. To największa, niezaprzeczalna siła stworzenia. Nie możesz całej wsi jej pozbawić tylko dlatego, że boisz się, iż nad nią nie zapanujesz.

Parsknęła śmiechem.

– Ja się boję? Och, Bram! Proszę!

I to mówił człowiek, który za wszelką cenę chciał dowodzić – kimkolwiek. Który płacił astronomiczne sumy pasterzom i rybakom, żeby tylko maszerowali pod jego rozkazami. Oraz – nie zapominajmy – zbombardował stado owiec.

To on bał się stracić kontrolę. Był tym przerażony do głębi. A ona uświadomiłaby mu to z największą chęcią – może nawet przyznała, że ją to w jakiś sposób wzrusza – gdyby tylko pozwolił jej używać warg i języka.

Ale nie. Ten niemożliwy mężczyzna musiał zdobyć i to.

Pocałunek był tak gwałtowny i zdecydowany, że nie mogła mu się nie poddać.

Jej usta zmiękły, a jego język wsunął się między jej wargi, głęboko. Przyjęła wyzwanie, odpowiadając tym samym, ciesząc się z równej walki. Jęknął z zadowolenia, a ona uśmiechnęła się przy jego ustach. Wydawało

się, że świetnie sobie z tym radzi. Uwielbiała to, że odkrywała przy nim talenty, których istnienia nawet nie podejrzewała.

Pokrył jej szyję pocałunkami, przyciskając jej biodra do swoich.

– Boże, jak boleśnie za tobą tęskniłem. Masz pojęcie, jakie sny laudanum sprowadza na mężczyznę?

– Śniłeś o mnie?

– Często. – Pocałunek. – Niezwykle żywo. – Pocałunek. – Akrobatycznie.

Śmiejąc się cicho, odsunęła się, żeby mu spojrzeć w oczy.

– Och, Bram. Ja też o tobie śniłam. We wszystkich snach występowały bardzo wysokie klify i bardzo ostre skały. – Dotknęła ręką jego policzka. – I morskie potwory.

Uśmiechnął się.

– Mała kłamczucha.

Może powinna się obrazić, ale była zbyt zajęta niemądrym podnieceniem, jakie ją ogarnęło. Nikt nigdy nie nazwał jej małą.

– Niech no na ciebie spojrzę – powiedział, odsuwając się i przesuwając zaborczymi dłońmi po jej tali i biodrach. – Nie mam nawet słów, żeby opisać, jaka jesteś piękna. Dla mnie tak się ubrałaś, prawda?

– Co za zarozumialstwo. Zawsze przebieram się do kolacji.

– Ach, ale myślałaś o mnie, ubierając się. Wiem, że tak było.

Tak było. Oczywiście, że tak. Chociaż zawsze przebierała się do kolacji, rzadko w tak elegancką suknię. Dzisiaj wybrała najlepszą. Nie dlatego, że planowała mu się w niej pokazać, ale z prostszego, bardziej egoistycznego powodu. Sprawił, że poczuła się piękna wewnętrznie, więc chciała, żeby jej wygląd zewnętrzny nie kłócił się z tym, co w środku.

– A te kosmyki włosów, wijące się ku dołowi… to też dla mnie. – Ujął jeden ze zbłąkanych loków i owinął go sobie na palcu. – Nie wiesz, jak straszliwie pragnąłem dotknąć twoich włosów. Są nawet miększe niż w moich snach. – Zsunął palce do dekoltu, odsuwając nieznacznie jedwab i odsłaniając skrawek białej koszuli. – Popatrz – powiedział, wodząc palcem po jej brzegu. – Biała, świeża, nowa. Najlepsza, prawda? Włożyłaś dla mnie najlepszą.

Skinęła głową, jego niski, zmysłowy głos wprowadził ją w taki trans, że nie potrafiłaby zaprzeczyć.

– Chcę to zobaczyć. Pozwól mi to zobaczyć.

– Co? – Chyba nie sugerował, żeby zdjęła suknię tutaj, na środku wiejskiego skweru.

Przesunął jej dłonie na plecy, do zapięcia sukni.

– Włożyłaś ją dla mnie, więc pozwól mi ją zobaczyć. Tylko koszulę, kochana. Tylko koszulę. Czy wiesz, ile czasu upłynęło, odkąd ostatnio widziałem dziewczynę w zwykłej, białej koszuli?

Susanna nie miała ochoty zastanawiać się nad odpowiedzią. Wiedziała tylko, że nienawidzi wszystkich dziewcząt, które były przed nią.

Musnął wargami jej policzek, szyję. Drapanie jego zarostu rozpaliło jej zmysły.

– Pozwól mi siebie zobaczyć. Chcę tylko popatrzyć.

– Tylko popatrzyć?

– Może dotknąć, troszeczkę. Tylko przez koszulę. Przysięgam, nic więcej. Ja będę ubrany. Jeśli powiesz mi, żebym przestał, przestanę. – Uniósł jej brodę. – Możesz mi zaufać.

Mogła? Poczuła, że kiwa głową.

Przesunął dłońmi po jej żebrach, dochodząc do zapięcia sukni.

– Czy to fałszywe guziczki?

Nie czekając na odpowiedź, odpiął górną haftkę. Potem następną. I następną. Stanik sukni zaczął odchylać się od ciała. Chłodne powietrze owionęło jej skórę.

– Bram, nie możemy tego zrobić. Nie tutaj.

– Mamy pójść gdzie indziej? – Odpiął kolejną haftkę przy sukni.

Lewy rękaw zsunął się z jej ramienia fioletową chmurką, odsłaniając więcej śnieżnobiałej koszuli. Jej żebra naciskały na gorset, kiedy usiłowała złapać powietrze.

Jej wzrok pobiegł ku Pąsowemu Bratkowi.

– Nikt nas nie zobaczy – szepnął, przyciągając ją mocno. Musnął ustami bok jej szyi. – Są zajęci w tawernie. Nie myśl o nikim innym. Teraz liczymy się tylko my dwoje.

Poddała się kolejna haftka i suknia zaczęła spływać na ziemię. Ściągnął z ramienia prawy rękaw, obsypując pocałunkami jej szyję. Jakby wiedziona instynktem, odchyliła głowę do tyłu.

– Bram…

– To jest dobre – powiedział. – Nic w tym złego, że tego chcesz.

Słowa podziałały uspokajająco. Ale palce jej drżały, kiedy wysuwała ręce z rękawów. Kiedy je uwolniła, górna część sukni osunęła jej się na biodra. Od pasa w górę miała na sobie tylko gorset i koszulę.

Podniósł ręce do tego miejsca na plecach, gdzie taśmy gorsetu były związane w ciasny węzeł. Z pewnym trudem je poluzował, jakby on także miał niepewne ręce. Ta subtelna wskazówka, że jemu również brakuje pewności siebie, dodała jej otuchy.

Sznurówki wysunęły się z dziurek i gorset odpadł od jej ciała. Powietrze wypełniło jej płuca, świeże i oszałamiające. Pozwoliła, żeby gorset spadł cicho na trawę. Wraz z nim straciła całą pewność siebie. Równie dobrze mogłaby stać tam naga, tak bardzo czuła się bezbronna.

– Co mam zrobić? – Głos jej drżał.

Jego oddech pieścił jej ucho.

– Po prostu oddychaj. – Pocałował ją w linię szczęki. – Po prostu bądź tu ze mną. Bądź sobą.

Ciepło z serca rozlało się po jej całym ciele.

Po prostu bądź sobą, powiedział. Nie chciał, żeby była inna. Nie życzył sobie, żeby była kimś innym. Chciał po prostu, żeby była sobą.

Objęła jego twarz i pocałowała go w usta. Bo te cenne słowa zasługiwały na pocałunek. Ale przede wszystkim dlatego, że była sobą i najbardziej chciała go pocałować.

Zatopili się w sobie, pogłębiając pocałunek powoli, stopniowo. Jego język drażnił i zachęcał, ona odpowiadała w ten sam sposób. Całowali się nieśpiesznie, niemal tak, jakby traktowali to jak zabawę. Przez minutę. A potem zrobiło się poważniej.

– Muszę cię zobaczyć. – Pociągnął suknię, zsuwając ją z jej bioder. – Całą ciebie. Teraz.

Pomogła mu, poruszając się w miejscu, aż materiał poddał się i ułożył u jej stóp połyskliwą kałużą. Wziął ją za ręce i pomógł wystąpić z tego kręgu. Potem odsunął się o krok, przechylając ją, żeby padało na nią jak najwięcej światła. Omiatał ją wzrokiem. Każdy cal jej ciała. Pod cienkim muślinem jej piersi nabrzmiewały pożądaniem. Im dłużej milczeli, tym bardziej rosła jej niecierpliwość. A potem niepewność. Koszula była cienka, ale panowała ciemność. Ile był w stanie zobaczyć? Czy podobało mu się to, co widział? Jak wypadała w porównaniu z tymi wszystkimi dziewczętami, które widział dawno temu w zwykłych białych koszulach?

– Śliczna. – Westchnął chrapliwie. – Taka śliczna. Dziękuję.

Przesunął opuszkiem palca po jej wewnętrzu ramienia. Kiedy doszedł do blizn, wstrzymała oddech. Ale nie zatrzymał się ani na chwilę przy starych ranach.

– Nie wiem, jak to jest – powiedział, obrysowując jej ramię i zsuwając dłoń do dekoltu koszuli. Jego dotyk wypalił ognistą ścieżkę na szczycie jej uwolnionych z gorsetu piersi. – Ale nie ma na świecie nic bardziej podniecającego niż taka koszula. Słodka i czysta, a tyle pokazuje. Koronki, wstążki, jedwabie, futra… Nic jej nie dorównuje.

Zsunął rękę niżej, obejmując jej pierś. Przełknęła niespokojnie. Potem zwrócił uwagę ku drugiej piersi i po chwili trzymał w dłoniach obie, jakby badał ich ciężar. Ścisnął je jednocześnie, sapnęła z zaskoczenia i przyjemności.

Ukryła ten dźwięk, śmiejąc się nerwowo.

– Nie mógłbyś mnie chociaż pocałować, kiedy to robisz?

– Chętnie.

Musnął wargami zagłębienie jej szyi. Delikatne pocałunki odbierały jej wolę oporu, stanowczość. Jego ręce błądziły po zaokrągleniach jej ciała.

– Bram…

– Tylko pocałunki – szepnął, dotykając ustami miejsca, gdzie krew pulsowała na jej szyi. – Tylko pocałunki. Przysięgam, nie będę cię nakłaniać do niczego ponadto. Przestanę, jak powiesz słowo. Pozwól się tylko całować, Susanno.

Westchnęła przyzwalająco, odchylając głowę, żeby ułatwić dostęp jego językowi. Tylko pocałunki. Jaką szkodę mogło wyrządzić parę pocałunków? Nie było to nic ponadto, co już zrobili. Jej zamroczonemu pożądaniem umysłowi to, co mówił Bram, wydawało się takie rozsądne.

Objął ustami jest zakrytą płótnem pierś.

Krzyknęła, zaszokowana nagłą przyjemnością.

– Cicho – szepnął przy jej piersi. – Tylko pocałunki. To wszystko. Tylko pocałunki.

Tylko pocałunki. Ha! Och, z pewnością, to były tylko pocałunki. A egipskie piramidy to były tylko kupy kamieni.

Jej całe ciało wibrowało nowymi odczuciami. Nigdy nie zaznała czegoś tak cudownie rozkosznego. Dotykał językiem jej piersi, kreśląc po nich koła, aż płótno, ciężkie i wilgotne przylgnęło do ciała.

– Tak – szepnął, odsuwając się, żeby na nią spojrzeć. Otoczył jej piersi dłońmi i pociągnął wilgotny materiał, uwalniając ciemne sutki. – Dobry Boże. Jak pączki róży na śniegu. A to – całował jej brzuch, schodząc coraz niżej – jest coś, Susanno, co rzuci mężczyznę na kolana.

Przycisnął czoło do jej pępka. Jego usta spoczęły w spojeniu jej ud, ciepłe i niebezpieczne.

– Bram – szepnęła gorączkowo. – Bram, proszę cię, wstań. To nie może być dobre dla twojej zranionej nogi.

Parsknął lekceważąco.

No, teraz pokpiła sprawę. Uparty głupiec prędzej skoczy z klifu, niż przyzna się do bólu. Teraz z pewnością się nie podniesie.

Jęknął cicho, muskając ustami jej udo. Silną dłonią ujął jej pośladki.

– Chciałaś tego, pamiętasz? Powiedziałaś, że rzucisz mnie na kolana.

Oczywiście, że chciała go widzieć na kolanach. Żeby błagał, skamlał. Uznał jej władzę nad sobą. A teraz właśnie znalazł się w takiej pozycji, ale coś poszło nie tak. To ona była zdobywana.

– Tylko pocałunki – powiedział, obejmując jej kibić dłońmi i naciągając materiał koszuli. – Tylko pocałunki, przysięgam. Pozwól mi pokazać, jakie to może być dobre. Wiem dokładnie, czego potrzebujesz.

Przylgnął otwartymi ustami do płótna zakrywającego miejsce między jej udami. Wysunął język, dotykając jej przez materiał, zataczając małe kółeczka w sekretnym obszarze, który dawał tyle przyjemności. Ogarnęła ją rozkosz i kolana się pod nią ugięły.

Chwyciła go z całej siły za ramiona.

– Bram, ja nie mogę…

Zacisnął ręce wokół jej talii.

– Mam cię. Jesteś ze mną bezpieczna. Nie pozwolę ci upaść – szepnął cicho.

– Ale…

– Chcesz, żebym przestał?

Nie mogła się zmusić do odpowiedzi.

Jego chrapliwy śmiech drażnił ją nieznośnie.

– Tak myślałem.

Zabrał się do dzieła z jeszcze większym zapałem. Przyjemność przepływała falami przez jej ciało, poddała się im, zwiotczała w jego

ramionach. Ramieniem delikatnie rozsunął jej kolana, otwierając ją szerzej dla swoich ust.

Pieszczota uczyniła ją bezradną. Mięśnie jej ud zaczęły drżeć, a z gardła wydobył się jęk.

Świat wydawał się kurczyć. Odległy odgłos śmiechu i muzyki całkiem zanikał. Wiatr ustał. Wszystko odeszło w zapomnienie. Nic nie istniało poza nimi dwojgiem – jego sprytnymi, szelmowskimi ustami i jej rosnącą rozkoszą.

Krzyknęła.

Kiedy doszła do siebie, trzymał ją mocno, przyciskając czoło do jej brzucha i szepcząc uspokajające słowa. Kciukami gładził delikatnie jej plecy.

Upadła na kolana, a on pociągnął ją na ziemię. Leżeli pod wierzbą, z członkami splątanymi jak korzenie drzewa. Ich połączone oddechy tworzyły razem mglistą chmurkę – jakby mieli własne niebo nad głową, w swoim własnym, osobnym świecie.

Zgiął mocne ramiona, przyciągając ją bliżej. Dopiero, kiedy przytulił ją do piersi, otoczył swoim ciepłem, uświadomiła sobie, że drży.

– Nie bój się – szepnął, całując jej czoło.

Nie bała się, tylko… nie ogarniała ogromu wrażeń. Co to znaczyło dla niego? Co znaczyło dla niej? Tylko pocałunki, przypomniała sobie. Dla niego to były tylko pocałunki. Nie chciał żadnych romantycznych związków.

Nie wyobrażaj sobie nie wiadomo czego, surowo nakazała sercu.

– Nie bój się – powtórzył. – Jesteś taka namiętna. Taka piękna. Tak wiele więcej mógłbym ci pokazać. Moglibyśmy dzielić tyle przyjemności.

– Powiedz mi. – Usłyszała własny głos.

Nie wiedziała, co ją naszło, żeby grać niewiniątko. Susannie nie był obcy koncept stosunku płciowego, choć nie z własnego doświadczenia. Wiedziała, co mówią o tym książki, o tym i o rozmnażaniu się ludzi, pracowała u boku akuszerek i słyszała, jak dziewczyny z kuchni chichoczą i plotkują między sobą. Chciała jednak usłyszeć, co to znaczy dla niego. Co, jego zdaniem, to mogło znaczyć dla nich.

Ujął ją za rękę i przyłożył do pagórka napiętych spodni.

– Czujesz to?

Skinęła głową. Jak mogła nie poczuć? Było to dosyć pokaźne.

– To dla ciebie, Susanno. Dla twojej przyjemności.

– Dobry Boże. Wszystko?

Zachichotał i pocałował ją w szyję.

– Tak, wszystko. Jest tak stworzone, żeby pasować wewnątrz ciebie.

Opuścił rękę i podniósł cienki materiał jej koszuli wysoko na uda, muskając po drodze wrażliwe wnętrza jej kolan. Potem wsunął dłoń między jej nogi.

– To – powiedział – pasuje tutaj. Proste.

Proste.

A więc to jest stosunek, tak jak on go rozumiał. Nieskomplikowany, naturalny akt. Wzajemne zaspokojenie potrzeb i pragnień. Byli do tego stworzeni. Jego ciało pasowało do jej ciała.

Całował ją gorąco, wsuwając głęboko język. Oddawała pocałunki z żarłoczną zachłannością. Mruczał z zadowolenia przy jej wargach.

Ułożył się między jej nogami, rozsuwając je szeroko. Objął jej twarz wielkimi dłońmi. Spojrzenie miał mroczne i wygłodniałe, jak u wilka.

– Chcesz mnie, Susanno?

Nie mogła udawać. Jej ciało odpowiedziało samo, biodra wygięły się do góry, ocierając o niego.

– Tak.

Nie poruszył się.

– Tak?

Inny mężczyzna wziąłby ją po pierwszej odpowiedzi, jeśli w ogóle zawracałby sobie głowę pytaniem. Ale on musiał być absolutnie pewien, że ona też tego chce. Jeśli się jeszcze wahała, jego troska przegnała wątpliwości.

Tak, chciała tego. Nie tylko tego. Chciała jego. Może nigdy nie wyjdzie za mąż. Może nigdy nie pozna trwałej, prawdziwej miłości. Ale chciała poznać namiętność i przyjemność i chciała doświadczyć tego z Bramem. W ciągu swoich dwudziestu pięciu lat nie czuła się w ten sposób przy żadnym mężczyźnie. Może czekać kolejnych dwadzieścia pięć lat, żeby przeżyć znowu to cudowne pragnienie.

– Tak – powtórzyła.

A jednak się wahał.

– Nie powinniśmy. Nie dzisiaj. Twój pierwszy raz powinien się odbyć w łóżku. I to łóżko powinno być ślubnym łożem – dla takiej dziewczyny

jak ty.

– Nigdy nie zamierzałam wyjść za mąż. A co do łóżek… – Spojrzała w górę na wierzbowe gałęzie i gwiazdy, które przez nie przeświecały. Trudno było sobie wyobrazić bardziej romantyczną scenerię. – Wszyscy mają łóżka. Ja wezmę to. O ile… – Odchrząknęła. – Będziesz ostrożny, prawda? Na końcu. Nie chciałabym zostać z dzieckiem.

– Będę uważać. Ale wiedz, że ryzyko istnieje zawsze.

– Wiem. Zaryzykuję, jeśli ty też to zrobisz.

– Żeby być z tobą? – Pocałował ją w usta. – Zaryzykowałbym pluton egzekucyjny.

Serce jej zadrżało.

– A zatem tak. Jeśli chodzi o wszystko.

Tym razem wziął ją za słowo. Jedną ręką niecierpliwie podniósł jej koszulę, odsłaniając jej brzuch i lewą pierś. Zatrzymał się na chwilę, tylko patrząc.

– Taka piękna.

Schylił głowę, ujmując ustami jej pierś. Zarost drapał delikatną skórę.

– Dotknij mnie – ponaglił. – Chcę czuć na sobie twoje ręce.

Susanna posłuchała z największą radością. Wyciągnęła jego koszulę ze spodni i włożyła pod nią dłonie, pieszcząc gładką, umięśnioną płaszczyznę jego pleców. Potem wsunęła rękę między ich ciała, szukając zapięcia jego spodni. Poodpinała guziki i wsunęła palce do środka.

Och, Boże!

Głaskała delikatnie, na tyle, na ile ciasna przestrzeń pozwalała. Aksamit i rozpalone żelazo. Gładkie i silne.

To pasuje do mojego wnętrza, pomyślała.

– Nie mogę czekać – powiedział, odrywając się od jej piersi. – Nie mogę już dłużej czekać.

Puściła go, a on zebrał materiał koszuli i zgarnął go pod jej ramionami.

– Ostatnia szansa, Susanno – powiedział przez zaciśnięte zęby. – Jeśli tego nie chcesz, Susanno…

Drapieżny grymas jego ust przestraszył ją przez chwilę. Miał rację, to była niezwykła siła. Całe jej ciało pragnęło spełnienia. Moc tych uczuć niemal przytłaczała.

– Chcę tego – wyszeptała z trudem. – Chcę ciebie.

17

A zatem jestem twój – szepnął Bram, wsuwając się w jej gorące wnętrze, tylko na cal. Przepełniał go zachwyt. – Weź mnie. Przyjmij mnie w siebie.

Wsuwał się w nią powoli, stopniowo coraz głębiej. Większość ciężaru ciała przerzucił na zdrową nogę, narzucił sobie cierpliwość, podczas gdy jej ciało dostosowywało się do jego ciała. Spojrzała na niego wielkimi, tak przejrzystymi oczami, że mógł w nich wyczytać każdą emocję. Widział niepokój, trwogę. Zrozumiałe, to był przecież jej pierwszy raz. Ale dostrzegł tam także zaufanie, silniejsze od strachu.

Które go głęboko poruszyło.

Z każdym, cudownym ruchem, który wprowadzał go trochę głębiej, dodawał jej otuchy słowami.

– Tak, kochana… Jesteś taka cudowna… Taka cudowna… O tak… Jeszcze troszkę…

Kiedy wszedł w nią w końcu, sapnęła boleśnie. Serce mu się ścisnęło. Za nic na świecie nie chciał sprawić jej bólu.

– Czy boli za bardzo?

Dzielnie zagryzła wargę, kiwając przecząco głową.

– Czy… – Jej ciało zacisnęło się wokół niego, mimowolnie jęknął z rozkoszy. – Czy dasz radę znieść, jeśli się poruszę?

– Czy to konieczne?

Walczył ze sobą, żeby się nie roześmiać.

– Tak myślę, kochana. Ja… muszę się poruszać albo zwariuję.

Wysunął się lekko, a potem wszedł jeszcze głębiej niż przedtem. Była taka ciepła i miękka, i taka ciasna. Balansował na łokciach, żeby jej nie przygnieść, poruszając ostrożnie biodrami. Przez jakiś czas, który ciągnął się jak wieczność, ograniczał się do najdelikatniejszych, ostrożnych ruchów. Potrzeba gwałtownego spełnienia huczała mu we krwi. Zwalczał ją

siłą woli. Zasługiwała na coś więcej, niż taką zwierzęcą chuć. Obdarzyła go czymś cennym i nie chciał, żeby tego żałowała. Ani dzisiaj. Ani za czterdzieści lat.

– Czy jest lepiej? – zapytał.

– Troszeczkę.

Troszeczkę. Troszeczkę to za mało. Z milczącym przekleństwem ułożył się na niej.

– Chcę, żeby ci było dobrze.

– Jest dobrze – szepnęła. Przesunęła ręce na jego plecy, jej piersi, miękkie i ciepłe, dopasowały się do jego ciała. – Podoba mi się. Lubię mieć cię tak blisko siebie.

– Ja też.

Kiedy wsuwał się w nią ponownie, jej biodra uniosły się na jego spotkanie. Zamruczała zachęcająco. Więc zrobił to jeszcze raz. I jeszcze.

– To… – Wygięła się znowu. – Och, Bram. Tak mi teraz dobrze.

Na Boga, było dobrze. Tak piekielnie dobrze. Rytm, to, jak jej ciało dopasowało się do niego i poruszało wraz z nim. To było prawdziwe zespolenie ciał, nigdy wcześniej czegoś takiego nie zaznał. Nigdy nie czuł, że może się tak zupełnie zagubić w kobiecie, a jednocześnie mieć wrażenie, że wrócił do domu.

Świat krył się gdzieś za tymi wierzbowymi gałęziami. Oceany, góry, lodowce, wydmy. Gdzieś tam, daleko, toczyły się wojny. Brama nie mogło to mniej obchodzić. Nie chciał być nigdzie indziej niż w tej kobiecie, zanurzyć się w niej najgłębiej, jak się dało. Nie miał innego celu, innego zadania w życiu, niż wypełnić ją, sprawić jej przyjemność i sprawić, że będzie jęczeć, sapać i krzyczeć.

Przy niej było jego miejsce.

Sięgnął w dół, podniósł jej nogę i położył sobie na biodrze; jej ciało otworzyło się jeszcze bardziej. Całowali się także głęboko. Nie śpieszył się, badając jej pyszne usta, zachwycając się tym, jak cudownie jest brać ją w ten sposób w posiadanie. Była wysoka, z innymi kobietami nie zawsze mógł się jednocześnie całować i kochać tak intensywnie. Ale Susanna pasowała do niego idealnie.

Jeśli ich pocałunki straciły na finezji, zyskały na namiętności. Wbiła paznokcie w jego ramiona, efekt był taki, jakby pszczoła ukąsiła byka na

pastwisku. Był w transie. Poruszał się teraz gorączkowo, przejęty tylko myślą, żeby sprawić jej rozkosz.

Musiała to poczuć. I to przed nim.

A to znaczyło, że to musiało nastąpić wkrótce.

Proszę, Susanno. Proszę.

Zamknęła oczy, odchylając głowę. Jej biała, łabędzia szyja wygięła się w elegancki, erotyczny łuk, pobłyskujący w ciemności jak rtęć. Tak pięknie, że zapierało mu dech w piersi.

– Boże, jaka jesteś piękna. Jesteś taka piękna.

Objęła go mocno i krzyknęła. Wysunął się w ostatniej chwili, rozlewając nasienie na jej słodki, okrągły brzuch – nie na swoją czy jej koszulę, jakby dżentelmenowi wypadało. Czuł prymitywną potrzebę, żeby ją naznaczyć.

Teraz jesteś moja.

Położył się koło niej, przytulając ją i oplatając rękami i nogami. Instynkt chronienia jej był tak przemożny, że wypierał wszystko inne. Przez chwilę nie był w stanie się odezwać.

– Dobrze się czujesz? – zdołał w końcu z siebie wydusić.

– Tak. – Wtuliła się w jego pierś, a on przyciągnął ją do siebie jeszcze mocniej. – Och, Bram, nigdy nie myślałam, że to może tak wyglądać.

Ani ja, miał ochotę powiedzieć. Ani ja.

Miał za sobą serię przygód i zawsze bawił się doskonale. Ale nigdy nie było tak jak teraz. Wydawało się niemożliwe, że w tak krótkim czasie stali się sobie tak bliscy. Ale tak się stało i za nic nie chciałby, żeby było inaczej. Pocałował ją we włosy, wciągając głęboko jej słodki, świeży zapach.

– Nie powinniśmy tego robić – powiedział głosem, w którym nie zabrzmiał żal, mimo że się starał.

– Wiem – odparła, nie wykazując cienia skruchy. – Ale cieszę się, że to zrobiliśmy. To było cudowne.

– To było więcej niż cudowne. To było… – Usiłował znaleźć odpowiednie słowo, ale bezskutecznie.

– Nie do opisania? – Usłyszał uśmiech w jej głosie. – Tak. Było.

Zamarł, słysząc nagły hałas. Gniewne okrzyki dobiegające ze sporej odległości… ale i tak zbyt bliskiej.

– Słyszałeś? – zapytała, ściskając go mocno.

Odskoczyli od siebie, kiedy rozległ się brzęk tłuczonego szkła.

Bram zerwał się pospiesznie na równe nogi i wyciągnął rękę, żeby pomóc jej wstać. Zaczęli zbierać ubranie bez dalszej dyskusji. Nie mogli sobie pozwolić na zignorowanie hałasu. Cokolwiek zaszło, z pewnością będzie wymagać interwencji któregoś z nich, albo obojga. Skończyło się romantyczne interludium. Wzywał obowiązek.

Bram zapiął bryczesy w mgnieniu oka. Zwrócił się do Susanny, żeby jej pomóc zapiąć suknię.

– Dam sobie radę. – Skinęła głową w kierunku nieznanego źródła zamieszania. – Idź pierwszy.

Posłuchał natychmiast, wybiegając spod wierzbowego baldachimu na skwer.

W uliczce między Mydłem i Powidłem a Pąsowym Bykiem, czy też Rozbuchanym Bratkiem, czy jak to się tam nazywało dzisiejszego wieczoru, zebrała się gromadka ludzi. Sądząc po tym, jak mężczyźni się popychali i poszturchiwali, musiało dojść do bójki.

Przepchnął się do środka, chcą przerwać walkę, zanim powstaną większe szkody – rany cielesne, zniszczenie własności czy spadek morale. Dążył, co prawda, do tego, żeby natchnąć ochotników bojowym duchem, ale nie tak, żeby ów duch siał spustoszenie we własnych szeregach.

Jednakże wewnątrz kręgu nie zastał żadnego ze swoich mężczyzn.

Dwaj chłopcy, Finn i Rufus, tarzali się po ziemi. Okładali się pięściami, używając także zębów i kolan. Wyglądało na to, że wylecieli wprost przez okno frontowe. Okruchy szkła zaścielały ziemię.

– Obrzydliwy krętacz! – wrzasnął jeden z braci. Ze skroni ciekła mu strużka krwi, nie sposób było stwierdzić, czy to Rufus, czy Finn.

– Ptasi móżdżek – warknął drugi, zmieniając pozycję i tłukąc drugiego pięścią w brzuch. – Jesteśmy bliźniakami, jeśli ja jestem krętacz, to ty też.

– To ty kłamiesz jak najęty.

Szkło trzeszczało pod ich przewalającymi się po ziemi ciałami. Bram uznał, że pora położyć temu kres. Wyciągnął rękę i szarpnął do góry bliźniaka – wciąż nie wiedział którego – który akurat znajdował się na wierzchu.

– Dosyć, wy dwaj. Co tu się dzieje?

– Rufus zaczął – sapnął jeden, wskazując brata ręką.

– Ha, ale to Finn jest winien – warknął drugi, ocierając krew z czoła.

Cóż, Bram wiedział przynajmniej, który jest który. Zwrócił się do Rufusa:

– Co się stało?

Rufus posłał bratu wściekłe spojrzenie.

– Okłamał pannę Charlotte, oto, co zrobił. Dwa razy z nią tańczył. Najpierw jako on sam. A potem jeszcze raz, twierdząc, że to ja.

Finn pociągnął go za ucho, uśmiechając się.

– Jest ci głupio, że sam na to nie wpadłeś.

– Stłukę cię na kwaśne jabłko, ty mały… – Rufus rzucił się na niego, ale Bram go powstrzymał.

– Spokój – powiedział. – Jeden i drugi.

Kiedy już trzymał obu chłopców za kołnierz, spojrzał na Charlotte Highwood, która wydawała się podniecona tak, jak byłaby każda czternastolatka, kiedy dwóch chłopców bije się o jej względy. Na pewno nie pomogłaby ich uspokoić. Tłum gapiów był wyraźnie rozbawiony.

Bram wiedział, że musi dać jasno do zrozumienia, że bójki nie będą tolerowane, nawet w wypadku niedorosłych chłopców czy braci.

– Słuchać teraz, wy obaj – zaczął, potrząsając obydwoma solidnie. – Takie zachowanie nie przystoi dwóm…

– Pomocy! Och, pomocy!

Wszyscy odwrócili się w stronę, skąd dobiegał przerażony kobiecy głos.

Damy zgromadziły się przy wejściu do herbaciarni, zamienionej na tawernę. Panna Diana Highwood, siedziała skulona na progu, z trudem łapiąc powietrze. Jej bladą cerę pokrywała wilgoć, palce zwinęła w niekształtne pięści.

– Znowu astma – powiedziała pani Highwood, machając rozpaczliwie rękami. – Och, Boże. Och, Boże. To się nie miało tutaj zdarzyć. Panna Finch obiecała, że Spindle Cove ją wyleczy.

Susanna stała już obok chorej dziewczyny, gładząc ją uspokajająco po ramieniu.

– Gdzie jej mikstura? Trzyma ją w torebce.

– Nie… nie wiem. Może być w środku albo w pensjonacie… – Charlotte zbladła. – Nie wiem.

– Poszukajcie w środku – zwróciła się Susanna do pana Fosbury. – Na stołach, podłodze, fortepianie. – Paru obecnym paniom poleciła: – Idźcie poszukać w pokojach pań Highwood w pensjonacie.

Kiedy ruszyły, spojrzała na Rufusa.

– Mam zapas w destylarni. Niebieska butelka, po prawej stronie na górnej półce. Biegnij z Finnem tak szybko, jak się da, do Summerfield i przynieście ją.

Bliźniacy kiwnęli głowami i pognali uliczką.

– Pozwól mi pójść – odezwał się Bram.

Pokręciła głową.

– Trzeba im dać zajęcie. – Zerknęła na kolano Brama. – I szybciej biegają.

Prawda. A Bram jest tylko okulałym, bezużytecznym klocem.

– Mam iść po doktora?

– Nie – odparła zdecydowanie. – Dostatecznie wielu doktorów się nią zajmowało. A na mile w okolicy i tak nie ma odpowiedniego lekarza.

Skinął głową i odsunął się. Niech to diabli. Nigdy nie uchyliłby się od bitwy. Zaryzykowałby bez wahania własne życie, gdyby mógł kogoś uratować. Ale teraz nie był w stanie w żaden sposób pomóc Susannie i nie mógł tego znieść. Jeśli nauczył się czegoś w ciągu ośmiu miesięcy rekonwalescencji, to tego, że źle znosi bezradność.

Ale Susanna panowała nad sytuacją. Poświęciła całą uwagę Dianie, przemawiając do niej cichym głosem i głaszcząc ją po plecach uspokajającymi, kolistymi ruchami.

– Odpręż się, kochana. Zachowaj spokój, a dasz sobie z tym radę.

– Jest. Mikstura. Jest tutaj. – Kowal z pobladłą twarzą wynurzył się z herbaciarni. Włożył maleńką buteleczkę w dłoń Susanny i natychmiast odstąpił do tyłu.

– Dziękuję. – Susanna pewnymi palcami odkręciła butelkę i nalała pełną zakrętkę ciemnego płynu. Spojrzała na Brama. – Przytrzymasz ją? Jeśli zadrży, lekarstwo może się rozlać.

– Oczywiście. – Wreszcie mógł coś zrobić. Ukląkł obok nieszczęsnej dziewczyny i otoczył jej szczupłe ciało ramionami. Czuł, jak się trzęsie.

– Nie bój się trzymać jej mocno – powiedziała Susanna. – Żeby tylko się nie ruszała. – Odchyliła głowę Diany do tyłu, tak że spoczęła na jego ramieniu, a potem wlała płyn między jej drżące, posiniałe wargi. – Połknij, kochana. To trudne, ale wiem, że jesteś w stanie to zrobić.

Panna Highwood skinęła nieznacznie głową i przełknęła z trudem. A potem zaczęła sapać na nowo.

– Co teraz? – zapytał Bram, patrząc na Susannę.

– Teraz czekamy.

Czekali w napiętym milczeniu, słuchając, jak panna Highwood walczy, żeby nabrać powietrza. Po paru minutach charkot przeszedł w delikatniejsze chrapanie, a jej policzki zabarwiły się leciutko na różowo. Niezależnie od tego, na jakie kpiny mogło go to później narazić, Bram zdecydował, że od tej chwili jego ulubionym kolorem jest różowy.

Kiedy atak Diany ustał, wszyscy odetchnęli z ulgą i wdzięcznością.

– Skończyło się – powiedziała Susanna do przyjaciółki. – Skończyło się. Oddychaj głęboko i powoli. Najgorsze masz za sobą.

Bram puścił młodą kobietę i przekazał ją opiece Susanny.

– Już w porządku, moja droga. – Susanna pogładziła wilgotne czoło Diany. – To już minęło. Wszystko dobrze. – Susanna podniosła wzrok i zbladła ze zgrozy. – Boże. Tylko popatrz, jak to wygląda.

Bram obserwował, jak rozgląda się powoli. Powiodła wzrokiem od bałaganu w herbaciarni do szkła na drodze i kobiety, drżącej w jej ramionach. Panna Highwood przeżyła tę przygodę, ale spokojna atmosfera Spindle Cove legła w gruzach.

Minerva Highwood przybiegła od strony Królowej Ruby. W mgnieniu oka znalazła się przy siostrze i wzięła ją za rękę.

– Och, Diano, tak mi przykro. Nigdy nie powinnam cię zostawiać w takim miejscu. Wiedziałam, że taniec to zły pomysł.

– To nie twoja wina, Minervo.

Minerva gwałtownie uniosła głowę.

– Och, wiem doskonale, czyja to wina. – Skupiła wzrok na jakimś odległym punkcie. – To wszystko przez ciebie.

Wszystkie, co do jednej, głowy w tłumie, zwróciły się ku Colinowi. Ale Bram czuł brzemię winy na sobie. Jasne, jego kuzyn odpowiadał za ten cały bałagan. Ale Bram odpowiadał za kuzyna.

Susanna też o tym wiedziała. Podczas gdy wszyscy inni sztyletowali Colina wzrokiem, jej wzrok spotkał się ze wzrokiem Brama. Jej spojrzenie nie mogło wyraźniej powiedzieć: Ostrzegałam cię, że tak będzie.

– Nigdy nie powinnyśmy zatrzymywać się w tej przeklętej wsi – zawodziła pani Highwood, przyciskając chusteczkę do ust. – Lordowie czy nie lordowie. Wiedziałam, że należało wybrać spa w Kent.

– Mamo, proszę. Porozmawiajmy o tym w środku. – Minerva ujęła matkę pod ramię.

Susanna pomogła ostrożnie Dianie się podnieść.

– Chodźcie, panie. Zaprowadźmy ją do pensjonatu, gdzie będzie mogła odpocząć.

– Czy możemy pomóc? – zapytał Bram, biorąc Dianę Highwood za łokieć.

– Nie, dziękuję, Wasza Lordowska Mość. – Susanna uśmiechnęła się smutno. – Ty i twoi przyjaciele zrobiliście dosyć na dzisiejszy wieczór.

– Poczekam na ciebie – szepnął. – Odprowadzę cię później do Summerfield.

Pokręciła głową.

– Proszę, nie.

– Chcę pomóc. Daj mi coś do roboty.

– Po prostu mnie zostaw. – Uciekła spojrzeniem w bok, widział, że jest świadoma tego, że wszyscy na nich patrzą. – Proszę.

Zostawić ją – taką przygnębioną i samotną – kłóciło się z jego głęboką potrzebą zapewnienia jej ochrony. Ale zapytał ją, co ma robić, a ona udzieliła odpowiedzi. Honor nakazywał mu posłuchać. Na razie.

Skinąwszy niechętnie głową, cofnął się. Młode damy zbiły się w gromadkę wokół Susanny i udały w stronę Królowej Ruby.

Zawiódł ją. Prosiła, żeby położył kres temu szaleństwu, a on odmówił. A teraz panna Highwood zachorowała, herbaciarnia wyglądała, jakby przeszedł przez nią huragan, a ona wystawiła swoją reputację i ukochaną społeczność na niebezpieczeństwo. Po wyznaniach ubiegłej nocy wiedział, ile to miejsce dla niej znaczyło, ile wysiłku i troski kosztował ją jego sukces.

Oddała swoje dziewictwo pod wierzbą. A on ją zawiódł. Niech to piekło pochłonie.

Jutro jakoś jej to wynagrodzi.

A dzisiaj jego kuzyn zapłaci za to, co zepsuł.

– Idźcie do domu, wszyscy – zwrócił się do kręcących się wokół mężczyzn. – Otrzeźwiejcie do rana i wracajcie tutaj o wschodzie słońca. Jutro nie będzie musztry, póki nie doprowadzimy tego miejsca do porządku.

Mężczyźni rozproszyli się, zostawiając go samego z Colinem.

Colin pokręcił głową, rozglądając się dookoła.

– Cóż, z pewnością odcisnąłem tutaj swoje piętno. Nie ma tawerny, sali balowej czy kobiety w Anglii, której bym nie zrujnował i nie marzył, żeby to robić dalej.

Bram patrzył na niego gniewnie, nie posiadając się z wściekłości.

– Myślisz, że to zabawne? Lokal Fosbury'ego jest w ruinie, a młoda dama o mało nie umarła dzisiaj wieczorem. W moich ramionach.

– Wiem, wiem. – Colin, rozżalony, przesunął rękami przez włosy. – To wcale nie jest zabawne. Ale skąd mogłem wiedzieć, że ona dostanie tego ataku? Musisz wiedzieć, że nigdy nie chciałem niczyjej krzywdy. Chcieliśmy się tylko trochę zabawić.

– Zabawić! – warknął Bram. – A zastanowiłeś się kiedyś, że damy może mają powód, że tak im zależy na spokoju w tej wiosce? Albo może, że misja, jaką mamy do spełnienia, jest ważniejsza niż nocna hulanka? – Colin nie odpowiadał. – Nie, oczywiście, że się nad tym nie zastanawiałeś. Nigdy nie liczysz się z innymi ludźmi, chyba że ktoś przeszkadza ci się zabawić.

– Proszę. Ty też nigdy nie bierzesz pod uwagę uczuć innych ludzi. Jesteśmy tylko przeszkodami na drodze do twojej wojskowej chwały. – Colin podniósł ręce. – Ja nawet nie chcę być w tej zapadłej dziurze, tym obrzydliwie urokliwym miejscu.

– Więc wyjedź. Znajdź jednego z tych swoich hulaszczych przyjaciół i żeruj na nim przez następnych parę miesięcy.

– Czy naprawdę myślisz, że to mi nie przychodzi do głowy, niemal co godzinę, odkąd tu przyjechaliśmy? Dobry Boże, jakbym nie mógł znaleźć lepszej kwatery niż ten koszmarny zamek.

– Więc dlaczego ciągle tu jesteś?

– Bo ty jesteś moim kuzynem, Bram!

Wobec tego, że ów fakt nie ulegał wątpliwości, ten wybuch raczej zaskoczył ich obu.

Colin zacisnął rękę w pięść.

– Jesteś moim najbliższym krewnym, po tym jak moi rodzice… Od dzieciństwa. A po śmierci twojego ojca, ja też jestem jedyną rodziną, jaką masz. Przez dziesięć lat prawie się do siebie nie odzywaliśmy. Pomyślałem, że może byłoby miło spróbować, jak to jest mieć tę rodzinę, która wydaje się tak wszystkich uszczęśliwiać. Głupota, najwyraźniej.

– Najwyraźniej.

Bram chodził wkoło, machając rękami w desperacji. Wspaniale. Dokładnie to, co chciał w tej chwili usłyszeć – że nie tylko zdradził sir Lewisa, pozbawił dziewictwa Susannę, przyczynił się do bałaganu we wsi, ale jeszcze w jakiś sposób zawiódł Colina. To dlatego musiał wrócić do regimentu. W wojsku była rutyna, musztra, rozkazy. Zawsze wiedział, co robić. Jeśli nigdy nie odzyska dowództwa, tak może wyglądać jego życie. Pasmo rozczarowań i porażek.

To wzbudziło w nim gniew.

Colin podrapał się za uchem.

– Pomyśl tylko, przez te wszystkie lata, kiedy dorastałem samotnie, sądziłem, że czegoś mi brakuje.

– Pewnie nauczyłeś się wtedy czegoś.

– Co my, każdy z nas, możemy wiedzieć o rodzinie?

– Coś o tym wiem – odparł Bram. – Wiem, że źle to rozgrywamy. Ja ciebie nie szanuję. Ty nie szanujesz mnie. Przez cały czas tylko skaczemy sobie do gardeł.

– Jesteś takim nadętym, zarozumiałym dupkiem. Jeśli byś mnie szanował, zwątpiłbym w twój zdrowy rozum. A co do braterskiej miłości… – Colin machnął gniewnie ręką w stronę, gdzie wcześniej bliźniacy Bright wzięli się za łby. – Wydaje się, że skakanie sobie do gardeł to powszechna praktyka.

– Cóż, w takim razie. – Bram chwycił lewą ręką Colina za koszulę. Prawą pięścią zamachnął się w stronę szczęki kuzyna. Nie włożył w cios całej siły, ale i tak uderzył dostatecznie mocno, żeby jego głowa odskoczyła w bok. – To za pannę Highwood. – Bez entuzjazmu grzmotnął kuzyna w żołądek. – A to za… zabawę.

Dyszał ciężko, trzymając kuzyna za kołnierz i czekając na odwet. W gruncie rzeczy tęsknił za nim. Bram wiedział, że razy mu się należą – za sir Lewisa, Susannę, za wszystko. Uderzenie przyniosłoby tylko ulgę.

Ale kuzyn nie zamierzał oddać mu nawet tej przysługi. Dotknął tylko językiem pękniętej wargi i powiedział:

– Rano wyjadę, Bram. Usunąłbym ci się z drogi wcześniej, ale nie podróżuję nocą.

– Nie, nie wyjedziesz. – Bram potrząsnął nim, trzymając go za ramiona.

Do diabła, co miał zrobić z tym człowiekiem? Jeśli wyjedzie, nic dobrego z tego nie wyniknie. Na dobre mu to nie wyjdzie. Młody

arystokrata, bez żadnych zobowiązań, wkrótce dziedzic znacznego majątku, nie miał żadnych hamulców. Od tragicznie młodego wieku brakowało mu przykładu ojca i zrozumienia ze strony matki.

Poczuł słodko-gorzki smak w ustach na myśl o tym, że zdaniem Susanny należałoby go pewnie przytulić do serca.

Cóż, Bram nie wiedział, w jaki sposób miałby kuzynowi zapewnić coś z tych rzeczy – w każdym razie nie z powagą na twarzy. Był jednak oficerem i doświadczenie nauczyło go, że obowiązek i dyscyplina mogą załatać niejedną dziurę w życiu mężczyzny.

Jako jedyny człowiek na świecie mógł zaofiarować Colinowi szansę, żeby sprostać oczekiwaniom, zamiast stoczyć się w dół.

– Nie wyjedziesz – oznajmił. – Ani teraz, ani jutro. – Puścił kuzyna i wskazał ręką scenę zniszczenia. – Ty to sprawiłeś i niech mnie diabli, jeśli tego nie naprawisz.

Spindle Cove rozpadało się w gruzy.

Kiedy Diana znalazła się bezpiecznie w łóżku w swoim pokoju, Susanna zeszła do salonu Królowej Ruby. Tam przekonała się, że jej świat ulega destrukcji. Skargi i żale rozlegały się w każdym kącie pokoju.

– O Boże. O Boże. – Piskliwy damski głos wznosił się ponad gorączkowym łopotem. Skrzydło mewy nie poruszałoby się szybciej niż ten wachlarz. – Czuję, że zbliża atak nerwowy.

– Nie mogę uwierzyć, że piłam whiskey – jęczała druga. – I tańczyłam z rybakiem. Jeśli mój wuj się dowie, ściągnie mnie natychmiast do domu i będzie wstyd.

– Może powinnam iść na górę. Zacząć się pakować.

A potem padła uwaga, która zmroziła krew w żyłach Susanny.

– Panno Finch, co się stało z pani suknią? Guziki są krzywo zapięte. I proszę spojrzeć na swoje włosy.

– Ja… – Susanna starała się za wszelką cenę zachować spokój. – Chyba za szybko się ubierałam.

– Ale w Summerfield tak nie było – zauważyła Violet Winterbottom. – I sądziłam, że zjawisz się tutaj na długo przede mną – musiałam długo odpoczywać – ale tak się nie stało. Czy spotkał cię jakiś wypadek na drodze?

– Coś w tym rodzaju. – Susanna opadła na najbliższe krzesło. Sumienie dokuczało jej nieznośnie. Kate Taylor spojrzała na nią przenikliwym, ciekawym wzrokiem. Potem Minerva.

Wszystkie zwróciły się w jej stronę, wszystkie damy w salonie. Przyglądały się. Zwracały uwagę na pewne szczegóły. A potem zaczęły się zastanawiać…

Była taka niemądra. To, co przeżyła z Bramem, było… nie do opisania i nie potrafiła się zmusić, żeby tego żałować. Ale robić to na wiejskim skwerze, gdzie w każdej chwili ktoś mógł na nich wpaść? Kiedy obok wybuchło pandemonium, zagrażające życiu młodej kobiety?

A panna Highwood nie była jedyną, której groziło niebezpieczeństwo. Kobiety takie, jak Kate i Minerva… Jeśli Spindle Cove straciłoby dobrą sławę, jaką miałyby szansę na rozwijanie swoich talentów i na to, żeby cieszyć się wolnością myśli?

– Susanno? – odezwała się cicho Kate, siadając obok i biorąc ją za rękę. – Czy jest coś, co chciałabyś nam powiedzieć? Cokolwiek?

Susanna ścisnęła dłoń przyjaciółki i powiodła wzrokiem po pokoju. Raczej nie należała do osób, które chowają urazę. Ale w tej krótkiej chwili jej uczucia wobec świata zbliżały się do nienawiści. Nienawidziła tych wszystkich inteligentnych, nieprzeciętnych kobiet, które zjawiły się tutaj, ponieważ pozwoliły sobie wmówić, że coś jest z nimi nie w porządku. Że muszą uciec od społeczeństwa, żeby być sobą. Nie mogłaby znieść, żeby jakiś domysł co do jej zachowania dzisiejszej nocy zniszczył ich spokojną przystań – przyjmując, że awantura w tawernie i tak wszystkiego nie zrujnowała.

A najtrudniej było jej znieść, że nie może siedzieć tutaj ze swoimi jedynymi przyjaciółkami i wyznać im, że właśnie silny, zmysłowy, cudownie czuły mężczyzna pozbawił ją dziewictwa. Że pod zmiętym ubraniem wciąż była rozpalona, wilgotna i… przyjemnie lepka na skutek jego zabiegów. Że się zmieniła wewnątrz, wciąż przejęta cudownością tego zdarzenia. Że rozkosz wciąż rozlewała się w jej ciele, a serce przepełniały emocje. I czy miały pojęcie, co mężczyzna może wyprawiać za pomocą języka?

To takie niewłaściwe, że świat zmuszał ją do milczenia. Ale Susanna już od dawna pogodziła się z faktem, że nie może w pojedynkę zmienić świata. W najlepszym wypadku mogła chronić maleńki kącik, który do niej należał.

Dzisiaj nawet w tym zawiodła.

– W drodze do wsi przewróciłam się i moja suknia na tym ucierpiała – powiedziała. – I to wszystko. – Wstała z krzesła. – Pójdę do domu odpocząć. Myślę, że powinnyście pójść za moim przykładem. Wiem, że wieczór był nietypowy, ale spodziewam się zobaczyć was wszystkie rano. Jest czwartek i mamy plan zajęć.

18

W poniedziałki spacerujemy po okolicy. We wtorki zażywamy morskich kąpieli. W środę znajdziesz nas w ogrodzie.

– A we czwartki… – powiedział głośno Bram – strzelają.

Oczywiście, że tak. Stał z Colinem na skraju równej, zielonej łąki niedaleko Summerfield. Obaj obserwowali, jak delikatne niczym kwiaty damy ze Spindle Cove, w rękawiczkach z koźlej skóry, ustawiły się w równiutkim szeregu, twarzą do odległych tarcz. Za kobietami stał długi, drewniany stół, na którym leżały łuki, strzały, pistolety, flinty. Niezły magazyn broni.

Susanna, na czele szeregu, obwieściła pierwszą rundę.

– Panie, łuki w górę. – Sama przyłożyła strzałę do cięciwy i odciągnęła ją do tyłu. – Na trzy. Raz… Dwa…

Świst.

Jak jedna, panie wypuściły strzały, które pomknęły wprost do celu.

Bram wyciągał szyję, żeby zobaczyć, jaki wynik osiągnęła Susanna. W sam środek, rzecz jasna. Nie był zaskoczony. W tym momencie nic nie mogło go zaskoczyć, jeśli chodzi o Susannę Finch. Gdyby mu powiedziała, że kieruje wyszkoloną siatką szpiegowską ze swojej sypialni, uwierzyłby.

Damy przeszły energicznie przez łąkę, żeby odzyskać strzały. Bram nie odrywał oczu od Susanny, sunącej eleganckim, pewnym krokiem. Wśród wysokiej trawy poruszała się jak afrykańska gazela, na długich nogach i z drapieżnym wdziękiem.

– Pistolety, proszę – powiedziała, kiedy wróciły na miejsce. Wymieniła łuk i strzałę na broń z jedną lufą.

Wszystkie damy w szeregu uniosły podobną broń, trzymając ją w wyciągniętej ręce, i mierzyły w środek swojej tarczy. Susanna

odbezpieczyła pistolet, pozostałe damy za nią. Chór pstryknięć Bram odczuł we własnym kręgosłupie.

– Ta scena jest dla mnie niesamowicie podniecająca – stwierdził Colin, jakby czytał w myślach Brama. – Czy to niewłaściwe?

– Jeżeli jest, to zapewniam cię, że będziesz miał w piekle towarzystwo.

Kuzyn parsknął rozbawiony.

– A myślałeś, że nic nas nie łączy.

Susanna ustawiła pistolet i wycelowała.

– Raz… Dwa…

Trzask.

Gładkie, dymiące dziurki pojawiły się na każdej z tarcz. Zgodnym ruchem dziewczęta opuściły pistolety i odłożyły je na bok. Bram gwizdnął cicho, podziwiając ich umiejętności strzeleckie.

– Teraz strzelby! – zawołała Susanna, przykładając własną do ramienia. – Raz… Dwa…

Huk.

I ponownie wszystkie kule trafiły w cel. Z jednej tarczy oderwały się kawałki papieru, zamiast stosowanej zazwyczaj bawełny i słomy. Jeden skrawek, niesiony wiatrem, wylądował na butach Brama.

– Co to? – zapytał Colin. – Schylił się, żeby go podnieść. – Strona z książki. Jakiejś pani Worthington?

Nazwisko zabrzmiało znajomo w uszach Brama, ale nie mógł sobie przypomnieć dlaczego.

Colin pokręcił głową.

– Nie mam pojęcia, dlaczego to miejsce nazywają Spinster Cove. Powinno się nazywać Delta Amazonek. Albo Zatoka Walkirii.

– Bez wątpienia. – Oto Bram pocił się, żeby zebrać miejscowych mężczyzn i wyszkolić ich na oddział bojowy. A tymczasem Susanna zorganizowała własną armię. I ni mniej, ni więcej, tylko damską armię.

Była, mówiąc wprost, najbardziej niezwykłą kobietą, jaką w życiu spotkał. Wielka szkoda, że tego ranka, wpatrując się w swoją tarczę, zapewne wyobrażała sobie na niej twarz Brama – jeśli nie jego dolne partie.

Zebrawszy się na odwagę, Bram ruszył naprzód, w przerwę w szeregu. Idąc wzdłuż linii kobiet strzelców, miał dojmujące wrażenie, że stanowi żywy cel. Susanna zauważyła go w końcu i zamarła.

Kiedy podszedł bliżej, podniosła dłonie w geście pokoju.

– Mówiłem, że zaryzykowałbym pluton egzekucyjny.

Susanny to nie rozbawiło.

– Co ty tutaj robisz?

– Patrzę. Podziwiam. – Zerknął w stronę kobiet. – Dobrze wyszkoliłaś swoje damy. Jestem pod wrażeniem. Ale nie zaskoczony.

Na jej szyję wypłynął rumieniec.

– Zawsze uważałam, że kobieta powinna umieć się bronić.

Sięgnęła po proch i lśniący, starannie wyczyszczony egzemplarz broni, z którą dzieliła nazwisko.

– Mężczyźni pracują od świtu, żeby przywrócić porządek w herbaciarni. – Skinął na kuzyna. – I przyprowadziłem Payne'a, żeby przeprosił. Jeśli się nie wywiąże jak trzeba, możesz go użyć jako tarczy strzelniczej.

Nie uśmiechnęła się.

– Na nieszczęście, bałagan w herbaciarni to nie największa szkoda, jaką wyrządzono. I to nie ja zasługuję na jego przeprosiny.

Zaniepokojony, powiódł wzrokiem po obecnych paniach.

– Czy panna Highwood nadal źle się czuje?

Nasypała miarkę prochu do pistoletu i włożyła kulę.

– Odwiedziłam ją dziś rano. Odpoczywa, ale nie wydaje się, żeby jej zdrowie ucierpiało na dłużej w związku z wczorajszym incydentem.

– Miło mi to słyszeć.

– Jednakże – odbezpieczyła broń – jej matka postanowiła zabrać swoje córki ze Spindle Cove. Widzisz, w Kent jest nowe spa. Słyszała, że dokonują cudów za pomocą pijawek i rtęci.

Susanna odwróciła się, wymierzyła do odległej tarczy i strzeliła. Z lufy wzniosło się pasemko dymu. Mógłby przysiąc, że z jej uszu także wydobył się dym.

Bram przeklął pod nosem.

– Wyślę do nich kuzyna. Podobno potrafi być niezwykle czarujący i przekonujący wobec dam.

– Szczerze mówiąc, mój panie, nie jestem pewna, co ma większą trucicielską moc. Czar twojego kuzyna czy rtęć. – Opuściła broń i zniżyła głos. – Pani Highwood już prawie pakuje kufry. Panna Winterbottom i pani Lange też mówią o wyjeździe. Jeśli one wyjadą, reszta z pewnością pójdzie w ich ślady. Jeśli jakieś plotki rozniosą się w towarzystwie, Spindle Cove straci reputację bezpiecznego miejsca. Wszystkie rodziny wezwą

dziewczęta i ich opiekunki do domu. Wszystko się skończy. I dlaczego? Ten bezsensowny oddział jest skazany na klęskę. Mężczyźni są beznadziejni.

Pal licho broń i tuzin przyglądających im się pań. Bram tęsknił za tym, żeby wziąć ją w ramiona i przytulić równie mocno jak pod wierzbą.

– Susanno, spójrz na mnie.

Poczekał, aż jasne, błękitne jak irysy oczy spojrzały na niego.

– Naprawię to – powiedział. – Wiem, że cię zawiodłem zeszłej nocy, ale to się już nie zdarzy. Kuzyn i ja przekonamy damy, że mogą bezpiecznie zostać. Aż do letniego jarmarku będę trzymać swoich ludzi silną ręką i z daleka od ciebie. I w jakiś sposób w ciągu następnych dwóch tygodni zrobię z nich elitarny oddział ochotników, żeby wywrzeć dobre wrażenie na gościach twojego ojca.

Mruknęła niedowierzająco.

– Zrobię to – zapewnił. – Bo taki jest obowiązek oficera. Zrobić ze zbieraniny łapserdaków prawdziwych żołnierzy i wyszkolić ich, tak żeby byli gotowi, kiedy tylko okażą się potrzebni. Tym się zajmuję, jestem w tym dobry.

Odetchnęła.

– Wiem. Nie wątpię, że jesteś świetnym dowódcą, kiedy nie masz do czynienia z ciasteczkami do herbaty, poezją i uzbrojonymi w maczugę uczonymi pannicami.

– Nie mogłem się skupić. Ale to ma związek z tobą, panno Finch.

Jej wargi wygięły się nieco. Maleńki haczyk uśmiechu, na który natychmiast złapało się jego serce.

Uśmiech po chwili zbladł, Susanna odwróciła się i popatrzyła w dal, w kierunku wsi. Plecy miała proste, ramiona dumnie odchylone do tyłu. Ale lekkie drżenie dolnej wargi i gęsia skórka na krągłym ramieniu zdradzały strach. Czuła się odpowiedzialna za to miejsce i bała się.

Nie mógł pozwolić, żeby tak się czuła. Nie wtedy, kiedy miał doskonałą okazję i jak najbardziej szlachetne powody, żeby jej troski uczynić swoimi. Żeby uczynić swoją Susanną. Teraz, tego ranka. Myślał o tej możliwości całą noc, ale teraz decyzja po prostu zapadła. Jasna i oczywista jak dźwięk odbezpieczanego pistoletu.

– Nie martw się. O nic. – Cofnął się, kierując w stronę domu. – Zostawiam kuzyna, żeby się ukorzył przed twoimi damami. Rzuć go na

kolana, jeśli chcesz. Chcę porozmawiać z twoim ojcem.

– Poczekaj. Obiecałeś nie wciągać w to mojego ojca. Dałeś mi słowo.

– Och, nie martw się. – Odwrócił się. – Nie będę z nim rozmawiać o oddziale. To ściśle dotyczy mnie i ciebie.

Susanna patrzyła za nim, jak szedł ku domowi, zastanawiając się, czy dobrze go zrozumiała. Czy powiedział przed chwilą, że chce rozmawiać z jej ojcem? O nich dwojgu?

To brzmiało tak, jakby…

– A niech to.

Uniosła spódnicę i puściła się biegiem.

Zrównała się z nim, kiedy dochodził do bocznego wejścia.

– O co ci chodzi – wykrztusiła, sapiąc – kiedy mówisz, że chcesz porozmawiać z moim ojcem? O nas? Chyba nie masz na myśli…

– Oczywiście, że tak.

Lokaj otworzył drzwi i Bram wszedł do środka, zostawiając ją na progu bez dalszych wyjaśnień. Co za denerwujący, tajemniczy mężczyzna.

– Poczekaj chwilę! – zawołała, goniąc go korytarzem. – Czy myślisz o – zniżyła głos do oburzonego szeptu – małżeństwie? A jeśli tak, to czy nie powinieneś najpierw porozmawiać ze mną?

– To, co zrobiliśmy zeszłej nocy, powoduje, że ta rozmowa jest raczej zbędna, nie sądzisz?

– Nie. Nie, nie zgadzam się. – Panika pozbawiała ją tchu. Chwyciła go za ramię, nie dając mu iść dalej. – Zamierzasz powiedzieć mojemu ojcu. O zeszłej nocy.

– Nie dokładnie tak. Ale kiedy tak nagle poproszę o twoją rękę, założę się, że domyśli się powodu.

– Właśnie. Ale jeśli mój ojciec się domyśli, wszyscy inni też. Wszystkie damy. Cała wieś. Bram, nie możesz tego zrobić.

– Susanno, ja muszę. – Zielone oczy patrzyły na nią z powagą. – To jedyne przyzwoite wyjście.

Podniosła ręce.

– Od kiedy obchodzi cię przyzwoite zachowanie?

Nie odpowiedział, tylko odwrócił się i poszedł dalej. Tym razem nie zatrzymał się, póki nie skręcił w tylny korytarz i stanął przed drzwiami pracowni jej ojca.

– Sir Lewisie? – Zapukał we framugę.

– Nie teraz – odparł ojciec nieprzytomnym głosem.

– Pracuje – szepnęła Susanna. – Nikt nie może mu przeszkadzać, kiedy pracuje.

Bram tylko podniósł głos.

– Sir Lewisie, tu Bramwell. Muszę z panem porozmawiać w pilnej sprawie.

Dobry Boże. Susanna musiała szybko wbić mu do głowy trochę rozumu.

Ojciec westchnął.

– Dobrze zatem. Idź do biblioteki. Przyjdę tam za chwilę.

– Dziękuję.

Bram odwrócił się na pięcie bez dalszych komentarzy i ruszył w stronę biblioteki sir Lewisa. Susanna, osłupiała, pozostała chwilę na miejscu, zastanawiając się, czy lepiej starać się przekonać Brama, czy odciągnąć uwagę ojca. A może powinna pobiec na górę, spakować walizę i udać się w jakieś nieoznaczone na mapie czy nieznane jej miejsce. Słyszała, że w tej porze roku jest bardzo pięknie na wyspach Sandwich.

Pomysł był kuszący, ale postanowiła jednak spróbować szczęścia w bibliotece. Bram, niczym skała, stał ponury pośrodku pokoju egipskiego – z miną człowieka, który czeka na własny pogrzeb.

– Dlaczego to robisz? – zapytała, zamykając drzwi. Najwyraźniej nie dlatego, że miał ochotę.

– Ponieważ tak nakazuje honor. To jedyne, co mogę zrobić. – Westchnął krótko. – Nie powinienem robić tego, co zrobiłem wczoraj, jeśli nie byłem gotów zrobić tego, co chcę zrobić dzisiaj.

– Ale czy ja się zupełnie nie liczę w tej kwestii? Czy nie obchodzą cię moje uczucia?

– Obchodzisz mnie głęboko ty i twoje uczucia. O to właśnie chodzi. Jesteś dobrze urodzoną kobietą, a ja zeszłej nocy odebrałem ci cnotę.

– Nie odebrałeś. Dałam ci ją! Z własnej woli i bez żadnych oczekiwań.

Pokręcił głową.

– Słuchaj, wiem, że przejęłaś się nowomodnymi ideami. Ale ja mam bardziej tradycyjne poglądy na małżeństwo. Albo średniowieczne, jak lubisz powtarzać. Jeśli mężczyzna pozbawia dziewczynę z dobrego domu dziewictwa na placu publicznym, powinien ją poślubić. Koniec historii.

Koniec historii. Na tym polega problem, czyż nie? Nie wpadałaby w panikę na myśl o tym, żeby wyjść za niego za mąż – w istocie, na myśl o tym mogłoby jej się zakręcić w głowie ze szczęścia – jeśli traktowałby ich ślub jak początek historii. Historii, która obejmowałaby miłość, dom i rodzinę i kończyła słowami: „szczęśliwi na wieki wieków”.

Ale tak nie było, co do czego jego następne słowa nie zostawiały wątpliwości.

– Zobaczysz, to będzie dla ciebie korzystne. Pobierzemy się, zanim wyruszę na wojnę, a wtedy będziesz mogła robić, co ci się podoba. Będziesz lady Rycliff. Możesz kontynuować swoją pracę, ale jako hrabina. To może tylko wpłynąć korzystnie na reputację wsi. – Po czym dodał, zwracając się do suszki na biurku: – Mam pieniądze. Dużo. Niczego ci nie zabraknie.

– Jakie to praktyczne – szepnęła. Minęło wiele lat, odkąd Susanna śniła ostatnio o oświadczynach, ale z pewnością żadna z propozycji małżeństwa w jej wyobraźni nie przypominała tej.

Stanęła na linii jego wzroku, zajmując pozycję przed biurkiem ojca. Położyła dłonie na rzeźbionym brzegu i podciągnęła się, tak że usiadła na blacie z nogami wiszącymi w powietrzu.

– Nie brakuje mi pieniędzy. Ani wpływów w tutejszej społeczności. Jeśli spróbujesz wprowadzić ten głupi plan w życie, to może się okazać, że tobie czegoś brakuje – bicia serca. – Podniosła ręce na wysokość ramion. – W każdym pomieszczeniu w tym domu jest pełno morderczej broni. Musisz sobie uświadomić, że istnieją duże szanse, że mój ojciec cię zabije.

O ile najpierw sam nie padnie na apopleksję.

Wzruszył ramionami.

– Na jego miejscu też chciałbym siebie zabić.

– Nawet jeśli tego nie zrobi – ciągnęła – może cię zrujnować. – Pozbawić wszystkich honorów i odznaczeń. Zdegradować do najniższego stopnia.

Nie odpowiedział natychmiast. Aha. A zatem ten argument wywarł pewne wrażenie.

– Pomyśl o swoim patencie, Bram. I, proszę, przestań być taki wściekle rycerski albo… – Machnęła gwałtownie ręką w stronę alabastrowego sarkofagu. – Albo wsadzę cię do tej trumny i zatrzasnę wieko.

Zmarszczył czoło.

– Wiesz, kiedy tak mówisz, to tylko powodujesz, że pragnę cię jeszcze bardziej.

Zrobił krok do przodu, podchodząc bliżej. Zbyt blisko.

– To nie tylko rycerskość. – Mówił niskim, zmysłowym głosem. Musnął ręką jej łydkę i pożądanie rozlało się w jej ciele jak ogień. – Wiedz o tym. To, co zrobiliśmy zeszłej nocy? Chcę to zrobić jeszcze raz. I jeszcze raz. I jeszcze. Brutalnie i szybko. Powoli i czule. I w każdy sposób pomiędzy.

Mimowolnie westchnęła. Te słowa wystarczyły, żeby zrobiło jej się gorąco, a na twarz wystąpił rumieniec. Jaka była głupia, sądząc, że jeśli raz zazna namiętności, wystarczy jej to na całe życie. Będzie tęsknić za tym człowiekiem do ostatniego tchu.

Pochylił się, żeby ją pocałować, ale położyła mu rękę na piersi, utrzymując pewien dystans między nimi, ale także nie tracąc bliskości. Cieszyła się dotykiem jego silnego, męskiego ciała.

– Bram – powiedziała – żądza to nie jest dobry powód, żeby się żenić.

Zastanowił się chwilę.

– Myślę, że większość ludzi żeni się z tego powodu.

– My nie jesteśmy większość ludzi. – Zmarszczyła brwi, szukając słów, żeby mu to jak najlepiej wytłumaczyć. – Może to głupie, mówić to teraz, po tym, co się zdarzyło między nami, ale… lubię cię.

Kiwnął głową, zaskoczony.

– Lubisz… mnie.

– Tak jest. Polubiłam cię. Bardzo, bardzo. I szanuję twoje oddanie pracy. Bo ja czuję to samo. Nie chciałabym, żebyś zniszczył swoją karierę i reputację. I mam nadzieję, że nie chciałbyś, żebym ja zniszczyła swoją. Ale to może spotkać nas oboje, jeśli będziesz się upierać, żeby odbyć dzisiaj tę rozmowę z moim ojcem.

Wyprostował się, pocierając kark.

– Muszę poprosić o twoją rękę. Muszę to zrobić albo nie będę w stanie żyć sam ze sobą.

– Zrobiłeś to. – Przechyliła głowę i machnęła dłonią. – W pewien sposób, bez uczuciowych deklaracji i stawiania pytań, zaofiarowałeś gotowość, żeby mnie pośpiesznie poślubić, kochać się ze mną z zapałem, a potem zostawić samą, żebym się zmierzyła z plotkami i skandalem, a ty sam mógł z czystym sumieniem ustawić się na drodze kolejnej kuli. Przyjmij, proszę, moją uprzejmą odmowę. Wasza Lordowska Mość.

Pokręcił głową.

– To oszustwo, Susanno. Nie mogę znieść kłamstw. Twój ojciec wiele dla mnie zrobił. Zasługuje przynajmniej na moją uczciwość.

– Halo, halo. Co tu się dzieje?

Ojciec Susanny stał w progu, wciąż ubrany w roboczy fartuch.

Susanna uśmiechnęła się, wyprostowała i zaszczebiotała radośnie:

– Och, nic takiego. Lorda Rycliffa i mnie łączy tajemny, skandaliczny romans.

Starszy człowiek zamarł.

Susanna trwała z przyklejonym na twarzy uśmiechem.

I w końcu, z taką samą namacalną ulgą – rozładowaniem napięcia – jaką się wyczuwa w powietrzu, kiedy zrywa się burza, papa wybuchnął w końcu kpiącym śmiechem.

– No, proszę – szepnęła, przeciskając się obok zaskoczonego Brama po zeskoczeniu z biurka. – Koniec kłamstw.

Popukała się znacząco w brodę. Zrozumiawszy wskazówkę, zamknął usta. Rzucił jej groźne spojrzenie, w którym był i podziw, i gniew.

Wycierając ręce w fartuch, wciąż chichocząc, papa powiedział:

– Zastanawiałem się, dlaczego zeszłego wieczoru zostałem sam na kolacji. Rycliff ma szczęście, że dotarła do mnie wieść o tej awanturze we wsi. Inaczej mógłbym dziś rano wypróbować na nim nowy zamek w strzelbie. – Podszedł do barku i odkorkował karafkę z whiskey. – Cóż, Bram? Wyrzuć to z siebie. Tylko krótko.

– Oczywiście – odparł Bram. – Sir Lewisie, przyszedłem, żeby porozmawiać w poważnej sprawie. To dotyczy panny Finch. I mojej propozycji.

Żołądek podszedł jej do gardła. Jeszcze? Jeszcze się przy tym upierał? Och, był taki koszmarnie honorowy i dobry.

– Jakiej propozycji? – zapytał ojciec.

Bram odchrząknął.

– Och, zwyczajnej. Widzi pan, zeszłej nocy… ja i panna Finch…

– Rozmawialiśmy – wtrąciła Susanna – o paradzie oddziału ochotników.

– Och, tak? – Papa odwrócił się i podał Bramowi kieliszek whiskey.

Bram podniósł go do ust, pociągnął łyk – potem widocznie rozmyślił się co do stopniowego opróżniania jego zawartości i wlał sobie do gardła resztę.

– Jak panu wiadomo, odwołano nas z jadalni z powodu zamieszania we wsi. Ale kiedy tam dotarliśmy, to jakoś… – Bram znowu odchrząknął. – Sir Lewisie, zaangażowaliśmy się w…

– Ożywioną dyskusję – dokończyła Susanna. – Wymienialiśmy pomysły – rzuciła przelotne spojrzenie na Brama. – Z niezwykłą pasją.

– O czym to? – Sir Lewis zmarszczył brwi, podnosząc kieliszek.

– O seksie.

Bram, niech go diabli, po prostu wtrącił to słowo do dyskusji. Było śmiałe, brutalne i na jej nieszczęście, nie dało się nad nim przejść do porządku. W napiętej ciszy, jaka nastąpiła, spojrzał na nią z ukosa, jakby pytając: No i co teraz?

Podniosła brodę.

– Tak. Tak właśnie. Seks. Płeć męska i żeńska. W naszej wsi. Widzisz, papo, ćwiczenia oddziału zakłócają wypoczynkową atmosferę, którą cieszyły się moje damy. Wydaje się, że potrzeby mężczyzn i kobiet we wsi pozostają w sprzeczności i razem z lordem Rycliffem wymieniliśmy parę raczej gorących zdań.

– Och, tak – stwierdził sucho. – Obawiam się, że dosyć energicznie obracałem językiem.

Susanna zatrzęsła się od nagłego ataku kaszlu.

– Jednakże – ciągnął Bram – po tej dyskusji przenieśliśmy się na skwer. I tam właśnie połączyliśmy…

– Siły. – Susanna niemal wykrzyczała to słowo, które wróciło do niej, odbiwszy się echem od starożytnego sarkofagu.

Jej ojciec zamrugał gwałtownie.

– Siły.

– Tak. – Przesunęła wilgotnymi dłońmi po spódnicy. – Postanowiliśmy zapomnieć o dzielących nas różnicach i pracować razem dla wspólnego dobra.

Zerknęła w stronę Brama. Stał oparty dłonią o kolumnę w kształcie zwoju papirusu, machnął wspaniałomyślnym gestem pustym kieliszkiem.

– Och, mów dalej. Powiedz wszystko. Ja dołożę swoje na końcu.

Wymienili spojrzenia zarazem wyzywające i rozbawione. To musi być niewłaściwe – bardzo niewłaściwe, w gruncie rzeczy – że ta rozmowa, które niesie poważne niebezpieczeństwo, tak ich bawi.

– Rozumiem – powiedziała, usiłując przybrać poważny ton – że przegląd oddziału ochotników to ważne wydarzenie. Ważne dla ciebie, papo – zwróciła się do ojca. – A także dla lorda Rycliffa. Ale jeśli wolno mi powiedzieć… wiem, jak trudno lordowi Rycliffowi to przyznać… perspektywa nie rysuje się obiecująco. Mówiąc otwarcie, rekruci są beznadziejni. Przegląd może okazać się katastrofą i wprawić nas wszystkich w zakłopotanie.

– Chwileczkę – odezwał się Rycliff, odsuwając się od kolumny. – To przedwczesne. Minęło dopiero parę dni. Wyszkolę tych mężczyzn na…

Susanna podniosła dłoń.

– Powiedziałeś, że mogę przestawić swój punkt widzenia. – Zwracając się ponownie do ojca, mówiła dalej:

– A jednocześnie damy w Królowej Ruby, papo, coraz bardziej się niepokoją. Ćwiczenia oddziału zakłóciły naszą rutynę i straciłyśmy ważne wydarzenie lata – jarmark, do którego zawsze się przygotowywałyśmy. Niektóre myślą o wyjeździe ze Spindle Cove, co na swój sposób, chociaż inny, także okazałoby się katastrofalne.

Wciągnęła powietrze.

– Tak więc lord Rycliff i ja postanowiliśmy połączyć siły i pracować razem, żeby chronić to, co jest nam obojgu drogie. Szkolenie oddziału i wszystkie przygotowania staną się wspólnym zadaniem wszystkich mieszkańców wsi. Mężczyzn i kobiet. Jest tyle do zrobienia, a lord Rycliff przyznał, że nie dokona tego bez mojej pomocy. – Zerknęła na Brama spod oka. – Ale razem możemy stworzyć coś, z czego będziesz dumny. Co o tym myślisz, papo?

Jej ojciec westchnął.

– To wszystko brzmi niezwykle logicznie. A także jest zupełnie niewarte tej pośpiesznej konferencji, która przerwała mi pracę.

– Jest coś jeszcze – oznajmił Bram. – Pytanie, które wymaga pańskiej odpowiedzi.

Susanna przełknęła głośno.

– Czy możemy urządzić bal?

– Bal? – zawołali chórem Bram i sir Lewis.

– Tak, bal – wyrzuciła z siebie bez namysłu, ale po chwili spokojnej refleksji uznała, że pomysł jest doskonały. – To propozycja. Chcielibyśmy go wydać tutaj, w Summerfield. Bal oficerski, zaraz po przeglądzie

oddziału. Wiem, papo, że zaprosisz na tę okazję znaczących gości. Bal to świetny sposób, żeby ich uczcić i zapewnić im rozrywkę. Posłuży także jako nagroda dla ochotników za ich ciężką pracę. A młode damy będą miały na co czekać. Powód, żeby zostać. To znakomity pomysł.

– Świetnie, Susanno. Możesz mieć swój bal. – Ojciec odstawił kieliszek na biurko.

A potem w jego zachowaniu nastąpiła jakaś zmiana. Omiótł nieobecnym wzrokiem suszkę na biurku, jakby zakłóciła tok jego myśli. A Susanna poczuła, jak nadchodzi, bez ostrzeżenia, jedna z tych okropnych, przerażających chwil, kiedy znika filtr córczynej miłości i nagle zamiast swojego ukochanego papy, charyzmatycznego, ekscentrycznego bohatera jej dzieciństwa patrzy na obcego człowieka, który nazywa się Lewis Finch. I ten człowiek wydawał się taki stary i zmęczony.

Przetarł oczy.

– Wiem, że cała ta sprawa z oddziałem ochotników może się pozornie wydawać niepoważna. Ale wiele od tego zależy, w taki czy inny sposób. Cieszę się, że oboje pracujecie, żeby zapewnić sukces tego przedsięwzięcia. Dziękuję wam. A teraz wybaczcie.

Zniknął, wychodząc bocznymi drzwiami.

Bram spojrzał na nią z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

– Nie mogę uwierzyć, że to zrobiłaś.

– Nie możesz uwierzyć, że zrobiłam co? Uratowałam twoje życie i karierę? Wydaje się, że nie odróżniasz jednego od drugiego.

Zapatrzył się na widok za oknem.

– Susanno, właśnie dałaś mu powód, żeby we mnie zwątpił. Przydzielił mi zadanie, a ty go przekonałaś, że nie jestem w stanie go wykonać.

Skrzywiła się. Jak to jest, że mężczyźni mogą być tacy wielcy i silni i mieć taką łatwą do zranienia dumę?

– Powiedziałam mu, że nie możesz zrobić tego sam. To żaden wstyd. – Stanęła obok niego. Chciała go objąć, ale zmieniła zdanie i skrzyżowała ramiona. – Jak zauważył mój ojciec, stawka jest wysoka. Wiem, co to znaczy dla ciebie, naprawdę. Musisz się wykazać po tym, jak zostałeś ranny, i to twoja jedyna szansa.

Na jego twarzy pojawił się błysk niechęci, jak odruch poruszenia kolanem przy uderzeniu.

– Tak.

Tak bardzo chciała go objąć. Być może, kiedy sprawa oddziału zakończy się sukcesem, a on udowodni, ile jest wart, poświęci uwagę innym potrzebom, do których tak niełatwo mu się przyznać. Jak ta wyczuwalna potrzeba bliskości i uczucia. Albo oczywista, niewypowiedziana potrzeba posiadania domu. Może nawet zmieni zdanie i zdecyduje się zostać. Wiedziała jednak, że nie będzie o tym myślał, póki nie poczuje się znowu silny i zdrowy, zdolny panować nad sobą i innymi.

– A więc pozwól sobie pomóc. – Susanna mówiła szczerze. – Dla twojego i mojego ojca dobra chcę, żeby się wam powiodło. Ale musimy pogodzić się z faktami. Masz trochę więcej niż dwa tygodnie, żeby tych ludzi umundurować, wymusztrować, wyszkolić do perfekcji. Już nie wspominając o przygotowaniach do samej parady. Jest tyle pracy do wykonania. Znam tę wieś na wylot. Nie możesz tego zrobić beze mnie.

Przeczesał włosy palcami.

– Teraz, kiedy dorzuciłaś do tego jeszcze bal dla oficerów, chyba nie mogę.

– To mi dopiero teraz przyszło do głowy – przyznała. – Ale to dobry pomysł. Jeśli cokolwiek jest w stanie zachęcić panią Highwood i inne do pozostania, to właśnie perspektywa balu. Wszyscy muszą pracować razem, mężczyźni i kobiety. Jeśli oboje nie chcemy, żeby nasze marzenia się rozwiały, musimy ten dzień uczynić wielkim sukcesem.

– Coś mi mówi, że panna Finch ma plan.

– Nie plan – odparła z lekkim uśmiechem. – Rutynę. Jak wiesz, w poniedziałki spacerujemy. We wtorki kąpiemy się w morzu. W środy jesteśmy w ogrodzie, w czwartki strzelamy. W piątki zawsze wspinałyśmy się do zamku. Robiłyśmy piknik, rysowałyśmy, odgrywałyśmy jakieś scenki. A czasami po prostu snułyśmy różne plany.

– Cóż, nie możemy zakłócać rutyny pań, nieprawdaż? Sprowadź je tam. To będzie dla moich ludzi dobra okazja, żeby załagodzić stosunki po wczorajszym zamieszaniu.

– Będziemy razem snuć plany, Bram. Zobaczysz, to nam wszystkim wyjdzie na dobre.

Spojrzała na niego, podnosząc głowę Taki był przystojny i silny. Do wszystkich pierwszych razów, jakie jej zapewnił, doszła teraz pierwsza propozycja małżeństwa. Wymuszona i pozbawiona romantyzmu, ale zawsze. To było dla niej cenne i chciała mu jakoś odpłacić.

W nagłym odruchu pochyliła się i pocałowała go w policzek.

– Dziękuję. Za wszystko.

Chwycił ją za łokieć, nie pozwalając się odsunąć.

– A co z nami? – Słowa parzyły ją w ucho. – Jak się sprawy mają między nami?

– Cóż, nadal… nadal cię lubię. – Serce tłukło jej się w piersi, ale starała się mówić lekkim tonem. – A ty mnie lubisz?

Parę chwil minęło w ciszy. Mogłaby je mierzyć uderzeniami serca, ale jej oszalałe serce przestało być godnym zaufania czasomierzem. Uderzało trzy razy w pośpiechu, a potem milkło.

Kiedy już wpadała w rozpacz, odwrócił się i porwał w namiętnym pocałunku. Objął ją ramionami, zaciskając dłonie w pięści w materiale jej sukni, podniósł i przycisnął do piersi. Tak żeby przypomniała sobie każdy cal jego ciała, każdą sekundę tego cudownego czasu, kiedy się kochali. Znajomy ból powrócił – to słodkie ukłucie pożądania, które pogłębiło się tylko, kiedy wsunął język w jej usta. W ciągu paru sekund sprawił, że dyszała, pragnąc tylko bliskości jego ciała. Potem postawił ją z powrotem na podłodze. Przycisnął czoło do jej czoła i westchnął głęboko. Zanim odwrócił się, żeby odejść, wypowiedział tylko jedno słowo:

– Nie.

19

Bram nie lubił Susanny Finch. Tego akurat był pewien.

„Lubić” to… słowny odpowiednik budyniu. Dość przyjemny, słodkomdły. Zawsze na stole. Nie coś, czego mężczyzna by odmówił, ale też nie poprosiłby o dokładkę. Słowo „lubić” nie przekazywało niewypowiedzianego związku podobnych umysłów czy obsesji na tle piegów. Z pewnością nie oddawało tej dzikiej, bezrozumnej żądzy, która kazała mu pozbawić dziewczynę dziewictwa na wiejskim skwerze.

Nie, nie „lubił” jej. Poza tym Bram nie był w stanie opisać własnych uczuć. Przyklejanie uczuciom etykietek to był konik Susanny, nie jego.

W tej chwili była zajęta.

– Pani Lange pięknie pisze – szepnęła, skrzypiąc piórem po papierze. – Będzie wypisywać zaproszenia.

Zjawiła się w zamku na długo przed innymi dziewczętami. Dzisiaj umówili się na spotkanie na szczycie wieży południowo-zachodniej zamku Rycliff. Siedzieli tam na przenośnych stołeczkach od paru godzin, rozdzielając zadania na następne dwa tygodnie; za ich plecami mewy szybowały na tle lśniącego nieba barwy akwamaryny.

Cóż, ona rozdzielała zadania, Bram głównie się w nią wpatrywał, od czasu do czasu popijając whiskey i usiłując dojść do ładu z natłokiem uczuć.

– Naszywkami zajmie się Charlotte. A także… przygotowywaniem… porcji prochu – mówiła, pisząc jednocześnie na dole bardzo długiej listy. Uparcie nie odrywała wzroku od kartki papieru.

A on nie odrywał wzroku od niej. Fascynowała go. Już kiedy zaczynało mu się wydawać, że zna Susannę Finch, poranne światło ukazywało ją jeszcze inaczej. W każdej godzinie – a może nawet każdej minucie – odkrywał kolejną odsłonę jej urody. Każde przechylenie głowy dawało

nowy stop złota i miedzi. A teraz – w tej sekundzie – smuga słonecznego blasku przesunęła się po jej ramieniu, dzięki czemu mógł zauważyć, jak delikatna i biała jest skóra na jej dekolcie… niemal przezroczysta.

A niech to diabli. To wszystko sprawiało, że zaszedł daleko poza „lubić”, mijając w szalonym tempie „mieć słabość” i dochodząc na skraj absurdu.

Zdawał sobie sprawę, że jej zastrzeżenia wobec małżeństwa są logiczne. Zbudowała swoje życie i życie wsi jako szczęśliwa stara panna, osoba wolna, a wymagania jego kariery wojskowej nie pozwalały mu się ożenić. Pośpieszny ślub mógłby przynieść gorzki żal sir Lewisowi, skandal Susannie, a Bramowi Bóg wie co. Ale pomimo wszystko zamierzał się z nią ożenić. Ponieważ, kiedy na nią patrzył, przychodziło mu do głowy tylko jedno słowo. Nie jakieś szczególnie eleganckie czy poetyckie słowo, w stylu „lubić”. Ale słowo, które mówiło wszystko.

Moja.

Niezależnie od tego, ile to by go miało kosztować, musi uczynić ją swoją.

– No – powiedziała. – Myślę, że to wszystko. – Lista zsunęła jej się na kolana. – To mnóstwo pracy. Ale sądzę, że się z tym uporamy.

– Wiem, że tak. – Wziął od niej listę i przeczytał. Była akurat tak dokładna i starannie przemyślana, jak się spodziewał. Zmusił się, żeby się na niej skupić, odsuwając na bok wszelkie pożądliwe myśli i plany małżeńskie. Przez najbliższe, mniej więcej, dwa tygodnie te zadania wymagały jego pełnej uwagi. Nie chciał zawieść Susanny i jej ojca. Ani reszty wsi, która nagle – niespodziewanie – zaczęła go obchodzić.

– Myślę, że wszyscy już są. – Spojrzała w dół blankowanej wieży. Na dole mężczyźni i kobiety ze Spindle Cove urządzili piknik na trawiastym, równym dziedzińcu zamku.

– To by wskazywało, że mój kuzyn musiał się mocno pokajać.

Uśmiechnęła się.

– Przypuszczam. No i jak wspaniale twoi ludzie to przygotowali. Przeszliście samych siebie.

– Wcale nie. – Ale Bram potraktował zaproszenie na piknik z całą powagą. Przed przyjściem gości mężczyźni ustawili parasole, rozłożyli koce i zastawili stół przekąskami, które zawdzięczano uprzejmości właściciela Pąsowego Bratka. W każdym razie, przypuszczał, że Fosbury wrócił do nazwy Pąsowy Bratek. Szkody naprawiono, ale kiedy ostatnio

odwiedził wieś, nad pomalowanymi na czerwono drzwiami nie wisiał żaden szyld.

– Rufus i Finn doszli, zdaje się, do zgody – zauważyła.

– Odebrali nauczkę. Zaskarbią sobie więcej damskiej życzliwości, jeśli będą razem psocić, a nie zarzucać się pretensjami.

Bliźniacy zawiązali szarfę na jagnięciu i obiecali nagrodę pierwszej dziewczynie, która ją zdejmie. Charlotte ganiała Kolację po całym dziedzińcu, po czym zaczepiła palcem o kamień i grzmotnęła jak długa na ziemię.

Susanna wciągnęła gwałtownie powietrze. Ścisnęła Brama za rękę. Nawet przez rękawiczki jej paznokcie wbiły mu się w ciało.

– Wszystko w porządku – powiedział. – W tym wieku są zrobieni z kauczuku. Zaraz się poderwie.

W tej chwili zrozumiał, jak głęboko przeżywała, kiedy któraś z jej młodych dam doznawała upokorzenia czy bólu. Kiedy sytuacja tego wymagała, jak podczas ataku astmy u Diany, potrafiła być silna, skupiona i dzielna. Ale tutaj, przy nim, nie ukrywała troski. Pozwoliłaby się pocieszyć. I może pewnego dnia wysłuchałaby cierpliwie, gdyby jakiejś ponurej, ciemnej nocy, po paru kieliszkach, wyznał jej, że wciąż odczuwa rany, które odniósł nie on sam, ale ludzie pod jego komendą.

Na dole pan Keane pomógł Charlotte się podnieść. Dziewczyna dzielnie otrzepała spódnicę. Fosbury ofiarował jej ciastko na pocieszenie i wszyscy zebrani roześmiali się dobrodusznie.

– Nic jej się nie stało. – Ścisnął jej palce, zadowolony z pretekstu. – Widzisz?

– Biedaczka. – Nie cofnęła ręki. Przysunęła się do niego nieznacznie. – Ale po tej katastrofie w herbaciarni dobrze widzieć ich tak, wszystkich razem. Widzieć, jak damy i panowie dobrze się bawią w swoim towarzystwie.

– Lepiej, żeby się teraz dobrze bawili – zauważył. – Potem nie będzie czasu na rozrywki. Wszyscy w Spindle Cove będą mieli mnóstwo pracy.

– O tak. Zgadza się. Powinniśmy zejść na dół i ogłosić, co ich czeka. Jeśli mamy ich prosić, żeby pracowali razem, lepiej, żebyśmy wystąpili wspólnie.

– Zgadzam się bez zastrzeżeń – stwierdził, kiedy schodzili krętymi schodami. Przystanął, zanim wyszli na dziedziniec. – Mam pomysł.

Dlaczego nie miałbym cię przedstawić jako przyszłej lady Rycliff?

– Bo nią nie jestem?

– Jeszcze nie. Ale będziesz. – Musi wiedzieć, że nie zamierza porzucić swoich planów, tylko je odsuwa na później. Zastanowił się. – Przedstawię cię jako przyszłą lady Rycliff. Albo po prostu swoją kochankę.

– Bram! – Dźgnęła go łokciem w żebra.

– A zatem moją potajemną kochankę.

W odpowiedzi na jej bolesne spojrzenie, dodał:

– No co? Dopóki odmawiasz wyjścia za mnie, to jest dokładnie to, kim jesteś.

– Jesteś okropny.

– Uwielbiasz to.

– Boże, dopomóż – jęknęła, kiedy wyciągnął ją z wieży i postawił na trawie dziedzińca.

– Słuchajcie wszyscy! – zawołał Bram, kiedy stanęli na środku dziedzińca. – Panna Finch i ja chcemy coś ogłosić.

Na dźwięk swojego nazwiska Susanna odetchnęła z ulgą. Miała nadzieję, że Bram nie zdobędzie się na taką śmiałość, żeby ich schadzki przedstawić jako kwestię publicznej wagi… ale po wczorajszych przejściach z papą wcale nie była tego pewna.

Dookoła mężczyźni i kobiety wymienili zaintrygowane spojrzenia, odstawiając na bok ciasteczka i lemoniadę.

– Jak wam wiadomo – zaczął Bram – dałem słowo sir Lewisowi, a za jego pośrednictwem księciu Tunbridge, że Spindle Cove zorganizuje przegląd polowy oddziału. Dokładny, choreograficzny pokaz naszej siły i gotowości bojowej w terminie letniego jarmarku, zaledwie dwa tygodnie od dzisiaj.

Mężczyźni popatrzyli po sobie.

Aaron Dawes pokręcił głową.

– Raczej trudne zadanie, proszę pana.

– Trudne? – spytał Fosbury. – Dlaczego nie: „beznadziejne”? Nie jesteśmy w stanie maszerować w jednej linii.

– Nie mamy nawet odpowiednich mundurów – dodał Keane.

Przez tłum przebiegł zgodny pomruk.

– Nie jesteśmy beznadziejni – oznajmił Bram stanowczym tonem, który postawił wszystkich na baczność, włącznie z Susanną. – Ani przestraszeni. Mamy ludzkie zasoby. Mamy materiały. I mamy plan. – Skinął ręką w jej stronę. – Panna Finch wyjaśni.

Susanna dłonią w rękawiczce podniosła listę.

– Będziemy pracować razem. Panie i panowie.

– Panie?! – wykrzyknęła pani Highwood. – Co wspólnego mogą mieć damy z planowaniem przeglądu oddziału ochotników?

– W Spindle Cove panie mogą wszystko – odparła spokojnie Susanna. – Wiem, że to wykracza poza nasze zwykłe zajęcia, ale w tak krótkim czasie wszyscy musimy pracować zgodnie z naszymi talentami. Mężczyźni potrzebują naszej pomocy, a my chcemy zapewnić mężczyznom powodzenie. Jeśli oddział się nie wykaże, sądzicie, że książę zostawi zamek bez ochrony? Nie. Z pewnością przyśle oddział, żeby tu stacjonował. A nie muszę chyba mówić, że jeśli oddział obcych żołnierzy rozłoży się na tych klifach, Spindle Cove, jakie znamy – powiodła wzrokiem po twarzach kobiet – jakie kochamy i jakiego potrzebujemy, przestanie istnieć.

Panie zaszeptały przerażone między sobą.

– Ma rację, wywrócą wieś do góry nogami.

– Wszystkie będziemy musiały wrócić do domu.

– A herbaciarnia zaczęła dopiero co działać na nowo.

Charlotte podskoczyła.

– Nie możemy do tego dopuścić, panno Finch!

– Nie dopuścimy, Charlotte. Musimy tylko pokazać księciu i paru generałom, że ochotnicy lorda Rycliffa są w pełni zdolni i gotowi bronić Spindle Cove.

Bram przejął głos.

– Wszyscy ochotnicy będą obozować tutaj, w zamku. Wasz czas i pełna gotowość będą wykorzystane od wschodu do zachodu słońca. Opracowaliśmy plan. Sierżant Thorne zajmie się musztrą. Przygotujcie się na forsowne marsze. Szeregi muszą być równe, formacje bez zarzutu. Lord Payne – rzucił spojrzenie zaskoczonemu kuzynowi – przy jego wrodzonym talencie do materiałów wybuchowych, przejmie odpowiedzialność za artylerię. Co do broni palnej… – Wskazał na Susannę. – Panna Finch poprowadzi codzienne ćwiczenia strzeleckie.

Zgromadzeni wydali zbiorowy okrzyk zaskoczenia.

– Co?! – zawołała pani Highwood. – Dama ma uczyć mężczyzn strzelać?

– Nie wiedziała pani? – Bram spojrzał na nią znacząco. – Pięknie wygląda z bronią.

Walcząc z rumieńcem, Susanna skupiła znowu uwagę na liście.

– Panna Taylor zawiesi swoje regularne lekcje muzyki, żeby zająć się intensywnym szkoleniem Rufusa i Finna. Pani Montgomery i pani Fosbury staną wspólnie na czele komitetu mundurowego. Wszystkie panie, które będą mogły, wieczorami pomogą przy szyciu. – Opuściła kartkę. – Jest niezwykle ważne, żeby mężczyźni wyglądali jak najlepiej i wywarli dobre wrażenie.

– Ważne jest także – dodał Bram – żebyśmy zapewnili rozrywkę gościom. Zjawią się w…

– Summerfield – dokończyła Susanna, odrobinę podniecona, wbrew własnej woli. – Po przeglądzie wydamy bal oficerski.

– Bal? – podchwyciła pani Highwood. – No, to jest dobra nowina. Moja Diana będzie wreszcie miała okazję zabłysnąć. Do tego czasu chyba dojdzie do siebie?

– Jestem tego pewna.

– Lordzie Payne, ty diable… – Twarz matrony zmarszczyła się w uśmiechu, kiedy machnęła chusteczką w stronę Colina. – Tym razem musisz jej obiecać ładnego, powolnego kadryla. Żadnych dzikich, wiejskich tańców.

– Jak pani sobie życzy. – Colin się skłonił.

Chcąc skierować rozmowę na właściwe tory, Susanna odchrząknęła.

– A teraz, co do przygotowań. Poproszę pannę Winterbottom i panią Montgomery, żeby pomogły ułożyć menu. Sally Bright i pan Keane mają najlepsze oko do kolorów, więc zajmą się dekoracją. Pannie Taylor, naturalnie, przypadnie strona muzyczna, a pan Fosbury, mam nadzieję, upiecze nam jakieś ciasta. Słodycze naszej kucharki w Summerfield nie mogą się równać z twoimi. – Uśmiechnęła się do niego ponad kartką papieru. – A teraz, pani Lange…

Rzeczona dama się wyprostowała.

– Nie musisz prosić. Skomponuję poemat na tę okazję.

– To będzie bardzo… – Susanna przerwała. – Wyjątkowe – dokończyła. – Dziękuję, pani Lange.

– A co ze mną? – Charlotte pomachała ręką. – Wszyscy mają jakieś zadania. Ja też chcę.

Susanna się uśmiechnęła.

– Mam dla ciebie bardzo ważne zadanie, Charlotte. Wyjaśnię ci to później, w pensjonacie. – Opuściła kartkę. – Ma się rozumieć, nasza zwykła rutyna ulega zawieszeniu.

– Czeka nas mnóstwo pracy – powiedział Bram. – A zaczynamy dzisiaj po południu. Dopijcie napoje. Spakujcie koce i parasole. Zdejmijcie szarfę z owcy. Wszyscy mężczyźni spotykają się na musztrze za kwadrans.

– Panie! – zawołała Susanna, zanim grupa się rozproszyła. – Przenosimy się do gospody, żeby zacząć ciąć materiał na mundury.

Kiedy wszyscy wstali z koców i zabrali się za uprzątanie śladów po pikniku, zwróciła się do Brama:

– Myślę, że poszło tak dobrze, jak można było oczekiwać.

Skinął głową.

– Dobrze poszło, faktycznie.

W gruncie rzeczy najbardziej jej się podobał ostatni kwadrans. Stała obok Brama, jak równy z równym, zamiast się z nim spierać. Mówili razem, zamiast się przekrzykiwać. Kiedy zwracali się do swoich przyjaciół i sąsiadów, powietrze wibrowało przyjemnie harmonią, a ona czuła się prawie, jakby…

Odstąpiła do tyłu, odchyliła głowę i spojrzała na niego.

– O co chodzi? – zapytał zaniepokojony.

– Nic, tylko… Nagle zacząłeś wyglądać jak prawdziwy lord. Kiedy tak stałeś przed wieżą, zwracając się do mieszkańców wioski. To tak, jakbyś się urodził z tym tytułem, a nie dostał go przed tygodniem.

– Cóż, nie urodziłem się. – Ściągnął brwi. – Mój ojciec był generałem majorem, a nie żadnym hrabią. Nie zamierzam o tym zapomnieć, nigdy.

– Oczywiście, że nie. Nie to miałam na myśli. Twój ojciec był wielkim człowiekiem i naturalnie, zawsze będziesz dumny, że jesteś jego synem. Ale to nie znaczy, że on nie mógłby być dzisiaj dumny z ciebie, nieprawdaż?

Nie wiedział, jak odpowiedzieć.

– Lepiej pójdę przygotować się do musztry – odezwał się po dłuższej chwili.

– Tak, ja chyba też powinnam już iść.

Kiedy ruszył, zostawiając ją, w stronę wieży, po raz kolejny zauważyła, że nieznacznie kuleje.

– Poczekaj! – zawołała pod wpływem nagłego impulsu.

Powinna złapać go za rękę czy za ramię. Ale nie. Musiała położyć dłoń płasko na jego potężnej piersi. Uświadomiwszy sobie błąd, cofnęła ją natychmiast, ale wciąż czuła na dłoni bicie jego serca.

Ukradkowe spojrzenie dookoła upewniło ją, że nikt nie widział tego śmiałego gestu. Przynajmniej tym razem. Policzki paliły ją i Susanna wiedziała, że musi bardzo się starać, żeby nie zauważono w przyszłości, jak bardzo Bram jej się podoba.

I wobec tego to, co powiedziała po chwili, było co najmniej nieostrożne.

– Jest jeszcze jedno zadanie, które mamy do wykonania. Nie ma go na liście. – Wciąż trzymała kartkę w dłoni i mówiła cicho. – Coś, co musimy zrobić razem. Sami.

– Czy tak? – Zaskoczenie – i pożądanie – zabłysło w jego zielonych oczach. – Nie mogę zaprzeczyć, że jestem zaintrygowany. Podaj miejsce i czas. Przyjdę.

– Zatoczka – szepnęła, modląc się, żeby nie popełniała poważnego błędu. – Po zmroku. Dzisiaj.

20

Gwiazdy rozjaśniały niebo, a księżyc wisiał na nim wielki i żółty. Dobrze się złożyło, bo inaczej Bram nie znalazłby drogi na dół, do zatoczki. Wpatrywał się w ścieżkę, uważając, żeby nie zrobić fałszywego kroku. I w rezultacie dotarł na kamienistą plażę, nie mając pojęcia, gdzie – a nawet czy – znajdzie Susannę. Nigdzie na brzegu jej nie widział.

Może nie zdołała się wymknąć. Może zmieniła zdanie i postanowiła się z nim nie spotykać. Może w ogóle nie zamierzała się z nim spotkać, tylko sobie z niego zakpiła.

Ciche pluśnięcie zwróciło jego uwagę.

– Tutaj. – Usłyszał jej wołanie.

Podszedł do samego brzegu.

– Susanna?

– Jestem tutaj. W wodzie.

– W wodzie? – Oczy przyzwyczaiły mu się do mroku. Była tam, jego syrena kusicielka, zanurzona w wodzie po szyję. – Co masz na sobie?

– Chodź do mnie, jeśli chcesz się przekonać.

Bram nigdy szybciej nie pozbył się ubrania. Rozebrał się do naga. To nie było jedno z ciepłych, słonecznych popołudni w Spindle Cove. Czekała go długa droga powrotna do zamku i nie chciał jej odbyć w ociekającym wodą ubraniu.

– A niech to. Ale zimna woda – powiedział, gdy zanurzył palce.

– Dzisiaj nie jest tak źle, naprawdę. Przyzwyczaisz się.

Wbiegł do morza, wiedząc, że lepiej zamoczyć się od razu, zamiast stopniować torturę. Spotkał ją w pewnej odległości od brzegu, w miejscu, gdzie woda sięgała mu do połowy brzucha. Nie mogąc jej się przyjrzeć w ciemności, przesunął ręką po jej ramieniu.

Jęknął, kiedy trafił na szorstki materiał.

– Tylko nie ten wstrętny kostium.

Roześmiała się niskim głosem, który podziałał na niego podniecająco.

Do diabła, wiedział, że nie powinien być natrętny. Ale była tak blisko i wreszcie nie mieli żadnych świadków. Nie mógł się powstrzymać, żeby nie robić tego, o czym marzył cały dzień. Przyciągnął ją szybkim ruchem i objął jej szczupłe ciało rękami i nogami. Trzymał ją mocno.

Znieruchomiała w jego ramionach. Czuł, jak każdy mięsień jej ciała twardnieje jak stal.

– Bram, co ty robisz?

– Przytulam cię. Jest zimno.

– Jesteś… – zniżyła głos do szeptu. – Jesteś nagi.

– Przepraszam, zapomniałem kostiumu. – Zachichotał. – I tak już widziałaś wszystko, co tam jest do oglądania. I nie ma tu nikogo poza nami.

– No właśnie.

– To dlaczego mówimy szeptem?

– Nie wiem – odparła głośno, nadąsana.

Jego oddech połaskotał ją w ucho.

– Moglibyśmy się ogrzać nawzajem.

Parsknęła zdesperowana i się odsunęła.

– Bądź poważny, proszę. Jesteśmy tutaj z istotnego powodu.

– Wierz mi, mam istotny powód, żeby tu być. Ty jesteś tym powodem.

– Nie. Powodem jest twoje kolano.

– Kolano?

– Tak. Wiem, że cię boli. Jeśli chcesz przebrnąć przez kolejnych parę tygodni, musisz o nie odpowiednio zadbać. A jeśli chcesz koniecznie wrócić potem do wojska i dowodzić… Cóż, to ja tak samo chcę cię tam wysłać silnego i sprawnego.

– Jestem silny. – Uraziła jego dumę. – I powinnaś wiedzieć, że jestem dostatecznie sprawny.

Parsknęła lekceważąco i odsunęła się. Podpłynęła do pobliskiego kamienia i sięgnęła po coś. Słysząc, jak tajemniczy przedmiot grzechocze, wyobraził sobie, że to rodzaj łańcucha. Wróciła, ciągnąc go tuż pod powierzchnią wody; dostrzegł błysk metalu w świetle księżyca.

– Co to jest? – zapytał, patrząc podejrzliwie. – Jakieś średniowieczne narzędzie tortur?

– Tak. Dokładnie tak.

– Boże. Żartowałem. Ale ty nie żartujesz, prawda?

– Nie. Pożyczyłam to z kolekcji ojca. Tu jest obręcz na kostkę, ta kula jest przymocowana. To jest wściekle ciężkie. Proszę.

Ze sznura na szyi zdjęła gruby klucz. Metodą prób i błędów udało jej się wsadzić klucz w dziurkę w żelaznej obręczy. Otworzyła się jak muszla ostrygi.

– To trzeba założyć na kostkę, widzisz? – powiedziała. – Stań na zdrowej nodze, podnieś chorą, a ja to umocuję.

– Chwileczkę. Niech się upewnię, że dobrze zrozumiałem. Wciągnęłaś mnie do lodowatego oceanu, nagiego…

– Nie prosiłam, żebyś się rozbierał.

– A teraz chcesz mi nałożyć kajdany.

– Tylko w dosłownym sensie.

– Tak. Właśnie to dosłowne znaczenie mnie niepokoi. Być zakutym w kajdany w dosłownym sensie jest wystarczająco nieprzyjemne, bez żadnych metafor. A jak mnie już zakujesz, skąd mam wiedzieć, że nie zostawisz mnie tu w lodowatej wodzie, żeby mnie mewy rano rozdziobały?

Zdjęła sznur z własnej szyi i podała mu.

– Proszę. Możesz trzymać klucz. Czy czujesz się lepiej?

– Niezupełnie. Nadal nie rozumiem, o co ci chodzi.

– Wkrótce zrozumiesz. Po prostu podnieś nogę.

Posłuchał, odchylając głowę i patrząc w niebo. Nic tak, jak gwiaździste niebo, nie uczyło człowieka pokory. W jaki, dokładnie, sposób do tego doszło? Przyjmował rozkazy od starej panny, dobrowolnie poddając się jakimś średniowiecznym torturom. A ona nawet nie była naga.

– Nie wolno ci nikomu o tym mówić – odezwał się. – To ważne, Susanno. Będę temu zaprzeczał do grobowej deski. Moja reputacja ucierpiałaby bezpowrotnie.

– Twoja reputacja? Myślisz, że palę się, żeby opisać komuś tę scenę? – Założyła obręcz na jego nogę i zamknęła ją z trzaskiem. – Teraz powoli opuść stopę i wrzuć kulę do wody.

Posłuchał jeszcze raz. Kula opadła szybko na pokryte kamykami dno, pociągając jego stopę.

– Dobrze. Teraz masz opór.

– Nie zdawałem sobie sprawy, że tak mi wszystko przychodzi bez oporu. Starasz się, jak możesz.

– Fizyczny opór. – Wycofała się bezgłośnie na pewną odległość, płynąc przez spokojną wodę. – Idź w moją stronę, powoli. Zrozumiesz, o co chodzi.

Zrobił krok, przenosząc ciężar na zdrową nogę. Kiedy próbował użyć rannej nogi, łańcuch z kulą ciągnął się za nim. Poruszanie się było trudne, ale – dzięki wodzie – możliwe.

– Tak dobrze – powiedziała, cofając się ponownie. – Posuwaj się naprzód. Pamiętaj, żeby podnosić nogę, a nie ciągnąć jej za sobą. Tak jakbyś maszerował.

Postąpił o kilka kroków, ścigając ją w głębokiej po pierś wodzie.

– Powiedz mi, po co to robię? – Zapędził ją pod wielki kamień, ale uciekła, odpływając w bok.

– Idź teraz w tę stronę – poleciła, otrząsając włosy ze słonego prysznica. – A ja ci to wyjaśnię.

Ruszył znowu naprzód.

– Wyjaśnij.

– To jest tak, Bram. Jesteś wielkim mężczyzną.

– Cieszę się, że zauważyłaś.

– A to znaczy, że jesteś ciężki. Masz absolutną rację, że musisz używać obu nóg, żeby odzyskać pełnię sił. Kiedy rana się zagoiła, pozostanie w łóżku niczemu by nie służyło. Ale kiedy chodzisz – albo biegasz, czy maszerujesz – na stałym gruncie, dodajesz własny ciężar do każdego kroku. A to jest za dużo. Tutaj, w morzu, wypór wody łagodzi nacisk na kolano. A łańcuch z kulą daje opór, któremu musisz się przeciwstawiać.

Prawie ją złapał, ale znowu odpłynęła poza jego zasięg. Ochlapała go tylko wodą za jego wysiłek.

– Jeśli będziesz to robił regularnie – zawołała, wynurzając się w pewnej odległości – odbudujesz swoje siły, a twoje kolano nie odniesie dalszej szkody.

Musiał przyznać, że ta teoria brzmiała sensownie.

– Kto cię tego nauczył?

– Nikt. Dwa lata temu mieliśmy tu dziewczynę, która dochodziła do siebie po paskudnym upadku z konia. Złamała nogę i biodro. Nawet parę miesięcy później, ledwie kuśtykała. Doktor w domu powiedział, że będzie kaleką. Biedaczka była załamana. No, wiesz, miała dopiero szesnaście lat.

Myślała, że nigdy nie zadebiutuje w sezonie, nie wyjdzie za mąż. Na szczęście ojciec postanowił przysłać ją tutaj.

– Na leczenie? – Bram ruszył energicznie w jej stronę. Chwycił właściwy rytm ćwiczenia i teraz ledwie mu się wymknęła.

– Wątpię, żeby żywił jakieś nadzieje co do jej wyleczenia. Spodziewał się pewnie, że przyzwyczai się może do życia kalekiej starej panny. Ale kąpiele morskie pomogły jej ogromnie. Robiłyśmy takie ćwiczenia parę razy w tygodniu. Kiedy wyjeżdżała stąd w końcu lata, chodziła bez żadnej pomocy. A nawet tańczyła. – Słyszał dumę w jej głosie. – Dostałam od niej list przed miesiącem. Zaręczyła się. Jej narzeczony ma odziedziczyć tytuł barona. Dała mi do zrozumienia, że jest bardzo przystojny.

– Miała szczęście. A co z tobą?

– Co ze mną?

– Jak to się stało, że nigdy nie wyszłaś za mąż?

Rozległ się cichy plusk

– To dosyć proste. Każdego dnia budzę się, zajmuję się codziennymi sprawami i wracam na noc do łóżka, nie wyrecytowawszy przysięgi małżeńskiej. Po tylu latach łatwo mi to idzie.

Mówiła lekkim tonem, ale domyślał się, że za słowami kryją się głębokie emocje.

– Nie powiesz mi, że nikt ci się nigdy nie oświadczył.

Tego mu nie powiedziała.

– Nigdy nie miałam powodu, żeby wyjść za mąż. Jestem jedynym dzieckiem. W końcu dom w Summerfield i majątek ojca mnie przypadną. Choć mam nadzieję, że nieprędko.

– Ale bezpieczeństwo nie jest jedynym powodem, dla którego mogłabyś chcieć wyjść za mąż. Nie chcesz męża i dzieci? Jesteś na to zbyt nowoczesna?

Milczała chwilę. Kiedy się odezwała, poleciła:

– Podejdź do tamtego kamienia. A potem wróć z powrotem w to miejsce.

Nie poruszył się, tylko skrzyżował ręce na piersi.

– O, nie. Nie możesz ze mną stosować tej sztuczki.

– Jakiej sztuczki?

– Uchylać się od odpowiedzi na kłopotliwe pytanie, wydając rozkazy. To nieskuteczne, nie ze mną.

– Nie wiem, o co ci chodzi. – Starała się mówić znudzonym tonem.

Nie dał się oszukać.

– Oczywiście, że wiesz. Kiedyś oskarżyłaś mnie, że robię to samo. – Pokręcił głową. – Nigdy nie spotkałem takiej kobiety, jak ty. Jesteś taka do mnie podobna. Tak, jakbyśmy należeli do jakiejś rzadkiej, egzotycznej rasy. Tylko że ja jestem okazem mężczyzny, a ty kobiety. Z twoją inteligencją musisz wiedzieć, co to znaczy.

– Oświeć mnie.

– To znaczy, że powinniśmy połączyć się w parę. Ciąży na nas odpowiedzialność wobec natury.

Śmiejąc się, prysnęła wodą w jego stronę.

– Musiałeś się tego nauczyć od kuzyna. Czy to działa z innymi kobietami?

– Jakimi innymi kobietami? – Ledwie pamiętał, że istnieją jakieś inne kobiety. Tej nocy byli jak morski Adam i Ewa, a zatoczka była ich rajem. Dla niego była jedyną kobietą na świecie.

Boże, tak gorąco jej pragnął. Nie mogła mieć o tym pojęcia. Kiedy jej zwinne ciało poruszało się, pluskając w wodzie, jego wyobraźnia szalała. Widział ich oboje – mokrych i słonych – splecionych we wszelkiego rodzaju pozach.

– Kamień – przypomniała. – Idź do kamienia i z powrotem.

– Oto, co zrobię. Odwrócę się, pójdę do tamtego kamienia – wskazał na inny, odleglejszy, w pobliżu wrzecionowatej skały – i wrócę w ciągu minuty. Ale ty musisz zostać w tym samym miejscu. A kiedy do ciebie dotrę, chcę dostać nagrodę za moje trudy.

– Och, naprawdę? I cóż to miałaby być za nagroda?

– Pocałunek.

– Nie. W żadnym razie.

– Daj spokój. – Stał wyprostowany, ramiona i tors wystawały mu z wody. Słona woda spływała zimnymi strumyczkami po jego piersi i plecach. – Bawiłaś się ze mną w berka, biegając w kółko w wodzie, jakbyśmy prowadzili jakąś głupią salonową grę. Zasługuję na fant. Na pocałunek.

Pokręciła głową.

– Po tamtej nocy? Wiem, że z tobą nie ma czegoś takiego, jak tylko pocałunek. Jesteśmy tutaj, żeby ćwiczyć twoje kolano.

– Cóż, nie ruszę się, póki mi nie obiecasz pocałunku.

Nie odzywała się przez chwilę.

– Doskonale. Pocałunek. Ale to nie ty mnie pocałujesz. To ja pocałuję ciebie. Rozumiesz?

Och, rozumiał. To jej ćwiczenie zaczynało się robić niezwykle interesujące.

Zyskawszy nową motywację, zrobił tak, jak powiedział. Odwrócił się, dużymi, zdecydowanymi krokami przebył odległość do odległego kamienia, a potem wrócił do niej. Kiedy skończył, sapał głośno z wysiłku.

– Teraz – powiedział, obejmując ją w pasie i przyciągając do siebie – pocałuj mnie.

Księżyc wychynął zza chmury, spowijając ją srebrzystym światłem. Taka piękna. Mogła być nimfą wodną albo groźnym aniołem zemsty. Objęła jego twarz dłońmi. Takie eleganckie i takie zręczne dłonie. Pociągnęła w dół jego głowę, a on odruchowo zwilżył wargi.

A potem pocałowała go – w czoło. Jej usta przywarły do jego czoła i zostały tam chwilę, przekazując mu ciepło i słodycz, jak błogosławieństwo.

– Proszę – szepnęła, odsuwając się.

Patrzył na nią, przełykając nerwowo ślinę. Nie wiedział, czy się złościć, śmiać czy płakać. Nie, ten pocałunek nie był namiętnym pojedynkiem języków, o jakim marzył. Był dokładnie tym, czego potrzebowała jego dusza. Nie wiedziałby, jak poprosić o taki pocałunek. Jego ciepło spłynęło wprost do jego serca.

Wciąż trzymała jego twarz w dłoniach. Kciukiem starła słoną kroplę z jego policzka.

– Wiem, czego potrzebujesz, Bram.

Wielkie nieba. Może wiedziała. Czego jeszcze potrzebował, a czego nie potrafił przekazać słowami? Rozpaczliwie pragnął to odkryć. Odsunął się od niej bez słowa. Ruszył pewnym krokiem do kamienia. Wrócił do niej, wzbijając bryzgi wody i piany i stanął obok pełen tęsknoty.

– Jeszcze raz.

Tym razem sięgnęła po jego rękę. Podniosła ją do twarzy, kładąc jego mokre palce na swoim policzku. Potem obróciła twarz, nadstawiając ją dla jego pieszczoty. Jej oddech ogrzewał jego chłodną twarz, pobudzając każdy nerw do życia. A potem pocałowała go w sam środek dłoni.

Rozkosz rozeszła się błyskawicą po jego ciele. Niech to diabli. Skromny pocałunek w dłoń. Czuł go wszędzie. Kolana pod nim zmiękły. Chciał paść

jej do stóp, leżeć godzinami z głową na jej kolanach. Jestem twoim niewolnikiem.

Cofnął rękę i zacisnął dłoń, żeby pozbyć się tego wrażenia i wziąć się w garść. Jak można było przewidzieć, że taki skromny, ale precyzyjny atak powali dorosłego mężczyznę? Czy armia była tego świadoma? Może powinni zaopatrzyć żołnierzy w metalowe płytki, żeby chronić ich wrażliwe dłonie?

– Susanno. – Wyciągnął do niej ręce.

Wywinęła się, szybka jak ryba.

– Jeśli chcesz więcej, musisz na to zapracować.

Poszedł do kamienia, tym razem wolniej. Częściowo ze zmęczenia, ale głównie dlatego, żeby dać sobie czas na uspokojenie. Serce tłukło mu się w piersi, uderzając o żebra. Nie mógł pozwolić, żeby zobaczyła, nie śmiał dopuścić, żeby się dowiedziała, że tymi dwoma czułymi pocałunkami wstrząsnęła nim do głębi duszy.

W drodze powrotnej próbował pozbyć się tego wrażenia i jakoś odzyskać panowanie nad sobą. Jest żołnierzem, powiedział sobie. Nie suplikantem. Kiedy ciął wodę zdecydowanymi ruchami, gorąca krew krążyła w jego ciele, dając mu poczucie mocy.

Ale kiedy już się do niej zbliżał, źle postawił stopę. Łańcuch zaczepił się o kamień i szarpnął go za kostkę. Jęknął mimowolnie.

Pośpiesznie ruszyła ku niemu, rozpryskując wodę.

– Nic mi nie jest – powiedział, zaprzeczając bólowi. To nie kolano doskwierało mu tak dotkliwie, ale duma. – Czuję się doskonale.

– Wystarczy na dziś wieczór. – Zdjęła klucz z jego szyi i zniknęła pod wodą. Po krótkiej szarpaninie poczuł, że obręcz została zdjęta z jego nogi.

– Załóż to z powrotem – powiedział, kiedy się wynurzyła. – Mogę zrobić więcej. Nie jestem nawet zmęczony.

– Bądź cierpliwy. – Otarła wodę z twarzy. – Wspaniale doszedłeś do siebie po tak ciężkiej ranie i jeszcze nabierzesz sił. Ale postrzelono cię, Bram. Musisz się pogodzić z tym, że twoja noga już nigdy nie będzie taka, jak przedtem.

– Będzie. Musi. Nie przyjmę do wiadomości niczego poza kompletnym wyzdrowieniem.

– Dlaczego?

– Bo muszę dowodzić.

Zachichotała.

– Nie potrzebujesz do tego zdrowego kolana. W dużym palcu masz więcej umiejętności dowódczych niż większość mężczyzn w całym ciele.

Skrzywił się boleśnie, co miało wyrażać skromność.

Zrozumiała to jako: Mów dalej, proszę.

– Naprawdę. Ludzie po prostu instynktownie chcą cię zadowolić. Jak Rufus i Finn. Nie poznałeś ich na tyle, żeby to dostrzec. Ale ja tak, ci chłopcy czczą ziemię, po której kuśtykasz.

– Ci chłopcy po prostu potrzebują męskiego przykładu.

– Cóż, nie mogli wybrać lepiej. – Otoczyła jego szyję ramionami.

Chłodna woda wokół nich sprawiała, że ich ciała wydawały się gorące w miejscach, gdzie się dotykały. Teraz czuł się jej bliższy niż kiedykolwiek, ale wciąż chciał więcej. Każdą komórką ciała pragnął tego cudownego zjednoczenia ciał, jakie przeżyli pod wierzbą. Ale jeśli udało mu się zignorować instynkt ciała i wsłuchać w spokojny głos serca… to samo trzymanie jej w ramionach było czymś wspaniałym. Dobrym i właściwym.

– Skoro jestem tak świetnym dowódcą – powiedział – to dlaczego nie mogę ciebie zapędzić do szeregu?

– Bo nie chcesz. Lubisz mnie taką, jaka jestem. – Na jej twarzy pojawił się uśmiech zadowolenia, uśmiech kobiety, która zdała sobie nagle sprawę, że ma całkowitą rację.

Ale myliła się. Nie lubił jej takiej.

Myślał, że taką może ją kochać.

Niech to. Kochać. W tym Bram miał niewiele doświadczenia. Samo pojęcie wydawało się groźne, niebezpieczne. Więc dawał sobie z nim radę tak, jak traktował inne niebezpieczne materiały wybuchowe. Chował je w chłodnym, ciemnym zakamarku własnej duszy – żeby mu się przyjrzeć i obmierzyć w późniejszym czasie. Kiedy ręce nie będą mu drżały, a lędźwie bolały od niezaspokojonej żądzy. A serce nie będzie waliło tak głośno.

– Ożenię się z tobą – oznajmił.

– Och, Bram. – Wykrzywiła twarz w grymasie przerażenia.

– Nie, nie. Nie rób takiej miny. Za każdym razem, kiedy ci się oświadczam, robisz taką nieszczęśliwą minę. To podkopuje męską pewność siebie.

– Mogłabym mieć inną, dużo przyjemniejszą minę, gdybyś zamierzał zostać. A nie tylko żenił się ze mną, żeby potem wyjechać i żyć własnym życiem. – Spojrzała w stronę otwartego morza. – Nad miejscowościami letniskowymi wisi szczególna klątwa. Zawiera się mnóstwo przyjaźni, ale wszystkie trwają krótko. Panie zostają na miesiąc czy dwa i wracają do domu. Kiedy zbliżam się do kogoś, ta osoba wyjeżdża. W przyjaźni to jest znośne. Może nawet w skandalicznym, tajemnym romansie. Ale w małżeństwie?

– Nie mogę ci obiecać, że cię ze sobą zabiorę. Twoje życie, tak jak je opisujesz, przypomina życie na wojnie. Z jedną znaczącą różnicą. Kiedy ktoś staje mi się bliski, umiera. – Jego matka była pierwsza z szeregu, ale wiele dzieliło ją od jego końca. Nigdy nie naraziłby Susanny na niebezpieczeństwo.

– Być może – powiedziała powoli, przesuwając palcami w jego włosach na karku – ty i ja moglibyśmy stać się sobie bardzo, bardzo bliscy. Ty mógłbyś przyrzec, że nie wyjedziesz. A ja mogłabym przyrzec, że nie umrę? Czy to nie byłaby zmiana, której oboje pragniemy?

Westchnął.

– Mogę obiecać, że wrócę. W końcu.

– Z wojny? Bram, nikt nie może składać takich obietnic. Chciałabym zrozumieć, dlaczego powrót na pole bitwy w charakterze dowódcy jest dla ciebie taki ważny. Musisz sobie udowodnić, że potrafisz?

– Częściowo.

– Ale nie wyłącznie?

Spojrzała na niego cierpliwymi, lśniącymi w mroku niebieskimi oczami. Jeśli z nią nie zdoła porozmawiać, to z nikim innym.

– Ja po prostu nie mam nic innego. Jestem oficerem piechoty, Susanno. To wszystko, kim byłem, kim chciałem być od dziecka. Chciałem tego tak bardzo, że wyjechałem z Cambridge, kiedy skończyłem dwadzieścia jeden lat. Wtedy mogłem się wreszcie dostać do skromnego spadku, jaki zostawił mi dziadek, i zużyłem pieniądze na zakup pierwszego patentu. Mój ojciec złościł się na pokaz, ale wiem, że potajemnie cieszył się, że to była moja własna decyzja. Nigdy nie korzystałem z jego wpływów. Robiłem, co należało, awansowałem. Był ze mnie dumny. Kiedy dostałem wiadomość o jego śmierci… – Przerwał, niepewny, co mówić dalej.

Wzięła go za rękę pod powierzchnią wody.

– Tak mi przykro, Bram. Nie mogę sobie nawet wyobrazić, jakie to musiało być straszne.

Nie mogła sobie wyobrazić, a on nie potrafił wyjaśnić. Bram pomyślał o ostatnim liście ojca. Przyszedł zwykłą pocztą, cały tydzień po tym, jak dostał ekspresem wiadomość o śmierci generała majora. List nie zawierał nic szczególnego. Ale zakończenie wbiło się Bramowi w pamięć na zawsze. „Nie śpiesz się z odpisywaniem – pisał ojciec. – Wiem, że ostatnio pisałeś zbyt wiele listów”.

Ojciec dowiedział się najwidoczniej o Badajoz, gdzie alianci zajęli garnizon przy tak wielkich stratach własnych, że sam Wellington zapłakał nad rzezią. I wiedział, że Bram tuzinami wysyłał listy z kondolencjami – do rodzin poległych żołnierzy – tak wiele, że bolała go ręka, a słowa wysychały jak kałamarz. Na ile sposobów można odmieniać słowo „żal”?

Ojciec nie oferował pustych słów pociechy ani nie próbował nadawać znaczenia bezsensownej śmierci. Dał tylko Bramowi znać, że rozumie.

Bram nie potrafił wyrazić, ile to znaczyło, że osiągnęli takie porozumienie jako mężczyźni, jako oficerowie. Równi sobie. Jeśli wycofałby się z dowództwa i stał się jeszcze jednym uprzywilejowanym lordem, spędzającym miło czas w Anglii… Ojciec pewnie nie rozumiałby takiego człowieka. Bram nie był przekonany, czy sam by siebie rozumiał.

– Utrata ojca była straszna – powiedział. – Niewyobrażalnie straszna. Ale trochę ulżyło mi to, że mówiłem sobie, że nadal może być ze mnie dumny. Że będę niósł rodzinny sztandar. Kontynuował jego dzieło. – Odetchnął. – To trwało parę miesięcy, a potem mnie postrzelono. Nie miałem tyle szczęścia, żeby znaleźć bohaterską, szlachetną śmierć na polu bitwy. Teraz jestem tylko jeszcze jednym okaleczonym żołnierzem bez widoków na odzyskanie dowództwa.

– Och, Bram. – Musnęła dłońmi jego twarz, ocierając krople słonej wody z jego policzków. Bał się, że nie wszystkie pochodziły z morza.

– Sir Lewis to była moja ostatnia szansa. Napisałem do każdego generała w stanie spoczynku, jaki mi przyszedł do głowy, z prośbą o radę i pomoc. Badałem każdego pułkownika, który mógłby potrzebować podpułkownika, mając nadzieję, że o to wystąpi. Nic z tego. Nikt mnie takim nie chce.

Nic nie zakłócało nocnej ciszy.

– Cóż, ja chcę.

Serce mu się ścisnęło. Objął ją mocno ramionami, jakby zatoczka była niezgłębionym oceanem, a ona tratwą ratującą życie.

– Chcę cię takim – powtórzyła. Schyliła głowę i pocałowała go poniżej linii szczęki. Jej usta zostały tam na długą, zmysłową chwilę. Potem przesunęła językiem po jego szyi. – Właśnie takiego. Tu i teraz.

21

*T*utaj? – powiedział, załamującym się ze zdumienia głosem. – Teraz?

Susanna nie mogła się powstrzymać od śmiechu. Przyjemnie było go tak zaskoczyć, złagodzić smutek w jego głosie.

– Można to zrobić w wodzie, prawda?

Skinął głową w oszołomieniu.

– Można.

– Chyba że masz coś przeciwko temu.

Zaprzeczył ruchem głowy, równie nieprzytomnie.

– Nie mam.

– Dobrze.

Przeniosła ręce na guziki zapinające z przodu jej kostium kąpielowy. Przełykał gorączkowo ślinę, kiedy odpinała jeden po drugim. Uwolniła ramiona i opuściła kostium do wody, tak żeby móc z niego wyjść. Potem rzuciła kłąb mokrego materiału na pobliską skałę.

– Poczekaj, Susanno – powiedział, chwytając ją w pasie. – Nie musisz tego robić tylko dlatego, że…

– Nie robię. – Położyła palce na jego ustach. – Nie robię.

Kiedy osunęła rękę, kładąc dłoń płasko na jego piersi, serce omal mu z niej nie wyskoczyło. Jego niepokój przyśpieszył bicie jej własnego serca.

Potrzebował jej właśnie teraz. Musiał się dowiedzieć, że ktoś mógł poznać wszystkie jego słabości, jego wady – i nie tylko go pragnąć razem z nimi, ale uważać za wartościowego i silnego. Nie mogła się zmusić, żeby mu odmówić tego potwierdzenia. Nie w sytuacji, kiedy naprawdę tak czuła.

Co więcej, ona też go potrzebowała.

– Nie dziw się tak – zakpiła. – Chcę ciebie, Bram. Tak bardzo. Cały czas. Jeśli chodzi o ciebie, to pozapinana po szyję stara panna gotuje się z nieposkromionej, nienasyconej namiętności. – Pocałowała go, drażniąc

językiem jego wargi. – To cię nie powinno zaskoczyć. Mówiłeś mi to od początku.

– Wiem – odparł w zamyśleniu. – Zaskakuje mnie to, że słuchałaś. – Ujął jej szyję jedną ręką i mocno ją pocałował.

Napawała się słodkim poddaniem przez parę chwil. Potem odsunęła się delikatnie.

– Poczekaj – powiedziała zadyszanym głosem. – Teraz moja kolej. Chcę cię dotykać – wszędzie.

Rozłożył ramiona zapraszającym gestem.

– Nie będę cię powstrzymywał.

Zaczęła od potężnych, umięśnionych ramion, badając dłońmi każdą wypukłość i nierówność. Potem przeniosła ręce na pierś – twardą jak kamień, pokrytą wilgotnymi, czarnymi włosami. A potem na napięty brzuch i przez jeszcze gęstsze, twarde włosy tam, gdzie czekała jej nagroda.

– Boże – wydał zduszony jęk. – Nie możesz mnie pocałować, kiedy to robisz?

Jej usta zwilgotniały na samą propozycję. Przysunęła się, całując jego szczękę, gardło. Językiem obrysowała obojczyk i zsunęła się tuż pod powierzchnię wody, drażniąc jego sutek. Słony smak morskiej wody mieszał się ze smakiem jego ciała.

Oboje przyjęli milczącą umowę, żeby się nie śpieszyć.

Żeby badać się nawzajem tak długo, póki będą w stanie oprzeć się pokusie na coś więcej.

W pewnej chwili odsunął się, przyglądając jej się w ciemności.

– Czy zauważyłaś – odezwał się swobodnym tonem – że twoja prawa pierś jest nieco większa od lewej?

Susanna była przekonana, że jej policzki muszą świecić w ciemności, rumieniec spłynął na nie tak gwałtownie.

– To moje piersi. Oczywiście, że zauważyłam. – I wstydziłam się tego przez całe dorosłe życie, dzięki wielkie.

– To tak, jakby miały dwie różne osobowości. Jedna hojna i karmiąca. – Uniósł drugą. – A ta… to frywolne, nieprawdaż? Chce, żeby na nią zwrócić uwagę. – Uszczypnął lekko jej lewą pierś.

– Bram! – Co za rozmowa. Chcąc odciągnąć jego uwagę, przesunęła dłoń jeszcze niżej, na wrażliwe miejsce poniżej jego członka.

Jęknął i zadrżał, zachęcając ją do dalszych eksperymentów.

Interesujące. On też nie był wszędzie symetryczny.

– Nie złość się – powiedział, wciąż pieszcząc jej piersi. – To miał być komplement. Uwielbiam obie.

Przypuszczała, że to miało ją pocieszyć.

– Nie wiedziałam, że są mężczyźni, którzy mają słabość do niejednakowych piersi.

– Uwielbiam je, ponieważ są twoje, Susanno. Uwielbiam całe twoje ciało. – Zsunął dłonie niżej. – Biodra doprowadzają mnie do szaleństwa. To okrągłe siedzenie stworzono specjalnie dla moich rąk. A twoje długie, zgrabne nogi… – Pocałował ją głęboko, zsuwając rękę po jej nodze i unosząc ją, żeby owinąć sobie wokół biodra. – Boże, uwielbiam to, że jesteś wysoka.

– Naprawdę? – Przyzwyczaiła się myśleć, że to jest coś, co najbardziej odstręcza możliwych kandydatów do ręki. No, oprócz piegów. I włosów. I nawyku, żeby wygłaszać kontrowersyjne sądy, zamiast skromnie kiwać głową. – Dlaczego to mówisz?

– Bo ja jestem wysoki – odparł, tuląc się do jej szyi. – Z niską kobietą zawsze jest niewygodnie. Różne rzeczy nie są na tej samej wysokości.

Boże. To powinno ją nauczyć trzymać język za zębami. Jakże nienawidziła myśli o tym, że dopasowywał „różne rzeczy” z małymi, delikatnymi pięknościami. To ją przyprawiało o chorobę.

– I kocham to. – Wsunął palce głęboko między jej uda. – Lubię czuć, jak tu jest ciasno. Wiedzieć, że nie było innych przede mną.

Zaśmiała się, wciąż czując ukłucie zazdrości.

– Oczywiście, że nie było innych. Możesz powiedzieć mi to samo?

Odsunąwszy się, spojrzał jej głęboko w oczy z rozbrajającą, erotyczną szczerością.

– Mogę ci powiedzieć jedno. Nigdy nie było takiej, jak ty.

– Och – jęknęła, kiedy jego palce wsunęły się głębiej.

– Powiedz to. – Kpiący ton zabrzmiał teraz bardziej szorstko. – Powiedz. Powiedz, że jesteś moja.

Jej serce zabiło na alarm. Wiedziała, że potrzebne mu teraz poczucie siły i mocy, ale… To było takie zaborcze i takie… średniowieczne.

– To upokarzające, Bram. Wolałabym, żebyś tego nie mówił.

– Żałujesz tylko, że to ci się tak podoba. – Dodał drugi palec do pierwszego. – Moja. Moja. Moja. – Z każdym powtórzeniem wsuwał palce

głębiej. Sapnęła, przyjemnie zaszokowana.

– Widzisz? – mruknął chełpliwie.

Niech to. Jak na mężczyznę, za często miał rację. Tak dobrze się z tym czuła. Ale od czasu choroby i tych okropnych kuracji znajdowała ogromną pociechę w myśli, że jej ciało należy do niej. Do nikogo innego.

– Powiedz to – szepnął, muskając wargami jej ucho. – Susanno, śliczna panno. Chcę usłyszeć, jak mówisz, że jesteś moja.

Ujęła jego twarz w dłonie i spojrzała mu w oczy.

– Powiem to. Moje ciało, serce i dusza należy tylko do mnie. A tej nocy postanowiłam dzielić je z tobą.

Jego palce wysunęły się z niej, pozostawiając uczucie pustki.

– Boże, to…

– Zniechęcające? Za wiele, za szybko?

Pokręcił głową, przysuwając się do pocałunku.

– Chciałem powiedzieć, że to nawet lepiej. – Przesunął językiem po jej dolnej wardze. – O wiele lepiej.

Jej serce rozpierała radość. Nigdy by nie pomyślała, że może pomieścić jej aż tyle.

Kiedy się całowali, chwycił jej biodra, unosząc ją w wodzie.

– Już pora, kochanie. – Oddychał ciężko. – Obejmij mnie nogami w pasie.

Zrobiła, co kazał, składając kostki z tyłu, na jego plecach. Połączyli się powolnymi, zmysłowymi ruchami.

Sapnęła, kiedy ją wypełnił, rozciągając szeroko. To już nie bolało, ale tak, jak za pierwszy razem, wątpiła, żeby mogła go pomieścić całego. Był jednak cierpliwy, poruszając się delikatnie, aż połączyli się w jedność.

Byli sami w zatoczce, mogli krzyczeć i jęczeć w ciemności. Zamiast tego poruszali się szybko, rytmicznie, w milczeniu. Słychać było tylko cichy plusk wody i ich urywane oddechy.

Przywarła do jego szyi. Reszta jej ciała wydawała się nie mieć kości w wodzie. W tej chwili była szczęśliwa, przekazując mu pełną kontrolę. Silnymi, pewnymi ruchami unosił ją w przód i w tył, przybliżając rozkosz. Ścięgna jego ramion i szyi były jak powrozy, szczęka napięła się z wysiłku.

Nigdy nie czuła się taka potężna, taka godna pożądania. Taka bezpieczna w dzieleniu się swoimi niepokojami i troskami. Bezpieczna pod kontrolą kogoś innego.

– Proszę – szepnął, kładąc jedną jej rękę w miejscu, gdzie łączyły się ich ciała. – Dotknij tutaj.

Znowu objął jej biodra i wsunął się jeszcze głębiej.

Oczyma wyobraźni widziała zbliżającą się rozkosz, jak falę zmierzającą do brzegu. Zachwycała ją i przerażała nawet owa fala – bliski paroksyzm rozkoszy, od którego nie było ucieczki. Fala załamała się w końcu, przelewając się przez jej ciało.

Wykrzyknęła jego imię. Może nawet uroniła parę łez radości.

Zaklął. Odsunął się od niej pośpiesznie. Gorące nasienie spryskało jej brzuch – przyjemne wrażenie w chłodnej wodzie zatoczki.

Przytulił skroń do jej skroni.

– Obejmij mnie – szepnął.

Och, Bram!

Otoczyła go nagimi ramionami i nogami, przyciskając tak mocno, jak zdołała. Całowała jego ramiona, gardło, szczękę, ucho. Palcami przeczesywał wilgotne włosy. Kołysała go leciutko w rytm fal.

Czułość płynąca z serca rozlała się po jej ciele, ogrzewając nawet palce u rąk i nóg. Przytuliła go jeszcze mocniej, chcąc, żeby to poczuł. Jakby mogła przykryć go baldachimem miłości i zatrzymać tam na zawsze. Duma i tradycja rodzinna kazały mu wracać na wojnę. Jak mogła go przekonać, żeby został? Zrobi wszystko, co w jej mocy, ale wkrótce może nadejdzie dzień, kiedy będzie musiała go puścić.

Tej nocy prosił, żeby go objęła i trzymała, i Susanna zamierzała to zrobić. Utrzymać namiętną więź, jaka między nimi powstała. Tę niezwykłą, choć może przelotną radość.

Trzymać jego. Tak długo, jak się da.

22

Doprawdy. Ten człowiek był nie do wytrzymania. Kiedy Susanna zdoła dostać go w swoje ręce, sama zrzuci go z urwiska.

Było późne popołudnie, prawie wieczór. Cały długi dzień nadzorowała pracę we wsi, a teraz powinna wracać do domu i sprawdzić, czy ojciec coś dzisiaj zjadł. Zamiast tego pobiegła aż do ruin zamku. W drodze minęła kaprala Thorne'a, musztrującego ochotników. Proste szeregi, wyprostowana postawa, właściwy rytm. Jeszcze nie ideał, ale dokonali przez ostatni tydzień ogromnego postępu. Jeśli chodzi o strzelanie, to tylko paru nie umiało jeszcze załadować i wystrzelić w czasie krótszym niż dwadzieścia sekund.

Po paru minutach dotarła do zamku.

– Gdzie lord? – zapytała samotnego ochotnika, pełniącego wartę przy starodawnej, zrujnowanej bramie. Rozpoznała człowieka z jednego z okolicznych gospodarstw.

– Przepraszam, panienko. Nie… nie wydaje mi się, żeby można się było z nim teraz widzieć.

– Co to znaczy, że nie można się z nim widzieć? Jakoś znalazł czas, żeby mnie zadręczać tymi głupimi rozkazami przez cały dzień. – W zaciśniętej dłoni trzymała ostatnią wiadomość od niego. – To trzeci list, jaki wysłał tego popołudnia. Wiem, że jest tutaj.

– Jest tutaj – odparł niechętnie ochotnik – ale…

– Lord Rycliff? – zawołała, mijając energicznym krokiem żołnierza.

Kolacja przywitała ją na dziedzińcu, becząc przyjaźnie i bodąc pytająco w kieszeń.

– Ktoś cię rozpieszczał. – Przystanęła, żeby pieszczotliwie poklepać jagnię, a potem przeszła na otwartą, trawiastą przestrzeń w centrum

zamkowego terenu, zatrzymała się i podniesionym głosem zawołała ponownie:

– Lordzie Rycliff, muszę zamienić słowo.

– Tutaj, panno Finch.

Podniosła głowę.

– Na murze! – krzyknął.

Osłaniając oczy, powiodła wzrokiem jeszcze wyżej. Stojąc na szczycie południowo zachodniej wieży, między blankami, podniósł rękę w pozdrowieniu. Zachodzące, bursztynowe słońce oświetlało go od tyłu, ozdabiając jego głowę promienną koroną, niczym pierścieniem ognia – co znakomicie pasowało do tego przystojnego hultaja.

– Będę uszczęśliwiona, jeśli zejdziesz na dół, Wasza Lordowska Mość – zawołała. – Musimy porozmawiać.

– To moja wachta, pełnię wartę.

– Jesteś dowódcą. Nie możesz wyznaczyć kogoś innego?

– Nie uchylam się w ten sposób od obowiązków, panno Finch.

Susanna przeszła przez otwarte drzwi wieży, minęła stary, pozbawiony dachu hol i skierowała się do krętych schodów. Jeśli nie chciał zejść i porozmawiać, to ona wdrapie się na górę, żeby go do tego zmusić.

Wchodząc po kamiennych stopniach, zwróciła się do niego podniesionym głosem:

– Co mają znaczyć te wszystkie wiadomości? Krawcowe łamią sobie dłonie, usiłując sprostać twoim absurdalnym żądaniom co do mundurów. Najpierw domagasz się, żeby podszewki były z brązowego jedwabiu. Kroimy dwanaście kawałków i pojawia się kolejna wiadomość: nie brązowe, tylko niebieskie. I to nie byle jaki niebieski. Irysowoniebieski. Cóż, jak tylko wyciągamy niebieski materiał, następna wiadomość: ma być różowy. Różowy! Co ci strzeliło do głowy?

Boże, tyle tu było schodów. W głowie jej się mąciło od tych ciągłych zakrętów. Zatrzymała się na chwilę, położyła dłoń na kamiennej ścianie, zbierając siły do dalszej wspinaczki. I do tego, żeby porządnie zmyć mu głowę dalszymi zarzutami.

– To moi ochotnicy, panno Finch! – zawołał z góry. – Chcę, czego chcę.

– Zrozum, że to nie jest tak, że nie mamy nic innego do roboty – powiedziała. – To nie tylko mundury. Zostało zaledwie parę dni do przeglądu. Moje panie zawijają ładunki. Panna Taylor walczy dzielnie, żeby

wpoić Rufusowi i Finnowi poczucie rytmu. Jutro przez południem ćwiczymy strzelanie i przy tych wszystkich zajęciach nie mamy czasu na twoje kaprysy dotyczące podszewek i…

Kiedy tylko znalazła się na szczycie schodów, wziął ją w ramiona i porwał w górę.

Szybko zaniósł ją na drugą stronę wieży i przycisnął do chłodnej, kamiennej ściany. Z tyłu, tuż pod łopatkami, czuła krawędź muru. Z przodu więziło ją jego ciepłe, silne ciało. Podniecało ją. Już brakowało jej oddechu, ale to…? Czuła się oszołomiona.

– Powiedziałem ci – mówił niskim, chrapliwym głosem – że chcę, czego chcę. A to, czego chcę teraz, tak strasznie, że tracę rozum, to ty. – Zgniótł jej usta w pocałunku. – Nie do wiary, że trzeba było aż trzech głupich liścików, żeby cię tu ściągnąć. Uparta dziewczyna.

– To był twój cel? Bram, wystarczyło powiedzieć.

– Zrobiłem to. – Wargami sunął po jej szyi. – Te listy dotyczyły ciebie. Lśniące brązowe włosy. Oczy niebieskie jak irysy. – Dotknął językiem jej ciała pod szczęką. – I przeróżne, cudne odcienie różu.

Mimowolnie westchnęła zadowolona.

– Bram.

Powinna się gniewać, ale tak dobrze było w jego ramionach. Tak tego potrzebowała. W tygodniu po schadzce w zatoczce prawie co wieczór udawało im się wykraść parę godzin; kochali się pod rozgwieżdżonym nocnym niebem, a potem rozmawiali o wszystkim, co im przyszło do głowy. A jednak wystarczyło, że nie widziała go chwilę, żeby już za nim tęskniła. Za jego wielkimi dłońmi i gorącymi, głodnymi pocałunkami.

– A co z mundurami? – zapytała.

– Do diabła z mundurami. Zróbcie podszewki w takim kolorze, jaki wam się żywnie podoba. Mam to w nosie.

Przesunął dłonie na jej siedzenie i przyciągnął ją do siebie. Wyraźny, nieskrywany głód w jego oczach wzbudził w jej ciele dreszcz pożądania.

– Chcę ciebie – powiedział. Zaczynał się powtarzać.

Oblizała wargi.

– Może dziś wieczorem uda mi się wymknąć z Summerfield.

– Nie. Nie dziś wieczorem. Tutaj. Teraz.

Serce jej zabiło mocniej na samą myśl. Rozejrzała się.

– To niemożliwe.

– Nikt nie może nas zobaczyć – powiedział, zgadując jej pytanie. – Nikt z tej strony wieży. Pod nami jest tylko morze i skały.

Nikogo na górze nie było. Wszyscy mężczyźni odbywali musztrę na łące. Miał rację, nikt nie mógł ich zobaczyć. Owiewała ich tylko lekka bryza. Fioletowe niebo wisiało tak nisko nad głową, że miała wrażenie, że mogłaby go dotknąć czubkami palców. Stali na szczycie świata, sami.

Zębami chwycił delikatnie jej ucho.

– Wiesz, zeszłej nocy sam pływałem. Chodziłem tam i z powrotem przez zatokę, aż mięśnie mi się zamieniły w galaretę. Jesteś mi winna więcej pocałunków, niż potrafię policzyć.

Wyobraziła sobie nagle ich oboje splątanych na zarzuconym poduszkami, ciepłym łóżku. Leżał nagi, a jej rozpuszczone włosy przykrywały ich oboje, kiedy oddawała pocałunki, jakie mu była winna. Pieściła jego ciało wargami i językiem.

– Myś… – sapnęła, kiedy dłonią objął jej pierś. – Myślałam, że miałeś pełnić wartę.

– I tak jest. Pełnij wartę razem ze mną.

Odsunął się, chwycił ją w pasie i obrócił, kierując twarzą w stronę muru. Przesunął ją na bok, tak żeby mogła wyglądać przez miejsce między blankami – szparę przeznaczoną dla łucznika.

– Widzisz? – szepnął chrapliwie, pociągając ją w przód, tak że jej łokcie spoczęły na kamiennym parapecie, jednocześnie zadzierając jej spódnice. – Widzisz zatoczkę, a za nią Kanał?

– Tak. – Poniżej rozpościerał się niczym niezakłócony widok jasnych wód zatoki i morza poza nią. W oddali wydymało się na wietrze parę białych żagli. Na zachodzie pomarańczowożółte słońce zbliżało się do linii horyzontu.

– Dobrze. Trzymaj oczy otwarte. Teraz ty jesteś wartowniczką.

Pewnymi, zdecydowanymi szarpnięciami zebrał jej spódnice i halki powyżej pasa. Czuła na nagiej skórze chłód wiatru i jego ciepły, szorstki dotyk.

Nigdy nie czuła się taka obnażona. Gdyby zastanawiała się uparcie nad tym, co on widzi i robi, zupełnie straciłaby głowę. Więc zachowała się tak, jak on jej powiedział. Trzymała wartę, śledząc wzrokiem błękitne, lśniące wody i srebrzący się horyzont.

Stłumiony szelest powiedział jej, że rozpina spodnie. Wydała cichy okrzyk ulgi, kiedy ich ciała się dotknęły.

Pieścił jej nagie pośladki i uda.

– Boże, ja chyba wariuję. Nie masz pojęcia, ile ja o tym myślę. Cały czas, wszędzie. Wczoraj wstąpiłem do sklepu po atrament i mogłem myśleć tylko o tobie, jak rozkładasz nogi przede mną na kontuarze. Albo pochylasz się nad gablotą. Albo, przyciśnięta do regału, podnosisz spódnice, a jedną nogę stawiasz na skrzyni. W każdej chwili o tym myślę. Każdej nocy za tym tęsknię. Powiedz mi, że ty też tego chcesz.

Czy tego nie widział? Poruszała biodrami, rozpaczliwie go pragnąc.

– Powiedz, kochana. Muszę to usłyszeć. Muszę wiedzieć, że nie tylko ja jestem szalony.

– Chcę… – Przełknęła. – Chcę ciebie. – Ogarnęło ją jeszcze większe podniecenie. Samo wypowiedzenie tych słów podziałało jak afrodyzjak. Niewątpliwie dzieliła z nim szaleństwo.

– Chcesz tego. – Spełnienie było blisko. – W tobie, głęboko. Czy tak?

Te słowa… takie nieprzyzwoite. Takie bezpośrednie. I tak szalenie podniecające.

– T-tak.

Musnął jej ucho językiem.

– Mówiłaś coś?

Do diabła z przyzwoitością. Musi go mieć, zaraz, bo inaczej umrze z żądzy.

– Tak – powiedziała. – Chcę tego. Całego. We mnie. Teraz. Proszę.

Tak.

Tak. Wsunął się w nią gładkim ruchem. Rozciągając ją. Napełniając. Cofając się na krótką, bolesną chwilę, żeby wejść w nią z powrotem.

Narzucił rytm, kołysząc ją i zasypując pocałunkami jej szyję i ramiona.

– Bram – jęknęła. – Trzymaj mnie, mocno.

– Trzymam cię. – Zacisnął mocniej ręce na jej kibici. – Trzymam cię.

Wpatrywała się szeroko otwartymi, niewidzącymi oczami w cienką linię horyzontu barwy indygo. A potem popchnął ją poza horyzont. Z mapy znajomych doznań przerzucił do krainy niewyobrażalnej rozkoszy. Jęki, jakie wydawała wbrew sobie, mieszały się z krzykiem mew. Nie mogła ich powstrzymać.

– Dobry Boże. – Zbliżał się do spełnienia. Jeśli nie będzie uważać…

– Bram, bądź ostrożny.

– Nie chcę być ostrożny. – Jego oddech drażnił jej ucho. – Chcę cię posiąść. Naznaczyć. Zostawić w tobie swoje nasienie. Chcę, żeby świat się dowiedział, że należysz do mnie.

Och, Boże. Te słowa… zarazem przerażały ją i podniecały. Otworzyła usta, żeby się sprzeciwić, żeby prosić. Uważaj! Uważaj! Uważaj na moje serce, kiedy mówisz takie rzeczy. Ale potem poruszył się znowu i z jej ust mogły się wydobywać jedynie jęki rozkoszy.

Nie wiedziała, nie śniła, że może się tak obnażyć. Z każdym potajemnym spotkaniem z kobiety, za którą się kiedyś uważała, odpadały kolejne warstwy. Odarł ją z manier, z powierzchownej konwersacji, przeplatanej dowcipnymi przytykami, ze wszystkich tych przymiotów dobrze urodzonej, wykształconej starej panny. Zostały tylko zmysłowe doznania i gorączkowo bijące, bezbronne serce.

Drżała jeszcze z rozkoszy, kiedy wysunął się; poczuła ciepłe nasienie na udzie. Przytulił ją później, całując w skroń i policzek.

Oddychał urywanie. Przytulił czoło do jej ramienia, obejmując ją mocno.

– To coraz trudniejsze za każdym razem.

– Wiem. – Odsunęła się, opuszczając halki. Kiedy poprawiła ubranie, odwróciła się powoli w jego stronę. Słowa utkwiły jej w gardle, ale zmusiła się, żeby je z siebie wydusić. – Może ten raz powinien być ostatni.

– Susanno, wiesz, że nie o to mi chodziło. – Sięgnął po bryczesy zaplątane między kolanami. Niecierpliwymi ruchami podciągnął je i zaczął zapinać guziki.

Wygładziła włosy.

– Powinnam już iść.

– Poczekaj. – Przytrzymał ją za nadgarstek. – Co masz na myśli? Nie chcesz chyba uciec ode mnie? Od tego?

– Ja nie uciekam. To ty wyjeżdżasz. I nie możemy ciągle tego robić. Złapią nas.

– I co z tego, jeśli nas złapią? – powiedział. – Wiesz, że zamierzam się z tobą ożenić. Ożeniłbym się z tobą jutro.

– Tak. A parę dni później wyjechał.

Uśmiechnął się nieznacznie, z lekką ironią, wskazując gestem ruiny zamku.

– Jeśli ja nie stanowię dostatecznej zachęty, to ta kupa obrastających pleśnią kamieni może być twoja.

Parsknęła, wodząc wzrokiem po plątaninie murów i wieżyczek, które mieściły kiedyś jej marzenia.

– Nie masz pojęcia, ile dla mnie znaczy ta kupa porastających pleśnią kamieni. Chciałabym tylko, żeby można było do nich dodać rezydującego lorda Rycliffa.

Jego miejsce było tutaj, w Spindle Cove. Susanna była tego pewna od dnia pikniku, kiedy przemówił do mieszkańców wsi. Bram, taki silny i zdolny. Dobry przywódca, z wrodzonym poczuciem lojalności i honoru. Taki człowiek przydałby się tutaj. Gdyby tylko zdecydował się zamienić życie wojskowego na spokojniejszą egzystencję, z pewnością byłby tutaj szczęśliwy jako lord Rycliff.

I ona byłaby szczęśliwa – doskonale, cudownie szczęśliwa – jako jego żona.

– Czy nie pragniesz prawdziwego domu, Bram? No, wiesz, takiego z dachem i… ścianami i tym rzadkim luksusem, zwanym oknami? Nawet tapicerką. Dywanami, zasłonami. Dobrymi posiłkami i miłym, ciepłym łóżkiem.

– Nigdy nie tęskniłem za domowymi wygodami. Pięciodaniowe posiłki na kruchej porcelanie, wytapetowane salony… Takie życie jest po prostu nie dla mnie. Ale nauczyłbym się doceniać łóżko, jeśli to ty byś je ogrzewała. – Pociągnął ją za nadgarstek, chcąc przyciągnąć do siebie.

Oparła się. Nigdy nie zdoła powiedzieć tego, co miała do powiedzenia, jeśli nie będzie ich dzielić jakaś odległość.

– Dom to nie tylko to, czego ty potrzebujesz, Bram. To także ludzie, którzy potrzebują ciebie. Co miałabym robić, kiedy odjedziesz? A co z twoim kuzynem? A co ze wszystkimi mężczyznami i kobietami ze Spindle Cove, którzy tak ciężko dla ciebie pracują, nawet teraz, kiedy rozmawiamy? Jesteś ich lordem. Czy to nic dla ciebie nie znaczy?

– Owszem, tak. – Wzrok mu stwardniał, uścisnął ją jeszcze mocniej. – To znaczy bardzo wiele. A najlepszym sposobem, jaki znam, żeby im to wynagrodzić, będzie skończyć tę wojnę. Chronić swobody, jakimi się cieszą, i zachować suwerenność ziemi, jaką nazywają swoją ojczyzną. Susanno, tu nie chodzi o jakąś tam wyspę, której Anglia pewnie nigdy nie powinna podbijać. Wiesz, że Bonapartego trzeba pokonać.

– I nie można go pokonać bez twojej obecności w Hiszpanii? Trochę jesteś zarozumiały, nie sądzisz? Mój ojciec zrobił więcej, żeby pokonać siły Napoleona, niż ty zdołasz zrobić kiedykolwiek w życiu, a od dziesięciu lat nie opuszczał Sussex.

– Cóż, nie jestem taki jak twój ojciec.

– Nie, nie jesteś. – Uniosła jedno ramię. – A kiedy Napoleon zostanie pokonany, to co? Zawsze będzie jakiś konflikt, jakaś wojna. Jakaś wysunięta placówka, której trzeba bronić. Gdzie to się kończy?

– Na tym polega służba – stwierdził cierpko. – Nigdy się nie kończy.

Patrzyła na niego, powoli kręcąc głową.

– Boisz się.

Parsknął lekceważąco.

– Tak. Jesteś wielkim, silnym mężczyzną ze zranioną nogą, który czuje się bezużyteczny i przerażony. Mówisz, że nie potrzebujesz domu, rodziny, społeczności czy miłości? – Zaśmiała się niedowierzająco. – Proszę cię. Tak strasznie tego chcesz, że to pragnienie emanuje z ciebie jak para. Ale boisz się naprawdę po nie sięgnąć. Boisz się, że ci się nie uda. Umrzesz raczej, ciągnąc stare życie, niż zdobędziesz się na odwagę, żeby zbudować sobie nowe.

Jego ręka ścisnęła jej nadgarstek, mocno jak kajdany.

– Kto mówi o umieraniu czy niepowodzeniu? Chryste, ty zawsze pomniejszasz ludzi, odsuwasz ich. Twój ojciec jest za stary, żeby pracować. Twoje przyjaciółki są zbyt delikatne, żeby tańczyć.

– Pomniejszam ludzi? Po tym wszystkim, czego się dowiedziałeś o tym miejscu i o mnie, oskarżasz mnie, że ograniczam te młode kobiety? – Gardło jej się ścisnęło. – Jak możesz mówić coś takiego?

– Po wszystkim, czego się o mnie dowiedziałaś, wciąż nie możesz mi ufać? Wyjdź za mnie i ufaj, że skończę tę wojnę i wrócę do ciebie. Na Boga, Susanno… – Głos mu się załamał, na chwilę odwrócił wzrok, zanim podjął na nowo. – Sam czasem wątpię. Ale ze wszystkich ludzi, myślałem, że ty we mnie wierzysz.

– Wierzę. – Łza spłynęła jej po policzku, otarła ją wolną dłonią. – Wierzę w ciebie, Bram. Wierzę w ciebie bardziej niż ty sam. Czy wierzę, że możesz prowadzić żołnierzy do bitwy? Oczywiście, że tak. Ale wierzę także, że możesz być kimś dużo więcej. Przywódcą poza polem bitwy, nie tylko na nim. Szanowanym lordem, ważnym dla swojej społeczności… może nawet

głosem swoich żołnierzy w parlamencie. – Przycisnęła pięść do brzucha. – Wierzę, że byłbyś wspaniałym mężem i ojcem.

Jego uścisk złagodniał.

– Więc czemu…

– Nie mogę za ciebie wyjść, nie w ten sposób. – Wyrwała mu rękę. Drugą ręką zaczęła masować czerwone ślady po jego uścisku i stare blizny, które nigdy, przenigdy nie miały zblednąć. Cofnęła się o krok. – Nie rozumiesz? Nie chcę znów być porzucona.

Na świecie zapadła nagle cisza. Umilkł szum fal, ustał wiatr. Mewy przestały krzyczeć.

Kiedy w końcu zdołała się zmusić, żeby na niego spojrzeć, wpatrywał się w nią intensywnie z pytaniem w oczach. I to pytanie sięgało wprost do jej serca.

– I kto się teraz boi?

Nie odpowiedziała. Odwróciła się i uciekła.

23

W parę dni później Bram stał, patrząc na tę samą basztę. Była ciemna, chmurna noc. Mgła właściwie przesłaniała cały widok. Jego myśli zajmowało tak niewiele spraw, że się łapał na ponownym odtwarzaniu w pamięci swego ostatniego spotkania z Susanną. Noc przynosiła mu jej słowa – raz po razie.

„Nie chcę znów być porzucona…”

Na Boga! Nie miał najmniejszego zamiaru jej porzucać. Wszystko, czego pragnął, to ożenić się z tą kobietą. Nieważne, jak daleko od siebie rzuci ich los – jego życie będzie z nią związane nierozerwalnym łańcuchem.

Potrzebowała takiego właśnie mężczyzny jak on. Mężczyzny dostatecznie pewnego siebie, żeby mógł się radować jej inteligencją, a nie być nią zastraszanym. Mężczyzny dostatecznie odważnego, żeby stawić jej czoło, żeby ją przeciągnąć poza granice, które sama sobie stworzyła. Dostatecznie silnego, by ją chronić, gdyby kiedykolwiek się posunęła za daleko. To właśnie było potrzebne tej niezwykłej kobiecie, jaką się stała.

A jednak gdzieś wewnątrz niej skrywała się niepewna siebie, przerażona, zraniona dziewczynka, która rozpaczliwie pragnęła czegoś innego – mężczyzny, który wszedłby delikatnie w jej bezpieczne, uporządkowane życie i obiecał, że nigdy, przenigdy nie zostawi jej samej.

Bram po prostu nie sądził, że mógłby – a nawet, że powinien – stać się dla niej takim mężczyzną.

Kiedy o drugiej nad ranem, jeszcze w czarną jak smoła noc Thorne przyszedł, żeby go zluzować, Bram wziął wręczoną mu w milczeniu przez kaprala pochodnię i ruszył na dół po kręconych schodach. Wokół niego latały ćmy, które ściągnęły do gorącego jasnego płomienia.

Wyszedł na dziedziniec i rzucił okiem na schludne rzędy namiotów. Ciszę nocy mąciło tylko chrapanie i – od czasu do czasu – czyjeś

kaszlnięcie. W stronę Brama ruszyło jakieś puszyste widmo, które się wyłoniło z cienia.

Spojrzał na owieczkę.

Owieczka popatrzyła na niego.

Dał za wygraną. Wydobył z kieszeni garstkę kukurydzy i sypnął na ziemię.

– Dlaczego nie mogę cię zjeść? – spytał, zirytowany.

A przecież doskonale znał odpowiedź:

Bo ona nadała mu imię. Biedactwo! A teraz już jest skazany na to „domowe zwierzątko".

Od czasu, kiedy tu przybył, Susanna jak pająk zarzucała na niego delikatne nitki uczuć, wiążąc go z tym miejscem w taki sposób, w jaki bynajmniej nie pragnął być związany. Jeżeli czym prędzej stąd nie odejdzie, zacznie się czuć jak w pułapce!

Zbliżył się do namiotu, który – jak wiedział – był namiotem Colina. Lekko odchrząknął. W namiocie coś zaszeleściło, rozległ się stłumiony brzęk, a jeden z pali, utrzymujących namiot, zadrżał. W porządku. Nie śpi.

– To ja, Bram… – wyszeptał. – Muszę z tobą pogadać o tym pokazie artyleryjskim.

Żadnej odpowiedzi. Ani też żadnego kolejnego ruchu w namiocie.

Przykucnął i zbliżył pochodnię do klapy, wiedząc, że światło musi przeświecać przez tkaninę.

– Colin… – Trącił klapę łokciem. – Colin! Musimy omówić ten pokaz artylerii! Sir Lewis ma nowe…

Wtem poczuł, że ktoś stojący za nim klepie go po ramieniu.

– Czego chcesz?

Bram myślał, że wyskoczy ze skóry. O mały włos nie upuścił pochodni.

– Jezu Chryste!

Zerwał się na równe nogi, odwrócił i podniósł pochodnię, która oświetliła twarz Colina.

Kuzyn stał obok. Wyglądał, jak uosobienie nonszalancji, ubrany w rozpiętą na piersi koszulę i luźne spodnie. W jednym ręku ściskał butelkę wina, trzymając ją za wąską szyjkę.

– Słucham, Bram! Co mogę dla ciebie zrobić?

Bram spojrzał na Colina, potem na namiot.

– Skoro ty jesteś tu ze mną, na zewnątrz – podkreślił, machając pochodnią w stronę kuzyna – to… kto jest w twoim namiocie?

– Przyjaciółka. I naprawdę chciałbym wrócić do zabawy z nią… Oczywiście, jeżeli nie masz nic przeciwko temu. – Colin zębami wyciągnął korek z butelki i wypluł go daleko od siebie. – Czego chcesz? Nie mogłeś z tym poczekać do rana?

– A co ty, u diabła, robisz w namiocie z kobietą?

Colin zabawnie przekrzywił głowę.

– Hm… Jak szczegółowa ma być moja odpowiedź?

– Ktokolwiek to jest, będziesz musiał się z nią ożenić!

– Nie sądzę. – Colin odsunął się od namiotu o parę kroków, dając Bramowi znak, żeby poszedł za nim. Kiedy już byli dostatecznie daleko, powiedział zniżonym głosem: – Słuchaj, to jedyny sposób, żebym mógł zasnąć, Bram. Albo damskie ramiona, albo niekończąca się bezsenna noc. Kiedy ci mówiłem, że nie mogę spać sam, to nie było z mojej strony wyrażenie upodobań do nocnych igraszek, tylko stwierdzenie faktu.

– Po tylu latach? – Bram znowu podniósł pochodnię, by spojrzeć kuzynowi w twarz. – Ciągle jeszcze…?

Colin wzruszył ramionami.

– Ciągle.

Podniósł do ust butelkę wina i pociągnął długi łyk.

Zaskoczonego Brama zalała fala współczucia. Wiedział, że w młodości Colin cierpiał na bezsenność i miewał nocne koszmary po tragicznym wypadku, w którym zginęli jego rodzice. Podczas pierwszego roku w szkole chłopcy w sypialni dokuczali Colinowi w nocy tak, że płakał i krzyczał. Bram – wówczas największy chłopak w czwartej klasie – pięściami wbił znęcającym się chłopakom trochę rozumu do głów, dzięki czemu dręczenie Colina ustało. Żaden z kolegów nie odważył się zaczepiać i naśmiewać z kuzyna, wobec czego Bram uznał, że złe sny wreszcie się skończyły.

Ale najwyraźniej tak nie było. Nadal pokutowały. Przez dziesiątki lat.

Niech to szlag!

– Więc… kto jest w tym namiocie? – spytał Bram. Nietoperz latał im nad głowami tak, że obaj musieli się od niego opędzać. – Mam nadzieję, że nie panna Highwood!

– Boże, nie! – Colin parsknął śmiechem. – Panna Highwood to bez wątpienia urocza dziewczyna, ale wytworna… No, i niewinna. A poza tym o wiele za delikatna, jak na moje wymagania. Fiona i ja… No cóż! Rozumiemy się doskonale… na całkiem podstawowym poziomie.

– Fiona? – Bram zmarszczył brwi. Nie mógł sobie przypomnieć żadnej kobiety o tym imieniu.

– Pani Lange – wyjaśnił Colin, przemykając obok Brama. – Podziękujecie mi, kiedy się okaże, że pisze teraz lepsze wiersze!

Bram chwycił go za ramię.

– Ależ ona jest mężatką!

– Tylko nominalnie. – Colin rzucił złym okiem na rękę kuzyna. – Chyba nie będziesz mi teraz wygłaszać kazań ani prawić morałów? A ty ile razy znikałeś, żeby się spotkać z panną Finch?

Bram patrzył na niego bez słowa. Był przekonany, że on i Susanna byli naprawdę ostrożni, że nikt ich nie zauważał. Ale Colin najwyraźniej nie spał. I okazał się spostrzegawczy!

– Rozumiesz? Więc mnie nie osądzaj! – ciągnął kuzyn. – Fiona i ja dogadaliśmy się i jesteśmy dorośli. Może i jestem hulaką, ale nie łajdakiem! Jeszcze mi się nie zdarzyło zrujnować życia niewinnej dziewczynie. I nigdy nie próbowałem złamać kobiecie serca.

– Nie mam zamiaru rujnować Susannie życia – rzekł zdecydowanie Bram. – A jej serce nie jest jedynym, które może zosytać złamane.

– Ach, więc się z nią żenisz?

Bram westchnął ciężko.

– Nie wiem.

– Dlaczego nie? Czekasz na lepszą okazję?

– Co takiego? O Boże, nie!

Nie znał nikogo, kto przewyższałby Susannę inteligencją, odwagą, pięknością, pasją czy wielkodusznością. Lepszej od niej kobiety nie było na świecie!

– Aha… więc się boisz!

– Nie boję się.

– Oczywiście, że się boisz. To ludzkie. Wszyscy się boimy, co do jednego. Boimy się życia, miłości, śmierci… Możliwe, że maszerowanie całymi dniami w zwartej kolumnie oderwało cię od tej prawdy! Ale co się

dzieje, kiedy słońce zaczyna zachodzić? Wszyscy po prostu brodzimy w ciemnościach, starając się przetrwać kolejną noc.

Colin wypił następny łyk wina, po czym spojrzał na butelkę.

– Znakomity rocznik. Dzięki niemu mówię niemal inteligentnie…

– Ależ ty jesteś inteligentny! Wiesz doskonale, że mógłbyś coś zrobić ze swoim życiem. Gdybyś z takim uporem nie marnował wszystkich talentów, a także majątku…

– Proszę, nie mów mi o marnowaniu rozmaitych darów od Boga, Bram. Jeżeli ta kobieta cię kocha, a ty to odrzucasz… Nigdy nie chcę już słyszeć z twoich ust żadnej lekcji życia.

– Możesz mi wierzyć, że niczego nie odrzucam. Ale nie wiem, czy ona mnie kocha.

– Proszę cię! – Colin machnął w jego stronę butelką. – Jesteś bogaty, a teraz także utytułowany. Załóżmy, że musisz się borykać z tym sztywnym kolanem, ale w każdym razie wszystkie zęby masz własne! – Łobuzersko podniósł jedną brew. – No, i biorąc pod uwagę, że w naszej rodzinie dziedziczy się piękne męskie wyposażenie…

Bram pokręcił głową.

– Och… – szepnął Colin ze współczuciem. – Czyżby nie…?

– Tak! – Bram zdenerwował się i zwinął dłoń w pięść. – Ale to nie ma znaczenia.

To było absurdalne. Od kiedy jego kuzyn wygłasza dowcipne aforyzmy i udziela mu rad? Do cholery! W ich stosunkach to Bram powinien być głosem rozsądku!

– Nie ma znaczenia, ile cali nosimy w spodniach! Nie ma znaczenia, ile funtów mamy na koncie w banku…. Żadna z tych liczb nie wpływa na miłość.

– Chyba masz rację. Tym gorzej dla mnie… – Colin w zamyśleniu pokiwał głową. – No cóż, Lordzie Wyniesiony do Godności Hrabiego za Męstwo, wielu ludzi tak uważa. Jeżeli chcesz wiedzieć, czy panna Finch cię kocha, to czy pomyślałeś o mocnym trzymaniu się za jaja i… Nie wiem, może o tym, że ją trzeba by o to zapytać?

Bram patrzył na niego, milcząc.

– Dobrze. Zostań tu i przemyśl to sobie. – Colin pomachał mu na pożegnanie i skierował się do namiotu. – Wybacz! Wygrzane łóżko czeka…

– Jest szybszy sposób, Charlotte – mówiła Susanna, ściągając rękawiczki i delikatnie trącając dziewczynę w bok. – Przy tym tempie będziesz tu tkwiła cały dzień!

Charlotte razem z kilkoma innymi damami spędzała każde popołudnie na zawijaniu w papier nabojów z czarnego prochu. Niestety, mężczyźni podczas codziennych ćwiczeń strzeleckich zużywali ich tyle, że kobiety z trudem nadążały z produkcją nowych.

Wobec pokazu, zaplanowanego na jutro rano, sala śniadaniowa w Summerfield stała się dzisiaj tymczasową prochownią, pośród innych przygotowań do oficerskiego balu.

Po prostu nie było czasu do stracenia.

– Tracicie czas, tnąc duże płachty papieru na mniejsze. Już dawno temu odkryłam, że to – rzuciła na stół niebiesko oprawioną książkę – ma idealny rozmiar.

Charlotte patrzyła na książkę szeroko otwartymi oczyma.

– Ale… panno Finch! To przecież *Mądre rady* pani Worthington!

– No, tak!

– Ależ… sama pani mówiła, że to bardzo pożyteczna książka.

– Toteż jest pożyteczna! Ma idealny rozmiar, żeby ją wstawiać w okno, by się nie zamknęło. Z jej stron można robić naboje, a treść… cóż, czasem dzięki niej można się nieźle pośmiać! A poza tym? Nigdy nie zważaj na to, co tam jest napisane, Charlotte.

Susanna otworzyła książkę i bez litości wydarła z niej kartkę, po czym ją wygładziła na stole.

– Przede wszystkim musicie być pewne, że macie w zasięgu ręki wszystko, co wam potrzebne. – Jej palce dotykały każdego elementu po kolei. – Papier, czop, kule, proch, nić. Owińcie papier dookoła czopu, tworząc rurkę – mówiła, pokazując – i następnie kulą przepchniecie przez nią czop. Kiedy kula już prawie dojdzie do końca, ściśnijcie papier i dobrze zakręćcie. Następnie nasypcie tam prochu.

Trzymając owiniętą w papier kulę w palcach, wypełniła resztę cienkiej rurki czarnym prochem, pozostawiając około centymetra wolnej przestrzeni na szczycie.

– Teraz nie trzeba nawet mierzyć, widzicie? Po prostu przestańcie sypać proch, kiedy jego poziom się zrówna z marginesem tekstu książki. Jeszcze

raz zakręcamy, zawiązujemy nitką… i gotowe. – Z uśmiechem zadowolenia podała nabój Charlotte. – Dzięki praktyce szybko się uporasz się z resztą!

Charlotte wzięła nabój i patrzyła na niego, mrugając powiekami.

– Mogę pani zadać pytanie, panno Finch?

– Naturalnie. – Susanna wyrwała z książki dwie kolejne kartki i jedną podała dziewczynie. – Pod warunkiem że będziemy rozmawiały przy pracy!

Przechylając głowę, jak papuga, Charlotte patrzyła na nieokryte rękawiczkami przeguby rąk Susanny.

– Co się pani stało?

Susanna zesztywniała. Powoli otworzyła ramiona i przypatrywała się odkrytym teraz bliznom. Przez tyle lat ukrywała je pod rękawami, mankietami i rękawiczkami, albo zbywała byle jaką wymówką każdego, kto je spostrzegł i spytał…

Dlaczego?

A teraz była tutaj, po ponad dziesięciu latach. Już nie dziewczynka, ale dorosła kobieta, rozumna i wykształcona. W tej chwili dosłownie odrzucała idiotyczne nauki, narzucane kobietom z towarzystwa i ograniczające je. Pokazywała dobrze wychowanej młodej damie sztukę tworzenia. Nie malowanych tac do herbaty, ale wytwarzania nabojów z czarnym prochem. Być może świat pozostawił na niej kilka znaków, ale i ona sama pozostawi swój malutki znak na świecie! Tutaj, w Spindle Cove, gdzie kobiety mogą bezpiecznie odkrywać swoją najlepszą i najbardziej prawdziwą istotę.

Przebiegła palcami po znanej od tylu lat mapie bólu na przedramionach. Te blizny stanowiły część jej samej. Nie były wszystkim tym, czym ona była, ale jej częścią. I oto nagle poczuła, że nie ma najmniejszego sensu ich ukrywać!

– To są zaleczone rany – wyjaśniła Charlotte. – Po puszczaniu krwi. Już wiele lat temu.

Dziewczyna się skrzywiła.

– Czy to boli?

– Nie. – Zaskoczył ją jej własny uśmiech. – Wcale nie boli. Wiem, że robią wrażenie. Ale, prawdę mówiąc, czasami kompletnie o nich zapominam na całe dnie!

Kiedy to mówiła, była wręcz zdziwiona, jak bardzo jej słowa okazały się prawdziwe i o ile lżej się czuła, mogąc je wypowiedzieć.

Przygoda z Bramem była już skończona… Przynajmniej tak się jej wydawało. Nie rozmawiał z nią już od wielu dni. Nie było też kolejnych kartek. Niemniej to, co ich połączyło, zmieniło ją na zawsze. On ją zmienił. Dał jej ten cudowny, wyzwalający dar – odwagę zaakceptowania siebie taką, jaka jest. Blizny… piegi… pasje… wszystko to razem… Czy złamane serce się zabliźnia? Czy, kiedy minie dziesięć lat albo więcej, będzie mogła też o nim zapominać na całe dnie?

W to jednak jakoś wątpiła.

– Panno Finch?

W drzwiach stanęła Violet Winterbottom.

– Panna Bright czeka na panią w holu. Chce usłyszeć pani zdanie na temat dekoracji.

– Już idę!

Susanna wręczyła Charlotte materiały potrzebne do robienia nabojów, szybko opłukała ręce i wybiegła z pokoju śniadaniowego. Rękawiczki zostawiła.

Przeszła przez salonik, który wyglądał, jak pole pełne strachów na wróble. Stali w nim ochotnicy z rozstawionymi szeroko rękami, podczas gdy damy z ustami pełnymi szpilek przymierzały i dopasowywały im mundury, robiąc ostatnie poprawki.

Kiedy Susanna dotarła do holu, zobaczyła, że i tam aż huczało. W jednym końcu długiego i wąskiego pomieszczenia ćwiczyła na fortepianie Kate Taylor. Wzdłuż ściany z oknami w wykuszach pan Fosbury wraz z dwoma lokajami ustawiali stoły, szykując bufet. Damy i służące biegały tam i z powrotem, znosząc pęki kwiatów i meble. Bez przerwy było słychać stukot ich kroków na drewnianej posadzce.

Jutro wieczorem to miejsce miało się stać szczytem elegancji – przynajmniej miała taką nadzieję. Ale w tej chwili było uosobieniem chaosu.

– Proszę! – zawołała Sally Bright, rzucając Susannie w ramiona wiercące się niemowlę. – Proszę wziąć Daisy, muszę wejść na drabinę! Mamy kilka girland do wyboru.

Susanna czekała cierpliwie, stojąc po środku pokoju. Patrzyła w górę na balustradę i równocześnie kołysała najmłodszą latorośl Brightów w takt gam, wygrywanych na fortepianie przez Kate. Daisy w ciągu ostatnich

miesięcy zrobiła się tłuściutka. Susanna odczuła to już po paru minutach, kiedy jej ramiona zaczęły mdleć od ciężaru dziecka.

– Ona panią uwielbia, panno Finch! – wołała Sally, upinając girlandy na balustradzie. – Proszę! Ta jest czerwona. Naprawdę piękna… Ale to może będzie za dużo? Przy tylu czerwonych kurtkach w pokoju? Może zobaczmy granatową… nie, chyba będzie za ciemna na wieczorną uroczystość. Jak pani myśli, która byłaby najlepsza?

Susanna z zastanowieniem pokręciła głową.

– Zgadzam się z panią całym sercem, panno Finch! – zawołał z góry pastor Keane, który się właśnie ukazał na balkonie obok Sally. – Żadna nie pasuje. Potrzebujemy czegoś bardziej błyszczącego. Proponuję złoto!

– Powiedziałam przecież pastorowi – wtrąciła Sally – że nie mamy dosyć złotej tkaniny!

– Masz rację, dziecko. Ale… – Tu pastor strzelił palcami. – Wiem! Połączymy złoto z tiulem!

– Z tiulem! – krzyknęła zachwycona Sally. – Cudowny pomysł! Proszę chwileczkę zaczekać, panno Finch! Pokażemy pani, jak to będzie wyglądać!

Oboje zniknęli, grzebali i szperali w pudłach z ozdobami.

Susanna z westchnieniem przerzuciła Daisy na drugie ramię.

– Tutaj jesteś! Wszędzie cię szukam!

Przy jej boku nagle pojawił się Bram.

Straciła na chwilę równowagę, tak że musiała niemal żonglować trzymanym w ramionach niemowlakiem.

– Naprawdę mnie szukałeś?

Nie widziała Brama od trzech dni, z wyjątkiem kilku razy, kiedy go dostrzegła przelotnie z daleka. No, i oczywiście musiał akurat teraz wyglądać wyjątkowo atrakcyjnie! Pod nową kurtką oficerską miał na sobie samodziałową koszulę bez kołnierzyka, otwartą przy szyi. Starała się na niego nie patrzeć, ale zdołała tylko uniknąć bezpośredniego wpatrywania mu się w oczy. Jej wzrok zatrzymał się na mocno zarysowanej szczęce i zmysłowych wargach. Następnie padł na wyraźnie widoczny klin nagiego torsu, pokrytego krętymi, ciemnymi włosami.

Czyżby próbował ją torturować?

– Powiedz mi, proszę, co to jest?

Wskazał świeżo obrębiony mankiet kurtki, ozdobiony mosiężnymi guzikami.

– Ach, to! – Wstrzymała uśmiech. – Aaron Daves zrobił formę, a potem je odlał. Każdy porządny oddział ochotników powinien mieć swój symbol.

– Tak, ale porządni ochotnicy nie obierają za symbol owcy!

– O ile sobie przypominam, to owca wybrała ciebie.

Przebiegł kciukiem po napisie na guziku: *Aries eos incitabit.* „Baran ich pogna do ataku”?!

– Bądź ostrożny, milordzie! Bo wyraźnie widzę te twoje trzy semestry w Cambridge!

Wyraz ust mu złagodniał tym delikatnym cieniem uśmiechu, który już pokochała.

– Niezależnie od tych guzików dokonałaś nadzwyczajnych rzeczy! Ty i pozostałe panie. Mundury, szkolenie… – Rozejrzał się po sali. – Wszystkie te przygotowania.

Jego uznanie rozgrzało jej serce.

– Wszyscy ciężko pracowaliśmy. Miałam któregoś dnia okazję brać udział w ćwiczeniach. Duże wrażenie, milordzie! Jutro niewątpliwie czeka nas wielki triumf!

Na chwilę zapadła między nimi niezręczna cisza, którą natychmiast wypełniła mała Daisy, gruchając i śliniąc się obficie.

– A to kto taki? – Pochylił się do niemowlęcia, które się wierciło w jej ramionach. – Chyba nie byliśmy sobie przedstawieni!

– To – Susanna się obróciła, żeby lepiej widział – jest mała panna Daisy Bright.

– Powinienem się domyślić… po włosach.

Blond niemowlę wyciągnęło tłustą rączkę do Brama, usiłując złapać jeden z błyszczących guzików przy jego kurtce. Susanna też miała ochotę go dotknąć… Wiedziona impulsem, zarówno z powodu zmęczenia ramion, jak wzruszenia, podała Rycliffowi niemowlę.

– Proszę. Możesz ją potrzymać?

– Ja? Chwileczkę… ja nie…

Nie dała mu okazji do protestu, sadowiąc małą Daisy w zgięciu jego łokcia. Dzieciak, zachwycony, złapał za guzik i zaczął go szarpać.

– Widzisz? Jednak komuś się te guziki podobają! – Spojrzała w górę na Brama. Biedak stał jak słup soli, najwyraźniej ogarnięty paniką. – Staraj się

uspokoić! – zakpiła. – To niemowlę, nie granat!

– Z granatami mam większe doświadczenie.

– Dasz sobie radę. – Daisy wypuściła guzik, za to złapała Brama za kciuk i mocno go ścisnęła. – Patrz, już cię adoruje!

Serce podchodziło Susannie do gardła, kiedy patrzyła na niego, trzymającego niemowlę tak ostrożnie. Wpatrywał się w tłuste, malutkie paluszki, owinięte wokół jego palca.

Był tu znowu, a wraz z nim… ta tortura.

Nigdy przedtem dużo o tym nie myślała, ale teraz… och, jak bardzo pragnęła dziecka! Uwielbiała sobie wyobrażać własne piersi i brzuch, wezbrane ciążą. Uwielbiała myśli o budzeniu się nocą z powodu kopania dziecka wewnątrz siebie. Uwielbiała marzenia o tym, do kogo jej dziecko byłoby podobne, zastanawiania się, które z rodziców będzie bardziej kochać… Uwielbiała to wszystko – ale przede wszystkim kochała pragnienie noszenia nie po prostu dziecka, ale dziecka Brama.

Bo to jego pokochała.

Kochała go. Był może zanadto uparty, żeby to przyznać, ale potrzebował jej miłości. Nie mogła mu pozwolić odejść.

Miała jeszcze jedną, ostatnią nadzieję. Suknia balowa. Kremowy obłok w kolorze kości słoniowej, usiany perełkami i brylancikami, który wisiał teraz w jej garderobie na piętrze. Nosiła tę suknię tylko raz, parę lat temu, w Londynie. Ale kiedy ją przymierzyła w zeszłym tygodniu, żeby dopasować, okazało się, że stanik leży na niej jak druga skóra. Dekolt unosił i uwydatniał jej piersi, a wszyte fiszbiny wyszczuplały talię.

Bawiła ją ta niemądra wizja siebie samej, spływającej po szerokich schodach w tej uroczej, zwiewnej sukni… jutro wieczorem! Wyobrażała sobie Brama, stojącego u podnóża schodów i wpatrzonego w nią z mieszaniną dumy i najzwyklejszego pożądania. Mimo iż wszystko wskazywało na to, że nie jest świetnym tancerzem, Bram z marzeń ujmował jej dłoń i pociągał za sobą w powolnym, romantycznym rytmie walca… Tam, wobec tłumu zachwyconych widzów, wirował z nią, po czym się zatrzymywał, by jej wyznać swoją dozgonną miłość.

Cudowne, głupie marzenie!

Ale to było jeszcze przed ich kłótnią na baszcie. Jeszcze zanim ją oskarżył o to, że jest nieufna, podejrzliwa i że się boi.

Nie, nie wystarczy włożyć na siebie piękną suknię, żeby zmienić jego zdanie. Zresztą, gdyby ta suknia rzeczywiście to sprawiła, Susanna nie była pewna, czy zachowałaby szacunek do tego człowieka.

– Muszę z tobą porozmawiać – rzekł cicho. Rozejrzał się po sali pełnej ludzi. – Gdzie indziej. Gdzieś… gdzie będziemy sami.

– Sami?

Gamy wygrywane przez Kate nagle ucichły, a serce Susanny zaczęło bić szybciej niż zwykle. Wyłożone boazerią ściany zaczęły na nią napierać… Poza tym czuła wyraźnie badawcze spojrzenia wszystkich obecnych w tym zatłoczonym pokoju. Rozejrzała się po twarzach przyjaciółek, sąsiadów, służby… Tak jak podejrzewała, wszyscy patrzyli tylko na nich. Obserwowali. Zastanawiali się, co…

Cóż… dobrze.

Nie tylko dobrze. Doskonale! Niepokojący ciężar w brzuchu znikł, ustępując miejsca bulgotaniu oszałamiającej radości: bąbelki po prostu unosiły się w niej do góry jak szampan. I nagle już dokładnie wiedziała, co ma robić.

– Zatańcz ze mną.

– Zatańczyć z tobą… Masz na myśli jutro wieczorem, na balu oficerskim?

Pokręciła głową.

– Nie, mam na myśli tutaj. Teraz.

Cóż z niej byłaby za nowoczesna kobieta, gdyby nie starała się realizować własnego marzenia? Może – dla odmiany – teraz przyszedł czas, żeby to ona zwaliła z nóg mężczyznę!

Rozwiązała troczki fartucha i zdjęła go przez głowę, po czym zawiesiła go na balustradzie i wygładziła fałdy różowej sukienki. Nie był to wielki obłok olśniewającego jedwabiu, ale na razie musiała wystarczyć.

– Kate! – zawołała, odrzucając z czoła loczek. – Zagrasz nam walca?

Bram przestępował z nogi na nogę, obserwując ją z prawdziwym niepokojem.

– Nie jestem dobrym tancerzem…

– Och, nic nie szkodzi. Ja też nie. – Wyjęła mu z rąk małą Daisy i podała dziecko najbliżej pokojówce. – Panno Taylor, niech to będzie powolny walc, bardzo proszę!

– Nie mam w tym żadnej praktyki… nawet, zanim to… – Tu wskazał na swoje sztywne kolano.

– Nieważne! – Ujęła go za ręce i pociągnęła na środek sali. – Damy sobie radę!

Zainteresowani widzowie cofnęli się pod ściany, pozostawiając pusty krąg wokół tańczących. Zwinne palce Kate wydobyły z fortepianu pierwsze melodyjne tony walca.

Susanna stanęła naprzeciwko Brama pośrodku sali. Uniosła jego lewą rękę i umieściła ją na swojej talii.

– A teraz uwaga. Jak to idzie?

– Tak. – Jego prawa ręka zsunęła się pewnie i zdecydowanie na przestrzeń pomiędzy jej łopatkami. Szybkim gestem przyciągnął ją do siebie.

Jej oddech przerwał spazm upojenia. Wydawała się rozumieć, że miał dwa wyjścia, a jednym z nich było wymiganie się od tego tańca. Mógł się wydać otaczającym ich ludziom przymuszony i niezadowolony – albo przejąć dowodzenie.

Nic dziwnego, że wybrał to drugie.

– Gotowa? – spytał.

Zdołała skinąć głową.

Z władczym wdziękiem i leciutkim, ujmującym utykaniem, okrążał z nią salę w walcu.

Marzenie się spełniło.

Poruszali się w doskonałej zgodzie z muzyką. Susanna podejrzewała, że Kate robiła synkopową pauzę przy co trzecim takcie, tak żeby się dopasować do ich kroków. Być może muzyka płynęła w rytmie ich tańca, ale tak czy owak – wszystko to było magiczne!

Zrobili jedno okrążenie, potem drugie. Falbaniasta spódnica owijała się wokół jej kostek małymi wirkami różowej piany. W dodatku słońce, zniżające się powoli ku horyzontowi, właśnie wtedy się przebiło przez chmury. Jego bursztynowe promienie przepłynęły przez szkło okien, ciągnących się wzdłuż całej sali. Stare, wypaczone szyby załamały dzienne światło i upiększyły je, malując całą salę i wszystkich w niej się znajdujących ludzi barwną aureolą.

Ale najbardziej upiększyły Brama. Różane palce światła rozświetliły mu delikatnie brwi. Popołudniowy poblask leżał, jak złote płyty, na jego

ramionach. Jak lśniąca, błyszcząca zbroja. I cudownie dźwigał na sobie ten ciężar, wirując z nią po świeżo wywoskowanym parkiecie. Słyszała, jak niejedna z młodych panien tęsknie wzdycha…

To było coś zupełnie jak z bajki.

Patrzył jej głęboko w oczy. W rozszerzonych, ciemnych źrenicach lśniły drobne iskierki.

– Może mi powiesz, dlaczego to robimy?

Skinęła głową.

– Wtedy, tamtego dnia, miałeś rację, kiedy mnie oskarżyłeś o to, że się boję.

– Nie powinienem był mówić…

– Nie! Miałeś rację. Bałam się. Wiesz, zawsze mówiłam paniom, że Spindle Cove jest dla nich bezpiecznym miejscem. Miejscem, w którym kobieta może odnaleźć swoją najlepszą, najprawdziwszą istotę, niezależnie od tego, co sobie inni pomyślą. Ale w ciągu ostatnich paru tygodni to nie dotyczyło mnie samej. Ukrywałam część swojej prawdziwej istoty. Tę żywotną, rosnącą we mnie część, która zawiera wszystkie uczucia do ciebie. Ukrywałam to przed innymi, przekonana, że nie odważę się nikomu tego powiedzieć.

Muzyka brzmiała dalej, oni jednak się zatrzymali.

– Ale to śmieszne, prawda? I nieuczciwe w stosunku do nas obojga. Kiedy teraz na ciebie patrzyłam, wiedziałam… Wiedziałam całym swoim jestestwem, że nie mogę tego ukrywać ani minuty dłużej! Chciałam z tobą tańczyć. Chciałam, żeby wszyscy nas widzieli! – Poczuła, że dławi ją w gardle. – Żeby widzieli mnie, zakochaną w tobie.

I mimo że to była chwila, w której się niczego nie bała, nagle poczuła, że nie jest w stanie wytrzymać jego wzroku. Wobec tego dotknęła palcami złotego warkocza na jego nowej czerwonej kurtce. Nagimi opuszkami palców przesunęła po wypukłości. Pieściła go tym dotknięciem.

– Nie jestem pewna, co mam powiedzieć. Nie mam w takich sprawach doświadczenia. Mogłabym cię skomplementować, że jesteś najlepszym i najodważniejszym z mężczyzn, jakich znam. Ale biorąc pod uwagę, że znam ich bardzo niewielu, i tak byłoby to zdecydowanie niewystarczające.

W końcu udało się jej wydobyć z siebie resztki sił. Uniosła ku niemu twarz.

– Tak że… Po prostu ci powiem, że cię kocham. Kocham cię, Bram, i chcę, żeby każdy to widział. Chcę, żebyś ty też się o tym dowiedział… bo teraz jesteś już częścią tego miejsca tutaj. Nie ma znaczenia, dokąd cię zaprowadzi obowiązek, Spindle Cove będzie zawsze istnieć tylko dla ciebie. I ja też.

Objął ją ramionami i przytulił z całej siły do piersi.

– Ty moje piękne, bezczelne stworzenie!

Dalej już nic nie mówił, tylko wpatrywał się w jej oczy. Zdawało się, że to spojrzenie trwa całe wieki… Z każdą mijającą sekundą w jej brzuchu nerwowo bulgotało.

Z trudem przełknęła ślinę.

– Nic innego mi nie masz do powiedzenia?

– Przychodzi mi do głowy tylko: „Alleluja!”. A poza tym… – Pogłaskał ją pieszczotliwie po policzku. – Czy to znaczy, że jeżeli ci się teraz oświadczę, nie zrobisz tej swojej nieszczęśliwej, skrzywionej miny?

– Spróbuj, zobaczymy!

Odpowiedzią był uśmiech – szeroki, chłopięcy, bezwstydny uśmiech, w którym Bram pokazał wszystkie zęby. Uśmiech, jakiego nigdy przedtem u niego nie widziała, rysujący na jego twarzy wyraz szczerej radości w kształcie półksiężyca. Poczuła, że jej usta wyginają się w ten sam sposób – jak w lustrze.

Podniósł palcem jej podbródek do góry.

– Susanno Jane Finch! Czy…

– Susanno Jane Finch, co tu się dzieje? – zaskoczył ich oboje znajomy głos.

Papa!

Stłumiła w sobie chęć ukrycia się gdzieś albo wyrwania się z objęć Brama. Na każdy z tych wybiegów było już za późno, zresztą tak czy owak nie było potrzeby. Nie będzie przecież ukrywała przed własnym ojcem tego, czym się pragnęła podzielić z całym światem!

Nie tracąc z twarzy uśmiechu, wzięła rękę Brama w swoje dłonie, zakręciła się na wysokich obcasikach i obróciła w stronę ojca.

– Papo! – rzekła. – Tak się cieszę, że tu jesteś!

Wyraz twarzy ojca nie był jednak bynajmniej uosobieniem szczęścia. Szedł w ich kierunku przez salę wolnym, równym krokiem; w najlepszym

razie można powiedzieć, że robił wrażenie ostrożnego. Rozejrzał się po sali, jakby sprawdzał stopień bałaganu niezakończonych jeszcze przygotowań.

Służba z Summerfield zaczęła na gwałt biegać w różne strony. W jednej chwili zaczęto ponownie ustawiać meble i zawieszać girlandy. Kate też wróciła do wygrywania gam.

Susanna przygryzła wargę.

– Chodzi o tę salę, tatusiu? Wiem, że w tej chwili to wygląda katastrofalnie, ale poczekaj do jutra! Wszystko będzie wyglądało doskonale.

– Nie chodziło mi o jutro. – Jego wodniste, bladoniebieskie oczy były utkwione w Bramie.

Susanna nagle poczuła się odpowiedzialna za mężczyznę u swego boku. Złapała Brama za ramię.

– Papo, my tylko tańczyliśmy.

Uniósł siwą brew.

– Tylko tańczyliście?

– No tak, masz rację. Nie tylko tańczyliśmy, to było coś więcej. Widzisz, Bram i ja w ciągu ostatnich tygodni bardzo się do siebie zbliżyliśmy i… – Przelotnie rzuciła okiem w stronę Brama. – I… kocham go. – Sam fakt, że to powiedziała, już ją uszczęśliwił. Nie chciała nigdy tego skończyć. – Kocham go, papo, naprawdę go kocham!

Ojciec wbił wzrok w posadzkę i głęboko, miarowo odetchnął. Susanna patrzyła na niego, zaskoczona i równocześnie zachwycona. Jak to możliwe, żeby ktoś tak oddychał?

Wtedy ojciec podniósł wzrok… A jej serce uciekło w pięty.

Przed chwilą powiedziała ojcu, że się zakochała. Po raz pierwszy w życiu była zakochana!

A on nawet na nią nie spojrzał. Z obojętnego wyrazu twarzy mogła wywnioskować, że jej papa ma zamiar przyjąć tę wiadomość w taki sam sposób, w jaki zawsze przyjmował jej wszystkie tajemnice i wyznania uczuć.

Ma zamiar je zignorować. Tak, jakby nic nie usłyszał.

Boże drogi…

Czy tak to właśnie było dawniej, przez wszystkie czasy? Wtedy, gdy uważała, że powierza swoje sekrety roztargnionemu geniuszowi, kiedy

z całą miłością otwierała serce przed kimś, komu po prostu było wszystko jedno?

Na samą myśl o tym zrobiło jej się słabo. Nie, to nie do pomyślenia. Ojcu z pewnością na niej zależy. Przecież uratował jej życie. Tak wiele poświęcił, żeby zamieszkać z nią tutaj, w Summerfield.

Bram odchrząknął.

– Sir Lewisie, musimy porozmawiać.

– O tak, istotnie. Musimy. – Ojciec Susanny spokojnie sięgnął do kieszeni na piersi i wydobył jakiś papier. – Miałem zamiar poczekać z tym aż do jutrzejszego pokazu. Ale chyba teraz jest na to idealny moment.

Bram puścił dłoń Susanny i wziął do ręki złożony papier. Otworzył i przejrzał jego treść.

– Jasna cholera… Czy to jest to, o czym myślę?

– Rozkazy na piśmie – wyjaśnił ojciec Susanny. – Tak, przeprowadziliśmy dochodzenia z moimi przyjaciółmi w Ministerstwie Wojny. To nawet więcej, niż wyraźne sugestie. W najbliższy wtorek z portu w Portsmouth wypłynie okręt Królewskiej Marynarki Wojennej.

Susannie zabrakło tchu.

– We wtorek?!

Reakcja ojca była chłodna.

– Masz być na tym okręcie, Rycliff. A następnie, w ciągu paru tygodni, z powrotem ze swoim regimentem.

– To jest… – Wpatrzony w papier Bram z trudem przełknął ślinę. – Sir Lewisie, nie mam pojęcia, co powiedzieć!

Powiedz „nie”, chciała zawołać Susanna. Powiedz, że nie możesz wyjechać tak wcześnie. Powiedz, że się ze mną żenisz!

– Nie musisz mi dziękować. – Ojciec przygładził ręką rzadkie, srebrzyste włosy. – Uważam to za sprawiedliwą wymianę. Gdyby nie ten pokaz ochotników, nigdy nie miałbym szans zaprezentowania mojego nowego działa!

– Twojego nowego działa?!

Susanna zwróciła się do Brama, śmiertelnie wystraszona. Dał jej przecież słowo, że nie zaangażuje papy w sprawy związane z ochotnikami. Przecież nie mógł tak strasznie skłamać!

– Tak, Susanno – potwierdził ojciec. – Nowego działa. Jutro ma się odbyć jego prezentacja, jako część pokazu oddziału ochotników. – Spojrzał

na Brama. – Mam nadzieję, że udało ci się doprowadzić tych wszystkich chłopków do jakiejś formy? Liczę na efektowny pokaz, w zamian za łaski, jakie mi się udało załatwić. – Tu wskazał na list w ręku Brama.

– Ale… – Susanna pokręciła głową. W drugim końcu sali brzękliwe arpeggia Kate oznajmiły koniec kompozycji. – Bram, proszę, wytłumacz mi to, bo chyba tu czegoś nie rozumiem! Powiedz, że nie cofasz swojego słowa w zamian za jakieś podstępne sztuczki z rzekomym odzyskaniem komendy!

Odpowiedział szeptem:

– To nie tak… wszystko ci wytłumaczę.

– Powiedz, że ci mogę ufać! – ponaglała go, jąkając się z przejęcia. – Powiedz mi, że przez cały ten czas nie kłamałeś! Powiedz, że nie popełniłam najbardziej żałosnej, najgłupszej pomyłki w życiu… Inaczej… Inaczej nie wiem, co… – Głos jej się załamał.

– Susanno! – ostrym głosem rzucił ojciec. – Przestań robić sobie wstyd. Przecież wiesz, że masz skłonność do przesadnych wzruszeń. Być może wymyśliłaś sobie jakieś niemądre zadurzenie, ale to ci przejdzie. Jutro nie będzie czasu na żadne dziewczęce mrzonki. Będzie szło o dziedzictwo – zarówno Bramwella, jak i moje. Wystarczająco długo spełnialiśmy twoje zachcianki, moja droga. Teraz czas, by mężczyźni byli mężczyznami. Nie możesz nas od tego powstrzymać.

24

Przeklęte działo!

Colin walczył z linami, usiłując wciągnąć działo na wóz. Jak na prototyp i model wykonany w skali, było cholernie ciężkie. Lufa miała grubość jego uda i była odlana z litego mosiądzu.

Wyprostował się.

– Ej, wy! Nie dotykać tego! – Z wysokości wozu machał w stronę bliźniaków, odganiając ich od piramidy opakowanych w słomę skrzynek. – Zostawcie je tam, gdzie są!

– Co w nich jest? – spytał jeden z chłopców.

– Fajerwerki na jutro wieczór! Nie dotykajcie ich. Żebyście mi nawet nie dmuchnęli na nie! Sprowadzenie ich tutaj z Londynu zajęło mi przeszło tydzień!

– A będziemy mogli panu przy nich pomagać?

– Nie…! – odparł, zgrzytając zębami.

Fajerwerki miały być jego niespodzianką, jego wyjątkowym wkładem w imprezy tego dnia. Colin miał zamiar sam je odpalać, i w dodatku robić to jak najlepiej; chciał udowodnić Bramowi, że i on potrafi być w czymś dobry. W jego życiu takich rzeczy nie było, niestety, wiele, ale naprawdę miał smykałkę do artystycznych destrukcji. A co może być lepszym tłem od czystego, nocnego nieba?

Teraz trzeba się jednak było uporać z majstersztykiem sir Lewisa Fincha. Z tym przeklętym działem.

Chwycił linę w obie ręce i aż zakołysał się na obcasach, ciągnąc ze wszystkich sił. Przydzielenie mu odpowiedzialności za artylerię wydawało się przedtem smakowitym kąskiem… Aż do czasu, kiedy Colin zrozumiał, ile musiał się przy tym nadźwigać ciężarów! Cały dzień ganiał tam i z powrotem, nosząc proch dla pań, potem zabierając zrobione naboje do

zbrojowni, szmuglując fajerwerki do Summerfield, a teraz – taszcząc prototyp sir Lewisa na górę do zamku.

Ładowanie tego grata zajęło mu więcej czasu, niż planował. Teraz spieszył się, żeby zdążyć przed zapadnięciem nocy.

– A co to takiego? – spytał znów jeden z chłopaków.

Colin zauważył kątem oka, że Finn strąca słomę z jednej z „hałaśliwych zabawek". Zanim zdążył zaprotestować, chłopak pociągnął za sznurek.

Petarda eksplodowała z gwałtownym trzaskiem i chmurą dymu.

– A to ci heca! – zawołał ze śmiechem jego brat, Rufus. – Spróbuj jeszcze raz!

– Mówiłem wam obu: wynocha stąd! – wrzasnął Colin. Podniósł się i stanął, tylko po to, by zobaczyć, jak Kolacja ucieka truchtem z przerażonym bekiem. Wystraszona owieczka wcisnęła się pod płotek, otaczający ogrody Summerfield. – Patrzcie, coście narobili! Wystraszyliście tę przeklętą owcę. A wiecie, jaki Rycliff jest do niej przywiązany.

– Mamy ją złapać? – zapytał Finn.

– Nie, ja to muszę zrobić. Was się będzie teraz bała.

Colin zeskoczył z wozu. Strzepnął z rąk strzępy konopnych resztek liny, rękawem otarł pot z czoła.

Wspiął się na płot i znalazł w ogrodach warzywnych, gdzie rosły jarzyny i pikantne zioła do przypraw. Patrzył, jak owieczka biegnie ścieżką pomiędzy dwoma rzędami rzepy i przeciska się pod kolejnym płotem, by się dostać na sąsiednią parcelę, porośniętą piękną łąką.

– Kolacja! – wołał, znowu biegnąc za nią na łąkę. – Kolacja, wracaj zaraz!

Kiedy był już pośrodku pola, zatrzymał się na chwilę, by nabrać oddechu i rozejrzeć się za charakterystyczną kępką wełny. Kiedy nie zobaczył owcy, zwinął dłonie w trąbkę przy ustach i znowu spróbował.

– Kooolaaacjaaa!

Tym razem usłyszał odpowiedź. Właściwie kilka odpowiedzi.

Od tych zbiorowych zwierzęcych odpowiedzi aż zatrzęsła się ziemia. Ujrzał kilka wielkich ciemnych kształtów, sunących w jego stronę poprzez zmrok. Mrugnął oczami, starając się odpędzić złudzenie. To nie były owce.

Nie, to były…

Krowy.

Wielkie krowy. Zadziwiająco szybkie i groźne krowy. Niewielkie stado pędziło tam, gdzie stał, prosto na niego, na środek pola.

Colin cofnął się o kilka kroków.

– Czekajcie – powiedział, podnosząc ręce. – Nie was miałem na myśli!

Bestie jednak najwyraźniej nie przyjęły jego wyjaśnień do wiadomości. To naprawdę wstyd. Miały przecież raczej duże uszy! A może to były te… no… rogi?

Odwrócił się i jak szalony pognał do płotu.

Skończony idioto! – wymyślał sobie, pracując gwałtownie rękami i nogami i rozpaczliwie pędząc przez nierówne pole. Bezmózgi głupcze. Jaki dureń wchodzi na pole o zmroku i krzyczy „Kolacja!”, ile sił w płucach?

Ten, który od dziesięciu lat nie wyjeżdżał z Londynu. Właśnie on.

– Nienawidzę wsi… – mamrotał, biegnąc. – Nienawidzę. Cholernie, koszmarnie jej nienawidzę!

W pośpiechu wybrał inną drogę ucieczki, niż ta, którą się dostał na pole. Zamiast do zwykłego drewnianego przełazu dobiegł do kępy krzaków. Kolczastych krzaków.

– Nienawidzę! – wołał, przedzierając się przez gąszcz gałęzi i cierni. – Obmierzła, śmierdząca, nędzna, fantastyczna wiocha! Fuj!

Kiedy wylazł nareszcie z drugiej strony krzaków, okazało się, że jest znowu w ogrodach Summerfield – tyle że tym razem w ich pięknej części. Był podrapany, ale na szczęście nie zdeptany na miazgę! Chwilę stał, patrząc na krzaki, wyciągając z ubrania kolce i klnąc uroki wiejskiego życia.

Nagle jego uwagę zwróciło coś dziwnego. Lekkie uderzenie po głowie.

Odwrócił się i po omacku opędził ręką.

Następne uderzenie trafiło go w twarz. Policzek, już i tak podrapany, przejął mu dotkliwy ból.

Co to takiego, na Boga? Czyżby Colina Sandhursta dopadło siedem plag egipskich, w dodatku wszystkie w ciągu jednej godziny?

Podniósł ręce w obronnym geście, uchylając się przed kolejnymi ciosami.

– Ty łotrze! – oskarżycielsko krzyknął jakiś damski głos. – Ty oszukańczy kundlu!

Colin opuścił ręce, usiłując dokładniej się przyjrzeć atakującej. To była średnia z sióstr Highwood. Ta z ciemnymi włosami. Miriam? A może Melissa?

Jakkolwiek się nazywała, biła go. Raz po raz. Rękawiczką.

– Co pani robi, u licha? – Uchylił się przed kolejnym uderzeniem, cofając się w głąb ogrodu. Nadepnął na kępkę stokrotek i omal się nie nadział na krzak róży.

Pobiegła za nim.

– Wyzywam pana na pojedynek!

– Pojedynek?

– Wiem wszystko o panu i pani Lange, ty… ty zwierzu! – Najwyraźniej brakowało jej albo wyobraźni, albo odwagi, by dokończyć obelgę, więc zaczęła znowu: – Nigdy cię nie lubiłam i mam nadzieję, że o tym wiesz. Zawsze cię miałam za nic niewartego głupca, ale teraz moja matka i siostry przeżyją ból objawienia! Zawiodłeś ich nadzieje.

Aha. A więc o to chodziło. Miał jej odpowiadać za… za co dokładnie? Za flirt?

– Diana nie ma ojca ani braci, którzy broniliby jej honoru. Ten obowiązek spada na mnie. – Znowu go trzepnęła po twarzy. – Podaj nazwiska swoich sekundantów.

– Dobry Boże! Możesz mi dać spokój z tą rękawiczką? – Wyrwał ją z rąk dziewczyny i rzucił w kolczasty gąszcz krzewów. – Nie mam zamiaru podejmować twojego wyzwania. Żadnego pojedynku nie będzie!

– Dlaczego nie? Bo jestem kobietą?

– Nie! Dlatego że widziałem, jak wy, stare panny, radzicie sobie z pistoletami. Zastrzelisz mnie na miejscu. – Uszczypnął się w nos. – Słuchaj, uspokój się. Nawet nie tknąłem twojej siostry. W każdym razie w żaden niewłaściwy sposób.

– Może i nie dotknąłeś jej w niewłaściwy sposób, ale całkiem niewłaściwie ją zwodziłeś!

– Zwodziłem ją? Może z nią tańczyłem, może nawet trochę z nią flirtowałem, ale – flirtowałem przecież z każdą młodą damą w tej mieścinie!

– Nie z każdą młodą damą.

Zamilkł, oszołomiony. Spojrzał na nią i czuł, jak śmiech rozciąga mu policzki.

– Aha… jesteś zazdrosna.

– Nie gadaj głupstw – odparła o wiele za szybko na to, by mówiła prawdę.

– Jesteś. – Pomachał jej palcem przed nosem, już nie unikając kontaktu. – Jesteś zazdrosna. Flirtowałem tutaj z każdą młodą damą oprócz ciebie, dlatego zazdrościsz.

– Nie jestem zazdrosna, tylko – odparła z gestem frustracji – chcę ci zrobić krzywdę. Tak jak ty skrzywdziłeś moją siostrę.

W taki sposób, jak on skrzywdził jej siostrę, dobre sobie! Jeżeli Diana Highwood przeżyła z jego powodu chociażby chwilę cierpienia, Colin gotów był połknąć chiński lampion! Ale ta mała… Ona naprawdę się czuła skrzywdzona.

Ale w jaki sposób miałby z nią flirtować? Takie banały jak „rzeka jedwabiu” czy „migoczące diamenty” nie działały na kobiety podobne do niej. Była na to o wiele za mądra. W dodatku podobne porównania byłyby do przesady nieodpowiednie. Jej włosy bynajmniej nie lśniły jak jedwab, a ciemne oczy w niczym nie przypominały diamentów.

Prędzej stężałą lawę wulkaniczną.

– Słuchaj – odezwał się uspokajająco. – To wcale nie tak, Melindo. Jesteś całkiem ładną dziewczyną.

– Całkiem. – Przewróciła oczami i prychnęła lekceważąco. – Całkiem ładna. Co za komplement! W dodatku wcale nie mam na imię Melinda.

– No nie, nie całkiem ładna – odparł, przekrzywiając głowę, żeby się jej lepiej przypatrzeć. – Autentycznie ładna. Gdybyś tylko…

– Oj, nie mów tego. Każdy mi to mówi.

– Każdy ci mówi… co?

Odpowiedziała mu cichym głosem, jakby kogoś naśladowała.

– „Gdybyś tylko zdjęła okulary, byłabyś urocza”!

– Wcale nie to miałem powiedzieć – skłamał. – Dlaczego miałbym…? To kompletnie głupie.

– Wiem, że kłamiesz. Ukrywasz uczucia równie łatwo, jak oddychasz. Ale w tym wypadku to nie o moje uczucia chodzi! Chodzi o okrutne potraktowanie Diany.

– Zapewniam cię! Nawet nie zacząłem w jakikolwiek sposób traktować twojej siostry, ani okrutnie, ani inaczej! Przepraszałem tylko za tę całą awanturę z herbaciarnią.

– O tak! Przepraszałeś, i to bardzo pięknie! Pozwoliłeś im uwierzyć, że jesteś przyzwoitym człowiekiem. Że ci na czymś zależy. A potem się związałeś z mężatką!

Colin potarł kark. Naprawdę nie miał czasu na to wszystko. Musiał się zająć fajerwerkami, ustawić działo, złapać owieczkę…

– Nie wiem, co chcesz osiągnąć tą rozmową. Mówię ci otwarcie, nie mam zamiaru się żenić. Ani z twoją siostrą, ani w ogóle z nikim.

– Hm… Nigdy bym ci nie pozwoliła się z nią ożenić.

– Więc czego chcesz ode mnie?

– Chcę sprawiedliwości! Chcę, żebyś był odpowiedzialny za to, co robisz, a nie wykręcał się pięknymi słówkami!

Colin miał ochotę powiedzieć: „Widzisz? Dlatego cię unikam”. Tak jakby okulary dawały jej możność przejrzenia go na wylot.

– Zaczynasz mówić jak mój kuzyn – stwierdził. – Ale mam nadzieję, że nie masz zamiaru potraktować mnie tak samo jak jego!

Przez chwilę patrzyła na niego w milczeniu.

– Cóż za znakomity pomysł!

Szybkim ruchem ręki złapała swoją torebkę i rzuciła nią w Colina.

Cofnął się na czas, by uniknąć ciosu w głowę. Zamiast tego torebka trafiła go w ramię. Ale aksamitna sakiewka wylądowała na jego ciele z zaskakującą siłą. Ból przeszył go do szpiku kości.

– Co ty tam nosisz, do diabła? Kamienie?

– A cóż by innego?

Rzeczywiście, cóż by innego. Jak mógł zapomnieć o jej śmiesznej obsesji geologicznej!

Wstrętna harpia.

– Słuchaj, Marisso…

– Mam na imię Minerva!

Podniosła rękę, by ponownie rzucić w niego torebką.

Tym razem jednak był przygotowany. Błyskawicznym ruchem złapał ją za przegub ręki, okręcił i przyciągnął do siebie. Wparła się plecami w jego pierś, tymczasem on złapał ją w pasie.

Okulary spadły jej z nosa i potoczyły się na trawę.

Wyrywała mu się z uścisku.

– Puść mnie!

– Jeszcze chwilę. Jeżeli nie przestaniesz się szarpać, zdepczesz okulary!

Właściwie nie był pewien, czy naprawdę chce, żeby przestała się wyrywać. Z miejsca, w którym stał, mógł patrzeć prosto na jej gors, widział, że szarpanina dokonała cudownych rzeczy z jej biustem. Nie było tam wcale chłodnego, wspaniałego alabastru. Tylko gorąca kobieca skóra. Teraz, kiedy była taka kusząca, wydawała się jeszcze ciekawsza. Taka rozgniewana, taka pełna życia…

– Cicho! – Przycisnął wargi do jej ucha. Włosy dziewczyny pachniały jaśminem. Ten zapach zawrócił mu w głowie i zmącił myśli. – Uspokój się – powiedział do niej.

Uspokój się, powtarzał sobie.

– Nie chcę się uspokoić. Chcę pojedynku! – Wierciła się w jego ramionach, a w nim pulsowało pożądanie, równie dzikie co przerażające. – Żądam satysfakcji!

Tak, pomyślał. To była kobieta, która mogłaby żądać satysfakcji. W życiu… w miłości. W łóżku. Mogłaby żądać szlachetności, zobowiązań i wierności – słowem, tych wszystkich rzeczy, których on nie miał ochoty jej dać.

Co było po prostu wytłumaczeniem, dlaczego wolałby, żeby sobie poszła.

– Nie ruszaj się, bo je połamiesz!

Schylił się, by podnieść jej oprawne w drucik okulary, które wylądowały na kępce bluszczu. Otrzepał je z brudu i mchu i sprawdził w świetle księżyca, czy nie popękały.

– Nie są połamane?

– Nie.

Rzuciła się do przodu, by odebrać mu okulary, ale je przytrzymał. Potknęła się i upadła mu na pierś. Kiedy podniosła oczy, usiłując go dobrze zobaczyć, rzęsy jej trzepotały jak gęste wachlarzyki z piórek. Wysunęła język, żeby zwilżyć usta.

Dobry Boże… Jak na zapiętą pod szyję sufrażystkę miała cholernie ponętne wargi.

Były zmysłowe, pełne, w kącikach czerwieńsze niż pośrodku. Przypominały dwie połówki dojrzałej, słodkiej śliwki.

Poczuł w ustach wilgoć.

Pochyliła się ku niemu z pałającymi policzkami. Tak jakby pragnęła jego pocałunku. A może i bardziej. Tak jakby pragnęła jego. Każdej części

jego… jego nieopanowanej, hulaszczej, rozbitej części.

To nie mogło być w porządku.

– Wiesz, chyba ludzie mają rację – powiedział. – Bez okularów wyglądasz inaczej.

– Naprawdę?

– Tak. Wyglądasz na zezowatą. I zagubioną. – Wsadził jej okulary z powrotem na nos i założył za uszy. Palcem ujął ją za podbródek, przechylając jej twarz, jakby oceniał. – No… tak. Jest pewna poprawa.

Mrugała powiekami zza szkieł, a jej wzrok nabrał znowu znanego już, przenikliwego wyrazu nieufności.

– Jesteś… okropny. Gardzę tobą!

– Dokładnie tak, skarbie. – A ponieważ już wiedział, jak ją zirytować, czubkiem palca dotknął jej nosa. – O, teraz widzisz wyraźnie.

25

Bram przyglądał się trzymanemu w garści listowi. Ten kawałek papieru przywracał mu możność komenderowania. Jeszcze niedawno byłoby to spełnieniem wszystkich jego pragnień.

Miesiącami niestrudzenie pracował nad odzyskaniem dawnych sił, dążył do tego celu z całkowitą determinacją. Nie mógłby nawet marzyć, żeby coś innego uczyniło go szczęśliwszym niż ten mały skrawek pergaminu, trzymany teraz w dłoni.

Miał ochotę go wrzucić do ognia.

A zaraz po tym zrobić to samo z sir Lewisem Finchem.

– Nie mogę w to uwierzyć… o mój Boże! – szlochała Susanna, po czym wybiegła z sali, zanim Bram zdołał ją zatrzymać.

– Susanno, zaczekaj!

Ruszył w ślad za nią.

Ale sir Lewis machnął mu ręką przed oczyma i powstrzymał.

– Proszę jej dać spokój. Taka już jest. Wszystkie one są takie same. Już zauważyłem, że zawsze z czasem daje sobie z tym radę. Tylko trzeba ją zostawić w spokoju.

Bram patrzył na tego mężczyznę, kipiąc z wściekłości.

– Czyżby! Czy tak samo zostawił ją pan w spokoju, kiedy rozpaczała po śmierci matki? Posłał ją pan na te koszmarne tortury do Norfolk? – Zagiętym palcem trącił papier z rozkazami. – Ile czasu trzyma pan już to u siebie, sir Lewisie? Kilka dni? A może tygodni? A może od dnia, kiedy przyjechałem do Spindle Cove? Jasne, że nie było żadnej potrzeby robienia jakiejkolwiek parady wojskowej! Czy diuk Tunbridge istotnie prosił pana o zorganizowanie oddziału ochotników, czy to też kłamstwo? Zawsze wiedziałem, że jest pan błyskotliwym wynalazcą, ale może powinien pan spróbować sił w szpiegostwie?!

Stary człowiek się nastroszył.

– Jestem patriotą, ty niewdzięczny szczeniaku! Jutro, w obecności książąt i generałów, dokonam prezentacji broni, która mogłaby ocalić życie wielu naszym żołnierzom! A co przeszkadza, że posłużyłem się przy tym odrobiną niewinnej przesady? Dostałeś to, czego chciałeś, czy nie?

– Ma pan na myśli to? – Bram potrząsnął listem. Zniżył głos do pomruku. – Ten kawałek papieru ma w tej chwili dokładnie jedną zaletę. Jedną rzecz, która mnie powstrzymuje, żeby jej nie rozdeptać butem.

– O! A jakąż to?

– Pozwala mi swobodnie powiedzieć panu: „Idź do diabła!”.

Bram zostawił bełkoczącego coś staruszka i pobiegł tą samą drogą, którą przedtem wybiegła z domu Susanna. Kiedy już dotarł do końca korytarza, napotkał otwarte drzwi do ogrodów. Czym prędzej przez nie wybiegł.

I natychmiast niemal się zderzył z zaskoczoną Minervą Highwood.

– Uwaga! – zawołał, podnosząc ręce. – Susanna tędy biegła?

Dziewczyna w okularach rzuciła mu spojrzenie przez ramię.

– Ja nie…

– Dziękuję! – zawołał, nie czekając na dalszy ciąg odpowiedzi.

Ruszył po prostu w stronę, wskazaną przez nią spojrzeniem, obwiedzioną ciemnymi kamieniami ścieżką, która zakręcała i znikała za wysokim, pięknie utrzymanym krzewem. Kiedy go okrążał, dostrzegł mignięcie włosów Susanny, biegnącej w stronę oddalonego łuku.

– Susanno!

Zwolniła, ale się nie zatrzymała. Wpadła do ozdobnego kwadratowego ogrodu, pełnego krzewów i altanek. Bram biegł za nią, zamykając za sobą furtkę.

Usłyszała szczęk zamka i obróciła się, wiedząc, że ją zamknięto. Oczy miała szeroko otwarte. Wyrażały strach i nieufność. Jasne, że musiała być przerażona. Jej ukochany ojciec – jedyny rodzic i opiekun od tylu lat – okazał się przed chwilą żądnym władzy, samolubnym, bezdusznym osłem!

– Posłuchaj – powiedział, unosząc ręce w pokojowym geście. – Susanno, kochanie! Wiem, jak bardzo teraz musisz być przygnębiona.

– Nie masz o tym pojęcia! – Pokręciła głową. – Najmniejszego pojęcia! – Zacisnęła ręce w pięści, przyciskając je do brzucha.

– Pomoże ci, jeżeli w coś uderzysz? Możesz uderzyć mnie. – Zbliżył się do niej, a jej ręce opadły. – No, dalej, kochanie. Zrób to, co potrafisz

najgorszego.

Jeszcze nie zdążył dokończyć, kiedy walnęła go pięścią w brzuch, jak młotkiem.

Młotek… z małym, twardymi guziczkami. Uderzenie nastąpiło, jeszcze zanim miał czas się przygotować, napiąć mięśnie dla obrony.

– Uuuf! – Zatoczył się i złapał za bok. – Na litość boską, Susanno!

– Sam o to prosiłeś! – broniła się, rozcierając kostki i przyciskając pięść do piersi. – Powiedziałeś, że mam zrobić to, co potrafię najgorszego!

– Wiem, wiem. – Wyprostował się i odetchnął głęboko, by opanować ból. – Po prostu… po prostu to najgorsze było gorsze od tego, co mogłem przewidzieć!

– Powinieneś już chyba wiedzieć, że jestem zawsze pełna niespodzianek. – Jej oddech przeszedł w głęboki szloch. Cofnęła się, szykując do kolejnego ciosu.

Tym razem już z łatwością chwycił jej pięść ręką.

– Poczekaj.

– Nie! – Kopnęła go w łydkę. W jego zdrową łydkę, na szczęście. – Wszystko, wszystko zniszczyłeś! Jestem na ciebie wściekła.

– Na mnie? – Przekrzywił na bok głowę, zaskoczony.

Po tym, w jaki bezduszny, obrzydliwy sposób potraktował ją sir Lewis przed chwilą w sali, ona się gniewa na niego?

– Jak mogłeś mi zrobić coś takiego? Dałeś mi słowo! Obiecałeś, że nie będziesz wciągał ojca w żadne ze swoich działań!

– Nie sądziłem, że go wciągam, przynajmniej nie w tym sensie, w jakim mówisz. Zgodziłem się tylko na demonstrację jego nowego wynalazku. To nie znaczy, że go od razu ubrałem w mundur!

– Nie widzisz, że to jest o wiele gorsze?

– Nie, wcale tego nie widzę. – Oparł jej ręce na ramionach i starał się ułagodzić krótką pieszczotą. – Susanno, nigdy nie miałem zamiaru cię oszukiwać, przysięgam! A niezależnie od tego, co teraz sądzę o twoim ojcu… Muszę nawet przyznać, że to jego działo jest świetnym pomysłem i powinno się stać znane.

– To działo jest świetnym pomysłem! Tyle że nie funkcjonuje. Wiesz, ile prototypów już wykonał? Ile razy o włos uniknęliśmy nieszczęścia? Ostatni wyleciał w powietrze, Bram. Praktycznie wybuchł mu prosto w twarz. Ojciec dostał ataku serca, niegroźnego na szczęście, przeleżał kilka tygodni

w łóżku. Obiecał mi, że zaprzestanie swoich eksperymentów, że zamiast tego wyśle projekty do swoich kolegów, do przetestowania. – Zasłoniła ręką usta. – Obiecał mi!

– Cóż, wobec tego złamał dane ci słowo. Zresztą… dane nam obojgu. – Rzucił okiem na kieszeń na piersiach, gdzie wcisnął list. – Mógł mi dać te rozkazy już wiele tygodni temu, prawda? Ale postanowił mnie wykorzystać, skoro miał taką szansę. To całe wydarzenie, nad którego przygotowaniem pracowaliśmy tak ciężko, nie ma nic wspólnego z diukiem Tunbridge'em, ani z ratowaniem Cove, natomiast wszystko z chrapką na sławę twojego ojca. Wszystko to tylko trochę blichtru i błysku czerwonych kurtek, po to, by lepiej pokazać klejnot, jakim jest jego nowe działo. Manipulował nami, tobą i mną. Zresztą nie tylko nami, ale całą tą cholerną mieściną! Dla własnej dumy naraził na niebezpieczeństwo całą twoją pracę, wszystkich twoich przyjaciół.

Zacisnęła mocno oczy i zakryła uszy rękoma.

– Przestań! Przestań tak mówić! Nie chcę nic więcej słyszeć! Po prostu przestań.

Wiedział już, że ten gniew nie odnosił się tak naprawdę do niego. To, co czuła, poczucie zdrady i spustoszenia miało związek tylko i wyłącznie z jej ojcem. Bram poczuł znane mu już, okropne uczucie bezsilności, kiedy sobie zdał sprawę, że nie może zrobić nic, by odmienić to, co zaszło. Nie mógł tego naprawić… nawet dla niej.

Ale mógł być tutaj razem z nią. Mógł jej słuchać i mocno tulić w objęciach.

Tak też zrobił.

Objął ją mocno i przytulił do piersi. Płacząc, oparła mu głowę na ramieniu. Tulił ją tak kilka minut, szepcząc do ucha słowa pociechy. Oddawał jej ciepło i siłę własnego ciała, aż przestała dygotać ze strachu.

Kiedy wreszcie uniosła głowę i wzięła głęboki oddech, podprowadził ją do jednej z narożnych altanek.

– Chodź, usiądziemy.

– Och, przepraszam! Twoje kolano…

– Nie, nie. To nie to.

Posadził ją obok siebie. Ławeczka w altance była wąska, mieścili się na niej oboje tylko wtedy, kiedy Susanna niemal siedziała mu na kolanach. Objął jej talię. Szczupłe, okryte pończochami nogi splątały się z jego

wysokimi skórzanymi butami. Jeden z pantofelków Susanny się zsunął i spadł na trawę.

– Proszę. – Wolną ręką wydobył z kieszeni płaską butelkę. Zębami wyciągnął korek, po czym go wypluł. – Łyknij. To ci pomoże.

Podniósł butelkę do jej drżących warg. Wypiła potężny łyk i natychmiast dostała ataku kaszlu.

– Przepraszam! – usprawiedliwiał się, klepiąc ją po plecach. – Jesteś taka biegła w strzelaniu i w łacinie, i tak dalej… Zapomniałem, że nie opanowałaś wszystkich męskich rozrywek.

Odchrząknęła i obdarzyła go lekko drwiącym uśmiechem.

– Tej rozrywki jeszcze nie próbowałam. A co do innych… po prostu chciałam mieć coś wspólnego… z nim.

– Wiem. Miłość. Dobrze to wiem. – Odsunął z jej czoła opadły lok. – Ze mną zawsze było to samo.

Potarła twarz rękami.

– Ale on mi obiecał, Bram. Obiecał mi już tyle rzeczy, a ja byłam taka głupia, że mu wierzyłam. Mówił, że sam o siebie zadba, że mi już nie będzie przysparzał niepokojów! A teraz? Znowu to działo! – Roześmiała się przez łzy i ciągnęła: – Powiedział mi kiedyś, dawno temu, że zamek Rycliff jest mój. Wiedziałeś o tym? To była moja nagroda, jak mówił, za to, że mi się udało wyzdrowieć. Zachęcał mnie, żebym tam umieściła wszystkie swoje nadzieje i marzenia, a potem… – Sięgnęła po butelkę i upiła łyk whiskey, skrzywiła się i przełknęła. – A potem, pewnego popołudnia, po prostu go oddał. – Jej pełne łez oczy napotkały jego spojrzenie. – Tobie.

– Nie miałem pojęcia… Tak mi przykro.

– To nic. To tylko dziewczęca głupota. Ale chyba jednak jestem głupią dziewczyną. – Pociągnęła nosem i położyła mu głowę na piersi. – Obiecał mi też bezpieczeństwo, wtedy latem, w Norfolk. Ten czas, jaki tam spędziłam, powinien był… – Głos jej się załamał. – To miało być dobre dla mnie. Teraz wiem, że ojciec chciał się mnie po prostu pozbyć. Słyszałeś, co mówił! Powiedział, że zawsze miałam skłonność do przesadnych wzruszeń i że go powstrzymywałam. Tamtego lata… musiałam się okazać zbyt trudna, żeby mnie mógł ignorować.

– Cicho, kochanie. Cicho. – Wycisnął jej pocałunek na czole. – Nie denerwuj się tak.

Chwyciła go palcami za klapy kurtki.

– To wszystko byłoby jeszcze do wytrzymania, gdybym miała ciebie. Ale teraz odchodzisz. We wtorek. Nie wiem, jak to przeżyję. Tak bardzo cię kocham.

Serce tańczyło mu w piersi walca.

Kochała go.

Powiedziała to już przecież wtedy, w domu. Cztery razy, o ile dobrze zapamiętał. I cieszyła się przy tym. Ciągle to wspominał, po prostu tarzał się w tych jej wyznaniach.

– Proszę, nie odchodź… – szeptała, kurczowo trzymając się jego munduru. – Nie opuszczaj mnie.

W oczach Susanny było tyle rozdzierających serce wątpliwości! Zupełnie, jakby Bram był dzisiaj już drugim mężczyzną, który zniszczył jej zaufanie. Zresztą nie wiedział, czy znajdzie odpowiednie słowa, by ją przekonać, więc zamiast tego odpowiedział pocałunkiem. Schylił się do jej ust, chcąc ją obdarzyć czystym, uspokajającym całusem.

Ale jej szło o coś innego.

Rozchyliła wargi. Były takie namiętne i zachęcające! Pociągnęły go. Jakby zapraszały do siebie.

Boże! Tak… Smak jej ust, po tylu długich dniach rozstania, jak błyskawica przeleciał przez jego ciało. Z gardła Brama wydobył się głuchy jęk.

Całowali się łapczywie, leciutko przygryzając sobie języki lub powoli penetrując wnętrze ust ukochanej osoby.

W jego ramionach Susanna ożyła, jakby owładnięta szałem namiętności. Mocno ściskała jego ramiona. Rozsunęła klapy kurtki i tarła biustem o jego okrytą samodziałem pierś.

Wplotła palce w jego gęste, krótko obcięte włosy i okręciła się mu na kolanach; jej pocałunki stawały się coraz głębsze.

Może to sprawił ów mały łyczek whiskey, ale podczas ich poprzednich spotkań nigdy nie widział u niej podobnego zachowania. A teraz jej ręce były władcze, a wargi i język stawiały żądania!

Chyba mu się to spodobało… Spodobało mu się, i to bardzo!

– Nie opuszczaj mnie! – nalegała, liżąc jego pulsujące wargi. – Trzymaj mnie tak, tak blisko, tak mocno… Obiecaj, że nigdy ode mnie nie odejdziesz.

– Nigdy.

Przesunął rękę w dół po jej plecach i przyciągnął jeszcze bliżej. Ale to ciągle nie było to. Jedną ręką zagarnął i uniósł fałdy jej spódnic. Zaszeleściły zmysłowo, kiedy się uniosła na kolana i zmusiła go, by usiadł okrakiem na ławce.

Przesunął ręką w górę po jej udzie. Pod halkami była naga. Naga… i już wilgotna… z jego powodu. Jęknęła, kiedy czubkami palców badał jej kobiecość, szukając i w końcu znajdując nabrzmiałą perełkę. Drażniący zapach mieszał się z wonią róż, napełniając powietrze odurzającymi, podniecającymi perfumami.

Jej dłoń podążyła ku zapięciu bryczesów Brama. Przesunęła się nieco w tył, żeby mieć łatwiejszy dostęp do jego guzików. Podczas tej zmiany pozycji jej pierś znalazła się tuż przy jego twarzy. Schylił głowę, tuląc się do miękkich poduszeczek jej sutków, łakomie wsuwając język w rozdzielający je ciemny, pachnący rowek.

Kiedy tak całował i lizał te smakowite okrągłości, z gardła Susanny wyrwało się ciche kwilenie.

– Chcę ciebie – szepnęła, sięgając w głąb rozpiętych bryczesów i pieszcząc jego nabrzmiałe ciało. – Chcę cię… teraz.

Nie musiała prosić dwa razy. Wyciągnął członek spomiędzy fałd bielizny i koźlej skóry i umieścił jego nabrzmiały, spragniony czubek tuż przy wejściu do jej ośrodka rozkoszy. Opadła, potem cofnęła – jej wilgoć pokryła szczyt wezbranej męskości. Myślał, że oszaleje, ale zmusił się do jeszcze paru chwil cierpliwości, pozwalając, by Susanna odrzuciła głowę w tył tak, że mógł się napawać jej widokiem. Widział zwoje i pasma jej włosów barwy roztopionego brązu, luźno spadające teraz na ramiona; widział pełne, jakby splamione jagodami wargi, teraz nabrzmiałe od pocałunków. Widział rumieniec namiętności na jej twarzy. Była taka piękna, że serce ścisnęło mu się w piersi.

Pokierował jej biodrami tak, że wreszcie się znalazły dokładnie tam, gdzie trzeba. A potem pomógł jej – stopniowo i powoli – zanurzać go w sobie. Centymetr po centymetrze. Każdy centymetr był cudowny. Aż wreszcie znalazł się w niej cały, otulony wilgotną rozkoszą.

Trwali tak przez długą chwilę nieruchomo, każde z nich dyszało, każde starało się utrzymać na wodzy pragnienie dalszych ruchów.

Kiedy jednak to pragnienie stało się już koniecznością, Susanna pokręciła biodrami. Początkowo powoli, potem jednak rytm stawał się

coraz szybszy. Pomagał jej rękami, to przyciskając mocniej jej plecy, podnosząc ją lub opuszczając… Coraz szybciej, coraz mocniej. Aż do chwili, kiedy ich ciała się spotkały z ogłuszającym uderzeniem skóry o skórę.

Opadła czołem na jego ramię. Z bezsilnych jęków rozkoszy, jakie wydawała, mógł wywnioskować, że jest bliska spełnienia. On sam już też balansował na skraju… tylko z całych sił zaciskał zęby. Rozkosz buzowała mu wzdłuż kręgosłupa, rozpaczliwie pragnąc ujścia.

Wytrzymaj, upominał sam siebie. Jeszcze chwilę…

Pragnął czuć, jak jej ciałem wstrząsają konwulsje, chciał słyszeć jej krzyki, kiedy będzie przeżywała rozkosz. Bez jej rozkoszy jego własna nie miała znaczenia.

Wiedząc doskonale, że w tej chwili już ostatkiem sił panuje nad sobą, wysunął biodra do przodu, żeby głębiej ją penetrować i przyśpieszył pchnięcia. Oddech Susanny stał się szybszy, czuł przy uchu jego gorąco. Wbiła paznokcie w delikatną skórę na karku Brama, piersiami uderzała w jego tors. Zaczął przegrywać bitwę z własnym ciałem, z pełną szybkością dążąc ku temu, co miało być najbardziej przytłaczającą rozkoszą w jego życiu.

– Kochana… nie mogę już…

– Zostań – szepnęła. – Zostań ze mną.

– Chodź! – zawołał nagle przez zaciśnięte zęby. – Chodź ze mną!

Zostali ze sobą. I razem też doszli do szczytu, krzycząc, jęcząc, tuląc się gwałtownie do siebie nawzajem. Wraz z pierwszym mocnym, cudownym skurczem orgazmu Susanna zawiodła go prosto na szczyt rozkoszy. Jakimś cudem jej usta odnalazły jego i każde niejako połykało jęki i okrzyki miłosne drugiego. Bramowi zdawało się, że wyskoczy ze skóry w tym radosnym uniesieniu. Oślepiającą rozkosz orgazmu przesłoniła mu dzika radość, kiedy wypełniał jej ciało swoim nasieniem.

Teraz była już jego – na zawsze. A on – jej, ciałem i duszą.

Stali się jednością.

– Zostań – mruczała, opadając do przodu i opierając spocone czoło na jego podbródku. – Zostań ze mną.

Serce mu się ścisnęło. Nie chciał jej opuszczać – nigdy. Ale teraz otrzymał rozkazy, a ona powinna też się wyrwać z tego miejsca.

– Chodź – odparł. – Chodź ze mną.

Wydała niedowierzający pomruk.

– Mówię najzupełniej poważnie. To nie jest podróż dla przyjemności, ale mam zagwarantowany rejs na kontynent w przyszłym tygodniu. Pojedź ze mną. Jako moja żona.

Zmarszczyła brew.

– Ale… myślałam, że twoim zdaniem kobiety nie powinny brać udziału w bitwach.

Stłumił w sobie instynktownie przenikający go niepokój.

– Większość z nich nie powinna. Ale ty jesteś silniejsza niż większość kobiet. Wiesz, jak sobie samej dać radę. Wypłyniemy z Portsmouth… Kapitan może nam dać ślub na statku. A miodowy miesiąc spędzimy w Portugalii. – Leciutko dotykał jej kręgosłupa aż do szyi, po czym wplątał palce w jej włosy. – Tam jest naprawdę pięknie, Susanno. Winnice i gaje oliwne. A ocean jest ciepły i błękitny. Gaje cytrusowe z drzewami aż ciężkimi od owoców. Wyobraź sobie tylko brodzenie po kostki w cytrynach i pomarańczach! Ten zapach nie da ci spokoju na długo! – Pieścił jej szyję. – Wynajmiemy willę nad morzem. Będziemy się kochali na piaszczystych plażach.

– Myślałam, że może byłoby miło nareszcie się kochać w łóżku, choćby tylko jeden raz…

– Kupię ci najpiękniejsze łóżko, jakie sobie możesz wyobrazić! Ze stertą materaców, grubą na metr! Z jedwabną pościelą i najmiększymi poduszkami…

– To cudownie brzmi, ale…

– Ale? Powiedz po prostu „tak”.

Zsunęła się z niego – już mogła, jego erekcja osłabła – i z powrotem usadowiła na jego kolanach. Dolną wargę miała przygryzioną, oczy spuszczone. Może był zbyt gwałtowny, zbyt szybki? Wykorzystał tę chwilę, żeby uporządkować garderobę, dając jej czas do namysłu.

– Wiem, że ten dzień był dla ciebie bardzo męczący. Czujesz się pogubiona, przytłoczona, zdradzona. Ale ja tu jestem po to, by ci powiedzieć, że masz teraz podjąć tylko jedną, jedyną decyzję. Zaufać mi. Zaufać, że będę dbał o twoje szczęście, Susanno. Przysięgam, że cię nie rozczaruję.

– Ależ ja ci ufam. Powierzam ci swoje życie. Ale pomyśl o tym miasteczku, Bram. O tych wszystkich młodych kobietach.

Objął jej twarz rękami i zmusił, by mu patrzyła w oczy.

– To ty pomyśl o sobie! O sobie – pięknej, błyskotliwej, niezwykłej. Dokonujesz tu, w Spindle Cove, wielkich rzeczy! Wiem jednak, że jesteś zdolna do o wiele większych! Pozwól, żebym ci pokazał świat, Susanno. Więcej. Pozwól, żebym światu pokazał ciebie. Nie daj się złamać lękom!

– Trudno, nic na to nie mogę poradzić, że się trochę boję. Prosisz, żebym zostawiła wszystko i wszystkich, których znam, a nawet nie powiedziałeś… – Tu zamilkła.

Ach… więc w tym tkwił problem. Czekała, żeby usłyszeć, jakie są jego uczucia. Powinien był się tego domyślić. Czyżby dla niej najważniejszą sprawą było sprecyzowanie uczuć?

W tym momencie powietrzem wstrząsnął jakiś daleki wybuch.

Z okrzykiem zdziwienia schroniła mu się w ramionach. Niebo nad nimi rozświetliły lśniące pasma złota.

Spojrzała w górę z podziwem.

– Chyba mam halucynacje… Czy to fajerwerki?

Skinął głową, rozbawiony.

– No, to już chyba tylko Colin mógł wymyślić.

Powietrze przecięła z sykiem kolejna rakieta, która następnie się rozsypała w miliony srebrnych iskier.

Serce Brama rozbłysło, jak rzymska świeca. Zupełnie tak samo, jak podczas ich pierwszego spotkania. Trzymał ją w ramionach, ciepłą i miękką… Tu było jej miejsce. Ufała, że ją będzie trzymał i ochraniał, choćby cały świat wokół nich eksplodował!

Odwrócił jej twarz do swojej. Źrenice Susanny lśniły, odbijając iskry fajerwerków. Ale nawet te lśniące refleksy nie były w stanie zaćmić wzruszenia w jej oczach.

To zabawne, jak cholernie był zdenerwowany. On – duży, silny mężczyzna! Prosiła go przecież tylko o trzy głupie sylaby! Jakoś jednak łatwiej mu przychodziło urządzić całe swoje życie zgodnie z uczuciami, niż je głośno wypowiedzieć. A co będzie, jeżeli powie te słowa, a one jednak nie wystarczą?

Oblizał wargi i zebrał się w sobie.

– Susanno, moja piękna. Ja… O Boże, jak ja…

Buuum!

Jego słowa zniknęły w huku nowej eksplozji. Wybuch był głośniejszy, przenikający do szpiku kości. I na ziemi.

26

O Boże! – W Susannie zamarło serce. – Co się stało?

Huk był straszny, a ona nie mogła dojść, co go spowodowało. Uszy jej wypełniło głośne dzwonienie. Serce zaczęło jej gwałtownie bić w piersiach. Gorączkowe głosy zmieniły się w niewyraźne krzyki. Konie rżały. Podeszwy pantofli Susanny klapały, kiedy biegła błotnistą ścieżką.

Biegła… Kiedy właściwie zaczęła biec?

Bram dotrzymywał jej kroku, sadząc susami. Trzymał rękę na jej plecach, starając się ją uspokoić, a równocześnie pchać naprzód. Za rogiem dołączyli do grupy ludzi, biegnących w stronę stajni i powozowni.

Krew.

Mnóstwo krwi. Poczuła jej zapach, jeszcze zanim poślizgnęła się na lepkiej kałuży na pokrytej słomą ziemi. Ostry odór podziałał na nią jak skuteczne antidotum na rosnącą panikę. Nie wolno jej było tracić głowy. Ktoś był ranny, trzeba było mu pomóc.

– Kto ucierpiał? – zapytała, odpychając łokciem z drogi jęczącą Sally i torując sobie drogę do drzwi stajni. – Co tu się stało?

– To Finn. – Był to lord Payne. Przeciągnął ją przez tłum do pustego boksu, oświetlonego wiszącą latarnią z powozu. – Został ranny.

Stwierdzenie, że Finn Bright został ranny, było wielkim niedomówieniem. Lewa noga chłopca poniżej kolana była otwartą, poszarpaną masą. Stopa – czy to, co z niej zostało – zwisała pod dziwacznym, groteskowym kątem. W krwawiącej masie lśniły bielą odłamki kości.

Susanna uklękła przy chłopcu. Z chorobliwej bladości twarzy wywnioskowała, że musiał stracić mnóstwo krwi.

– Przede wszystkim musimy zatrzymać krwawienie.

– Potrzebna nam opaska uciskowa – odezwał się Bram. – Wystarczy popręg albo uzda ze stajni.

– A na razie – Susanna zwróciła się do lorda Payne – proszę o pański fular!

Posłuchał. Drżącymi, szarpanymi ruchami rozluźnił węzeł chustki na szyi i ściągnął z niej długi kawał jedwabiu. Susanna czym prędzej owiązała nim łydkę Finna tuż poniżej kolana, zaciskając z całej siły i związując jej końce.

Następnie zwróciła uwagę na chłopca. Oddychał płytko, oczy miał błędne. Biedny dzieciak był w kompletnym szoku.

– Finn – odezwała się wysokim, czystym głosem – słyszysz mnie?

Kiwnął głową. Zęby mu szczękały, kiedy wyszeptał:

– Tak, panno Finch.

– Jestem przy tobie. – Pogłaskała go po policzku, starając się, by na nią spojrzał. – Wszyscy jesteśmy przy tobie. Postaramy się, najszybciej, jak można, postawić cię na nogi.

Aaron Dawes przykucnął przy niej.

– Szykuję powóz. Musimy go zaraz zawieźć do kuźni, do nastawienia kości.

Kiwnęła głową na znak zgody.

To ona zawsze rozdzielała sole i tynktury pomiędzy mieszkańców, robiąc wszystko oprócz tego, co wymagało brutalnej siły, jak na przykład nastawianie kości, wyrywanie zębów i tak dalej. To ostatnie natomiast brał na siebie Dawes, wiejski kowal. Co prawda, sądząc z wyglądu rany Finna, bynajmniej nie była pewna, czy cokolwiek tu da się nastawić. Najprawdopodobniej chłopak straci stopę na zawsze.

Zakładając oczywiście, że przeżyje.

Odsunęła włosy ze spoconego czoła Finna.

– Bardzo cię boli?

– N…nnie – odparł, dygocąc. – Tylko mi zimno.

To nie był dobry znak.

Bram też o tym wiedział. Podał jej zapinany kawał mocnej, gładkiej skóry. Kiedy ją zapinała na rannej nodze Finna, Bram znalazł derkę końską i otulił nią chłopaka.

– Może być – mruknął. – Postaraj się być silny, Finn!

Następnie wyjął Susannie z rąk kawał skóry i szarpnął, owijając nią nogę o wiele ciaśniej, niż ona by zdołała. Z pewnością dzięki udziałowi w tylu bitwach znał się dużo lepiej na takich ranach niż na przykład na atakach astmy. Upływ krwi natychmiast się zmniejszył.

Rufus ukląkł przy głowie brata. Susanna widziała, że chłopak walczy ze łzami.

– Czy on… wyzdrowieje, panno Finch?

– Da sobie radę! – odparła, starając się uwierzyć we własne słowa. – Ale jak do tego doszło?

Lord Payne z niesmakiem pokręcił głową.

– To przez fajerwerki. Chciałem, żeby były niespodzianką na jutro, ale… – Odwrócił głowę, by wypluć gwałtowne przekleństwo. – Chyba nie mogę niczego dotknąć, żeby tego nie zniszczyć! Byłem zajęty czymś innym, a chłopcy postanowili wypróbować sztuczne ognie.

– No, ale fajerwerki nie mogły przecież wywołać aż tak wielkiego wybuchu! Prawda?

– Nie mogły – potwierdził. – To było działo.

– Działo? – Lęk, jak kamień, opadł aż na dno jej brzucha.

– Po wypróbowaniu fajerwerków namówili sir Lewisa na demonstrację. Działo wybuchło. Zapaliły się prochy w lufie.

O Boże…

– Gdzie jest ojciec? – Zostawiła Finna i się podniosła. Stanęła na palcach, wyciągając szyję i szukając wśród ludzi. – Papo?

Mężczyźni biegali dookoła, szykując powóz do przewiezienia Finna do kuźni. Susanna przepchnęła się przez tłum.

Ojca znalazła na podwórzu. Grzebał we wraku rozbitego działa.

– Niech to diabli! – mówił zmartwionym głosem. – Jak to się stało?

– Tato, nie wolno…!

Zdążyła go złapać za rękę, zanim chwycił kawałek mosiądzu. Z całej siły odciągała go od działa.

– Spalisz się! W ogóle nie wolno ci tu podchodzić, tu jest jeszcze tyle materiałów wybuchowych!

W tym momencie iskra padła na otwartą skrzynkę fajerwerków. Słoma się zapaliła, a rakiety wybuchły i rozleciały się na wszystkie strony.

– Uwaga! – krzyknęła Susanna, przewracając ojca na ziemię. Sama też rzuciła się za nim.

Potknęła się i zachwiała, lądując na jednym boku. Na pół spalony kamień trafił ją w klatkę piersiową.

Nie zwracając uwagi na własne żebra, przyczołgała się do ojca.

– Dobrze się czujesz, papo? Serce cię nie boli?

– A jak ci się wydaje? – Oparł się na łokciu, wyciągnął z kieszeni chusteczkę i otarł twarz z brudu i potu. – Co za bezsensowne zniszczenie…

– To był wypadek, papo!

Wypadek, który się nigdy nie powinien wydarzyć.

– Nie mam pojęcia, co tam źle zadziałało… – mruczał. – Za dużo prochu? Pęknięty odlew? Tym razem byłem zupełnie pewien…

– Byłeś zupełnie pewien już parę razy przedtem!

– O Boże – jęknął. – Co za tragedia. Moje piękne działo!

Spojrzała na niego z oburzeniem.

– Ojcze!

Wymierzyła mu policzek.

– Do diabła z twoim działem! Finn może umrzeć!

Ojciec mrugał, zaskoczony. Zresztą ona była zaskoczona w równym stopniu co on.

Na miłość boską! Zwymyślała własnego ojca i uderzyła go w twarz! Okropne.

Ale co za satysfakcja.

– Przepraszam, papo. Ale zasłużyłeś na to.

Wykorzystała fakt, że zdumienie odebrało mu mowę, żeby przytknąć ojcu dłoń do szyi i sprawdzić puls. Przez kilka koszmarnych sekund nie wyczuwała nic! W końcu jednak jej palce natrafiły na tętno. Szybkie, ale stabilne. Zdrowe, silne.

Z oczu puściły się jej łzy ulgi. Ojciec mógł sobie być samolubnym staruszkiem w niewoli własnych ambicji. Możliwe nawet, że nigdy jej nie kochał w sposób, w jaki powinna być kochana niepewna siebie dziewczynka, która straciła matkę. Ale dał jej życie. I to nie raz, a dwa razy. Poza tym dał jej ten dom, do którego się tak przywiązała. Był jej ojcem i kochała go. Nie chciała go dzisiaj stracić.

Pomachała ręką do przechodzącego stajennego.

– Zaprowadź mojego ojca do gospodyni. I powiedz jej, że panna Finch każe, żeby sir Lewisa położyć zaraz do łóżka. Musi odpocząć. I żadnych dyskusji!

Kiedy to załatwiła, wróciła do powozowni, gdzie akurat zaprzęgano konie do wozu. Zwierzęta rżały i tupały, zdenerwowane wybuchami i zapachem krwi.

Stajenny podał jej rękę i pomógł wejść do wozu. Spódnice Susanny zaszeleściły, kiedy siadała na słomie. W wozie kapral Thorne i Aaron Dawes przytrzymywali Finna z obu stron, żeby się nie ruszał. Thorne mocno obejmował obiema rękami łydkę chłopca tuż nad opaską, by jeszcze skuteczniej powstrzymać krwotok.

– Jedź! – rozkazał Bram woźnicy. Sam razem z kuzynem wsiadali już na konie. – Dogonimy was po drodze.

Wóz ruszył, wyjechał z posiadłości Summerfield i potoczył się dalej błotnistą drogą. Dopiero gdy byli niedaleko kuźni, Susanna zauważyła, że nie jest jedyną kobietą w wozie.

Była tam również Diana Highwood. Trzymała głowę Finna na kolanach i ocierała mu czoło białą, koronkową chusteczką.

– Cicho, cicho… – mruczała. – Jesteś bardzo dzielny. Zaraz dojedziemy.

Kiedy wjechali na małe podwórko kuźni, Aaron Dawes zeskoczył z wozu i czym prędzej otworzył wrota. Bram zsunął się z konia, podbiegł do wozu, wziął Finna na ręce i wniósł do środka. Obok szli Thorne i Payne. Schodząc z wozu, Susanna się skrzywiła. Ostry ból przeszył jej ciało w miejscu, gdzie upadła. Zatrzymała się na chwilę, przyciskając obolały bok, aż ból zelżał. Następnie poszła za mężczyznami do kuźni.

Panna Highwood zrobiła to samo.

Susanna chwyciła za ramię blond piękność.

– Panno Highwood… Diano! To będzie naprawdę niemiły widok. Chyba nie powinna pani tam wchodzić.

Nie była wcale pewna, czy ona sama się z tym upora. To wykraczało daleko poza znaną jej dziedzinę gorących okładów i maści.

– Chcę pomagać – odparła młoda kobieta z pewnością siebie. – Wszyscy mi pomogliście, kiedy miałam problemy. Pani, lord Rycliff, pan Dawes. Rufus i Finn też! Chcę odpłacić wam za dobroć. Nie mam męskiej siły ani pani wiedzy, panno Finch. Ale nie jestem mdlejącą panienką i zrobię wszystko, co zdołam.

Susanna z podziwem obserwowała młodą pannę. Najwyraźniej delikatna panna Highwood była mocniejszej konstrukcji, niż inni to sobie wyobrażali… zresztą włącznie z Susanną.

Tym lepiej dla niej!

– Ale zdecyduje się pani wyjść, gdyby to było za wiele?

Diana przytaknęła.

– I oczywiście mam ze sobą pani nalewkę.

Susanna z wdzięcznością ścisnęła jej ramię.

– Więc chodźmy tam razem.

Aaron Dawes był w środku prze wszystkimi. Sprzątał narzędzia z długiego drewnianego stołu, który wysunął na środek izby.

– Tu go połóżcie, milordzie.

Bram zawahał się chwilę, jakby nie chciał wypuścić Finna z rąk. Po chwili jednak cicho podszedł i ułożył jęczącego chłopca na gładkiej płaszczyźnie. Thorne nadal ściskał mocno zranioną nogę Finna.

– Cicho, Finn – mruczał Bram. – Zaraz się tobą zajmiemy. – Odwrócił się do Dawesa. – Laudanum?

– Posłałem Rufusa.

– Już jestem! – Rufus wbiegł do izby z brązową buteleczką w ręce. – Dostałem to w Mydle i Powidle.

– Zaraz podam łyżkę i filiżankę – zaofiarowała się panna Highwood.

– Ja bym to zachował na później – zauważył Dawes. – On i tak jest już nieprzytomny, a nie mamy czasu, żeby czekać, aż środek zacznie działać. – Ostrożnie pochylił się nad tym, co jeszcze niedawno było stopą chłopca. – Tego się nie da uratować. Zaraz naszykuję narzędzia.

Susanna posmutniała, ale nie była zdziwiona. Nawet gdyby kość nie była potrzaskana, w ranie znajdowało się wszystko, co najgorsze: sterczące kawałki metalu, skóra z buta i cale mnóstwo innych brudów. Było jasne, że się tego nie da dokładnie oczyścić. Nawet gdyby Finn nie umarł z upływu krwi, zabiłaby go infekcja.

– Co mogę zrobić? – spytał lord Payne. Stał w rogu izby z twarzą szarą jak popiół. – Dawes, daj mi coś do roboty.

– Pilnuj pan ognia. Robi się ciemno. – Kowal rzucił okiem na ognisko. – I… w mojej chacie znajdziecie lampę. To po drugiej stronie drogi.

– Ja przyniosę lampę! – zawołała Diana.

– Cisza! – huknął Bram. Pochylał się nad Finnem. Twarz miał skupioną i władczą. – Nikt nie dotknie stopy tego chłopca, słyszycie? Jadę po chirurga.

Susanna się skrzywiła. Powinna była wiedzieć, jak Bram to przyjmie, po tym, kiedy sam omal nie stracił nogi. Tamto to jednak była inna rana, powstała w zupełnie odmiennych warunkach.

Bram wyprostował się na całą wysokość, rozejrzał dookoła i powiedział z chłodnym przekonaniem:

– Nikt nie będzie krajał tego chłopca. Nie, zanim nie wrócę. To rozkaz! – Odwrócił się do kaprala. – Słyszysz mnie, Thorne? Nikt go nie tknie. Daję ci pozwolenie użycia wszelkich środków, gdybyś musiał!

Odwrócił się i wybiegł z kuźni, pozostawiając wszystkich w osłupieniu. Gapili się na siebie nawzajem. Wszyscy wiedzieli to, czego Bram nie chciał przyjąć do wiadomości, że zachowanie stopy Finna oznaczało dla chłopca utratę życia.

– Porozmawiam z nim. – Lord Payne ruszył do drzwi.

Susanna go powstrzymała.

– Proszę zaczekać, milordzie. Ja spróbuję.

Rzucili sobie spojrzenie pełne zrozumienia. Kiwnął głową.

– Ten uparty dureń nigdy mnie nie słucha. Założę się, że nigdy nikogo nie słucha! Ale panią kocha… więc może lepiej…

Susanna spojrzała na niego zaskoczona.

– Jeszcze pani tego nie powiedział? – Payne wzruszył ramionami. – Ten tchórzliwy bękart nie zasługuje na panią! Proszę iść, już! – Szturchnął ją zachęcająco.

Susanna wybiegła z kuźni na podwórze, gdzie Bram poprawiał siodło na koniu, szykując się do jazdy.

– Bram, zaczekaj! – zawołała, podbiegając. – Wiem, że to dla ciebie okropne. To naprawdę tragedia. Ale nie możemy czekać na opinię chirurga, nie dzisiaj. Dawes musi operować jak najszybciej, jeżeli Finn ma mieć w ogóle jakąkolwiek szansę!

– Nie pozwolę wam go okulawić! Na rany Chrystusa, on ma dopiero czternaście lat! Jest pełen marzeń i planów, jak każdy chłopiec. Zabierzcie mu stopę, a zabierzecie równocześnie całą jego przyszłość! Rodzina Brightów nie jest bogata. Muszą pracować, żeby zarobić na życie. A jakie życie czeka Finna – z jedną nogą?

– Nie wiem. Ale w każdym razie będzie żył. A jeśli się spóźnimy, Finn umrze!

– Nie wiesz tego, Susanno. Widziałem wiele tego rodzaju ran, więcej niż ty. Możesz umieć leczyć ziołami i tak dalej, ale nie jesteś chirurgiem!

– Ja… – Cofnęła się. To przypomnienie ukłuło ją, jak żądłem. Ból w klatce piersiowej powrócił. – Wiem, że nim nie jestem.

– Naprawdę? – Szczęki mu się zacisnęły, kiedy naciągał popręg. – Bo wyglądasz, jakbyś chciała nim być. Skazujesz tego chłopaka na życie inwalidy tylko dlatego, że w przeszłości byłaś zraniona! Boisz się lekarzy i dlatego ryzykujesz zdrowie Finna!

Złapała go za ramię i zmusiła do odwrócenia się do niej twarzą.

– To nie ja ryzykuję zdrowie Finna, bo się boję! To ty się boisz, nie widzisz tego? Ciągle jeszcze cały czas czepiasz się myśli, że nie jesteś w pełni sprawnym mężczyzną, uważasz, że nie możesz być nic wart bez dwóch doskonale funkcjonujących, silnych nóg, które cię poprowadzą na pole bitwy! Zaciągnąłbyś mnie nawet do Portugalii, byle się do tego nie przyznać. Ale to nie o ciebie chodzi, Bram.

Spojrzał na nią, jakby chciał się bronić.

– Nie planowałem nigdzie cię zaciągnąć, Susanno. Chciałem cię tam zabrać dobrowolnie, z radością – albo w ogóle nie. Czy chcesz przez to powiedzieć, że nie chcesz tam pojechać?

Jak mógł ją o to pytać? Teraz?

– Kocham cię. Chcę być z tobą. Ale jechać nagle do Portugalii tylko dlatego, że mój ojciec jest samolubnym, nieczułym staruchem? To z pewnością brzmi romantycznie, ale też raczej… dziecinnie. Czy oboje nie jesteśmy trochę za starzy na ucieczki z domu?

– Może to twój dom, ale nigdy nie będzie mój!

– Mylisz się, Bram. Dom jest tam, gdzie ludzie cię potrzebują. – Wskazała kuźnię. – A teraz ci ludzie ciebie tam potrzebują, i to rozpaczliwie! Aaron Dawes potrzebuje każdej pary silnych rąk do pomocy. Finn cię potrzebuje, powinieneś stać przy nim i pomagać mu być dzielnym. Pokazać mu, że mężczyzna może być mężczyzną, czy ma dwie zdrowe nogi, czy jedną! A skoro już wszystko ma być powiedziane, ja też cię potrzebuję! Musisz mnie podtrzymywać. Ta operacja będzie najtrudniejszą rzeczą, jaką kiedykolwiek robiłam.

Kiedy mimo to nie przestawał się szykować do drogi, strach niemal pozbawił ją tchu.

– Bram – powiedziała łamiącym się głosem – nie możesz tego zrobić. Niecałą godzinę temu obiecałeś, że mnie nigdy nie opuścisz.

Przestał na chwilę szarpać się z siodłem i wydał gniewne westchnienie.

– Susanno. Niecałą godzinę temu przyrzekłaś powierzyć mi swoje życie.

– Wobec tego nie zanosi się na dobry początek, prawda?

– Chyba nie.

Patrzyli na siebie. Następnie się odwrócił, włożył stopę w strzemię i zwinnie wskoczył na konia.

Ból w boku Susanny powrócił. Chociaż logicznie ów ból tkwił zbyt nisko, nie mogła nie zauważyć, że pęka jej serce.

– Nie mogę uwierzyć, że naprawdę odjeżdżasz.

– Ani przez chwilę nie myślałem inaczej, Susanno. – Koń tańczył pod nim, jakby wyczuwał niecierpliwość jeźdźca. – Jedyne pytanie, to czy powinienem wrócić. Jeżeli im pozwolisz odjąć temu chłopcu stopę, podczas gdy mnie nie będzie… nigdy nie będę mógł już na ciebie spojrzeć.

Z tymi słowami zawrócił konia i odjechał.

Stała, patrząc za nim, aż jego sylwetka znikła w ciemności nocy. Odwróciła się i, jak drętwa, poszła z powrotem do kuźni.

Wszyscy zwrócili ku niej twarze, kiedy tam weszła… sama.

– Lord Rycliff pojechał – rzekła, mimo że raczej wszyscy się już zorientowali. – Jak Finn?

– Słabnie. – Twarz Aarona Dawesa była ponura. – Muszę to zrobić jak najprędzej.

Wszyscy spojrzeli na Thorne’a, któremu Bram przecież rozkazał ich powstrzymać. Ponury, oddany oficer, który swego czasu trzymał straż przy łóżku rannego Brama miał wzniesiony pistolet, gotów wystrzelić na pierwszy błysk piły tnącej kości. Czy teraz będzie z nimi walczył? Co prawda było tu ich więcej, a kapral był sam. Ale nawet, gdyby przeciw niemu stanął tuzin mężczyzn, Thorne miałby większe szanse powodzenia.

– Kapralu Thorne – odezwała się. – Wiem, że jesteście lojalni wobec lorda. Ale chociaż teraz jest rozgniewany, kiedy wróci i znajdzie tego chłopca martwego, będzie zrozpaczony. Musimy pozwolić panu Dawesowi operować.

Mimo że Bram odjechał od niej, nie przestała go kochać. Niezależnie od gróźb czy ultimatum, jakie dawał – czekała na wyzdrowienie Finna i jego.

– Rozumiecie? – spytała. – Musimy uratować Finnowi życie, inaczej Bram zawsze będzie się czuł odpowiedzialny za jego śmierć! Wszystkim nam na tym zależy. Nie chcemy, żeby żył pod brzemieniem winy.

W oczach kaprala błysnęło zrozumienie. A Susanna zaczęła się zastanawiać, jaki ciężar winy dźwiga ten spokojny, bezwzględny mężczyzna.

Thorne skinął głową.

– Bierzcie się do roboty.

27

Przez całą trzygodzinną podróż do Brighton Bram zionął gniewem, czując się jak niezrozumiany, oszkalowany bohater.

Całą trzygodzinną podróż powrotną do Spindle Cove przejechał, tonąc w ponurym żalu, czując się, jak ostatni osioł.

Daniels nie przyszedł mu z pomocą.

– Pozwól mi to zrozumieć – mówił, kiedy się zatrzymali w połowie drogi, żeby zmienić konie. – Teraz już jestem prawie rozbudzony.

Daniels spacerował po oświetlonej części podwórza przed stajniami i dłonią czochrał gęste, czarne włosy.

– Chłopak rozerwał sobie stopę podczas wybuchu działa. Mieliście zdolnego kowala i doświadczoną aptekarkę i wszystko było gotowe do amputacji. Ale ty im kazałeś czekać… osiem, dziewięć godzin? Żebyś mógł na łeb na szyję dojechać do Brighton Barracks… – Tu wskazał na prawo. – Wyciągnąć mnie z ciepłego łóżka i taszczyć całą drogę z powrotem… – Tą samą ręką wskazał na lewo. – Żebym zrobił… co właściwie? Stwierdził, że chłopak jest martwy?

– Nie. Masz mu uratować nogę. Tak samo, jak uratowałeś moją.

– Bram! – Szare jak kamień oczy chirurga były bezlitosne. – Przez twoje kolano przeszła jakaś zabłąkana kula prostą, czystą drogą! Prawdę mówiąc, zerwała ci ścięgna, ale na szczęście pozostawiła ich końce, które można było zeszyć. Ale rany po wybuchach ciężkich dział są jak po ataku rekina. Zostają tylko szczątki. Widziałeś przecież bitwę. Nie powinienem ci nawet tego mówić.

Bram potarł twarz ręką, jakby chciał z niej ściągnąć naganę.

– Zamknij się… jedziemy.

Joshua Daniels i Susanna Finch byli dwojgiem najbardziej inteligentnych ludzi, jakich Bram kiedykolwiek spotkał. Jeżeli ci dwoje mieli w jakiejś

sprawie to samo zdanie, to z pewnością Bram nie ma racji.

Cholera by to wzięła!

Gdyby nie wyjechał w takim pośpiechu, pewnie by w końcu ochłonął i odzyskał rozum. Ale wyjeżdżał wściekły wobec perspektywy stania bezradnie i godzenia się, żeby Finn został kaleką na całe życie. Susanna miała rację. Po jego długich walkach o odzyskanie sił odebrał wszysto zbyt osobiście.

Ale Susanna była uparta, powtarzał sobie. Zawzięta i odważna. Nigdy go nie słuchała, kiedy nie uważała tego za słuszne. Dlaczego miałaby teraz zacząć? Niezależnie od tego, jakie okropne rzeczy obwieszczał, z całą pewnością nie będzie na to zważała. Nie w wypadku, kiedy na szali ważyło się życie Finna.

Ale… przecież rozkazał Thorne'owi użyć wszystkich środków, by zapobiec amputacji. A Thorne miał do dyspozycji dużo środków… bezdusznych i skutecznych.

Jezu Chryste! Co on najlepszego narobił?

Dzień się już budził, kiedy minęli wzgórze i mogli pierwszy raz rzucić okiem na Spindle Cove. Na ten widok Bramowi zamarło serce. Urocze małe miasteczko, wtulone w dolinę… Ruiny starego zamku, trzymające straż nad urwiskiem. Zatoczka – spokojna, błękitna – usiana małymi rybackimi łodziami. Nad wzgórzem powietrze rozgrzewało gorące światło słońca.

Susanna miała rację. Był lordem, władcą tego niewielkiego zakątka Anglii. I w tym była jego duma. Spindle Cove miało prawo do jego czci i serca. Po raz pierwszy w życiu Bram zrozumiał, że znalazł tu prawdziwy dom. Mógł tylko mieć nadzieję, że Susanna uzna za właściwe przyjąć go z powrotem.

W ciągu paru minut już byli przy kuźni. Bram zeskoczył z konia, kiedy tylko zwierzę zwolniło kroku. Podczas gdy konie z przyjemnością rzuciły się do najbliższego koryta z deszczówką, Bram wprowadził Danielsa do małego drewnianego budynku. W kuźni nie było żywej duszy z wyjątkiem…

Na długim stole po środku izby leżał Finn Bright, okryty po szyję białym prześcieradłem. W powietrzu wisiał odór krwi i spalonego mięsa. Przez chwilę Bram się przestraszył, że stało się najgorsze i że chłopiec umarł, a on ma go na sumieniu.

– Żyje.

W tylnych drzwiach stał Dawes. Jego potężna postać niemal wypełniała wejście. Wyglądało na to, że się przed chwilą wykąpał. Wilgotne włosy spadały mu na czoło; obciągał właśnie na sobie czystą koszulę.

– Pod warunkiem że nie wda się zakażenie – ocenił – chłopak przeżyje.

– Bogu dzięki! – Bram wciągnął powietrze. – Bogu dzięki!

Wiedział, że często tak mówił, ale tym razem naprawdę tak uważał. Naprawdę był wdzięczny Bogu. I niepewny, czy kiedykolwiek zdoła spłacić ten dług.

– Ale o uratowaniu stopy nie było mowy, milordzie. Właściwie już wybuch prawie mu ją oderwał. Ja się tylko starałem jak najlepiej oczyścić ranę.

– Rozumiem. Słusznie zrobiłeś.

Bram spojrzał na bezkrwistą, zlaną potem twarz Finna. Na szczęście dostał wystarczająco dużą dawkę laudanum, żeby nie czuć bólu. Na razie. Kiedy chłopak się obudzi, zacznie się dla niego życie w gorącym piekle cierpienia. Takiego samego, jakie Bram już miał za sobą.

Odchrząknął i przedstawił Dawesowi Danielsa.

– To pan Daniels, chirurg i mój serdeczny przyjaciel. Chciałby obejrzeć chłopca.

Daniels odrzucił lniane prześcieradło z nogi Finna. Bram się skrzywił.

– No, pięknie to nie wygląda, ale powinno się czysto zagoić – orzekł Daniels, badając kikut. – Świetna robota, panie Dawes.

Dawes skinął głową w podziękowaniu. Wytarł ręce w mały ręczniczek.

Bram zajrzał przez tylne drzwi do przyległej izby. Jasnowłosa dziewczyna spała z głową opartą na rękach przy stole.

Podszedł do Dawesa, robiąc Danielsowi miejsce do zbadania chłopca.

– Czy to panna Highwood?

Dawes rzucił okiem do izby i lekko prychnął.

– Tak.

– Co ona tu robi?

– Powiedzieć panu prawdę, milordzie? Niech mnie diabli, jeżeli wiem. Ale siedziała tu całą noc… Żadne krzyki, żadna krew nie były w stanie jej stąd wygnać. Złote włosy, ale wola z żelaza, taka ona jest! Lord Payne pojechał pożyczyć dwukółkę od Keane’ów, żeby ją odwieźć do domu.

– A co z panną Finch? Gdzie jest?

– Lordzie Rycliff… – odezwał się za nim cienki, słaby głosik – czy to pan…?

– Jasne, Finn. To ja. – Bram podbiegł do stołu i pochylił się do twarzy chłopca. – Jak się czujesz?

Co za idiotyczne pytanie.

– Ppp…prze…praszam – wydusił z siebie chłopak, otwierając szeroko oczy. – Moja wina… Nie powinienem…

– Nie, nie. – Poczucie winy ścisnęło Bramowi serce. – Nie możesz się obwiniać, Finn. To był wypadek… – Wypadek, który nigdy się nie powinien zdarzyć. – Nie staraj się mówić. Później będzie na to dość czasu.

Sięgnął do kieszeni na piersi po płaską butelkę whiskey z zamiarem poczęstowania Finna. Ta butelka była przy nim, jak pielęgniarka, przez cały czas leczenia rannej nogi, a ten młody teraz chyba zyskał prawo do picia jak mężczyzna!

Kiedy jednak przemyślał sprawę i przypomniał sobie, jak pani Bright walczy z alkoholem, dał spokój. Nie chciał skazywać chłopaka na taką samą trudną drogę jak jego.

Zamiast tego ciepło poklepał Finna po ramieniu.

– Wiem, jakie to piekło, ale przetrwasz to. Jesteś silny.

– Martwię się… – mówił Finn przez zaciśnięte zęby. – Jak teraz będę mógł pomagać w sklepie mamie i Sally?

– O, na sto sposobów! Postaramy się o możliwie najlepszą protezę, nie będziesz kuśtykał z drewnianą nogą jak pirat! Zobaczysz, bardzo prędko zaczniesz znowu chodzić i pracować. Albo cię poślę do szkoły, jeżeli tylko będziesz chciał. Jest mnóstwo możliwości, żeby mężczyzna był użyteczny, nie tylko noszenie skrzynek! – Ani chodzenie na wojnę, pomyślał.

– A to dopiero, szkoła! Ale ja nie mógłbym przyjąć…

– Koniec dyskusji, Finn. Ja tu jestem lordem i ochotnicy należą do mnie. Nie pozwolę, żeby mówiono, że moi ludzie po odniesieniu ran nie dostają godziwej renty!

– W tym wszystkim jedno jest dobre… – Finn spojrzał z odrobiną wisielczego humoru na swoją ranną nogę. – Teraz już nikt mnie nie pomyli z Rufusem, co?

– Na pewno! – Po twarzy Brama przemknął uśmiech. – Nie pomylą was. I powiem ci w sekrecie, że damy uważają, iż ranny żołnierz, to coś

beznadziejnie romantycznego. Będą koło ciebie latały jak pszczoły koło miodu!

– Może i będą. Rufus może sobie mieć obie nogi zdrowe, ale i tak to ja tańczyłem z panną Charlotte. Dwa razy. – Przerwał i rozkaszlał się.

Bram wziął filiżankę z wodą, podaną przez Dawesa i przysunął Finnowi do ust. Uniósł mu głowę i pomógł się napić.

– Mama wie? – spytał młody, padając z powrotem na plecy i krzywiąc się.

– Wie – odpowiedział mu Dawes. – Była już tutaj, podczas operacji. Ale Sally i Rufus musieli ją zabrać do domu, tak się denerwowała.

– Przekażę jej, że już wszystko w porządku i że o nią pytałeś – obiecał Bram.

– Proszę jej powiedzieć, żeby nie pozwoliła małej Daisy walić w mój bęben. – Chłopak szeroko otworzył oczy. – Cholera! Pokaz! Miał być dzisiaj, prawda?

– Nie przejmuj się pokazem.

– Ale… jak będą maszerować bez mojego bębnienia?

– Nie będą maszerować! – odparł Bram. – Odwołamy pokaz.

Doprawdy, nic się przez to nie straci. Po tym, kiedy się dowiedział o oszustwie sir Lewisa, był już pewien, że organizowanie oddziału w gruncie rzeczy nie miało na celu nic poza fanfarami na cześć prezentacji tego nieszczęsnego działa.

– Ale pokaz musi się odbyć! – nalegał Finn. – Proszę go nie odwoływać z mojego powodu. Wszyscy tak ciężko pracowali…

– Tak, ale…

Z grymasem bólu Finn uniósł się na łokciach.

– Panna Finch powiedziała, że jeżeli zabraknie funduszu na oddział ochotników, młode damy będą musiały wrócić do domów. A one potrzebują tego miejsca, a sklepik mojej rodziny potrzebuje z kolei tych dam! Za ciężko pracowaliśmy, żeby teraz to wszystko rzucić, milordzie. My wszyscy… – Znowu opadł na stół, zmęczony mówieniem.

– Odpoczywaj, Finn.

Bram przeciągnął ręką po włosach. Dręczyło go poczucie winy.

Rzeczywiście wszyscy ciężko pracowali i nie wiedział, jak im powiedzieć, że zadanie, jakiego się podjęli, było właściwie bez sensu. Że były to po prostu manewry dla zadowolenia nadętego pychą głupca!

Powiedzmy, dla dwóch głupców, jeśli liczyć w tym także jego.

Z podwórka przed kuźnią dobiegł odgłos pospiesznych kroków.

– Nie wolno pani tego zrobić. – Usłyszał szorstki, niski głos Thorne’a.

– Wolno, i zrobię to! – Kobiecy głos był coraz bliżej.

– Do diabła, kobieto! Powiedziałem: nie!

– Dobrze, zobaczmy, co na to powie lord Rycliff!

Oboje weszli do kuźni. Bramowi opadła szczęka.

– Starałem się ją zatrzymać – z gestem niesmaku powiedział Thorne.

– Ją?

Ją. Oczywiście, że ją. Z łatwością ją rozpoznał po ciemnoczerwonej plamie na skroni. Ale pod każdym innym względem byłoby to trudne. Panna Kate Taylor była ubrana w strój dobosza. Niski wzrost i szczupła, drobna figura sprawiły, że mundur doskonale na nią pasował.

– Co pani robi? – spytał Bram, wskazując jej czerwoną kurtkę i bryczesy. – Czyj to mundur?

– Finna, naturalnie – odpowiedziała. – Dzisiaj gram jego rolę. Potrzeba wam dobosza, a tylko ja jedna mogę go zastąpić.

– Panno Taylor, nie mogę pani prosić o…

– Nie musi mnie pan prosić. Sama się zgłosiłam.

Thorne zerknął na Brama. Zacisnął szczęki.

– Nie – powiedział. – Nie może pan na to pozwolić.

Thorne służył pod rozkazami Brama przez ponad pięć lat. Nie tylko był jego prawą ręką, ale też prawą nogą, kiedy było trzeba. I nigdy – ani razu przez całe pięć lat ćwiczeń, marszów, kopania okopów, walki – Thorne nie miał cienia wątpliwości, czy powinien wykonać choćby najmniej ważny rozkaz Brama. A już z pewnością nigdy sam żadnego nie wydał.

Aż do dzisiaj.

– Tracimy tylko czas – stwierdziła panna Taylor, zbliżając się z powagą do niego. – Mamy jedynie kilka godzin do przygotowania pokazu, a pan musi mi pozwolić pójść z wami. Nie mam tu ani rodziny, ani opiekunki – inaczej niż wszystkie inne tu obecne damy. Spindle Cove to mój jedyny dom i chcę pomóc najlepiej, jak umiem. Nie zrobiłam tego za darmo!

Dramatycznym ruchem zrzuciła z głowy wysokie czarne czako, żeby pokazać włosy. A raczej – ich brak. Dziewczyna obcięła swoje kasztanowe loki do linii kołnierza i spięła je z tyłu tak, żeby udawały chłopięcą czuprynkę.

– Chryste przenajświętszy! – jęknął Thorne. – Co pani z siebie zrobiła?

Panna Taylor czubkiem palca dotknęła płatka ucha i dzielnie pohamowała łzy, cisnące się jej do oczu.

– Odrosną. To tylko włosy…

„To tylko włosy”.

Brama zakłuło w sercu. Tak bardzo mu przypominała Susannę tamtego dnia… kiedy dzielnie zaoferowała, że poświęci swoje długie, piękne włosy, żeby tylko nie skreślał Finna i Rufusa z listy wolontariuszy. Gdyby tylko jej wtedy posłuchał…

Ale gdzie ona teraz była? Coraz rozpaczliwiej pragnął ją ujrzeć.

– Lordzie Rycliff – rzekła panna Taylor – są tu też inni. Wszyscy się zgromadzili w Ukwieconym Byku.

– W jakim Ukwieconym Byku?

– W herbaciarni – wyjaśniła. – I tawernie. Teraz to jest jedno i drugie. Fosbury wykonał nowy napis. Niezależnie od tego, jak się ma sytuacja w Summerfield, pomyśleliśmy, że będzie najlepiej właśnie tam przenieść wieczorne przyjęcie. Wszyscy czekają tylko na pański rozkaz.

– To zupełnie niepotrzebne – mruknął Bram bez przekonania.

– Może i nie – rzekł Aaron Dawes .– Ale może powinniśmy to jeszcze raz rozpatrzyć.

Co za pomysł… przeprowadzić pokaz oddziału i urządzić wielkie przyjęcie – nie dla chwały sir Lewisa ani Brama – ale dla Spindle Cove!

– Wszyscy tak ciężko pracowaliśmy i tak bardzo czekaliśmy na ten dzień! Chcemy to zrobić dla nas samych… i dla Finna. I dla pana, lordzie Rycliff. – Panna Taylor skubała rękaw kurtki. – Panna Finch mówiła, że pan wróci, a my musimy się tak przygotować, żeby pan mógł z nas być dumny.

– Susanna tak powiedziała?

– Tak. – Dziewczyna z zachwytem klasnęła w dłonie. – Och, lordzie Rycliff! Ja przecież wiem, że wy dwoje się kochacie. Wiedziałam, że jej pan nie mógłby opuścić! – Aż podskoczyła do góry. – Och, to wszystko się robi takie romantyczne!

Bram zachichotał.

– Jeżeli pani będzie tak szczebiotała, nikt pani nie weźmie za chłopca!

Co prawda i on z trudem się powstrzymywał, żeby nie skakać z radości.

– Gdzie ona teraz jest?

– Poszła do domu odpocząć i przebrać się, ale obiecała, że przyjdzie do nas do zamku.

Bram poprawił kurtkę i przygładził włosy. Spojrzał na pozostałych.

– Wobec tego na co czekamy? Idziemy!

– Gdzie ona może być?

Minęło parę godzin. Bram, zniecierpliwiony, stał przy wejściu do zamku i patrzył na drogę, wypatrując bodaj śladu Susanny. Przez cały ranek tym starym traktem ciągnęli ludzie – na wozach, konno, pieszo – niektórzy z daleka, z miejsc oddalonych o dziesięć i więcej mil, byle tylko obejrzeć pokaz. Ale wśród tych ludzi nie było kobiety, którą Bram tak chciał ujrzeć.

– Na pewno zasnęła – mówił Thorne. – Całą noc przecież ciężko pracowała!

– Może powinienem podjechać do Summerfield?

– Ja już i tak gram na zwłokę, jak tylko mogę! – rzekł Colin. – Gdyby to była tylko kwestia tłumu, mógłbym go powstrzymać. Ale generałowie i książęta nie mają zwyczaju czekać… Może panna Finch po prostu musi odpocząć?

Bram skinął głową w niechętnym przyzwoleniu. Pokaz nie będzie trwał długo. Jeżeli Susanna się nie zjawi do końca, zaraz potem postanowił pojechać do Summerfield.

Wystąpił na środek łąki i gestem kazał swoim ludziom ustawić się w szyku. Dokonał przeglądu z niemałą dumą: to była kadra jego ochotników! Wszyscy stali ubrani w nowe mundury, zgromadzeni, by służyć pod jego komendą. Cóż to jeszcze niedawno była za banda! Pasterze, rybacy, duchowni… Jeden kowal, jeden piekarz – nie było producenta świeczników, był za to jeden chłopiec, jedna młoda kobieta…

I owieczka. Kolacja stała przy jego kolanach, na szyi miała zawieszoną elegancką wstążkę z dzwoneczkiem.

Nie ma się co łudzić. Takie było Spindle Cove.

Zaproszeni dygnitarze i damy z Królowej Ruby stali pod ozdobionym girlandami baldachimem, gotowi do oglądania. Cały teren zamku wypełniał zgromadzony tłum mieszkańców miasteczka i przybyłych z daleka wieśniaków. Dzieciaki, które były za małe, żeby coś zobaczyć w tłumie, wdrapywały się na mury. Z każdej baszty powiewały barwne proporce.

Kiedy już wszyscy byli na miejscu, Bram wsiadł na konia i zwrócił się do swoich mężczyzn (i jednej kobiety):

– Chcę, żebyście wszyscy to zapamiętali. Nie jesteśmy sami, kiedy tu wychodzimy na pole! Są inni, którzy liczą na nasz sukces. Wszystkie damy z Królowej Ruby. Finn. I panna Finch. Ich wiara w nas jest wszyta w szwy naszych kurtek, wpleciona w każdy zwijany przez nie nabój! Ta wiara jest też w każdym uderzeniu naszych serc. Nie możemy ich zawieść.

Patrzył po kolei na każdą zdecydowaną, poważną twarz: każdemu, aż do ostatniego, spojrzał głęboko w oczy. A pannę Taylor nawet obdarzył uśmiechem.

– Wielebny, prosimy o błogosławieństwo, jeśli można. – Pochylił głowę i mruknął: – Będziemy go potrzebowali…

Bram nie był pewien, jak wypadnie dzisiejszy pokaz po wczorajszej katastrofie i – w związku z tym – po nieprzespanej nocy. Jednak mimo jego wątpliwości ćwiczenia odbyły się zaskakująco dobrze. Manewry z pojazdami, które przedtem tak dawały do wiwatu, przebiegły całkiem gładko – nawet przy cofaniu. Trochę kłopotu było z nawrotami, głównie z powodu Fosbury’ego, który uparcie mylił prawą stronę z lewą. Za to w strzelaniu zasłużyli na najwyższą notę. Dzięki lekcjom Susanny mężczyźni strzelali szybko i celnie, zgodnie – po kolei i wspólnie.

Zgodnie z planem pokaz uwieńczył *feu de joie*[9]. Mężczyźni ustawili się w pojedynczy szereg, załadowali muszkiety i strzelali jeden po drugim – zupełnie jak tancerze operowi, kolejno wykonujący ten sam ruch. Fala dymu i ognia biegła od jednego końca szeregu do drugiego!

Kiedy dym opadł, tłum wybuchł okrzykami i burzą oklasków.

Bram patrzył po kolei na swoich ludzi. Mógł sobie tylko wyobrażać, że oni, podobnie jak on, w głębi duszy pękają z dumy i satysfakcji. Tylko jedno mogło mu jeszcze bardziej rozjaśnić tę chwilę…

– Bram!

To było właśnie to. Głos Susanny. Przyszła. Nareszcie była tutaj; przybyła na czas, by być świadkiem triumfu swoich przyjaciół.

– Bram! – powtórzyła zdyszanym głosem. Musiała być ogromnie przejęta.

Zeskoczył z konia i obrócił się, szukając jej w tłumie.

Była tam! Stała blisko wejścia, pod zrujnowanym łukiem. Wydarzenia ostatniej nocy odbiły się na jej twarzy. Była blada, pod oczami rysowały się

głębokie cienie. Włosy miała w nieładzie. Indyjski szal zwisał, nurzając się w błocie. Gdyby ktoś rok temu namalowałby mu taki obraz i powiedział: „Pewnego dnia będziesz pragnął pocałunku tej kobiety bardziej niż możliwości oddychania”, Bram z pewnością by go wyśmiał, i jeszcze zażartował na temat malarzy i ich zwyczaju odurzania się opium.

Ale dzisiaj to była szczera prawda.

– Susanno…

Zbliżył się, a ona się oparła o kamienny łuk.

– Bram…

– Wybacz. – To musiał powiedzieć przede wszystkim. – Tak bardzo cię przepraszam. Nigdy nie powinienem był powiedzieć tego, co mówiłem. Nie powinienem był wyjeżdżać. Byłem idiotą… a ty zrobiłaś dokładnie to, co powinnaś… dla Finna. Dziękuję.

Nie odpowiedziała. Po prostu stała przy wejściu, blada i oszołomiona. Czyżby te natychmiastowe przeprosiny z jego strony były dla niej aż takim szokiem? Być może tak było. Był przecież takim upartym durniem.

Podszedł bliżej do Susanny i zatrzymał się przy niej na odległość ramienia. Cierpiał strasznie, nie mogąc jej wziąć w ramiona.

– Powinienem był już wcześniej pojechać do Summerfield, żeby ci to powiedzieć. Ale panna Taylor mówiła, że chciałaś to wszystko zobaczyć… – Wskazał ręką teren uroczystości. – Wszyscy tak ciężko nad tym pracowali i… I zrobili to wszystko dla ciebie, Susanno. Wszystko wypadło doskonale, wszystko… dla ciebie.

Z trudem przełknęła ślinę i przycisnęła rękę do boku. Milczała tak długo, że zaczął się nie na żarty niepokoić.

– Bram, ja… – zaczęła. Szeroko otworzyła oczy i wydała ostre, bolesne westchnienie. W miejscu, gdzie przyciskała rękę do boku, kostki palców całkiem zbielały. – Bram… tak się dziwnie czuję…

– Susanno!?

Całe szczęście, że stał tak blisko. Bo kiedy się zaczęła osuwać na ziemię, zdążył ją chwycić, zanim upadła.

28

Nie cierpiała chorować. Świadomość braku kontroli nad własnym ciałem przerażała ją i była godna pogardy. A ten epizod – choroba czy cokolwiek to było – był gorszy od wszystkiego, co przeżywała od lat.

Przez całą noc już czuła się bardzo źle, ale kiedy wyszła z Summerfield, nastąpiło gwałtowne pogorszenie. Usiadła nawet przy drodze, niepewna, czy będzie w stanie się utrzymać na nogach. Wtedy jednak usłyszała dochodzące z zamku odgłosy pokazu. Uderzenia bębnów, kolejne wystrzały z muszkietów.

Bram.

Zachęcona tymi dźwiękami w jakiś sposób zdołała wstać i, zataczając się, przejść ostatni odcinek drogi. Kiedy jednak dotarła do kamiennego łuku, nie mogła już zrobić ani kroku.

Brakowało jej tchu. Klatka piersiowa bolała coraz bardziej. Już zapomniała, że taki ból może istnieć! Zdawał się przenikać ją całą. Był, jak jakiś potwór pełen ostrych kolców i jaskrawych kolorów.

Ale tam był Bram. Mimo gniewnych słów, z jakimi odjechał, jednak zechciał z powrotem na nią spojrzeć. A nawet ją przeprosić i uśmiechać się. Trzymał ją w ramionach, a kojący szept sprawił, że się teraz mniej bała.

– Wszystko dobrze, kochanie. Wszystko w porządku. Tylko odpoczywaj i pozwól sobie pomóc…

Zanieśli ją pod baldachim i ułożyli na ziemi. Chłodna trawa i sprężysta darń ugięła się pod jej ciężarem. Otworzyła oczy. Skośne wzory pasiastego materiału baldachimu równocześnie zachwyciły ją i zdumiały.

To nie mogło być prawdą. Nie mogłaby teraz umrzeć. Nie teraz!

Ale… chyba tak będzie… Słyszała, jak ludzie o niej mówią. Tak właśnie, jak wtedy, kiedy myślą o kimś, że umiera. Dyskutują o tobie, stojąc tuż obok. Już kiedyś przez to przechodziła.

– Biedna panna Finch. Co jej się stało?

– Może jest po prostu przemęczona. To była piekielna noc!

– Panna Finch przemęczona? Nie ona! Nigdy w to nie uwierzę. Jest na to o wiele za silna.

No cóż, skoro musiała umrzeć, to niech to będzie przynajmniej tutaj – w jej ukochanym zamku, z Bramem u boku, w otoczeniu tych wszystkich, których kocha. Czuła, że się o nią troszczą; otulała się tą troską jak ciepłą watą.

– Jestem chirurgiem – odezwał się jeden z nowo przybyłych. Mówił z północnym akcentem. – Gdyby pani to zdjęła… chciałbym panią obejrzeć.

O Boże… Tylko nie chirurg! Ciepło Brama zaczęło się od niej oddalać. Schwyciła go za rękę.

Nie opuszczaj mnie.

– Wszystko w porządku – zapewnił. – Nigdzie nie odchodzę.

– Zeszłej nocy – mówiła z wysiłkiem, ściskając mu rękę. Każdy oddech sprawiał jej ostry, kłujący ból, który się stawał tym większy, im bardziej z nim walczyła. – Tam przy stajniach, ja… upadłam. – Kolejny bolesny oddech. – To chyba… moje żebra.

– Jej żebra! – powtórzył Bram. – Mówi, że to żebra.

– Wobec tego pozwól, że ją obejrzę.

Kątem oka zauważyła, jak gość otwierał czarną skórzaną torbę. Już sam ten widok sprawił, że chciało jej się krzyczeć. Z takich toreb nigdy nie wynikało nic dobrego. Tylko ból… coraz więcej bólu.

Ktoś przeciął, a następnie rozdarł stanik jej sukni na dwoje. Poczuła się okropnie obnażona. Instynktownie zaczęła się bronić.

– Spokojnie, kochana. Spokojnie. – Bram pogładził jej włosy. – To Daniels. Mój przyjaciel, a przy tym świetny chirurg wojenny. To on uratował mi nogę. Możesz mu zaufać. Ja w każdym razie ufam.

Możesz mu zaufać.

Nie… nie sądziła, żeby to było możliwe. Starała się zachować spokój, oddychając szybko i płytko, podczas gdy ten Daniels osłuchiwał ją, dotykał i oglądał.

Przez cały czas jej ciałem wstrząsał strach.

– Mówi pani, że zraniła sobie żebra, panno Finch?

Przytaknęła.

– Zeszłej nocy.

– Ale wtedy ból nie był bardzo silny?

Skinęła głową.

– Co jej jest? – chciał wiedzieć Bram.

– Cóż, jeżeli chcesz wiedzieć, co sądzę…

– Nie chcę wiedzieć, co sądzisz! – z gniewem odparł Bram. – Chcę, żebyś mi odpowiedział, do cholery!

Pan Daniels bynajmniej się nie zdenerwował tym wybuchem, co Susannie dodało trochę otuchy. Najwyraźniej byli prawdziwymi przyjaciółmi.

– Jestem pewien – cierpliwie mówił Daniels – że złamała sobie kilka żeber. Ale same złamane żebra nie dałyby aż takich problemów ani bólu. Nie tak nagle, po tylu godzinach. Ale, jeżeli wykonywała dużo pracy fizycznej od chwili, kiedy je złamała, połamane kości mogły spowodować wewnętrzne krwawienie. A w ciągu iluś tam godzin krew zgromadziła się w piersi bez możliwości ujścia. W tej chwili uciska płuca i stąd trudności z oddychaniem. To się nazywa *hemo*…

– …*thorax* – dokończyła Susanna. *Hemothorax*[10]. Tak, pomyślała ponuro. Czytała o tym. To musiało być właśnie to.

– Ach! – Doktor był zaskoczony. – Więc moja pacjentka jest nie tylko urocza, ale i mądra.

– A poza tym jest moja – wtrącił Bram. – Żadnych podchodów. Ona jest moja.

Susanna ścisnęła go za rękę. Ta rozmowa była wręcz średniowieczna. Co za zaborczość! Ale kochała go za to.

– Jasne, dobrze. – Daniels odchrząknął i sięgnął po torbę. – Dobra wiadomość to taka, że na polu bitwy to się zdarza aż za często.

– A cóż z tego? Dlaczego to dobra wiadomość? – pytał Bram.

– Pozwól mi powtórzyć. Dobra wiadomość, bo widziałem to mnóstwo razy, a kuracja jest prosta. To nowoczesny, może trochę sporny sposób. Ale stosowaliśmy go już na wojnie z dużym powodzeniem. Musimy tylko wyciągnąć krew z jej piersi, a choroba zniknie.

– Nie. – Dziko wystraszona, starała się wytłumaczyć. – Bram, nie! Nie pozwól mu puszczać mi krwi.

– Nie możesz jej puszczać krwi – powtórzył. – Robili jej to tyle razy w dzieciństwie, że ją to prawie wykończyło! – Odwrócił jej rękę i pokazał

lekarzowi blizny.

– Widzę…

I wtedy pan Daniels zrobił coś naprawdę zdumiewającego. Coś, czego żaden z tamtych lekarzy ani chirurgów w jej dzieciństwie nigdy nie robił. Przykucnął przy niej tak, że mogła mu patrzeć w oczy. Następnie zaczął mówić do niej, a nie o niej. Tak jakby miała swój rozum, jakby w pełni kontrolowała własne ciało.

– Panno Finch, jeżeli mogę to powiedzieć, nie ryzykując, że Bramwell rzuci się na mnie z pięściami, zachwyciła mnie pani inteligencja. Mam nadzieję, że mnie pani zrozumie i uwierzy, kiedy powiem, że nie chodzi o szarlatańskie puszczanie krwi! Ucisk w pani piersi nie może przejść sam. Jeżeli nic z tym nie zrobimy, istnieje wielkie ryzyko, że pani umrze. Oczywiście, przy takim zabiegu zawsze jest niebezpieczeństwo zakażenia. Ale jest pani młoda i silna. Pani szanse na zwalczenie gorączki są większe niż na uporanie się z krwiakiem.

Lekko puknął palcem w jej rozszerzoną klatkę piersiową. Dźwięk był dziwnie głuchy.

– Ale nie zrobię nic bez pani zgody, na pewno!

Susanna patrzyła na niego uważnie. Wyglądał na młodego. Niewiele starszego od niej. Włosy miał zmierzwione, ale oczy spokojne i mądre. A jednak, po tak krótkiej znajomości, nie wiedziała, czy może się zmusić do zaufania jakiemukolwiek człowiekowi z taką okropną czarną torbą…

Ale był też ktoś inny. Ktoś, komu zaufała, że ją będzie chronił.

Spojrzała na Brama.

– Czy ty… mu ufasz… czy mu powierzysz… moje życie?

– Całkowicie!

– W takim razie… – Uścisnęła mu rękę i ponownie z bólem wciągnęła powietrze, jakby przez bardzo cieniutką, coraz cieńszą słomkę. – Tobie wierzę. Kocham cię. – Musiała to powiedzieć, jeszcze raz.

Na twarzy Brama odbiła się ulga.

– Zrób to! – zwrócił się do przyjaciela.

Mogła to wytrzymać. Skoro to był jej wybór, a obok siebie miała Brama… Mogła znieść dosłownie wszystko.

Tak się wydawało do chwili, kiedy w oczach jej mignęło srebrne ostrze skalpela, które uciskało bladą skórę. Ten widok sprawił, że się cofnęła z przerażenia. Aż podskoczyła.

Daniels podniósł skalpel.

– Gdzie jest ten kowal? Będziemy ją musieli przywiązać!

Nie. Boże, proszę, nie! Wszystkie koszmarne wspomnienia powróciły w jednej chwili. Lokaje, którzy ją przygważdżali do łóżka. Ostry blask lancetu, zbliżającego się do jej przegubu.

– Nie – twardo rzucił Bram. – Żadnego przywiązywania. Nikt jej nie dotknie oprócz mnie. – Odwrócił jej głowę i spojrzał w oczy. – Nie patrz na to, co on będzie robił. Patrz tylko na mnie.

Posłuchała, przebiegając wzrokiem po jego pięknych rysach twarzy, pozwalając oczom zatonąć w tych jakże znajomych, zielonych jak nefryt oczach.

Splótł palce z jej palcami. Drugą ręką pieścił jej włosy. Tak czule…

– A teraz posłuchaj, Susanno. Czy pamiętasz pierwszą noc, kiedy się spotkaliśmy w zatoczce? Jeżeli trzeba, odświeżę twoją pamięć. Miałaś na sobie ten koszmarny kostium kąpielowy, a ja przyrząd do średniowiecznych tortur.

Uśmiechnęła się. Tylko on mógł w tej chwili wywołać uśmiech na jej twarzy.

– Tamtej nocy zaproponowałaś, żebyśmy sobie nawzajem coś obiecali. Wobec tego zróbmy to teraz. Ja ci obiecam, że cię nie opuszczę. A ty mi obiecasz, że nie umrzesz. Dobrze?

Otworzyła usta, by odpowiedzieć, ale nie mogła wydać żadnego dźwięku.

– Obiecuję, że będę przy tobie – mówił – aż będzie po wszystkim. A potem przez całe życie. A teraz ty mi obiecaj. – Oczy mu lśniły, głos ochrypł z przejęcia. – Obiecaj mi, Susanno. Powiedz, że nie umrzesz. Nie mogę bez ciebie żyć, kochanie.

Zacisnęła zęby i udało jej się leciutko kiwnąć głową.

W tym momencie ostrze przecięło ciało. Gdyby miała jeszcze w płucach choć trochę powietrza, krzyknęłaby.

Ból był przeraźliwy. Płonący, ostry. Ale już po chwili nastąpiła ulga, jakby deszcz ugasił pożar.

Pierwszy zastrzyk powietrza w płucach… aż jej zakręcił w głowie, wszystko się przewróciło do góry nogami. Świat się zawęził, a ona sama czuła, jakby wpadła do głębokiej, ciemnej studni. Kiedy tak spadała, słyszała wokół siebie coraz bardziej odległe głosy. Brama… Chirurga…

– Chyba straciła przytomność.
– Może to łaska boska.
Tak, pomyślała, wirując i spadając w ciemność. Tak, to naprawdę łaska.

29

*P*owinna szybko dojść do siebie. O ile nie będzie gorączki.

Tak mu powiedział Daniels po skończonym zabiegu. Ale to nie było wcale takie proste. Już po paru godzinach – dosłownie zaraz po tym, kiedy ją odwieźli i ułożyli w łóżku w Summerfield – Susanna zaczęła gorączkować.

Teraz Bram ani na chwilę jej nie opuszczał. Całymi dniami tkwił przy łóżku. Godzinami jej usługiwał. Zachęcał do wypicia łyżeczki herbaty lipowej, ścierał gąbką pot z jej czoła. Czasami też mówił do niej. Czytał jej głośno gazety, opowiadał historie z własnego dzieciństwa albo z wojska. Cokolwiek mu wpadło do głowy. A czasami bez zawstydzenia błagał ją, żeby wyzdrowiała, żeby wstała i była zdrowa.

Jadł, kiedy go do tego namówili. Przełożenie na czas nieokreślony wielkiej uroczystości sprawiło, że Spindle Cove cierpiało na nadmiar ciastek od Fosbury'ego. Taca tych lukrowanych na pastelowe kolory ciasteczek zawsze była pod ręką. Bram stwierdził, że nawet zaczynają mu smakować w jakiś dziwny, rzewny sposób.

Sypiał rzadko i niespokojnie. Modlił się z regularnością i żarliwością, która wbiłaby w dumę członka zakonu benedyktynów.

Do pokoju chorej wchodzili inni ludzie i z niego wychodzili. Daniels. Pokojówki. Sir Lewis Finch. Zaglądali nawet Colin i Thorne. Wszyscy namawiali Brama, żeby sobie od czasu do czasu zrobił przerwę. Żeby zszedł na dół na porządny obiad, mówili. Żeby odpoczął w sypialni, przygotowanej dla niego niedaleko, na tym samym korytarzu.

Odmawiał tym wszystkim, robionym w dobrej wierze sugestiom. Każdej z nich.

Obiecał jej nie opuścić. Być przy jej boku, aż wszystko się skończy. I niech go diabli, jeżeli pozwoli Susannie nie dotrzymać jej przyrzeczenia!

Póki on tu będzie, ona nie umrze.

Sir Lewis siedział z nim przez jedno popołudnie na fotelu po drugiej stronie łóżka. Staruszek pocierał kark.

– Lepiej dziś wygląda… tak myślę.

Bram przytaknął.

– Lepiej. Obaj tak myślimy.

Któregoś ranka, kiedy poprawiał Susannie poduszki pod głową, dotknął niechcący ręką jej policzka. Zamiast żaru gorączki wyczuł, że ciało jest chłodne. Wezwał Danielsa, by to potwierdził, nie wierząc sobie samemu po tylu dniach daremnych nadziei.

Ale to była prawda. Gorączka ustała, nastąpiło przesilenie. Teraz pozostawało tylko czekać, żeby chora przyszła do siebie. Czuwanie przy niej było już lżejsze, chociaż niepewność nadal nie do zniesienia.

– Sir Lewisie, jest coś, co pan powinien wiedzieć.

Bram ujął rękę Susanny w swoją. Leżała mu na dłoni, chłodna i bezwładna.

– Mam zamiar się z nią ożenić.

– Och… Pan ma zamiar się z nią ożenić? – Staruszek utkwił w nim wodniste, niebieskie spojrzenie. – Czy to jest forma, w jakiej się prosi dżentelmena o rękę jego jedynej córki? Bramwell! Myślałem, że ojciec lepiej pana wychował!

– Pańskie błogosławieństwo będzie mile widziane – odparł Bram niewzruszenie. – Ale nie, bynajmniej nie proszę pana o jej rękę. Susanna jest wystarczająco mądra, żeby sama podejmowała takie decyzje.

Tyle jeszcze był w stanie znieść, poprosić o zgodę sir Lewisa. Doskonale mógłby się obejść bez pozwolenia tego dziadygi! W każdym razie – zdaniem Brama – z chwilą, kiedy sir Lewis spowodował ten wybuch działa, wyrzekł się tym samym odpowiedzialności za życie i zdrowie Susanny. Ten staruch mógł zniweczyć pracę swojej córki, pracę jej przyjaciół, wreszcie zagroził jej życiu! A to wszystko w imię własnej sławy.

Teraz Susanna była pod opieką Brama. Jako jej męża – oczywiście pod warunkiem, że go przyjmie.

– Moja jedyna córka ma wyjść za mąż. Jest dorosła, prawda? – Sir Lewis dotknął trzęsącą się ręką włosów śpiącej córki. – Wydaje się, że jeszcze wczoraj była niemowlęciem na rękach…

– Ale to nie było wczoraj – zaprotestował Bram, z trudem utrzymując nerwy na wodzy. – Wczoraj leżała tu, w tym łóżku, rozpalona gorączką i bliska śmierci!

– Wiem. Wiem. Pan mnie o to oskarża. Uważa mnie pan za potwora, który dba tylko o swoje interesy.

Przerwał, jakby czekał, że Bram zaprotestuje.

Ale to nie nastąpiło.

– Pewnego dnia – zaczął sir Lewis, wskazując palcem na siebie – ten dbający tylko o siebie potwór ukończy swój największy wynalazek, który weźmie udział w bitwie. Takie działo skróci czas oblężenia. Pozwoli wojsku na atak z bardziej bezpiecznej odległości. Uratuje życie i członki wielu angielskich żołnierzy.

– Może i tak.

– Kocham córkę! – Głos starego stał się chrapliwy. – Nie wie pan, ile dla niej poświęciłem. Nie ma pan o tym pojęcia.

– Może nie mam, ale wiem, ile ona poświęciła dla pana. A pan nie ma pojęcia, jaką się stała wspaniałą osobą. Zanadto jest pan zajęty swoją pracą, swoimi dokonaniami. Nie mam żadnych wątpliwości: kocham Susannę. Ale panu nic do tego; to nie pański interes.

Sir Lewis zbladł.

– Jak pan śmie tak się do mnie odzywać?

– Wydaje mi się, że mam prawo mówić do pana tak, jak tylko mi się podoba. Jestem hrabią Rycliff, pamięta pan?

– Nie powinienem był nigdy zapewniać panu tego tytułu.

– Ale cofnięcie go nie leży w pańskiej mocy. Teraz jestem lordem.

Bram odetchnął głęboko, starając się pokonać gniew. Był wściekły na sir Lewisa za narażenie na niebezpieczeństwo życia Susanny, życia małego Finna i tylu innych ludzi. Niemniej, jeżeli szczęście będzie sprzyjać Bramowi, ten człowiek niebawem zostanie jego teściem. Dla dobra Susanny powinni zawrzeć pokój.

– Mój ojciec oceniał pana bardzo wysoko – zaczął Bram. – Ja także, za pańskie zasługi dla armii. Jest pan świetnym wynalazcą, co do tego nie ma wątpliwości. Pańskie wynalazki pomogły Wielkiej Brytanii przechylić zwycięstwo na swoją stronę, a ilekroć podnoszę do góry w obronie mój pistolet Fincha, prawdopodobnie zawdzięczam panu życie. Ale pańska córka, sir Lewisie… – Spojrzał na uśpioną Susannę i lekko ścisnął jej rękę.

– Pańska córka łączy ludzi. Sprowadza tu młode damy, które się sprzeciwiają wszelkim racjonalnym formom. I jeszcze potrafi znaleźć czas dla wypalonego, rannego oficera! Może nie zawdzięczam jej życia, ale zawdzięczam to, że odzyskałem serce…

Oczy go piekły. Mrugnął kilka razy.

– Jeśli pan sądzi, że to nieszczęsne działo będzie pańskim największym wynalazkiem, jest pan głupcem. Pańskie największe dzieło jest tutaj. Śpi w tym łóżku! Pana dziedzictwo to Susanna. A przez swoją pychę omal jej pan nie stracił.

Zresztą Bram też jej o mały włos nie stracił… Przedtem nie pozwalał sobie nawet rozważać, co to by dla niego znaczyło. Był zanadto skoncentrowany na każdej kolejnej łyżeczce herbaty, na następnej zmianie opatrunku, na świeżej chusteczce do ocierania jej czoła… Teraz jednak, kiedy gorączka minęła, a Daniels prognozował, że Susanna ma ogromne szanse na całkowite wyzdrowienie… Jezu! Rozmaite możliwości przebiegały mu przez myśl, jak mroźny, potężny wicher. Wybuch, tak silny, że mógłby ogołocić ziemię ze wszystkiego co zielone!

Przecież nieomal ją stracił. Jeśli ta piekielna gehenna nauczyła go czegoś, to tego, że nigdy nie pozwoli, by pomiędzy nimi stanęła jego miłość własna.

– Ma pan rację, Bramwell. – Oczy staruszka napełniły się łzami. – Wiem, że pan ma rację. Mogę tylko mieć nadzieję, że jej wielkie serce sprawi, że zdoła mi wybaczyć.

– Na pewno tak; jest taka dobra! Ale może pan zrobić coś więcej, niż tylko czekać na jej przebaczenie, sir Lewisie. Może się pan starać na nie zasłużyć.

Pościel zaszeleściła. Spojrzał w dół na Susannę. Brązowe rzęsy zatrzepotały, kładąc się cieniem na jej policzkach.

Zapomnij o śpiewie ptaków, o dźwięku dzwonów, o strumieniach, urokliwie szumiących na kamykach! Chóry anielskie mogą sobie zamilknąć. Jej głos – choć słaby i zmieniony – był najpiękniejszą muzyką, jaką usłyszał w życiu!

– Bram? To ty?

Oczy Susanny rzucały spojrzenia na to, co jej się wydało po prostu kolejnym pięknym snem. Obok niej był Bram. I nareszcie mieli porządne łóżko. Miała już serdecznie dość kochania się z nim w zatoczkach i laskach.

– Bram… – szepnęła.

– Jestem tutaj.

Ucałował gorąco jej rękę, drapiąc po skórze kilkudniowym zarostem.

Starała się podnieść i oprzeć na łokciu, kiedy nagle jakiś złośliwy chochlik sprawił, że materac zaczął pod nią wirować, jak bąk.

– Nie staraj się usiąść – poprosił Bram. – Jesteś jeszcze za słaba.

Skinęła głową i zamknęła oczy, aż pokój przestał wirować.

– Napijesz się wody? – Podał jej szklankę.

– Za chwilę. Najpierw… – Z wielkim wysiłkiem odwróciła głowę. – Papo?

Szorstkie ręce ojca uścisnęły jej dłonie.

– Tutaj jestem, moja kochana dziewczynko. Jestem tutaj.

Ścisnęła mu palce.

– Chcę, żebyś wiedział, papo, że cię naprawdę bardzo kocham.

– Ja… – Głos mu się załamał. – Ja też cię kocham, Susanno Jane.

– Dobrze…

Nie spodziewała się usłyszeć tych słów z ust ojca. Ale też niespodziewanie poczuła się wyzwolona. Odetchnęła głęboko.

– Mógłbyś zejść na dół i poprosić kucharkę o filiżankę bulionu dla mnie?

– Zaraz poślę Gertrudę.

– Nie, papo. Wolałabym, żebyś mi go sam przyniósł. Chciałabym zostać na chwilę sama z Bramem.

Ojciec pociągnął nosem i kiwnął głową.

– Rozumiem.

– Dziękuję, że rozumiesz.

Odczekała, aż ojciec wstał z fotela, ocierając oczy wierzchem dłoni, i skierował się do drzwi sypialni. Kiedy usłyszała stuknięcie klamki, zwróciła się do Brama.

– Słyszałaś naszą rozmowę? – spytał, patrząc na nią niepewnie.

– Wystarczająco dużo… Och, Bram! Byłeś cudowny. Nie mogę powiedzieć, jak bardzo chciałam…

Cmoknął z dezaprobatą.

– Na to będzie dość czasu później. Teraz się napij. – Przysunął szklankę z wodą do jej ust, a ona ostrożnie upiła kilka łyków. – Okropnie cię boli?

– Nie tak znowu okropnie – odparła, kiedy odstawił szklankę. Spróbowała się uśmiechnąć. – Boli tylko wtedy, kiedy oddycham.

Upomniał ją surowo.

– Nie żartuj. To wcale nie jest śmieszne. Nie mogę znieść, kiedy widzę, że cierpisz!

Drogi, kochany człowiek!

– Niedługo będę zdrowa. Naprawdę. Teraz boli o wiele mniej niż przedtem. Jak się czuje Finn?

– Dochodzi do siebie, przynajmniej tak mi mówił Daniels. Cały czas go bardzo boli, ale dzięki damskiej opiece ból jest łatwiejszy do zniesienia.

Uśmiechnęła się.

– Mogę sobie wyobrazić. Jaki dzisiaj dzień?

Potarł twarz ręką.

– Chyba wtorek.

Wtorek. Tego dnia miało być coś ważnego…

– O, nie! – Uniosła się na poduszkach. – Bram! Twoje rozkazy! Statek. Chyba dzisiaj odpłynął.

Wzruszył ramionami.

– Chyba tak.

– Ale… ty… nie odjechałeś…

– A ty nie umarłaś. – W końcu się uśmiechnął! – Skoro jedno z nas dotrzymało obietnicy, zasługuje na to, żeby drugie jej też dotrzymało!

Siedział przy jej łóżku, nieporuszony. Pewnie siedział tam już od wielu dni. A ona leżała tu i patrzyła na niego w gorącym świetle dnia: na jego rozczochrane włosy, pomiętą koszulę, nieogolone szczęki, zaczerwienione oczy… Tylko mężczyzna może być tak zaniedbany, a mimo to wyglądać na jeszcze bardziej przystojnego niż kiedykolwiek.

– Na Boga! – zawołała nagle z przerażeniem. Sięgnęła dłonią do głowy, sprawdzając fryzurę. Dokładnie tak, jak przewidywała, włosy jej opadały w beznadziejnych strąkach. A po tylu dniach choroby…? Po utracie krwi, gorączce… – Muszę wyglądać jak potwór!

– Zwariowałaś? Susanno, żyjesz! Obudziłaś się! Jesteś najpiękniejszą istotą, jaką znam!

Zacisnęła popękane wargi.

– Więc czemu mnie nie dotykasz? Nie przytulasz?

– Nie dlatego, żebym tego nie chciał. – Ręką dotknął jej twarzy, przez chwilę się wahał, po czym przesunął palcem po jej policzku. – Najdroższa! Masz co najmniej trzy złamane żebra i ranę w piersi. Nie wolno mi cię

przytulać. Daniels dał mi dokładne rozkazy, co mam zrobić, kiedy się przebudzisz. Nie wolno mi cię tulić, całować, dotykać. Nie mogę pozwolić, żebyś się śmiała, żebyś się gniewała czy przeżywała jakiekolwiek inne wzruszenia. Co oznacza – tu przysunął krzesło o parę centymetrów bliżej łóżka – że o ile mamy teraz w ogóle rozmawiać…

– Naturalnie, że mamy.

– …to musimy to robić bardzo spokojnie. To musi być rozmowa całkowicie pozbawiona wzruszeń.

Skinęła głową i odparła poważnym tonem:

– Postaram się.

– Widzisz… – Czule uścisnął jej rękę. – Mam do pani, panno Finch, jedno pytanie.

– Och… – Dostosowała się do jego oficjalnego tonu. – Cóż to za pytanie, lordzie Rycliff?

– Zastanawiam się, panno Finch, czy – biorąc pod uwagę pani bystry wzrok i wyrobiony gust – będzie pani tak dobra, by mi pomóc wybrać materiał do obić?

Zamrugała powiekami ze zdumienia.

– Do obić?

Skinął głową.

– To powinno być bezpieczne zajęcie podczas rekonwalescencji. Przysłali mi już trochę próbek.

– Doskonale – odparła powoli. – Czy to wszystko, o co pan mnie prosi?

– Nie. Jasne, że nie. Jeżeli wszystko pójdzie dobrze, a stan pani zdrowia na to pozwoli, myślę, że w przyszłym tygodniu będzie pani się mogła zająć zasłonami.

– Zasłonami… – Oczy jej się zwęziły. – Bram! Wiem, że ci nie wolno mnie prowokować. Ale czy pan Daniels mówił coś o niebezpieczeństwach mącenia mi w głowie?

– Może znowu zacznę. – Przerwał, wpatrzony w ich złączone dłonie. – Napisałem do swoich przełożonych.

– O obiciach? Czy o zasłonach?

– Ani o jednym, ani o drugim. O mojej nominacji.

Zatkało ją.

– Bram, nie wolno ci. Nie zrezygnowałeś…

– Sza… – ostrzegł ją, ściskając jej palce. – Bardzo spokojna, pozbawiona wzruszeń rozmowa… Pamiętasz?

Skinęła głową. Po chwili ostrożnie odetchnęła.

– Nie zrezygnowałem. – Jego kciuk kreślił kółka na wierzchu jej dłoni. – Przyjąłem nominację, jaką mi swego czasu oferowano. Pracę w Ministerstwie Wojny. Będę się zajmował zaopatrzeniem piechoty na froncie. To nie dowodzenie w polu, ale w każdym razie ważna robota.

– Na pewno ważna. Och, dasz sobie z tym świetnie radę. Tyle czasu spędziłeś na froncie! Kto może lepiej wiedzieć, czego potrzeba żołnierzom?

– No, z tym się czasem będą wiązały podróże… Ale przede wszystkim będę pracował w stolicy. Tak że chyba muszę tam mieć dom! Nigdy przedtem nie kupowałem domu. Kiedy się już będziesz lepiej czuła, chyba mi pomożesz go wybrać! A potem, mam nadzieję, pomożesz mi urządzić prawdziwy dom. No, wiesz… z meblami z obiciami… I zasłony. I… może dzieci… w końcu.

– Och… Dzieci… – Zachichotała. – Czy planujesz, że też ci przyślą próbki?

– Nie śmiej się… – uciszał ją, kładąc jej rękę na ramieniu. – Nie śmiej się!

– Kiedy nie mogę się powstrzymać.

Postarała się jednak pohamować, jak mogła. Drżącą ręką otarła łzy z oczu.

Najwyraźniej się bardzo przestraszył.

– Diabli nadali! Teraz znowu płaczesz. Daniels mnie zabije.

– Nic… nic – uspokoiła go. – W porządku. Śmiech, łzy… to warte najgorszego bólu. Taka jestem szczęśliwa… Boleśnie, okropnie… szczęśliwa.

Bram zmarszczył ciemne brwi, spod których ponuro patrzyły zielone oczy.

– Ty… – Ścisnął jej rękę w obu dłoniach. – Wystraszyłaś mnie śmiertelnie!

– Ja też się bałam – wyznała. – Ale mi pomogłeś przez to przejść. Teraz jesteśmy… tutaj. Jeśli udało nam się to przetrwać, myślę, że zdołamy przetrwać dosłownie wszystko!

Nie odpowiedział, obdarzył ją tylko długim, serdecznym spojrzeniem.

Z pewnością ją kochał. Ale nigdy dotąd tego nie powiedział. Każdy jego czyn – od przyjęcia propozycji w Londynie, do chłodnej chusteczki, jaką teraz jej ocierał czoło – potwierdzał to.

Nie musiał jej tego mówić. Ale z coraz większą niecierpliwością pragnęła tych słów.

Wyprostował się i zaczął jej poprawiać pościel.

– Potrzebny ci odpoczynek. I herbata. Albo coś w tym rodzaju. Nie wiem… to ty jesteś znachorką… Gdybyś teraz była na moim miejscu, co byś zrobiła?

– To proste. Poinformowałabym Danielsa, że jego pacjentka się obudziła. Potem zjadłabym porządny obiad. Potem się dobrze wyspała. Wykąpała i ogoliła. I nie martwiłabym się już o nic.

Czubkiem palca dotknął jej nosa.

– Mała kłamczucha.

– Ale wiesz, co bym zrobiła przede wszystkim? Dałabym mojej przyszłej żonie całusa. – Kiedy się zawahał, posłała mu możliwie najbardziej zachęcający uśmiech. – I tak już złamałeś wszystkie zakazy. Nie bądź taki honorowy!

Pochylił się i odgarnął jej włosy ze skroni.

– Nigdy się nie mogłem powstrzymać, żeby ci nie skraść całusa. Od pierwszego dnia.

Ustami dotknął jej warg.

Tak, jak tego pierwszego dnia jego usta były silne i gorące, a po chwili… było po wszystkim.

Niech go licho! Co za wzór wstrzemięźliwości.

– Bram – szepnęła, nie będąc w stanie się powstrzymać – czy myślisz, że mógłbyś mnie pokochać…? Choć troszkę…?

Roześmiał się.

– Dobry Boże, nie!

– Nie…? – Susanna przygryzła wargę. Skuliła się cała wewnątrz. – Och…

O Boże. Wbiła wzrok w jego klapy, oceniając sytuację. Czy może w takim razie wyjść za niego, skoro Bram jej w ogóle nie kocha?

Naturalnie, że może.

Przed oczyma mignęła jej inna możliwość: przyszłość beznadziejnie samotna i ponura. Nie mogła jej sobie wprawdzie dokładnie wyobrazić, ale

czuła, że musiałoby w takim życiu znaleźć się mnóstwo kotów… i miętówek.

Pal diabli miłość. Wystarczy jej pożądanie, albo podziw, czy cokolwiek innego jej ofiaruje! Nawet chłodny afekt będzie lepszy niż klejące się miętówki.

Dotknął jej policzka tak, że spojrzała w jego silną, piękną twarz.

– Nie, Susanno – rzekł. – Nie mogę cię kochać troszkę. Jeżeli to jest to, czego chcesz, musisz sobie poszukać innego mężczyzny. – Zielone oczy patrzyły tak intensywnie, że zapierały dech w piersiach. Kciukiem pogłaskał jej dolną wargę. – Bo ja… mogę cię tylko kochać wyłącznie. Wszystkim tym, czym jestem, wszystkim, czymkolwiek będę! Ciałem, myślą, sercem, duszą.

Serce jej rosło w piersiach.

– Och… – udało się jej nareszcie wyszeptać. – Tak jest lepiej. O wiele lepiej!

Przyciągnęła go, by pocałować.

Cofnął się.

– Jesteś tego pewna? – spytał znowu poważnie. – Przemyśl to, kochanie. Bądź pewna, że tego właśnie chcesz. Ja daję ci wszystko, czym jestem. I, szczerze mówiąc, będziesz ze mną miała niemało zachodu! Będę cię ochraniał – dziko; stawiał wyzwania – codziennie, pragnął cię – każdej nocy; a to jeszcze nie wszystko! Nie będziesz mogła mną rządzić tak, jak rządzisz innymi mężczyznami.

Uśmiechnęła się.

– Och, myślę, że na taką decyzję jeszcze jest czas.

– Mogę być bestią, jak mnie czule nazwałaś. Silnym jak byk, upartym jak wół…

– Ale piękniejszym niż oba… dzięki Bogu.

Zmarszczył czoło, jakby ją ganił.

– Mówię poważnie. Chcę, żebyś wiedziała, w co się pakujesz!

– Dobrze wiem w co. W miłość. Teraz już w nią wpadliśmy tak głęboko, że powinnam chyba mieć kostium kąpielowy! – Pogładziła go po policzku. – Nie mogę się doczekać, kiedy zostanę twoją żoną…

Przytulił jej dłoń do twarzy, po czym gorąco ucałował.

– Nawet jeżeli będziemy mieszkać w Londynie… przynajmniej przez część roku?

– Poszłabym za tobą nawet w Pireneje. Londyn jest przecież tuż-tuż.

– Obiecuję ci, że będziemy tu często przyjeżdżać. Na Gwiazdkę, na Wielkanoc. I oczywiście każdego lata, więc będziesz mogła zapraszać tu swoje przyjaciółki! Wiem, że domem dla ciebie będzie zawsze Spindle Cove.

– A dla ciebie nie?

Pokręcił głową.

– Mój dom to ty, Susanno. Ty jesteś moim domem, moim sercem, moją największą miłością. Gdziekolwiek jesteś, tam i ja będę. Zawsze.

Epilog

Sześć tygodni później

*J*ak dobrze było znaleźć się w domu.

Wracając z tygodniowej nieobecności ze wsi, Bram się zatrzymał przed malowanymi na czerwono drzwiami lokalu, swego czasu znanego pod nazwą Rozbuchany Byk. Również dawniej znanego jako Pąsowy Bratek.

Wypisany złotymi literami znak mógł być nowy, ale kiedy Bram otworzył drzwi tego, co obecnie nosiło nazwę Ukwiecony Byk, przekonał się, że pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają.

Jego kuzyn pozostał kłopotliwym idiotą.

Z tawerny zniknęły wszystkie krzesła i stoły. Colin stał tyłem do wejścia, wydając rozkazy ludziom w dwóch przeciwległych rogach sali, podciągających aż pod sufit coś w rodzaju ciężkiej ramy przy użyciu skomplikowanej sieci bloków i lin. Bram nie miał pojęcia, co robią, ale wiedział, że nic dobrego.

– Trzymajcie liny! – rozkazywał Colin, machając obiema rękami jak dyrygent. – Thorne, podciągnij to o włos bliżej do siebie! Nie za daleko! Kiedy się powiesi kurtynę, przestrzeń się zmniejszy, a musimy zostawić naszej pięknej Salome dosyć miejsca na Taniec Siedmiu Zasłon[11]! Nie możemy jej ograniczać, inaczej pokaże nam tylko sześć!

Bram odchrząknął.

Colin się gwałtownie odwrócił. Wyraz jego twarzy nic nie mówił, był jednak najwyraźniej dokładnie wystudiowany.

Bram mógł z tego wywnioskować, że kuzyn chce wyglądać jak najbardziej niewinnie.

Ale taki głupi nie był.

– Salome? Jej siedem zasłon? Co tu się właściwie dzieje?

– Nic. – Colin wzruszył ramionami. – Zupełnie nic.

Za jego plecami dwaj mężczyźni z wysiłkiem starali się utrzymać ramę w bezruchu. Widział na ich twarzach poczucie winy. Ci przeklęci spiskowcy nie potrafili mu nawet spojrzeć w twarz! Patrzył na Thorne'a, potem na…

– Keane?

Twarz duchownego oblała się czerwienią.

Bram spojrzał na kuzyna.

– Wciągasz pastora w swoje wyuzdane hulanki? Boże drogi, człowieku! Wstydu nie masz?

– Ja? Wstydu? – Z szorstkim burknięciem kuzyn zwrócił się do swoich ludzi, żeby nadal trzymali liny. Potem się odwrócił z powrotem do Brama z wyrazem rezygnacji na twarzy i potarł kark. – Bram, powinieneś był się tu pokazać dopiero jutro!

– Cóż, sądząc po tej scenie, cholernie dobrze, że przyjechałem wcześniej!

– Dałem ci słowo. Tu się nie będzie działo nic niewłaściwego.

Do sali wszedł Fosbury, ocierając o fartuch umączone ręce.

– Tort gotowy, milordzie. Prawdziwe dzieło sztuki, muszę powiedzieć. Do koloru skóry użyłem kremu migdałowego: wyszło przepięknie! Śliczne, wielkie kule ubitych bez. Co prawda trochę miałem kłopotu z decyzją, czy do sutek użyć różowych różyczek, czy kawałków cynamonu… ale każdy mężczyzna ma swoje własne gusta, prawda, panie…

Wreszcie zauważył gwałtowne gesty Colina, mówiące mu „zamknij się!". Przeniósł wzrok na Brama i zrozumiał.

– O, lord Rycliff… Pan… tutaj?

Bram obrzucił kuzyna oskarżycielskim wzrokiem.

– Nic… niewłaściwego?

Colin uniósł dłonie do góry.

– Przysięgam na moje życie! Gdybyś tylko…

W tym momencie do sali wpadł zdyszany Rufus.

– Lordzie Payne, przyszła pańska przesyłka. Gdzie mam dać tego tygrysa?

Tym razem Bram nie czekał na wyjaśnienie. Rzucił się do przodu i złapał Colina za klapy.

– Ta pierwsza klęska niczego cię nie nauczyła? Właśnie dlatego nie dałbym ci ani pensa na życie, ty parszywy kundlu. Jeżeli posiałeś takie

spustoszenie w małym Spindle Cove, diabli wiedzą, co jeszcze gotów byłbyś wyczyniać gdzie indziej! – Potrząsnął kuzynem. – Co u diabła myślisz, że tutaj robisz?

– Przygotowuję twój wieczór kawalerski, ty głupku!

Bram zamarł, po czym zmarszczył brwi.

– Och…

– Zadowolony? I tak już popsułeś całą niespodziankę. – Colin uniósł brwi. – Nie przyszło ci do głowy, że twoi ludzie zechcą urządzić dla ciebie przyjęcie? A może zapomniałeś, że za parę dni się żenisz?

Bram pokręcił głową i sam się do siebie roześmiał. Nie, nie zapomniał, że za parę dni weźmie ślub z Susanną. Przez cały ostatni miesiąc właściwie o tym tylko myślał.

A ponieważ właśnie wracał w te okolice po tygodniu spędzonym w Londynie, coraz bardziej rozpaczliwie pragnął przytulić narzeczoną…

Wobec tego co tu robił, trzymając w objęciach… Colina?

Puścił klapy surduta kuzyna.

– Doskonale. Zaraz wyjdę z tej sali tą samą drogą, jaką tu wszedłem. I będę udawał, że niczego nie widziałem.

– Znakomicie. – Colin zachęcająco popchnął go w stronę drzwi. – Czekamy na twój powrót. A teraz wynocha!

Bram zboczył z długiej, krętej drogi prowadzącej do Summerfield, bo postanowił przejść polami i łąką, skracając sobie drogę.

Minął właśnie tydzień od czasu, kiedy ostatni raz widział Susannę. Boże… miał wrażenie, jakby minął rok. Jak kiedykolwiek mógł sobie wyobrażać, że ją opuści i wyjedzie na Półwysep Iberyjski?

Mimo uporczywego bólu w kolanie wspinał się na pochyłe, porośnięte trawą wzgórze. Tam ścieżka opadała w dół w niewielką, zieloną dolinę, przez którą płynął strumyk. Patrzył w ziemię, ostrożnie dobierając miejsca, w które chciał stąpnąć.

– Bram!

Grom z jasnego nieba.

Znikąd.

Coś się na niego rzuciło. Ciepły, miękki pocisk, który pachniał jak ogród i był ubrany w muślinową sukienkę w roślinne wzory. Na chwilę stracił równowagę, stojąc na chorej nodze, i oboje upadli na ziemię. Wykonał

bohaterską gimnastykę, starając się wziąć na siebie największy impet upadku i uderzył w zbocze z głuchym „uufff!”.

Wylądowała na nim. Oboje się potoczyli po ziemi w dół. Osłoniły ich niskie grzbiety dolinki. Jego całym światem było teraz błękitne niebo, zielona trawa… i ona.

– Susanno…

Z niemądrym uśmiechem objął ją w pasie i odwrócił tak, że mogli na siebie patrzeć, leżąc w wysokiej trawie.

– Skąd przyszłaś? – Lekko dotknął jej żeber. – Nic ci się nie stało?

– Nie, dobrze się czuję. Więcej niż dobrze. – Delikatnie odgarnęła mu włosy z czoła. – A ty?

– Nie wiem. Mam wrażenie, że widzę podwójnie. Dwie wargi, dwoje oczu… tysiące piegów.

– To może uleczyć tylko całus. – Wygięła słodkie usta w uśmiechu. A potem te same słodkie usta dotknęły jego warg. – Dowiedziałam się, że już jesteś w miasteczku i nie mogłam się doczekać… Dlaczego nie przyszedłeś prosto do Summerfield?

– Musiałem się przedtem zatrzymać na chwilę w miasteczku. Miałem interes do Colina i Thorne’a. A potem jeszcze byłem chwilę w kuźni.

– Poszedłeś się zobaczyć z kowalem wcześniej niż ze mną?

Wziął jej rękę i bawił się palcami.

– Musiałem odebrać… to.

Spojrzała na jego mały palec, na którego kostce tkwił pierścionek.

Zatkało ją.

– Boże…

Sięgnęła po niego, ale Bram, przekomarzając się, próbował go odebrać.

– Powiedz, że żałujesz, że we mnie zwątpiłaś!

Jej oczy barwy irysów były w tej chwili wcieloną szczerością.

– Nigdy w ciebie nie wątpiłam, ani przez chwilę! Byłam po prostu niecierpliwa. Dokądkolwiek byś poszedł: do kuźni czy do Londynu, czy do Portugalii! Bram… wiem, że wrócisz do mnie, do domu.

– Zawsze. – Pocałował ją namiętnie.

– Zaraz, zaraz… – mówiła, odsuwając się. – Najpierw pierścionek, a dopiero potem pocałunki!

Chrząkał i mamrotał coś na temat kobiecych preferencji. Ściągnął pierścionek z ręki i wsunął na jej palec – tam, gdzie było jego miejsce.

Patrzył z podziwem, jak pięknie lśni, jak pasuje.

– Pomyślałem, że może chciałabyś mieć pierścionek zrobiony tutaj; będziemy przecież spędzali dużo czasu w Londynie. A w ten sposób, gdziekolwiek będziesz, zawsze zabierzesz ze sobą mały kawałeczek Spindle Cove.

– Och, Bram…

Zaczęła gwałtownie mrugać, jakby powstrzymywała łzy.

Miał nadzieję, że to łzy szczęścia.

Nagle, jakby niepewny, zaczął jej pokazywać szczegóły pierścionka.

– Poprosiłem, żeby na obrączkę użył złota i miedzi… bo widzisz, twoje włosy mają właśnie takie dwa odcienie. A szafir mi przypominał twoje oczy. Co prawda twoje oczy są oczywiście o wiele piękniejsze. – Boże, jak to wszystko głupio brzmiało, kiedy to mówił głośno! – Wydaje mi się, że Dawes zrobił naprawdę dobrą robotę. Ale… gdybyś wolała coś bardziej delikatnego, zabiorę cię do jubilera w Londynie albo…

Uciszyła go.

– Jest wspaniały. Uwielbiam go. Uwielbiam ciebie!

Najpierw pierścionek, a dopiero potem pocałunki. Tak powiedziała. Teraz mógł odebrać swój fant długim, głębokim, namiętnym pocałunkiem. W ten sposób jej chciał powiedzieć, jak bardzo za nią tęsknił, w każdej minucie każdej godziny każdego dnia, kiedy byli z dala od siebie.

Później oparła mu głowę na piersi i wydała zadowolone westchnienie.

– Wiesz, jaki dziś dzień?

– Środa, panno Finch. – Pogłaskał jej włosy barwy roztopionego brązu. – Ale pani nie jest dziś w ogrodzie.

Podniosła głowę.

– Nie miałam na myśli dnia tygodnia. Myślałam o tym, jakie ten właśnie dzień ma znaczenie.

Chwilę się zastanawiał.

– Dziś jest… trzy dni do naszego ślubu?

– A jeszcze?

– Trzy dni i dwa tygodnie do naszego wyjazdu do Londynu?

– Tak. I…?

Boże drogi, co to za diabelski test?

– Wiem! Trzy dni i dziewięć miesięcy do narodzin naszego pierwszego dziecka!

Roześmiała się, zaskoczona.

– A co? Planuję, że podczas naszego miodowego miesiąca będę bardzo pracowity. Mam nadzieję, że dobrze wypoczęłaś, bo przynajmniej przez pierwszy tydzień nie pozwolę ci dużo spać. Chyba nie planujesz zwiedzania wszystkich zakątków Kentu?

Przed przeprowadzką do Londynu mieli wynająć letni dom na rozkoszne dwa tygodnie po ślubie. W Londynie Bram załatwił tymczasowy apartament w najlepszej dzielnicy, do czasu, kiedy Susanna wybierze dla nich właściwy dom. Nie mógł się doczekać, kiedy ją tam zabierze, jako swoją żonę. Pragnął jej pokazać jak najwięcej świata i patrzeć, jak Susanna wkracza w jego własny…

– Dzisiaj – powiedziała – mija dokładnie sześć tygodni od dnia, kiedy się zraniłam. Dziś jestem nie tylko wypoczęta, ale zupełnie wyleczona. A to oznacza… – Kokieteryjnie sięgnęła mu za pazuchę, patrząc przez spuszczone rzęsy. – Już nie musimy być ostrożni.

Serce aż mu podskoczyło z radości, ale się to starał zignorować.

– Susanno, wiesz, że to nie kwestia tego, ile dni czy tygodni minęło…

– Dwa dni temu był u mnie pan Daniels. Twierdzi, że jestem zdolna do każdej… do wszystkich działań. – Jedna z jej smukłych nóg wsunęła się pomiędzy jego kolana; rozchylonymi wargami całowała go w ucho. Język delikatnie obmywał jego brzegi. – Zgadnij, jakich działań podjęłabym się najchętniej?

Wobec takiego zaproszenia Bram był już bezsilny.

Całowali się łapczywie, oddając i biorąc pocałunki – na przemian. Stęsknionymi rękami otulał ją całą, ucząc się z powrotem jej ciała. Obejmował i głaskał każde rozkoszne zaokrąglenie. Jej palce też badały jego ciało tak, że jęczał z przejęcia. Kiedy jednak dotarły do zapięcia bryczesów, powstrzymał jej rękę.

– Doprawdy… – mówił, oddychając z trudem. – To tylko trzy dni. Potrafię poczekać.

– Ale ja nie. Tak bardzo mi ciebie brakowało. I mam już dość grania roli inwalidki. Chcę znowu czuć, że żyję.

Z ust Brama wyrwało się chrapliwe westchnienie. Jak mógłby jej odmówić?

Wyginając plecy, ocierała się o niego ciałem. Ręką objął jej okrytą pończochą łydkę i podsunął wyżej, za kolano i podwiązkę. Sunął tak – aż

do jedwabistego uda i do kuszącego gorąca między udami.

Jęknął.

– Boże… jak ja ciebie kocham.

– Ja też cię kocham. – Zatoczyła biodrami i przycisnęła się do niego. – I pragnę cię, Bram. Tak bardzo cię pragnę.

Spieszyli się oboje. Złączeni jednym celem i potrzebą zrzucali z siebie przeszkadzające im koźle skóry i halki, aż w końcu nic ich już nie dzieliło. Nic w ogóle. W końcu wsunął się w nią, dopasowując do tego ścisłego, rozkosznego miejsca, do którego wiedział, że przynależy… na zawsze.

– Tak… – westchnęła, przyciągając go bliżej.

Jak dobrze było znaleźć się w domu.

Podziękowania

Przede wszystkim jestem głęboko wdzięczna mojemu mężowi i dzieciom. Nie jest łatwo mieć pisarza w rodzinie, ale oni wydają się traktować to całkiem naturalnie. Podobnie jak wychowawcy w cudownym przedszkolu moich dzieci. Nikt tak, jak córki pisarki romansów, nie ożywi lekcji religii poświęconej „kuszeniu”.

Mojej redaktorce Tessie Woodward i mojej agentce Helen Breitwieser jestem winna dozgonną wdzięczność za cierpliwość, wiarę i doskonałe rady. U Courtney Milan i Amy Baldwin mam, jak zwykle, dług za ich przyjaźń i poparcie. Bren, bez ciebie nie byłabym w stanie skończyć tej książki! Dzięki za wysłuchanie; dzięki tobie długie dnie i noce w „biurze” okazały się taką zabawą.

Jestem wdzięczna Elyssie, Leigh, Jennifer i Jackie za krytyczne uwagi i fachowe wskazówki. Benie Towsend, dziękuję za pomoc w kwestiach dotyczących wojskowości. Dziękuję korektorkom Eleanor Mikucki i Marthcie Trachtenberg za wyłapanie wszystkich błędów, a Kim Castillo za doprowadzenie całości do porządku. Wszyscy w wydawnictwie Avon byli cudowni.

Na koniec pragnę podziękować moim kolegom i koleżankom z oddziału Orange County Amerykańskich Pisarzy Romansów. Nie mogę wymienić wszystkich z nazwiska, ale wiecie, o kim mówię. Motto naszego oddziału powinno brzmieć: „Jedną ręką sięgać w przód, jedną w tył”, ale w trakcie pisania książki czułam, że obejmują mnie obydwa ramiona. To szczęście należeć do tak wspaniałej, utalentowanej grupy ludzi.

[1] Gunpowder (ang.) – proch strzelniczy (przyp. tłum.).

[2] Wieża Martello – typ niedużej, masywnej wieży obronnej ze strzelnicami, służącej do obrony wybrzeża przed flotą inwazyjną. Budowane były w czasie wojen napoleońskich (przyp. tłum.).

[3] Trebusz – starożytna i średniowieczna broń; machina miotająca, wykorzystująca zasadę dźwigni, miotająca pociski ze znaczną celnością (przyp. tłum.).

[4] *Spinster* (ang.) – stara panna (przyp. tłum.).

[5] Stołp – wieża ostatecznej obrony budowana na planie koła, owalu, prostokąta lub wieloboku o znacznej wysokości (30–50 m) i bardzo grubych murach (3–5 m) (przyp.tłum.).

[6] Obiegowa nazwa brytyjskiego, gładkolufowego muszkietu z zamkiem skałkowym, będącego na wyposażeniu armii przez prawie półtora wieku (przyp. tłum.).

[7] Finch (ang.) – gil, zięba (przyp. tłum.).

[8] Odniesienie do nazwy wioski – ang. *spindle* to właśnie wrzeciono (przyp.tlum.).

[9] *feu de joie* (franc.) – ognie radości.

[10] *Hemothorax* (gr.) – krwiak opłucnej.

[11] Salome (zm. po 92 r. n.e.) – żydowska księżniczka, córka Heroda III i Herodiady. Obiecała Herodowi zatańczyć dla niego Taniec Siedmiu Zasłon (pierwszy striptiz w historii) w zamian za głowę proroka żydowskiego, Jana Chrzciciela.